

# CZARNA SERIA



Autor *Wyroku* powraca z wybuchowym ładunkiem rozgrywek politycznych, szokujących afer i pokaźną dawką erotyki

**MARIUSZ**

# ZIELKE

**FORMACJA TRÓJKĄTA**

**MARIUSZ**  
**ZIELKE**

**FORMACJA TRÓJKĄTA**

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

---

Warszawa 2013

Markowi, znakomitemu dziennikarzowi,  
bez którego inspiracji i wsparcia  
ta książka by nie powstała.  
Dziękuję, przyjacielu!

Wiem, że nie uwierzycie, ale *Formacja trójkąta*  
to tylko fikcja literacka :)

Wszystkich urażonych serdecznie przepraszam.

## Prolog

Ogarnięty wściekłością, wyrwał z sieci wtyczkę zasilania. Migające diody i rozpędzone wiatraczki wentylatorów zgasły z jękiem. Cisza, nagle przywołana z ciemności, błyskawicznie opanowała gabinet.

Po raz ostatni spojrział na komputer, jakby zamierzał go jeszcze przeprosić. Ale w oczach nie miał skruchy. Nie zwykł przeproszać. Chciał się jedynie z nim pożegnać jak z partnerem, z którym spędził ostatnie siedem lat.

Ty jeden mnie nie zawiodłeś, przyjacielu. Skończyło się. Nie będziesz mi już potrzebny. Nigdy. Nie wrócę. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. To koniec.

Wstał i szybkim krokiem przeszedł na ukos przez biuro, potrącając biodrem ciężki stół. Przy ścianie zerknął na zegarek. Zbliżała się północ, a jej wciąż nie było. Może więc ponownie dał się oszukać. Może kobiety nie zasługują na zaufanie. Zawsze tylko nas wykorzystują: realizują cel, a potem pozbywają się użytych środków. Zacierają ślady, nie zostawiając otwartych drzwi. Także – a może przede wszystkim – w drodze na szczyt.

Nie, to niemożliwe.

Usłyszał odległy, stłumiony dźwięk dzwonka windy i wyjrzał na zewnątrz. Jego gabinet był usytuowany na najwyższym piętrze nowoczesnego budynku, do którego giełda przeniosła się z sąsiedniego starego gmachu, służącego niegdyś partii komunistycznej.

Wysokie korytarze pełne duchów przeszłości zostały zastąpione przez oszklone, funkcjonalnie zaprojektowane przestrzenie. Było w tym coś symbolicznego. Nowa rzeczywistość ostatecznie pożegnała socrealistyczne zaszczości.

On – młody, dynamiczny prezes – także symbolizował zmiany. Chłodny, wyrachowany profesjonalista, bez teczki w Służbie Bezpieczeństwa komunistycznej PRL, akt w IPN, wstydlivych rumieńców na przeżartych gorzałą policzkach. Bez przeszłości, układów i politycznych nadań.

Nie był częścią świata fałszywych uśmiechów przykrywających głupotę i niekompetencję. Nie uciekał od konkretów i twardych rynkowych gier, które jego poprzednicy często traktowali jak zło konieczne. Reprezentował nowy świat drapieżnego kapitalizmu. Wcale pewnie nie lepszy od starej rzeczywistości, śmierdzącej wodą i papierochami, pełnej tłustych włosów, pocałunków w usta i misiów strzelanych na ostatnie pożegnanie przed strąceniem wroga w przepaść.

Tak, gogusie w garniturach wartych tyle co mały samochód niewiele się różnili od dawnych towarzyszy. Obdarzeni idealnym uśmiechem za dziesięć tysięcy euro, wymalowanym nad kołnierzykiem śnieżnobiałej koszuli od Amosu, tak samo jak tamci byli skąpani w wielkim kłamstwie.

Ostatni uścisk wypielegnowanej ręki, dyplomatyczne bye-bye i już lecisz w przepaść, a wszyscy odwracają wzrok, żeby nie widzieć twojego upadku. Klęska przyciąga klęskę. Tąpnięcie na akcjach jednej spółki może wywołać giełdowy krach. Dobrze opanowali lekcje hipokryzji. Udają, że nie słyszą krzyku, jakby się bali, że ich dopadnie i pociągnie za sobą.

Z windy wyszła dziewczyna z wózkiem do sprzątanania, pełnym miotełek i tajemniczych przyborów czyszczących. Ukłoniła się i posłała mu uśmiech. Odpowiedział jej tym samym. Nigdy nie okazywał pracownikom pogardy. Nawet dla tych z najniższego szczebla znajdował czas i życzliwość. Niekiedy z czystego serca, niekiedy z wyrachowania. Starał się zapamiętać imiona, twarze żon, mężów i dzieci. Zazartować, wręczyć premię w dniu urodzin, okazać wyrozumiałość, jeśli komuś coś nie wyszło. Korporacje znają niejedną niespodziewaną karierę, każdy zasługuje na szacunek, każdy jutro może być prezesem.

Nie warto zrażać do siebie ludzi, jeśli to nie jest konieczne. Ale ludzie muszą cię także szanować. A szacunek to strach. Tego, kogo się nie boją, zwykle też nie szanują.

Potrafił zapewnić sobie i strach, i szacunek.

Frazesy? Niewątpliwie, ale tak było lepiej. Jeśli nie można zmienić jakiegoś fragmentu świata, lepiej obudowywać go frazesami.

Sprzątaczką zniknęła za rogiem.

Wrócił do gabinetu, zerkając na lewe przedramię. Dla niewolnika czasu miarą zdenerwowania jest ilość zerknięć na zegarek. Stary, dobry timex – prezent od przyjaciela z czasów, gdy jeszcze wykładał na uczelni w Krakowie – właśnie odbębnił północ.

No nic, widać coś jej wypadło. A może uznała, że sam powinien pożegnać to miejsce. Może nie chciała mu odbierać tej ostatniej chwili.

Wyjaśnienie dobre jak każde.

Energicznie podszedł do szafy, wyjął płaszcz, zarzucił szalik i wcisnął na głowę kapelusz. Ostatni dzień prezesa. Człowiek, który uśmiechał się do niego z lustra, nie przypominał szefa takiej instytucji jak giełda. Szczupła, wysoka sylwetka, długie ramiona, silne barki. Twarda, mocna, kwadratowa szczęka, naciągnięta skóra na policzkach, wodniste oczy, świdrujące spojrzenie. Odważne i wyzywające. Oczy gangstera.

Wyglądał trochę jak gangster. James Woods z naleciałościami Maxa Bercovicza.

Może nim jestem? Może coś jest w tym żarcie o synu, który oświadcza ojcu, że zamierza się poświęcić zorganizowanej przestępczości, na co ten dopytuje: „Administracja rządowa czy sektor bankowy, synku?”. Giełda była czymś pomiędzy administracją, sektorem bankowym i szczwaną korporacją. Czymś idealnym dla kariery w zorganizowanej przestępczości.

Koniec. To już koniec.

Wyszedł z gabinetu i wtedy dzwonek windy zadźwięczał jeszcze raz. Ruszył ku niej szybkim krokiem, ale w środku nikogo nie było. Drzwi zamknęły się z cichym szumem. Nacisnął guzik i znów stanęły otworem. Cholera – zaklął, zorientowawszy się, że w pośpiechu zapomniał teczek z dokumentami. Miał tam wszystko, co byłoby potrzebne, gdyby jego partnerzy zrezygnowali z honorowego rozstania. W zorganizowanej przestępczości każdy ma coś na każdego. „Zawsze trzymaj to na czarną godzinę” – radził jego najwierniejszy przyjaciel, którego media przemianowały ostatnio na największego wroga.

Cofnął się po teczkę i wtedy poczuł za sobą ruch powietrza

oraz silną woń perfum. Odwrócił się z grymasem uśmiechu, który zgasł równie szybko, jak się pojawił. Nie tej osoby oczekiwał.

– Co ty... tu robisz?

Postać nie odpowiedziała. Mierzyła go przeciągłym spojrzeniem zza dużych przeciwsłonecznych okularów zasłaniających niemal połowę twarzy. Obszerny wełniany płaszcz i naciągnięta głęboko młodzieżowa czapa z nausznikami ukrywały wszelkie cechy charakterystyczne, uniemożliwiając rozpoznanie. Nieznajomemu trudno byłoby nawet ocenić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Mimo że postać wyglądała jak chodzący wieszak na ubrania, Witold poznał ją natychmiast. Nie pomogło mu to jednak w porę zareagować, gdy przyłożyła do jego głowy niewielki rewolwer i bez ostrzeżenia pociągnęła za spust.

Kurewska jedyńka! Zawsze coś się musi spieprzyć w ostatniej chwili. Jak się ma spieprzyć, to się spieprzy. Tak już jest. Kurewski świat.

Bartek Milik patrzył z nieskrywanym żalem i uzasadnioną wściekłością na pierwszą stronę „Expressu Finansowego”, na której powinien dzisiejszego pięknego dnia widnieć wielki tytuł *Unijna afera mięsna z polską koniną w tle*. To miała być pierwsza jedyńka Bartka w „Expressie”. Czołowy materiał, najważniejszy tekst numeru. Długo wypracowywany, wychodzony tygodniami po śmierdzących rzeźniach, nie mniej cuchnących korytarzach laboratoriów i gabinetów weterynaryjnych oraz pachnących cynizmem i bezduszną żądzą zysku ministerialnych korytarzach. Wymuskany redakcyjnym dopracowaniem, zaplanowany i... pewny jak w banku.

Na początku tygodnia taką obietnicę dał mu naczelny.

„Dzień przed Wigilią twój tekst będzie na jedynce – oznajmił wówczas. – Spodziewaj się tysiąca oburzonych maili i komentarzy na forum za to, że wkładasz kij w mrowisko właśnie przed świętami. Przygotowany na szok?”

„Szok to moje drugie imię” – mruknął w odpowiedzi.

Naczelny popatrzył jakoś tak miękko i sympatycznie. Kupił Bartka tym spojrzeniem. Zresztą nie pierwszy raz. Milik był przekonany do wizji dziennikarstwa, jakie krzewił i jakiego oczekiwał naczelny. Szybkiego, bezkompromisowego, odważnego. Żadnej ściemy, żadnej zwłoki i zbędnego tłumaczenia. Bez litości. Szybkie teksty – zestawienie opinii dwóch stron konfliktu, obiektywne, ale z jasnym wskazaniem, komu wierzymy. A prawda? Gdzieś, kiedyś może wyjdzie na jaw. Zawsze wychodzi, chyba że kłamstwo okazuje się silniejsze.

Nas już to nie obchodzi, my będziemy daleko z przodu.

Lubił naczelnego. Do dziś byłby gotów skoczyć za nim w ogień. Do dziś, bo teraz miał ochotę osobiście wypruć mu flaki.



Zamiast końskiego łba i wielkiego tytułu z podpisem ŚLEDZTWO „EXPRESSU” – BARTEK MILIK PREZENTUJE na jedyńce widniał ludzki łeb prezesa warszawskiej giełdy, którego nazwisko nawet niespecjalnie pamiętał. Surowski czy Sworowski. Imię? Chyba Wiktor. Albo Witold. Tak, Witold Sworowski, kolejny wielki prezes, któremu coś tam się nie udało i skończył na jedyńce „Expressu” z podpisem KŁAMCA. Ukradłeś mi jedyńkę, Witoldzie Sworowski.

Nie do niego jednak miał pretensję. Ofiar się nie sądzi, tak jak nie kopie się leżącego.

– Dlaczego mi to zrobiliście? – zapytał, wchodząc do gabinetu szefa i zamykając za sobą drzwi.

– Co takiego?

Romek Pawlak miał niespełna czterdzieści lat, zmysł drapieżnika, wspaniały przegląd pola bitwy i wiele innych strategicznych umiejętności wodzowskich. Oprócz jednej: nie potrafił ukrywać strachu. Odważne decyzje dotyczące materiałów dziennikarskich okupował potwornym stresem. W jego oczach ciągle było widać, że się boi i ledwie sobie z tym radzi. Nie panował nad drzeniem głosu, obgryzał paznokcie, dłubał w nosie, uciekał wzrokiem. Był pieprzonym tchórzem.

Takim jak ja – pomyślał Bartek. Też jestem tchórzem.

– Powiedziałem wszystkim znajomym, że będę miał dziś jedyńkę. A wy mi robicie taki numer – zasyczał.

– A, to. – Pawlak westchnął głęboko i chyba się nieco uspokoił. To on był na wierzchu. Milik nie miał prawa mu podskakiwać. – Przepraszam, nie mogliśmy trzymać tekstu o Sworowskim dłużej, dlatego zastąpił twój materiał.

– No ale mogliście mi powiedzieć – warknął w odpowiedzi.

Zrobiłem z siebie idiotę, wszędzie rozgłaszając, jaki to mam pierwszy w życiu dziennikarski sukces. Pierwsza jedyńka Bartka Milika. Gównno, nie jedyńka.

– News przyszedł za późno, nic nie mogliśmy zrobić. Przykro mi. – Naczelnemu chyba naprawdę zrobiło się żal Milika. Tłumaczenie brzmiało szczerze. – Mam pomysł, by cię udobruchać.

Pogrzebał w śmieciach na biurku i wyciągnął elegancki

kartonik z krzykliwymi napisami: WYDARZENIE SEZONU – DAJ SIĘ PORWAĆ – NAJLEPSZA POLSKA KOMEDIA.

– Co to?

– Zaproszenie na film, dwuosobowe. Weź dziewczynę, rozerwijcie się. To oficjalna premiera, będę gwiazdy i takie tam... Miłej zabawy.

Milik wzruszył ramionami, odwrócił się i chciał już wyjść, gdy naczelny zawołał za nim:

– Bartek!

– Tak?

Pawlak popatrzył na niego znacząco, a potem powiedział pozornie łagodnie, ale z wyczuwalnym naciskiem i groźbą:

– Naprawdę czasem tak bywa, musisz znać swoje miejsce. Jesteś częścią gazety, jej ważnym ogniwiem. Nie możesz się na nią gniewać, bo kiedyś coś spieprzysz. A wiesz, że dziennikarz jest jak saper, myli się tylko raz.

Jasne przesłanie: nie podoba się, to won. Powiedziane kulturalnie, bez chamstwa. Z wyświechtaną, mało subtelną puentą. W sumie powinno go to pocieszyć.

To znaczy, że im na mnie zależy. Nie chcą, bym odszedł. Jeśli jednak nie pogodzę się ze swoim miejscem w szeregu, to... droga wolna.

– W porządku. Już... się nie gniewam.

– Twój tekst o aferze mięsnej pójdzie zaraz po świętach.

– W martwym okresie – mruknął Bartek pod nosem.

– Tym bardziej zostanie nagłośniony. Zobaczysz, będzie dobrze.

Zamknął za sobą drzwi tak cicho, jak umiał, i ruszył do biurka. Spojrzał przelotnie na zaproszenie. Nazwiska aktorów nic mu nie mówiły, a tytuł wydawał się okropny. *Zemsta faraona*. Kto pójdzie na coś takiego? Polscy filmowcy powinni wymyślać lepsze tytuły. Złożył zaproszenie na pół i wyrzucił do kosza.

Skandal wybuchł o szesnastej.

<Słyszałeś?> – zapytał na czacie jeden ze znajomych.

<Co takiego?>

<Prezes giełdy popełnił samobójstwo.>

Prezes... giełdy... popełnił... samobójstwo. Musiał to sobie przetrwać, jakby coś w umyśle blokowało treść, nie pozwalając jej się przebić przez barierę ochronną. Spojrzał na jedynekę i twarz Witolda Sworowskiego opisaną krótkim, jednoznacznym określeniem: KŁAMCA. Jeśli to prawda, że prezes odebrał sobie życie, to autor tekstu zostanie gwiazdorem.

Poszukał wzrokiem Stefana Kurtyny, który był najlepszym dziennikarzem śledczym „Expressu” i jednym z najbardziej doświadczonych w Polsce pismaków zajmujących się brudami. Po odejściu z „Expressu” Kuby Zimnego, który potem wdał się w cichą wojnę z gazetą, innymi mediami oraz służbami, Stefan był właściwie jedynym w Polsce dziennikarzem śledczym wyspecjalizowanym w sprawach gospodarczych.

Pisał o esbekach, teczkach i kryminalistach kryjących się często za księgowymi słupkami wielkich korporacji. Ścigał przeżarte mafijnymi układami urzędy, przeciętnych hochsztaplerów i małych gangsterów piorących w firmach Krzak brudne zyski zorganizowanej przestępczości. Był wszędzie tam, gdzie brud można było wybierać łopatami.

Kurtyna – dobre nazwisko dla śledczego. Czasem rzetelny, czasem mniej. Zawsze w zgodzie z własnymi interesami.

Farciarz.

Stefana nie ruszy śmierć Sworowskiego, nawet jeśli sam się do niej przyczynił. Choć pewnie to przypadek. Zarzuty w gazecie i nawet tak mocny tytuł nie prowadzą nikogo na strzynek. To musiał być jeden z elementów.

Poza tym...

W necie pojawił się właśnie pierwszy komunikat giełdy, który jednoznacznie przekreślał możliwość związku tekstu w „Expressie” ze śmiercią prezesa.

Zarząd Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie z ogromnym żalem informuje o śmierci Pana Witolda Sworowskiego, pełniącego dotąd funkcję prezesa zarządu spółki. Według naszej najlepszej wiedzy to przykre zdarzenie miało miejsce wczoraj w godzinach nocnych i nie ma żadnego

związku z funkcjonowaniem rynku kapitałowego w Polsce. Pomimo bolesnej straty spółka funkcjonuje bez zakłóceń, a inwestorzy nie powinni być zaniepokojeni. Okoliczności sprawy bada policja.

Dziwny komunikat i głupie zdanie na końcu.

Pewnie, że bada. Po co pisać coś takiego?

„Inwestorzy nie powinni być zaniepokojeni” brzmi dokładnie tak samo, jakby napisali: „Spieprzajcie jak najszybciej, bo będzie zwała! Zaczynamy rok niedźwiedzia”.

A ty byś lepiej to ujął? Kiedyś próbowałeś działać w piarze i szybko poniosłeś klęskę. Dobry komunikat, szczególnie na trudny temat, niełatwo sformułować. A w tym jest wszystko, co być powinno. Nienachalne wyrazy współczucia, informacja o śmierci, uspokojenie inwestorów. I policja.

Dziennikarze dość szybko uzupełnili informację danymi od własnych wiewiórek, dzięki czemu pół godziny później Bartek już wiedział, że prezes strzelił sobie w łeb około północy, nie czytał więc tekstu Stefana, bo ten numer „Expressu” ukazał się dopiero rano. Mógł najwyżej słyszeć, że coś ma być opublikowane. Jeśli jednak to miał być powód, to raczej poczekałby na artykuł, a dopiero potem dokonał żywota.

Nie ma co, naprawdę dobrze wyczułeś moment.

Stefana nie było przy biurku. Poszedł już na obchód po telewizjach.

W jednym z głównych serwisów informacyjnych o osiemnastej rozmawiał z lekko wczorajszą presenterką zadającą zmanierowane, mocno irytujące pytania oraz innym dziennikarzem śledczym z jakiegoś tygodnika, wyraźnie podenerwowanym faktem, że to Stefan, a nie on, tak świetnie wstrzelił się z tekstem.

„Nasze zarzuty są dobrze udokumentowane i poparte wielotygodniową weryfikacją! Prezes dopuścił się nadużyć! Ewidentnych nadużyć! Przykro mówić źle o zmarłych, ale to była ważna postać rynku kapitałowego, która nie udźwignęła ciężaru. Tak, nie udźwignęła!” – przekonywał Stefan, mocno akcentując każdy wykrzyknik. Był prawdziwym zwierzakiem

telewizyjnym. Kłamał jak z nut i nigdy nie dawał się zagiąć. „Wielotygodniowa weryfikacja”? To tak się teraz nazywa pisanie na zlecenie służb specjalnych? Nawet jednego dnia nie spędziłeś na weryfikacji. Wystarczyły ci dostarczone kwity od wiewiórek.

„Co tak naprawdę zarzucacie prezesowi?” – dopytywała się prezenterka, pokazując do kamery jedynekę „Expressu”. Jedynekę, na której powinien być tekst Bartka. Ale wtedy nie byłoby jej w telewizji, a Stefan nie piałby z dumy. Tak jak zwykle, to naczelny miał rację i nosa. Konina nikogo by dziś nie ruszyła.

Milik ponownie przejrzał główne tezy tekstu. Według „tajnego raportu”, do jakiego miał dotrzeć „Express”, prezes Witold Sworowski naruszył w swoich działaniach korporacyjnych zasady etyki i stracił zaufanie ministra skarbu. Na czym miało dokładnie polegać to naruszenie etyki? Tego nikt nie wyjaśniał. Człowiek winny, człowiek skazany. Za pomocą ogólników strzela się ślepakami, ale od huków też można zginąć.

Ogłuchnąć i zgłupieć.

Wszystko to było napisane bardzo niekonkretnie, choć z jednoznaczną tezą: prezes jest winny i wkrótce straci stanowisko.

„Według naszych informacji minister skarbu miał złożyć wniosek o odwołanie prezesa” – zakończył Stefan.

„Myślą panowie, że to był powód samobójstwa?”. „Samobójca zawsze znajdzie sobie dobry powód” – odparł Stefan, dając znać, że nie bardzo się przejmuje ewentualnym zarzutem współudziału w tym... przykrym zdarzeniu.

Przykre zdarzenie – właśnie takiego określenia najczęściej używał, jakby w ten sposób mógł zmienić jego wagę. Pełny profesjonalizm. Nie mam sumienia. Wykańczam ludzi na zlecenie, zawodowo. Jego twarz wyrażała pustą satysfakcję. Jestem cholernie zimnym draniem i uczestniczę w grze, w której nie ma miejsca na emocje. To moje teksty mają wywoływać emocje, ja sam im nie ulegam. To zabawa dla dużych chłopców. Jeśli prezesik jej nie wytrzymał, to już jego

problem.

„No tak”. Prezenterka, żeby ukryć zmieszanie, zerknęła na leżącą przed nią gazetę. Nie grała w tej lidze. Nie nadawała się do pokerowych zagrywek.

Drugi z rozmówców zaczął pieprzyć farmazony o psychologii i stresie, jakiemu poddane są osoby na takich stanowiskach.

Bartek pomyślał, że powinien pójść na papierosa. W redakcji obowiązywał zakaz palenia, mimo że prawie wszyscy palili.

Wyszedł na zewnątrz, przypalił papierosa i zaczął bezmyślnie odprowadzać wzrokiem samochody, które z wolna pokonywały korki w Alejach Jerozolimskich. Sznur aut parował od klaksonów, zdenerwowania i frustracji. Czerwone, żółte i białe światełka zlewały się z postępującą szarugą. Na poboczach zalegały brudne zasy. Ich obfitość sprawiła, że miasto postanowiło zawiesić akcję wywozu śniegu. Nie mogli sobie poradzić, ludzie ich przeklinali, ale ludzie przeklinają zawsze.

Taką już mają naturę. Narzekanie wpisane w genotyp. Nadajemy się do tego. My, Polacy, uwielbiamy narzekać bez względu na to, czy mamy powód, czy też nie. Zawsze jakiś się znajdzie. Krytykować wszystko, szkalować, niszczyć. Najlepiej sąsiada. Po co szukać wroga daleko, gdy mamy go za rogiem.

Do diabła z tym wszystkim! Dziś ani jutro, ani przez najbliższe dni nikt nie będzie przejmował się jego koniną wykrytą w wołowninie. Lepiej już ponarzekać na śnieg albo zbluzgać gościa podjeżdżającego maksymalnie daleko na lewym pasie, by wcisnąć się do skrętu w prawo tuż przed skrzyżowaniem. Co go obchodzi, że przez niego tworzy się trzykilometrowy korek? Za sprawą kilku baranów stoi pół miasta. Ale on będzie wcześniej w domu. Będzie mógł zasiąść przed tłustą kolacją zastępującą mu obiad. Mielony i krokieciki. Udka, pierś faszerowana, kaczka zdechła ze starości. Co taka twarda?

Nie narzekaj, tylko wpierdalaj.

Wzrok żony. Dawnej kochający, dziś nienawistny.

Gdybyś nie był takim sknerą i pozwolił sobie na lunch, nie musiałyby tego robić. Odgrzewać ci pieprzonej starej kaczki popijanej zsiadłym mlekiem. Talerzyk z kiszonymi ogórkami

został w kuchni obok kapusty i schowanej za chlebakiem butelki czystej. Słyszałeś kiedyś, że zdrowo jest przepić mięso winem? Nie, ty wolisz kieliszek wyborowej.

Do kaczkę zdechłej ze starości jak znalazł.

Kaczkę trudno podrobić, powinienes się więc cieszyć. Jakbyś przeczytał mój tekst, toby ci się odechciało. W Wigilię co prawda nie będziesz jadł mięsa, ale i tak ci się odechce. Kto wie, może ktoś nafaszerował czymś tego karpia i grzyby wymieszane z kapustą?

Kogo to w ogóle obchodzi, co żremy? Konina, świnina, wołowina, zamienniki? Czy ktoś zastanawia się nad tym, że w pierogach z mięsem nie ma mięsa?

Ech...

Święta i śmierć prezesa.

Dwa tematy i tylko te dwa. Gdzieś w tle jeszcze cholerny Cypr z bankrutującymi finansami oraz echa wiosny ludów w Afryce. Nawet kolejna próba jądrowa w Korei Północnej przechodzi bez echa. W telewizji sprowadza się do tego, że pokazują animację, na której małe dziewczynki uczą obcinania głów przekłętym amerykańskim imperialistom. Tylko czy to aby ta Korea jest zła, czy ta druga?

Czas na kolejny news.

O wycieku danych z kont w rajach podatkowych niewielu już pamięta. Pomiędzy informacją o spadku sprzedaży karpia i odnalezionych pamiętnikach jakiejś pomniejszej dzieciobójczynie idzie więc tylko krótka setka o odkrytych na Kajmanach miliardach prezydentów, dyktatorów, bankierów i polityków. Nareszcie razem, w jednym miejscu, na które zasługują. Szkoda tylko, że tak bez jaj i nacisków na rozliczenie drani.

Szybki news, szybkie zapomnienie.

Wracamy do sprawy prezesa giełdy.

Szczęście, że wykitował przed świętami. Pewnie tak sobie zaplanował, żeby jego ukochany rynek kapitałowy za bardzo tego nie odczuł. Jak to leciało w komunikacie? „Inwestorzy nie powinni być zaniepokojeni”. Giełda nie zdąży zareagować i zdyskontować umarlaka, bo sesja wigilijna nie jest do myślenia

o śmierci. A po świętach wszystko wróci do normy.

Będzie nowy prezes, nowy świat, nowe indeksy, sukcesy i porażki. I kac po sylwestrze. Zupełnie nowe powody do walki byków z niedźwiedziami. Ktoś poszuka kulawego jelenia, na którym będzie mógł zbić sporą premię. Inny uzależniony hazardzista skupi się na węszeniu za dużymi spekulantami. Jedni zarobią, drudzy stracą. Zwykła gra. Czasem o znaczną stawkę.

Spojrzał na okazałą reklamę społeczną umieszczoną na przeciwległym budynku. Prezes Witold Sworowski przekonywał w niej, że rynek kapitałowy to „szansa dla ciebie, mały człowieczku. Okazja dobrej lokaty twoich oszczędności. Nadzieja na uczciwy zarobek i podpięcie do pociągu sukcesu, pewność spokojnej starości, wysokiej emerytury, jasnych barw jesieni życia”.

Czy aby na pewno?

– W każdym razie wiedział, kiedy odejść – usłyszał za plecami głos Mirki z działu inwestycyjnego.

– Myślisz, że sam sobie wałnął w łeb czy ktoś mu pomógł?

– Seryjny samobójca? – przeciągnęła żartobliwie, nawiązując do trwającej od kilkunastu miesięcy szczególnej serii samobójstw i śmierci znanych osób. – Kto wie, może to robota seryjnego. Witold nie wyglądał na takiego, co rejteruje z pokładu. Raczej walczył do końca.

– Witold? Byliście po imieniu?

– Nowoczesny prezes. – Mirka wzruszyła ramionami i poprosiła o ogień. – Poznałam go trochę lepiej na wyjeździe w Alpach, ale nie warto o tym gadać.

– Czemu?

– Nie mówi się źle o zmarłych. – Odetchnęła głęboko, jakby chciała wyrzucić z płuc nieświeże powietrze, którym się zachłysnęła.

Do domu dotarł po siódmej. Ewa piłowała paznokcie. Jeśli ucieszyła się z jego powrotu, to skutecznie tę radość ukryła. Była ładna, ciepła, miła i taka niewinna, a jednocześnie zepsuta. Coś w tej kobiecie go ciągle przyciągało i jednocześnie



odpychało. Wystarczyło, że zamykał oczy, a niewinna dziewczynka zaraz przemieniała się w wampa. Czulość szybko przeganiała wyrachowaniem. Współczucie i wzruszenia potrafiła zaraz za rogiem przeliczać na twardą walutę.

Same sprzeczności.

A jednak ją kochał. Była poskładana z jakby nie do końca dobranych klocków. Towar wybrakowany, a jednocześnie jedyny w swoim rodzaju.

Nikt mnie nie lubi. Może powinienem popełnić samobójstwo. Niedoczekanie, tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

– Mieliliśmy iść do teatru – westchnęła Ewa.

– A co powiesz na kino?

– Kino? Wolę teatr.

– Ale to premiera – wyciągnął z kieszeni złożone wpół zaproszenie, które przed opuszczeniem redakcji wyjął z kosza.

A nuż się przyda.

– Premiera, hm... Tylko co to za debilny tytuł?

Tekst o aferze mięsnej nie poszedł ani zaraz po świętach, ani po sylwestrze. Milik miał wrażenie, że naczelny chce go ukarać. Spokorniej, to może w końcu dostaniesz swoją szansę. Upokarzający był fakt, że nikt nie chciał z nim rozmawiać. Decyzję podjęto, jemu pozostało ją zaakceptować.

– Daj spokój, twój tekst jest w zapasie. Pójdzie na jedyne we właściwej chwili – powiedział szef działu newsów.

Miał ochotę trzasnąć drzwiami. To byłoby przyznanie się do porażki. Ale może tak powinno być. W sumie nawet on sam utwierdzał się w przekonaniu, że nie nadaje się do pracy w gazecie ekonomicznej. Nie interesowały go te wszystkie cyferki, gajerki, piękne gadki szmatki, zielone słupki i czerwone błyskawice. Chciał uprawiać prawdziwe dziennikarstwo, społecznie zaangażowane, mocne, dogłębne, a nie produkować powierzchowne teksty o biznesmenach, którzy udają, że zdobywają świat, a tak naprawdę słoma wystaje im z butów. Owszem, niektórzy byli inni, mieli pasję, wizję, filozofię, którą warto przekazywać dalej. Problem w tym, że gazety to nie interesowało. Tylko krew i łzy tych, co nie dają reklam, oraz wspaniałe sukcesy świętych krów, kupujących sobie spokój za miliony.

Chciał czegoś innego. Pragnął tematów, przy których nie można spać z powodu bolących mięśni i podniecających drgawek. Tematów drażliwych, kontrowersyjnych.

Takich jak... – nie musiał długo szukać – jak tematy Adama Brychta.

Brycht był prawdziwą legendą dziennikarstwa. Za komuny wielokrotnie internowany, piszący w podziemnych biuletynach, po 1989 roku wieloletni redaktor „Gazety Wyborczej”, aż do kolejnej wewnętrznej wojny frakcyjnej, której padł ofiarą. „Express” przyjął go z otwartymi ramionami, bo ówczesny naczelny chciał poduczyć trochę dziennikarzy prawdziwej pracy warsztatowej. Przydało się. Bartek bardzo sobie cenił

rady Adama. Niestety, miał wrażenie, że ten powoli się wypala, traci wiarę i chęć do pracy. Nie pamiętał już, kiedy Brycht napisał jakiś duży, ważny reportaż. Miał wrażenie, że to się może źle skończyć. Poprzedni naczelny akceptował Adama takim, jakim ten był. Roman Pawlak nie miał sentymentów.

– Skoczmy na fajkę?

Adam jak zwykle zastanawiał się minutę nad odpowiedzią, po czym wziął kurtkę i ruszył przodem. Przechodząc koło newsroomu, nawet nie zerknął w stronę redaktorów prowadzących. Milik czuł na plecach wzrok naczelnego. Jak tak dalej pójdzie, to razem wylecimy. Adam musi wziąć się do roboty, a ja powinienem spokornieć.

– Nie potrzebujesz pomocy? Może weźmiesz któryś z moich tematów? – zaproponował Bartek, przypalając lucky strike’a.

Adam wydawał się zaskoczony.

– Chcesz mi oddać temat, chłopcze?

– Och, przepraszam, że to tak zabrzmiało – dodał szybko Bartek. – Po prostu boję się o ciebie.

– Boisz się?

– Przecież widzisz, że Pawlak szuka oszczędności.

– I myślisz, że mogę się stać ofiarą... tych poszukiwań?

– Mam co do tego podejrzenia.

– Dobrze, że nie pewność. Mam więc szansę?

Drwina, którą wyczuwał w głosie Brychta, nie była specjalnie bolesna. Stary dziennikarz miał taki styl bycia. Nic nie przyjmował na poważnie. Nawet gdy się dowiedział, że ma raka, podobno do samej operacji pił i dobrze się bawił. Ani myślał rzucić palenia. Niektórzy mówili, że to go uratowało. Okpił śmierć i w ten sposób ją pokonał. Biała dama musiała odejść z pustymi rękoma.

– Jestem po twojej stronie, ale...

– He... to niech mnie wywali i zostanie tylko ze studentami. Bez urazy.

– No jasne. – Bartek wzruszył ramionami. – Bez urazy.

Nie był studentem. Studiował siedem lat, a i tak nie zrobił dyplomu. Padł na jakimś głupim egzaminie, a potem nie potrafił poradzić sobie z zaległościami i pracą dyplomową.

Zrezygnował. Ojciec nie podawał mu przez to ręki.

„Mężczyzna kończy to, co zaczyna” – powiedział tylko.

Bartek nie spodziewał się, że ojca tak to ukłuje. Wcześniej miał wrażenie, że niespecjalnie się interesuje jego studiami. Nie naciskał na niego, wyniki wręcz go nie obchodziły. Podczas świątecznych wizyt czy spotkań urodzinowych czasem otwierał serce i wylewał żale na rzeczywistość. Bartek patrzył mu wtedy w oczy i widział w nich nadzieję. Nadzieja zgasła, bo go zawiódł.

Jak przystało na rasowego robotnika, ojciec chciał, by Bartek był przede wszystkim mężczyzną, a porzucenie studiów, którym poświęciło się tyle lat, nie miało nic wspólnego z odpowiedzialnością, jaką powinien się cechować prawdziwy facet.

Bartek nie potrafił mu wytłumaczyć swoich motywów, gdyż ojciec nie rozumiał zmieniających się realiów i potrzeb na rynku pracy. Papier to papier. Nic go nie obchodziło, że dziś papier nic nie znaczy. Papier zawsze coś znaczył i jeszcze długo nic się nie zmieni.

„Lis też nie skończył studiów...” – skłamał podczas jednej z późniejszych dyskusji, gdy ojciec znów wypomniał mu porzucenie uczelni.

„Lis nie jest moim synem. Gównu mnie obchodzi”.

Tak czy inaczej Bartek nie był już studentem. Od trzech lat pracował, a wcześniej udzielał się w dwóch gazetach. Nie płacili mu, miał się cieszyć, że może zbierać doświadczenie, uczyć się od najlepszych. W „Expressie” w zasadzie dostał swoje pierwsze pieniądze. Trzy lata to już całkiem niezły staż w dzisiejszych czasach szybkich zmian. Ale co to znaczy przy trzydziestu czy czterdziestu latach pracy Adama?!

– Ile lat już piszesz?

– Ile lat?

– No, ile lat jesteś dziennikarzem?

– Bo ja wiem... – Brycht wzruszył ramionami. – Nie liczyłem.

W tym momencie jego twarz straciła część zmarszczek, jakby w podróży do młodości cofnęła się w czasie. Na Bartka patrzył młody, pełen entuzjazmu zapaleniec, a nie sfrustrowany

malkontent.

Przez chwilę...

Gdy już wracali, Adam zbliżył się nagle do Milika w windzie, jakby chciał go obwąchać. Bartek poczuł odór przegryzionego papierosowego dymu. A potem usłyszał odległy, charczący szept:

– Ja już nic nie muszę. Ty za to powinieneś się postarać. Powinieneś poszukać czegoś naprawdę wartego uwagi, bo się spalisz. Znikniesz, rozplyniesz się w pieprzonym smrodzie. Nie będzie cię.

– Szukam.

– Słabo szukasz.

Bartek skręcił do łazienki. Gdy wrócił do biurka, nie mógł nie zauważyć Stefana grającego z włączonymi głośnikami w Battlefield.

– Nie loguj się tylko jako faszysta – doradził mu z nutą sarkazmu.

Rok wcześniej mieli kontrolę duńskiego właściciela gazety, który dowiedziawszy się, że dziennikarze polskiej edycji logują się w grach wideo na serwerach hitlerowców, chciał sprawdzić, czy nie jest to przejawem rozwoju ruchu faszystowskiego w redakcji.

Bernstein Business był starym medialnym imperium rodziny Bernsteinów, duńskich Żydów, którzy od lat tępil wszelkie przejawy faszyzmu, wspierali finansowo organizacje ścigające zbrodniarzy hitlerowskich i zupełnie nie znali się na żartach.

„Gdyby wasze matki zginęły w Auschwitz, też byście nie znali się na żartach o zabijaniu Żydów” – wyjaśnił Pawlak po kontroli i zwolnieniu wszystkich, którzy grali w sieci jako faszyci. W ten sposób chciał uśmierzyć rodzący się bunt przeciw Duńczykom.

Tfu, nie jestem antysemitą, ale to przesada – myślał wtedy Bartek, który dodatkowo miał ochotę wytknąć Bernsteinom wspieranie praktyk korupcyjnych na poziomie korporacji i w Polsce. Na zewnątrz, psia wasza mać, jesteście tacy święci i wspaniali, tacy etyczni, ale gdy chodzi o pieniądze, zapominacie o szczytnych celach, pięknych słowach i

moralności, tworząc zło. Zło to zło – oni jako gazeta też zbyt często stawali po stronie owego zła, i to nieraz za namową lub przyzwoleniem Bernsteinów.

– Gram Al-Kaidą – odparł uspokajająco Stefan.

Bartek zasiadł za komputerem i z zaciśniętymi zębami przejrzał listę tematów do zrobienia. Było tego sporo. Kolejne wątki afery mięsnej, korupcja na zlecenie koncernów amerykańskich przy informatyzacji państwa, zamieszanie w ABW związane z reorganizacją struktur służb specjalnych, przekręty przetargowe w związku z budową autostrad.

Polska pławiła się w aferach.

Tyle że tymi rzeczywiście poważnymi mało kto się interesował. Inne wyciszano za pomocą kontraktów reklamowych i partnerstwa biznesowego. Nie chcecie przeczytać o korupcji, wystarczy wykupić program z cyklu „razem *doing business*”. Boicie się wyeksponowania ryzyka w prospekcie – zapraszamy do sponsorowania rankingu. Jakiego? Mamy dużo rankingów i wielu sponsorów. A czytelnik? A kogo to, kurwa, obchodzi?

Tak jak innych mediów nie obchodzą gospodarcze afery. Ciekawsza była sprawa młodocianej dzieciobójczyni, która nabijała się z głupoty mediów, czy dmuchane śledztwa Stefana, pisane z kwitów, zawsze dostarczanych w takiej formie, by autor się nie namęczył. Czasem wyraźnie robione na zlecenie znajomych agentów czy różnych firm piarowskich.

No i trotyl.

Wiecznie żywa śmierć prezydenta.

Kiedy umiera prezydent, rodzi się jego mit. Szczególnie gdy umiera tragicznie. Mit to niebezpieczna rzecz. Potrafi z porządnego człowieka zrobić wariata, z godnego szacunku męża stanu męczennika. Ignoruje przeciętność, wyszukując ekstrema. Czasem porusza tłumy i prowadzi je na wojnę. Wojny wybuchają przez głupoty i drobiazgi. Przynajmniej pozornie, bo w tle zawsze skrywają się poważne demony. Ale o nich nie piszą poważne gazety. Wolą proste tematy zastępcze. Gra pozorów i uśmieszki oszustów na pierwszych stronach gazet zawsze będą miały wzięcie.

Ludzie kochają nienawidzić.

Spojrzał na wiszący na ścianie telewizor. Był ustawiony na nadający dwadzieścia cztery godziny na dobę kanał informacyjny. Zwykle – tak jak i teraz – miał wyciszony dźwięk. Pogłaśniali go tylko w wypadku najważniejszych konferencji lub występów ludzi z redakcji.

Na czerwonym pasku przelatywała jakaś pilna informacja o zwycięstwie Justyny Kowalczyk w kolejnych zawodach. „Polka pokonała norweskiego robota” – prowokował redaktor z telewizji. Niżej, na białym tle, powoli przesuwały się informacje dnia. Izrael odpowiedział atakiem helikopterów na raketową napaść Hamasu, Francja wysłała instruktorów wojskowych do Mali i wzmocniła stacjonujące tam siły bezpieczeństwa. Korea Północna przeprowadziła kolejne próby z bronią masowego rażenia i wypuściła staroświecko animowaną reklamówkę, w której bomba atomowa spada na Biały Dom. Bójcie się, Amerykanie! Bój się, świecie! Skończy was straszyć Korea, zacznie Iran. Bo przecież Iran musi być zły, skoro go nie znamy. Wojna wybuchnie wcześniej czy później, a może już trwa. Może to jest jej nowe oblicze.

Czasem pomiędzy czerwonym a białym paskiem pojawiała się żółta apla z informacją o śmierci jakiegoś detektywa i wątpliwościach opozycji towarzyszących tej sprawie.

„Konrad Wojtkowski zmarł na zawał”.

„Politycy prawicy żądają śledztwa w sprawie podejrzanego zawału Wojtkowskiego”.

„Kolejna tajemnicza śmierć po samobójstwie prezesa giełdy”.

„Detektyw krytycznie wypowiadający się o rządzie nie żyje”.

Wojtkowski? Słabo go kojarzył z jakimiś brudnymi sprawami, głównie obyczajowymi. Klockowaty, nieprzyjemny facet o zakazanej gębie, jakby podziurawionej przez jakieś nieprzyjemne choroby. Wypowiedzi w mediach – krótkie, za to soczyste, jednoznaczne, ostre. Śniada cera, toporny wyraz twarzy, szeroki nos i szczęka, odstające uszy.

Tak, te uszy nadawały mu specyficzny wyraz, przez który twarz utkwiała Bartkowi w pamięci. Uszy to ważny element, szczególnie takiej gęby. Przypomniał sobie świetną scenę z

filmu *Tulpan*, w której rozbawiony Kazach, jadący od oblubienicy ciągnikiem przez step, dowiaduje się, że ślubu nie będzie, bo ma za duże uszy.

Wielkouchy Wojtkowski. Kontrowersyjny i rzucający się na wszystko, co śmierdzi. Były esbek, skruszony i rzekomo nigdy nietępiący opozycji solidarnościowej, dziś ostro atakujący policję i rząd, ale głównie w medialnych, mało istotnych społecznie sprawach. Czemu ktoś miesza w to politykę? Każda śmierć jest dobra, żeby ją politycznie wykorzystać?

Nie moja sprawa.

Stefan oderwał zaczerwienione oczy od ekranu i popatrzył na niego ze złością. Jakby to on był winien, że ktoś w grze strzelił mu w plecy, odbierając trzecią czy czwartą premię. Jeszcze jedna i wynająłby sobie Predatora czy nalot Intruderów, którzy na jego konto siałiby śmierć z powietrza.

A może to w innej grze.

Takiemu to dobrze. Pogra sobie w Battlefield, a temat już się robi w ABW czy CBA. Chłopaki przyniosą, każą się podpisać, a potem będą zacierać rączki, jakiego to usłużnego dziennikarzynę mają na postronku, a może i na etacie. Bierzesz drugą pensję od ABW, Stefek? Podobno nie wolno im werbować dziennikarzy i podobno nikt tych zakazów nie przestrzega. W razie czego i tak masz wyjaśnienie. Żadnej weryfikacji, bo przecież służby to pewne źródło. Obiektywne. Prawda aż wypływa im z oczu.

– Co się tak gapisz? – warknął Stefan.

– Patrzę na gwiazdę. No, daj popatrzeć.

– Też kiedyś sobie wyrobisz nazwisko, to będziesz mógł odpocząć.

– A tematy same się napiszą?

Stefan przerwał grę.

– Do mnie pijesz?

– Nie, no co ty? Gdzieżbym śmiał przepijać do gwiazdy!

– Spadaj, szczyłu. – Stefan podłączył słuchawki, bo szykowało się jakieś większe starcie i dudnienie automatów było już trochę nieznośne.

Uff, do roboty – westchnął Milik. Zanim jednak zabrał się do



researchu na temat infoafery, zobaczył złożoną kartkę wciśniętą pod klawiaturę. Z pewnością sam jej tam nie włożył. Wyjął kartkę, otworzył i zmarszczył czoło.

A to co takiego?

Była to depesza PAP dotycząca wyników sekcji zwłok prezesa giełdy. Informowała, że nie wykazano udziału osób trzecich i że śledztwo w sprawie śmierci Sworowskiego powoli zmierza do szczęśliwego finału, czyli umorzenia.

Jeszcze pomiędzy świętami a sylwestrem media walczyły temat, mnożąc hipotezy, ale w sumie szybko łyknęły wersję o samobójstwie i tuż przed końcem roku praktycznie przestały się sprawą interesować. Tylko pewien prawniczy dziennik wykorzystywał jeszcze śmierć prezesa do swoich celów, dołączając ją do zamieszczonej w sieci listy niewyjaśnionych zgonów, które na pewno zostały sprowokowane przez działające na zlecenie rządu służby specjalne lub agentów rozwiązanego przed laty wywiadu wojskowego. Przed śmiercią Sworowski był krytykowany, a dziś stał się bohaterem. Prosty sposób na sławę i odzyskanie renomy znakomitego eksperta. Wystarczyło umrzeć.

Innych to już nie obchodziło. Do tego stopnia, że wyników sekcji podanych przez PAP właściwie nikt nie cytował w eksponowanym miejscu.

Komu zależało, żeby zwrócił na nie moją uwagę?

Spojrzał w kierunku Brychta. Tak, pewnie to on. Mały rewanż za jego propozycję oddania jakiegoś tematu? Jak nie masz co robić, weź sobie jeszcze to.

Adam udawał, że nie dostrzega jego znaczących spojrzeń. W końcu jednak uniósł głowę znad gazety i uśmiechnął się zachęcająco.

A więc to on? Tylko czemu mi po prostu nie powiedział, zamiast robić taką dziwną akcję?

Dopał Brychta godzinę później w drodze na fajkę. Długo zjeżdżali, bo ktoś wysiadający wyżej wcisnął dla żartu wszystkie klawisze i winda musiała przystawać na każdym piętrze. Vahap Toy, który zaprojektował ten cholerny budynek, nie przewidział takiego poczucia humoru.

– O co chodzi z tym prezesem giełdy?

– To jest temat, Milik. Nie widzisz? – odparł krótko Brycht.

– Przecież wszystko jasne. Facet strzelił sobie w głowę, bo się skompromitował.

– Tak? – Brycht spojrzał na niego wyzywająco. – A czym się skompromitował? Tym, że podpadł ministrowi skarbu? A jesteś pewien, że Stefan napisał prawdę? Wiesz coś więcej? Łykasz te wszystkie gładkie gadki prokuratury i agentów rzucających ochłapy Kurtynie? Nie słyszałeś nigdy o wielu hipotezach, które zawsze w takich wypadkach bada się miesiącami? Nie masz żadnych podejrzeń?

– No...

– A ja mam. Mam cholernie dużo podejrzeń i na twoim miejscu, Milik, bym się za to zabrał jak najszybciej.

– Inni temat traktują jak gorący kartofel.

– Tym bardziej. Masz praktycznie wolną rękę. Najwyżej stracisz trochę czasu, ale wątpię. Coś powinieneś znaleźć. I to szybko.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Za stary jestem. – Wzruszył ramionami. – Ja nie robię już śledstw, jestem publicystą.

No tak, pomyślał Bartek, publicysta Brycht, który gdzieś po drodze wpadł pod nóż i został wykastrowany. Gdzie się podział dawny Brycht?

– Pawlak nie lubi publicystów.

– Jakoś przeżyła moją obecność. Poza tym... kumpel z „Wyborczej” zaczyna walczyć z premierem, bo ten mu arestował syna za rzekomy handel narkotykami. A to jest tylko zwykły, porządny kibic o nieco porywczej naturze. Muszę mu pomóc.

– Ale wiesz... Pawlak...

– W dupie mam Pawlaka.

– A jak cię wyleje?

– To wyleje.

Kiedy wrócili do redakcji, Adam kręcił się jeszcze kilka minut przy biurku, zebrał pod pachę stos papierów i gazet, machnął drugą ręką, mruknął pod nosem krótkie „cześć” i odszedł,

powłócząc lewą nogą, w której coś strzyknęło w kolanie. Zatrzymał się na końcu korytarza i imitując strzał z pistoletu, wymierzył w Bartka palec.

– Weź ten temat, Milik. Nie będziesz żałował.

### 3

Marta wyszła z gmachu ABW przy Rakowieckiej i podbiegła do przystanku na Puławskiej. Tramwaj na nią poczekał. Podeszła do motorniczego, żeby podziękować, a potem usiadła tuż przy drzwiach, ciężko oddychając. Po rzuceniu palenia bieganie wydawało się nieco łatwiejsze, ale płuca wciąż reagowały bólem na zbyt intensywny wysiłek.

„Jeśli pani nie rzuci, będzie coraz gorzej” – przestrzegł ją ostatnio lekarz, strasząc przewlekłą chorobą płuc i niewydolnością oddechową.

Skutecznie.

Nie było jednak dnia, by nie myślała o papierosach i chociaż jednym małym dymku, a na mocno zakrapianych imprezach u kolegów z Agencji ściągała czasem od kogoś dwa sztachy i czując błogość w duszy, myślała: pieprzyć to wszystko, nie umrę. W sumie na coś przecież trzeba umrzeć. Pewnie, że lepiej dać się zastrzelić niż skonać w cierpieniach na raka, ale, do cholery, to takie przyjemne.

Palenie było przyjemne. Kochała to. Strach przed narastającymi dolegliwościami choroby płuc jednak działał. Najgorzej było po seksie, bo przyzwyczała się, że dobry seks musiał być zwieńczony dobrym papierosem. Nawet jeśli jej kochankowie nie palili, co zdarzało się rzadko. Ale jeszcze rzadziej zdarzał jej się ostatnio dobry seks.

Sięgnęła po telefon i zaczęła się zastanawiać, czy zadzwonić do Anki, którą lubiła, a nawet uważała za przyjaciółkę. Nie powinna chyba przed nią ukrywać, że została włączona do sprawy Witolda.

Nie sądziła, że do niej trafi.

Przez chwilę rozważała, czy to nie prowokacja. Przecież musieli wiedzieć, że poznała i Witolda, i Ankę. A może jednak nie wiedzieli. Może nie brali tego pod uwagę. Wydawała się tu zresztą mało potrzebna. Nie zajmowała się przecież sprawami kryminalnymi.

A jednak szef przyszedł i kilkoma krótkimi zdaniami dał jej rozkaz dołączenia do grupy śledczych.

„Będiesz konsultować wątki gospodarcze. Chłopaki niewiele wiedzą o giełdzie”.

Marta wiedziała o niej wszystko i to było wyjaśnienie.

Prawdopodobnie była najlepiej wykształconą ekonomicznie agentką służb w kraju. Miała licencje doradcy inwestycyjnego i maklera. Zdobyte uczciwie, po kursach i egzaminach tak trudnych, że nawet niektórzy prezesi banków i domów maklerskich musieli zdawać je po kilka razy. Jej wystarczyło jedno podejście. Bez trudu dostała posadę u znanego brokera i przez rok pracowała jako przykrywkowiec w domu maklerskim. Miała zbadać podejrzenia dotyczące wyprowadzania pieniędzy klientów na Cypr. Zbadała i dostarczyła dowody, ale i tak cała jej praca poszła na marne. Nikt nie umiał pociągnąć tego dalej, a maklerzy zatrudnili u siebie eksperta pracującego też dla Generalnego Inspektora Informacji Finansowej, dzięki czemu mieli niemal bezpośredni wgląd w prowadzone przeciwko nim postępowanie i dostęp do wyników pracy biegłych.

To było gówno, nie postępowanie. Straszny syf, jak zresztą w innych sprawach, gdzie biegli byli tak naprawdę krętaczami do kupienia. Wystarczyło zadzwonić do jednej kancelarii czy drugiej i wszystko szło z górki. Dobry biegły nawet z największego przekrętu jest w stanie zrobić całkiem zwyczajną transakcję na pograniczu prawa. Co nie jest zakazane, jest dozwolone. Wystarczy dobrze zapłacić i po kłopotcie. A potem dziwnym trafem nazwiska ekspertów trafiają na listy specjalnych klientów przy superkorzystnych ofertach. Tak oto pieniądź kupował sprawiedliwość. Cały ten system był do dupy, nie spełniał swojej funkcji.

Prokurator ponadto nie za bardzo wiedział, czym różnią się przychody od cash flow i czy zysk netto na pewno powinien być niższy od zysku brutto. Za to świetnie sobie radził z umarzaniem postępowań. O tak, w tym był mistrzem.

„Bierzesz w łapę?” – zapytała go kiedyś wprost, na co omal się nie obraził.

W końcu uznał, że żartowała. Lepiej było obrócić wszystko w

żart. Jak się nie jest mężczyzną, trzeba śmiać się w wymuszony sposób z prowokacji i rzuconych rękawic. Napluto ci w twarz? Nic się nie stało. Wszystko można zbyć żartem i śmiechem. Tyłek boli, ale co zrobić.

Prokurator nachylił się wówczas do niej i niby od niechcienia położył jej dłoń na pośladku.

„Uważaj, mała”.

Wzdrygnęła się, odskoczyła, a potem wypaliła bez wahania: „Walił cię ktoś kiedyś w dupę, chanie?”

„No, to już było niegrzeczne”. – Prokurator zarechotał głośno.

Zrobiła krok w jego kierunku, ale uciekł w porę.

Chętnie złamałaby draniowi rękę. Jeden chwyt, dźwignia na łokieć, rzut przez biodro i dociążenie stawu. Niemal słyszała już chrupnięcie pękającej kości. O tak, nie miałyby skrupułów. W takich kwestiach była psychicznie nie zrównoważoną sadystką.

Potem przez prawie dwa lata współpracowała z porządnym, jak się wydawało, młodym śledczym od spraw gospodarczych, który nawet sprawnie przygotowywał postępowania, aż na koniec okazało się, że od połowy delikwentów brał wziętki.

Miły, sympatyczny człowiek. Prawie przyjaciel.

I co? Który z nich był lepszy? Cham i leniwy, niedouczony seksista czy zwyczajny łobuz wziętkowiec?

Objęto go jakimś specjalnym postępowaniem i tyle gościa widziała. Ją zaś traktowano jak szpiega albo wewnętrznego wroga, co było zupełnie niezrozumiałe.

„Chcesz wiedzieć dlaczego? Nie chodzi nawet o tego prokuratora, tylko o twój niewyparzony język i pewne cechy charakteru. Ty po prostu jesteś dla nich za mądra. Boją się kobiet, które szybciej liczą w myślach całki i ułamki niż oni butelki piwa w skrzynkach. Niepokojąco różnisz się od kobiet, do których są przyzwyczajeni. Mogą je zwyczajnie kochać lub ich nienawidzić, a nie muszą próbować zrozumieć” – wyjaśnił jej kiedyś po pijaku jeden z kolejnych przełożonych.

Choć coś było w tej analizie, nie bardzo wierzyła w jego szczerłość czy dobre intencje. Prawił jej komplementy, bo chciał ją przelecieć. I w ten właśnie sposób „zrozumieć”. Zerznąć jej

tyłek, a potem pochwalić się kolegom: trafiona, zaliczona. A niby taka niezdojta twierdza.

Gdy mu się to udało, nagle zupełnie zmienił front i zaczął ją traktować jak inni. Bał się nie jej rozumu, bał się czegoś innego, czegoś, co tkwiło w jej duszy i co także ona sama nie do końca rozumiała.

Tak czy inaczej od roku jedynie konsultowała sprawy gospodarcze, obserwując obrzydliwe rozszarpywania kompetencyjne i przeróżne zmiany, które miały zapewnić zwiększenie skuteczności działań, a wprowadzały tylko potworny bałagan.

Nie mniejszy był przy sprawie Witolda.

Wysiadła przy Anielewicza i ruszyła do klubu. To był stały punkt dnia: musiała dać upust narastającym frustracjom, wyżyć się, odreagować, a kiedyś... Kiedyś było kiedyś.

Zbyszek czekał już na nią w dojo. Wysoki blondyn ze starannie przystrzyżonymi włosami wyglądał na grzecznego chłopca. Tylko w oczach czaiła się groźba jak u dzieciaków z Hitlerjugend. Marta nie wiedziała, dlaczego miała akurat takie niemiłe skojarzenia. Może dlatego, że w dzieciństwie zamiast Disney Channel i MTV ciągle oglądała filmy dokumentalne, które uwielbiał jej ojciec, palący w fotelu wyjątkowo śmierdzące klubowe albo extra mocne i rozwiązujący jolki w „Rozrywce”. Mieli tylko jeden telewizor, a ojciec trzymał władzę i pilota. Oczywiście kiedy już były piloty, bo pamiętała czasy radzieckich telewizorów, w których kanał ustawiano za pomocą mocnego uderzenia w obudowę.

Nagle poczuła się strasznie stara. Większość dzieciaków z ABW była z roczników, które nie zaznały komuny, esbecji, klubowych i radomskich. Całego tego syfu...

A ona... Napięła mięśnie i przyjrzała się swojemu ciału w lustrze. Wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej. Prawdziwa rycząca czterdziestka. No nie, wciąż jeszcze nie przekroczyła tej magicznej cezur.

Pogłaskała przyklejone w szafce zdjęcie ojca, który odszedł już dawno.

Mimo że nie dałeś mi oglądać bajek, draniu, i tak cię kochałam.

Zdjęcia mamy nie miała. Może nie mogła jej wybaczyć, że tak szybko znalazła sobie następcę. Wcześniej oskarżała ją, że życzyła ojcu śmierci. A matka na to oskarżycielskie spojrzenie przynosiła tortownicę. Robiła najlepszy na świecie sernik na zimno z galaretką cytrynową. Zbyszek patrzył na Martę wciąż tym samym, prowokującym wzrokiem. Tak, rzeczywiście miał urodę faszysty, dzieciaka z nazistowskich filmów propagandowych, i dlatego tak chętnie go do nich porównywała. Gdyby wiedział, pewnie by się wściekał i dawał jej popalić na macie. Czasem dobrze było go sprowokować. Lubiła, gdy traktował ją jak równorzędnego przeciwnika i nie dawał forów.

– Hej! – Zbyszek sprężystym skokiem wyrwał ciało z medytacji, stanął przed nią i uklonił się.

Miał na nogach oryginalną hakamę z siedmioma plisami symbolizującymi najważniejsze cnoty prawdziwego wojownika.

– Wzór dobroci, sprawiedliwości, mądrości, uprzejmości, szczerości i wierności – szepnęła, kłaniając się i poprawiając swoje skromne białe, bawełniane keikogi.

– Zapomniałaś o honorze.

– Honor? Tak, dziś będziesz miał okazję honorowo się poddać.

Zaatakowała nagle, starając się błyskawicznie zakończyć starcie za pomocą prostego chwytu hiji kime sae, a gdy bez trudu obronił się dwoma blokami i próbował zrewanżować rzutem irimi nage, zerwała uchwyt i zaatakowała okrężnym kopnięciem. Dobrze wykonane mawashi geri potrafiło wywołać odpowiednią reakcję, szczególnie u mężczyzny. Zbyszek odskoczył, całą siłą woli starając się nie okazać słabości. A przecież musiało go zaboлеć. Kopnęła tak, by zabolalo. Uklonił się lekko w wyrazie uznania, a potem sam zaatakował.

Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, że po chwili jego kolano uciskało jej pierś, a oczy i błędnik długo musiały poszukiwać równowagi w płaszczyźnie na macie.

– Całkiem nieźle, puść.

Uśmiechnął się i nachylił do jej ust. Kiedyś to na nią działało, dawno temu.



– Nikogo nie ma...

Bardzo dawno temu.

– I co z tego? – warknęła. – Spadaj albo dostaniesz w jaja.

Zbyszek podniósł się z miną zbitego psa.

– Jak zwykle nie przebierasz w słowach.

– Trzeba było nie rznąć Patrycji.

– Była moją żoną, do cholery.

– Miała być ekszoną, a jesteście razem.

– Z musu.

– Nic mnie to już nie obchodzi.

Później poćwiczyli jeszcze trochę chwytów, raniąc się i zadając ciosy na granicy fair play. W pewnej chwili Zbyszek zawył z bólu i o mało nie zdzielił jej pięścią w twarz.

– Nie przesadzaj – fuknął.

– Sam jesteś sobie winny, draniu.

Już po prysznicu starał się wszystko załagodzić.

– Chciałbym znów spróbować. Z nami...

– Nie ma nas. Jesteś ty i Patrycja i jestem ja i...

– I?

– I ja.

– Więc nie masz nikogo?

– Jak będę mieć ochotę na pieprzenie, zawsze kogoś znajdę.

– Nie mów tak, nie pasuje do ciebie.

– Od ciebie się nauczyłam.

Chciała zabrać swoje rzeczy, ale ją przytrzymał.

– Usiądź, pogadajmy. Masz kłopoty?

Zawahała się, lecz po chwili usiadła. Potrzebowała rady Zbyszka, który był doświadczonym śledczym. Pięć lat temu przeszedł z ABW do CBS, a potem trafił do specjalnej grupy operacyjnej CBA, nowej służby specjalnej, która miała walczyć z najważniejszą plagą gospodarki – korupcją. Początkowo myślał, że będzie to emerytura, ale udało mu się załapać do kilku dużych operacji. Marta nie kryła zdziwienia, że nie przeszkadzają mu polityczne wytyczne tej służby. Do tej pory Zbyszek unikał polityki i zawsze stawiał na profesjonalizm. W CBA zaś w zasadzie nie ukrywano, że głównym celem jest szukanie haków na przeciwników politycznych. W jednej z

akcji ścigali samego prezydenta. „Co to za kraj, w którym służby muszą robić prowokacje przeciw własnemu prezydentowi?” – pytała. „Co to za kraj, w którym prezydent może być podejrzany o przyjmowanie łapówek?” – odparł.

Nasz prezydent nie był jedyny. Gdyby zebrać dane z banków w rajach podatkowych, pewnie znaleźliby się na liście notable z większości krajów świata.

– Przydzielili mnie do sprawy Witolda – powiedziała.

– Sworowskiego?

– A znasz innego?

– Syf. Cholera, niedobrze. Powiedziałaś im, że go znałaś?

– Nie, myślę, że sami wiedzą, tylko udają głupich, żeby nie komplikować sobie życia.

– Napisz notkę, skseruj i zostaw za pokwitowaniem w biurze podawczym. – Chyba mówił poważnie. – Żeby był ślad. Wiesz, jak to jest w biurokracji. Lepiej, żeby był ślad...

– Spotkałam ostatnio kumpla, który śpieszył się do notariusza, żeby złożyć wypowiedzenie z pracy. Co się z nami dzieje? Kiedyś wystarczyło słowo i nikomu nie przyszłoby do głowy go podważać.

Uśmiechnął się.

– Teraz każdy chodzi z dyktafonem i nagrywa – dodał.

– Ty też?

– Czasem miło posłuchać w samotności twojego głosu – zażartował, próbując ją objąć i przytulić. – Bierze mnie. Lubię twój głos.

– Przestań. – Odepchnęła jego ramię.

– Naprawdę. Mam ochotę sam sobie to zrobić.

– Bo wyjdę.

– Dobrze już, dobrze. Co z tą sprawą Witolda? Podejrzewają kogoś?

– Moim zdaniem chcą to jak najszybciej umorzyć.

– Samobójstwo?

– Taką mają hipotezę i nie bardzo przejmują się dowodami.

– A są dowody przeczące tej wersji?

Wzruszyła ramionami.

– Nie powinnam o tym gadać.

– Jak chcesz. Wiesz, że ode mnie nic nie wypłynię.

Zawahała się.

– Mam przeczucie, że tam ktoś był. Zniknęły taśmy z monitoringu. Technicy popełnili masę błędów. Nie zebrano śladów zapachowych. W ogóle w całym śledztwie pełno jest dziur. Jakby to nie było ważne śledztwo, jakby zabito jakiegoś obszcymura, a nie prezesa strategicznej dla państwa spółki. To nie jest normalne.

– Zabito?

– Słyszałeś.

– I jedna lansowana hipoteza?

– Właśnie.

– A ty kogo podejrzewasz?

Znów wzruszyła ramionami.

– Ankę? – zapytał wprost.

– Nie, to na pewno nie ona.

– Przyznałaś się, że znasz także... podejrzaną?

– Skoro nie mówiłam o Witoldzie, to ją również pominęłam milczeniem. Nie jest podejrzana. Cholera, kiedy zostałam przydzielona do sprawy, nikt nie chciał mnie słuchać, a potem po prostu jakoś tak wyszło. Byłam ciekawa. A teraz, gdy wszystko zmierza do finału, powinnam być szczęśliwa, a mam ochotę wybuchnąć i sama się podłożyć.

– Czemu?

– Przecież poznałeś Witolda. Wyglądał ci na samobójcę?

– Nie, ale wiesz, jak jest. Mężczyźni są słabi. Był w grupie ryzyka.

– Gówno, nie grupa. Był zdrowym, fajnym gościem, który nawet jak mu się nie układało, to sobie z tym radził. Ostro się ze wszystkimi naparzał, był wojownikiem, dlaczego nagle miałby nie wytrzymać?! Anka jest totalnie załamana, bo wie, że mam rację. Ona też nie wierzy w samobójstwo, ale... boi się, że wywoła wilka z lasu i ktoś ją oskarży.

– A ma się czego bać?

– To ona go znalazła. Umówili się w budynku giełdy, tyle że sporo się spóźniła.

– Przynajmniej tak twierdzi – dopowiedział. – Jesteś pewna,

że nie kłamie?

Skinęła tylko głową.

– Dowody?

– Nagrania z monitoringu zniknęły i nie można tego potwierdzić. Czujesz, jaki syf?

– Anka mogła zabrać nagrania?

– Niby jak?! Musiałyby skumać się z ochroniarzami. Na mój nos to oni oddali komuś te taśmy albo pozwolili je zabrać i teraz udają głupich.

– A może ktoś się włamał i wykasował dane?

– Haker?

– Czemu nie?

– No tak. W każdym razie mamy sytuację bardzo niekomfortową. Nie wierzę w samobójstwo i jednocześnie nie wierzę, że mogła to zrobić Anka. A przecież gdybym zbyt mocno podważała wersję podstawową, szybko by awansowała na główną podejrzaną. No i co ja mam z tym zrobić?

– Poczekaj.

– Na co?

– Na rozwój wypadków. Albo...

– Tak?

– Sama spróbuj znaleźć mordercę.

Podczas tej rozmowy kilkakrotnie musnął dłonią biodro, pierś i policzek Marty. Niby przypadkiem, niby podkreślając, z jak wielką słucha jej uwagą. Przeklęty samiec, myślał tylko o jednym. Dostrzegala wszystkie te prowokacyjne znaki, a jednak nie reagowała. I musiała przyznać, że wciąż sprawiały jej przyjemność, nie mniejszą niż kiedyś.

Teraz znów pogłaskała ją po policzku. Odczuła miłe ciepło, które w dawnych czasach tak ją rozpałało. Zbyszek był jej przyjacielem. Kochała go.

Dawno temu.

– Nie, przestań.

– Okay, nie wściekaj się. Chcesz, to ci pomogę.

– Sama sobie poradzę.

Strzał w głowę, śmierć na miejscu, żadnych śladów ingerencji osób trzecich, włamania, wykorzystania skradzionej karty do otwarcia drzwi. System zabezpieczeń niczego nie wykrył. Brak listu pożegnalnego. Zwykle samobójcy je zostawiają. Kilka co najmniej dziwnych rzeczy, jak na przykład posłużenie się specjalną kulą, która rozpada się w ciele na kawałki, uniemożliwiając identyfikację broni. Samobójcy nie używają takich kul. Zresztą i tak nie miałyby to sensu, skoro broń została na miejscu, w ręku denata.

Ciało znalazła dziewczyna prezesa. Dziewczyna? Nie miał żony? Miał, ale rozstał się z nią dwa lata temu. Są w separacji. Dlaczego? Zdradzał ją. Ale żona jest poza podejrzeniem. Ma żelazne alibi. Inna kochanka? Kto wie, prawdziwy był z niego kogut. Bzykał pomoc domową, potem asystentkę, wcześniej sypiał z własną szefową i kilkoma przygodnymi kobietami. Kogut? No... kogut.

Bartek Milik siedział w kafejce na Marszałkowskiej w towarzystwie niskiego, krępego mężczyzny o fizjonomii Roma, gęstej czarnej brodzie i równie czarnych, kręconych włosach. Rom w rzeczywistości był potomkiem azerskich koczowników, którzy kilka pokoleń wcześniej osiedli w Polsce. Nie wyznawał żadnych stepowych bożków, Allaha czy Buddy, ale naszych czarnych też gonił precz, choć upierał się, że wierzy w Boga. Swojego, który nie sprzedaje się za grosze, jest strażnikiem dobra i zła oraz twardzielem i sędzią w jednym. Wygodnie było mu wierzyć w sprawiedliwego Boga, nierozliczającego za dziwki, narkotyki, wóde, podwójną moralność i wrodzoną skłonność do przemocy.

„Tylko w stosunku do prawdziwych drani” – jak zawsze podkreślał.

Stał po stronie dobra, choć uwielbiał używać argumentów zła.

Dziś czuł się całkowicie Polakiem, był patriotą i niezbyt dobrze reagował na jakiegokolwiek rasistowskie uszczypliwości. Dla odważnych kończyły się one dość często wybitymi zębami lub połamanymi palcami. Ostatni gieroj, który nazwał go przy Miliku Cyganem, nie zdążył dokończyć zdania, gdy zderzył się czołowo ze słupem oświetleniowym.

Greg, bo taką ksywkę miał mężczyzna, od piętnastu lat pracował w policji, w tym prawie od siedmiu w wydziale dochodzeniowym Komendy Stołecznej. Nietrudno było go pomylić z bandytą. Kto wie, może to uratowało komuś życie.

Bartek przyjaźnił się z nim jeszcze na studiach. Jeździli razem na wakacje, nurkowali, szusowali na nartach, upijali się do nieprzytomności na wieczorach kawalerskich. To była przyjaźń przekraczająca wszelkie bariery. Mocna, męska, bezinteresowna. Greg dość często powtarzał, że gdyby wiedział o dziennikarskich planach Milika, to nigdy nie wypiliby pierwszej flaszki. Bartek odpierał z uśmiechem, że o pracy w policji Greg poinformował go dopiero po trzeciej butelce.

„Glinom do akademików wstęp wzbroniony – witał go potem. – Nie dotyczy paskudy Grega”.

Byli prawie braćmi. Mimo to rzadko korzystał z jego pomocy przy przygotowywaniu materiałów. Z jednej strony nie chciał stawiać przyjaciela w dwuznacznej sytuacji, z drugiej – szczęśliwie nigdy nie miał tematu, w którym potrzebowałby pomocy policji. Śledztwa gospodarcze znacznie efektywniej rozwiązywało się poprzez wywiady i przeglądanie akt w sądach i dostępnych dla wszystkich zapisów w rejestrach.

Teraz nie miał wyjścia, choć nie był pewien, jak przyjaciel zareaguje. Greg jednak nie wahał się ani chwili i zanim Milik zdążył go poprosić, sam zaproponował, że zerknie do akt sprawy Witolda Sworowskiego.

– Musisz tylko zakręcić wszystko tak, żeby nie było, że widziałeś akta – poprosił.

– Nie chcę ich opisywać – zapewnił Milik.

– A co chcesz?

Bartek skrzywił się, nie bardzo wiedząc, jak to wyjaśnić.

– Szukam tematu. Po prostu.

- Chcesz znaleźć mordercę? – roześmiał się Greg.
- No.
- A jak nie będzie mordercy?
- Zobaczymy.
- Dobra, zobaczymy.

Greg przejrzał dla niego akta i zrobił notatki. Bartek ufał mu w stu procentach, nie potrzebował żadnych dowodów. Był pewien słów Grega. Miały dla niego wartość zeznań trzech źródeł.

- Jaja są z tą sprawą – wyznał Greg.
- Jaja?

– Kiedy znaleziono tego prezia z rozwalonym łbem, to z miejsca przyjęto, że to kolejny... skruszony. Wiesz, wszyscy ci bankierzy powinni sobie strzelić w łeb po tym, co zrobili w ostatnich latach.

- Wolą brać wysokie odprawy i śmiać się z takich jak my.

– Myślisz? Nie mają sumienia? Nic ich nie rusza? Mnie się wydaje, że jednak diabeł nie czeka na zielone światło. Włazi im z buciarami do tych zepsutych dusz, rozsiada się na pustyni wypranej ze wzruszeń i drażni widłami.

- Sumienie to dobry powód, by zabić...

– Jak chcesz znać moje zdanie, to żeby siedzieć na takim stołku, kosić sto tysięcy miesięcznie i nie ześwirować, trzeba mieć twardą dupę. Taki gość z kulką w głowie i giwerą w łapie nikogo nie dziwi. Rozjebane życie osobiste. Rozwód na karku. Masa kochanek. Druga młodość, może jakieś narkotyki. Takie rzeczy często się tak kończą. Technicy więc odwalili kaszanę przy zabezpieczaniu śladów i w ogóle nikt nie wziął śledztwa na poważnie, aż następnego dnia okazało się, że zaginęły dyski z monitoringu tej nocy.

- Zaginęły dyski?

– To znaczy dyski fizycznie są, ale bez nagrań. Na dodatek nie tylko z tego piętra. Z całego budynku. Po prostu od osiemnastej do rana wszystko wcięło. Jakby ktoś wniósł na teren zajebisty magnes i wykasował co się da.

- O, kurwa!

- No, dokładnie. Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem, a

jak dodamy do tego, że denat nie zostawił listu pożegnalnego i zgrywał twardziela, który w zasadzie nikomu na nic się nie skarżył i nie miał żadnej pieprzonej depresji, no to masz problem.

– Mówiłeś przecież, że życie w stresie, rozwód, narkotyki...

– Mówiłem, że tak mogło to początkowo wyglądać – poprawił go Greg. – Gość okazał się dość ułożony, choć rzeczywiście korzystał z życia. Ale nic nie wskazywało na skłonności samobójcze.

– Aha...

– Tak więc zrobiono szczegółowe badania miejsca zbrodni, tyle że procesowo są do dupy, bo za późno i w ogóle... ech, lepiej nie mówić. Daliśmy ciała i tyle. Ale jak próbowaliśmy to potem naprawić, nagle zabrano nam sprawę.

– Jak to?

– Ano przyjechała Abwera, czyli nasza słodka ABW, i wszystko zgarnęła. Im też oczywiście wyszło, że to samobójstwo, a to kurewskie zniknięcie danych to nic takiego. Normalnie zwykła, kurwa, sprawa, że prezes bez żadnego motywu sam się morduje, a dane znikają. Piękna historyjka, którą możesz spokojnie sprzedać do programu dla dzieci. Bujda na resorach, stary. I teraz są dwie możliwości. Pierwsza taka, że ktoś uciał sprawie łeb i lepiej dalej w nią nie wnikać, bo po co się narażać za jakiegoś skurwysyna w białym kołnierzyku. Wiesz, jak jest, są tematy, których nie ma co ruszać, bo i tak nikt nic nie wykryje, a można samemu skończyć z podejrzanym samobójstwem na karku. Kto wie, czy w niebie skrupulatnie badają przyczyny zgonów, czy idą na masówkę i na przykład wierzą naszej biurokracji. Ja bym nie ryzykował, stary... A ty jak myślisz?

Milik westchnął głośno. Nie odpowiedział na retoryczne pytania, bo i Greg wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– A ta druga możliwość?

– Może ci z Abwery ściemniają i kryją przed nami swoje ustalenia, bo niby dla czego mieliby się dzielić informacjami ze zwykłymi pustakami z dochodzeniówki. Może ściemniają, a śledztwo wre i już mają podejrzanym.



– Sam w to nie wierzysz – podsumował Milik, słysząc sarkazm w głosie Grega.

Przyjaciel spoważniał.

– Są śledztwa, które nie mają się zakończyć wyjaśnieniem sprawy. Wszyscy o tym wiedzą i chodzą wokół nich jak koło kupki świeżego, wyjątkowo śmierdzącego łajna. To takie śledztwo.

– Więc sądzisz, że to nie było samobójstwo?

Greg przeciągnął się znacząco, jakby chciał powiedzieć: są kwestie, które należy zostawić niedopowiedziane. Jak pomiędzy laską a gościem w barze dla samotnych. On patrzy na nią, ona na niego. Wychodzą i bez słowa idą na stronę, żadne z nich nie podchodzi i nie pyta: idziesz się pieprzyć?

– Zdradzę ci coś. Nasi balistycy przebadali tor pocisku i jego położenie. Wyszło im, że denat musiałby sobie strzelać w łeb w tak nienaturalny sposób, że już to wystarczyłoby, żeby wzbudzić wątpliwości.

– Przecież mówiłeś, że pocisk rozpadł się na kawałki.

– Technicy mają swoje sposoby. Może właśnie po to miał się rozpaść, żeby uniemożliwić badania. No, ale laboranci twierdzą, co twierdzą. – Wzruszył ramionami.

– Albo kłamią.

– Spekulują. – Greg uśmiechnął się kącikami ust.

Milik podjął wątek:

– Czyli ktoś strzelił za niego?

– Jeśli wierzyć naszym... spekulantom. Oczywiście to nie jest niemożliwe, żeby tak sobie wymyślił ten strzał. Niemniej jednak nasi potrafią dodać dwa do dwóch i sądzą, że Abwera ściemnia, tylko nie wiadomo dlaczego, i tak naprawdę wszyscy już wiedzą, że koleś został kropnięty. Niezły tytuł dla pismaka, nie?

– Jaki?

– *Prezes GPW odstrzelony przez kilera*. Słabo brzmi?

– No... nieźle.

– Biegnij do tego swojego „Expressu” i napierdalaj, dostaniesz nagrodę.

– Łatwo powiedzieć, muszę mieć dowody.

- No przecież masz.
- Twoją... relację...
- Za mało?
- Nie... tylko...
- Co tylko?

Milik zwiesił głowę.

– Nie puszczą mi tego ot tak – powiedział. – Mam za słabą pozycję. Nie ma co się łudzić. Poza tym u nas tematy giełdowe obrabia Stefan, to jego działka. Pisał wszystkie teksty o Sworowskim, także ten przed jego samo... śmiercią. Ja się wpierdalam pomiędzy wódkę i zakąskę.

Greg patrzył bez wyrazu, pocierając kciuk o palec wskazujący i jednocześnie przygryzając wargę po prawej stronie.

– Stefan? Ten kutafon, co się porzygał na mojej parapetówie?

– Ten sam.

– Zastanawiałem się, po co go przyprowadziłeś.

– Przyczepił się i nie chciał odzepić... Wtedy się kumplowaliśmy.

– A teraz?

– To fiut.

– To przyprowadź go na następną imprezę. Nauczymy chłopaka fruwać.

– Teraz już mi nie zaufa.

Bartek uśmiechnął się pod nosem. To byłby przyjemny widok. Spity przez Grega Stefan wylatujący oknem i zmiernający szybko ku ziemi. Najlepiej z jakiegoś wysokiego wieżowca. Z trzydziestu pięciu metrów. Albo jeszcze lepiej z pięćdziesięciu. Roztrzaskana na betonie głowa, połamane wszystkie kości, zmiażdżone narządy. Brrr... Trup. Jedno piękne w tym wypadku słowo: trup.

– Wróćmy do sprawy.

– Jak chcesz. – Greg klepnął go w ramię.

– Myślisz, że jeśli mleko się rozleje, to ktoś u was potwierdzi, że podejrzewacie zabójstwo Sworowskiego?

– Myślę, że tak. Poszedł raport w tej sprawie do pierwszego psa... znaczy się komendanta głównego. Nikt się nie wychyla, ale każdy chce mieć dupokryjkę. ABW też dostała cynk, że nasi

wiedzą, co jest grane, i żeby potem nie było, że nie ostrzegaliśmy. Wiesz, jak jest z biurokratami. Nieważne, jaka prawda, ważne, że jest papier. Chłopaki z Abwery więc działają i już stawiają swoje hipotezy na temat zabójstwa, tyle że powiązane z innymi... hm, teoriami.

– Jakimi?

– No, ale to, co ci teraz powiem, to tajemnica, okay?

– Pewnie.

– No więc w tym dniu, w którym prezes wykitował, na rynku doszło do kilku dziwnych transakcji.

– Dziwnych?

– Ja się na tym nie znam. To, co przeczytałem, sfotografowałem. – Greg wyjął komórkę, odszukał folder z multimediami, a potem przrzucił kilka fotek i w końcu przeczytał: – „Pod koniec sesji nastąpił zmasowany atak na naszą walutę oraz szereg transakcji spekulacyjnych na kontraktach terminowych z dziwnym przesunięciem czasowym. System giełdy nie wytrzymał i się zawiesił”. Kiedy go zrestartowano, okazało się, że po całej tej cholernej aktywności nie ma śladu. Raport z nadzoru finansowego, który do nas przyszedł, jest kompletnie niezrozumiały dla wszystkich, ale sugeruje coś w rodzaju celowej spekulacji, a nawet cyberataku z udziałem służb specjalnych obcego państwa. Niezły kwas. To już jest jak najbardziej działka ABW.

– Jak słyszę określenie „obce państwo”, od razu chce mi się śmiać. To Ruscy?

– Nie tym razem – zachichotał Greg – Choć kto wie. Jak grasz z Chelsea, to już nie wiadomo, czy to Anglicy, czy ktoś inny. Pytanie, kto stoi za niezbyt dobrze umytą witryną, ma czasem wiele odpowiedzi.

– Kto dokonywał tych transakcji?

– Słyszałeś kiedyś o JK Invest?

– To jeden z największych banków na świecie.

– No właśnie. To oni. Pozornie niezbyt aktywna firma inwestycyjna, mało znana na rynku konsumenckim, za to świetnie kojarzona przez branżowców. Tylko duże spektakularne transakcje, rynek hurtowy, zero sentymentów i

kalkulatory liczące jedynie powyżej sześciu zer.

– Mają gwarancje rządowe w Wielkiej Brytanii, przyczółki i konta na wszystkich znaczących rynkach. Powinniśmy być zadowoleni, że się nami zajęli, że nas docenili...

– To tak, jakbyś się cieszył, że Dillinger na wakacjach okradł skarbiec naszego banku centralnego.

– A jest co okradać? To już się cieszę.

– To pieprzone fiuty, szpiedzy i hochsztaplerzy. A dodatkowo zatrudniają naszych byłych ministrów jako doradców. Szybko może to się skończyć jakimś megaskandalem.

– Z ust mi wyjąłeś.

– Komisja Nadzoru Finansowego miała im wytoczyć sprawę, ale oczywiście podkulili ogony. Najlepsze jest jednak, że razem z danymi z monitoringu wciąło cały zapis ostatnich minut sesji tamtego dnia. Nic nie ma na dyskach.

– Co to znaczy?

– Luźna hipoteza: może ktoś załatwił prezesa, żeby odwrócić uwagę od akcji JK Invest.

– No... to dość sensacyjna hipoteza.

– Ja bym się nie zdziwił, gdyby gdzieś tam w ABW planowali jakąś akcję odwetową w Londynie, z GROM-em w tle.

– Żartujesz?

– Żartuję – przyznał Greg. – Nasi na górze nie mają jaj, nie potrafią walczyć o swoje. Wszyscy im mogą nasrać na głowę, a oni będą udawać, że nic się nie stało. Zdajesz sobie sprawę, co to byłaby za kurewska zadyma, gdyby odstrzelono prezesa Wall Street, Euronextu czy pierdolonej LSE? A zobacz, co się u nas dzieje, to znaczy jak nic się nie dzieje. Wszyscy przeszli nad tym do porządku dziennego. Ot, umarł prezes, który i tak musiał odejść.

– Prezes, który musiał odejść – powtórzył Milik, jakby czytał tytuł jakiejś powieści kryminalnej.

– Tak. – Przyjaciół kontynuował poprzednią myśl. – Tacy jesteśmy, nie bardzo przejęci zdarzeniami, które bezpośrednio nas nie dotyczą. Każdy patrzy na swoją dupę i zerkają na zegarek, czy już szesnasta. A propos, muszę odebrać dzieciaki z przedszkola. Cześć.

Milik z początku nie zrozumiał żartu, tym bardziej że Greg powiedział to z największą powagą. Skoro żartuje na temat dzieci, to może już mu przeszło? Jednak w spojrzeniu przyjaciela zobaczył ten utrzymujący się od lat specyficzny rodzaj zadumy.

– Przecież ty nie masz dzieci – odparł, zanim ugryzł się w język, i dodał w myślach: przynajmniej nie w Polsce.

– Co z tego? To teraz najlepsza wymówka – mrugnął Greg. – Umówiłem się z kimś.

– To dobrze.

Na twarzy przyjaciela Milik nie dostrzegł jednak żadnego entuzjazmu. Greg nie szedł na randkę. Co najwyżej do burdelu. Od kiedy przydarzyła się ta przykra historia z jego żoną i dzieciakiem, po której został sam jak palec, nie było w nim żadnej radości.

– Uważaj na siebie – rzucił Bartek.

– Cześć.

Jeszcze przez kwadrans dopijał kawę, przeczytał połowę tygodnika i przejrzał jakiegoś kobiecego plociucha. Pisali, kto z kim sypia lub przestał sypiać. Nie znał tych ludzi, zupełnie go nie obchodzili, a jednak chłonął kolorowe obrazki i krótkie zdania.

Potem z wolna poczłapał w kierunku przystanku, aż przypomniał sobie, że umówił się z Ewą w kawiarni na imprezie pożegnalnej jednej z redaktorek „Expressu”. Przechodziła do piaru, gdzie zaproponowano jej etat zamiast głodowej wierszówki, i zgodnie z niepisaną tradycją gazety zaprosiła całą redakcję do knajpy.

Gdy dotarł na miejsce, wszyscy byli już po paru głębszych. Ewa siedziała w towarzystwie Stefana i śmiała się głośno. Bartek stanął w drzwiach i patrzył na nich z mieszkanką odrazy i czegoś nieokreślonego, dalekiego od zazdrości, bliższego poczuciu utraty, jakby zdarzyło się coś nieodwracalnego. Sam się dziwił, że nie czuje zazdrości. Nawet mu się wydawało, że to, co widzi, właściwie go cieszy. Choć jednocześnie nie mógł zrozumieć, jak Ewa może się śmiać z czegokolwiek, co mówi taki gość jak Stefan.

Tak, gdyby Ewa sypiała ze Stefanem, to byłoby wyjątkowo upokarzające. Dlaczego zatem ten widok nie budził w nim żadnej agresji?

Podszedł do nich i nagle zamilkli. Ewa, nie odzywając się, utkwiała wzrok w podłodze. Stefan zaczął udawać bardziej pijanego, niż był.

– Zabawiam twoją kobietę, żeby nie umarła z nudów, czekając na ciebie. Jesteś mi winien browara.

I szybko się zmył.

Bartek wypił przy barze jedno piwo, potem wrócił z dwiema butelkami do Ewy.

– Upijesz się?

– Zamierzam.

– Tak po prostu?

– Moja dziewczyna śmieje się z żartów Stefana. Trzeba to opić.

– Głupi jesteś.

– Głupi – przyznał.

Później, w łóżku, gdy próbowali się kochać, nie mógł zapomnieć tego śmiechu. Nie mógł wyrzucić z myśli obrazu Ewy i Stefana pogrążonych w rozmowie. Czy to już była zazdrość, czy tylko przemijanie? Musiał bardzo się starać, by zakończyć to, co zaczął. Leżeli potem, długo wpatrując się w sufit. Żadne z nich nie odezwało się słowem. I nie czuło takiej potrzeby.

Umówiły się z Anką po dwudziestej w kawiarni na Saskiej. Wypiły kawę i zanim poszły na spacer, zostawiły w samochodzie Anki telefony komórkowe, palmtopy i inne urządzenia elektroniczne. Marta nie bez zazdrości patrzyła na luksusowe volvo, którym poruszała się przyjaciółka. Związek z Witoldem był dla niej mocnym finansowym awansem. Ale czy to coś złego? Bogatego faceta stać na drogie prezenty. Dlaczego nie miałyby ich przyjmować, skoro i tak się kochają?

A może jestem zbyt łatwowierna? Może to pieniądze były pierwsze, a miłość... Miłość zawieruszyła się przez przypadek, jeśli w ogóle tam była.

Czy jednak wszędzie należy podejrzewać związek pieniędzy z udawaną miłością? Anka jej nie udawała. Tego Marta była pewna, znała się na zakochanych kobietach.

Anka zdjęła nawet zegarek i schowała go głębiej do szuflady. Pewnie też kosztował majątek. Może tyle co ten cholerny samochód.

Nawet tak nie myśl – zrugala się Marta. Nikomu nie zazdrościsz. Ty byś pewnie zgubiła ten zegarek na treningu, a samochodów i tak nie lubisz. Takie volvo nie zmieściłoby się na parkingu przed blokiem. Parkowanie staje się poważnym problem, kiedy ma się cudaczne, o wiele za duże auto.

– Boże, Marto, co się dzieje? – wypaliła Anka, gdy znalazły się już w pobliskim parku.

Rozglądała się niepewnie. Park nie miał zbyt dobrej sławy. Kręcące się wokół postaci ciekawie zerkwały w kierunku dwóch samotnych, atrakcyjnych kobiet. Bo też były atrakcyjne. Anka pewnie nawet bardziej. Nie za wysoka, sięgająca Marcie ciut powyżej ramienia, za to o przepięknej twarzy i oczach, w których faceci po prostu tonęli. Zaprzyjaźniły się przed laty, poznawszy się wcześniej na pewnej imprezie. Nie było wtedy mężczyzny, który nie spoglądałby pożądliwie w jej kierunku. Nawet pozorne skazy urody dodawały jej seksapilu. Nieco

pucołowate policzki, zadziorny nosek, usta zbyt duże w stosunku do twarzy, dołączki towarzyszące szerokiemu uśmiechowi. To wszystko, zamiast szpecić, ozdabiała drobną, radośnie ruchliwą postać, wywołując spontaniczną reakcję w spodniach niemal każdego zdrowego faceta. I te włosy... Trochę rude, trochę wpadające w mahoń.

Wciąż wyglądała jak studentka. Jak na tym zdjęciu robionym pod krakowskimi Sukiennicami, które kiedyś wypadło jej z torebki. Marta je zapamiętała, gdyż było wyciętym fragmentem większej fotografii.

Zboczenie zawodowe. Skoro ktoś przecina zdjęcie na pół, to znaczy, że chce ukryć drugą postać albo kilka innych postaci z fotki. Może byłego chłopaka. Nie chciała, by Witold coś jej zarzucał? Bzdura. A może tą drugą postacią był sam Witold. W końcu mogli się poznać na studiach w Krakowie. Zapytała o to Ankę, ale przyjaciółka zbyła ją jakimiś ogólnikami. Wyraźnie nie chciała ciągnąć wątku.

Trudno. Każdy ma tajemnice. Każdy ma do nich prawo.

Jak i do piękna. Anka wciąż była równie piękna jak na tej starej fotce.

A ona? Przecież też jest całkiem do rzeczy, tylko w bardziej klasyczny sposób. Wysoka, sprężysta, szczupła i silna. Teraz wprawdzie skrywała to kurtka, ale cała sylwetka sprawiała wrażenie zdecydowanie bardziej chłopięcej, może nawet męskiej. Typ silnej kobiety, sportsmenki, a nie mimozy. Twarz ostrzejsza. Nieco za chudy, zbyt wybijający się nos. Usta zwyczajne, wąskie. Zęby za to prościutkie i białe jak u Murzynki. Wspaniały uśmiech, ciepły i przyciągający. W chwilach złości natomiast ta twarz potrafiła ostrzegać przed nierozważnym zlekceważeniem owej dziewczęco-chłopięcej piękności.

Dwie niezłe laski zimowym wieczorem w parku na Pradze, jednej z najniebezpieczniejszych dzielnic stolicy.

– Może nie wchodzimy głębiej? – zasugerowała Anka.

Marta nie odpowiedziała. Szła zamyślona.

– Powraca hipoteza zabójstwa – powiedziała w końcu. – Te ukradzione taśmy z monitoringu nie pozwalają na zamknięcie



sprawy, a dodatkowo wszystko komplikuje afery z zagubionym fixingiem.

– Zagubionym fixingiem? – powtórzyła Anka, niczego nie rozumiejąc.

– Razem z taśmami zaginęły dane z zamknięcia giełdy. Zrobiła się z tego międzynarodowa afery giełdowa. Nasz rząd podejrzewa jeden z dużych banków o celową manipulację. Do tego dochodzi problem z systemem i niedostosowaniem do niego oprogramowania naszych domów maklerskich. Słyszałaś coś o tym?

– Nie. Pewnie pracowałam już w agencji.

Żeby uciąć złośliwe docinki i spojrzenia, po związaniu się z Witoldem Anka zmieniła pracę. Jej projekty wysoko ocenił szef jednej z agencji reklamowych i zatrudnił ją na etacie. Marta myślała, że Anka dostała tę posadę dzięki Witoldowi, ale gdy obejrzała jej prace, nie miała wątpliwości co do talentu przyjaciółki. Były naprawdę dobre. Nie potrzebowała wstawiennictwa.

– Witold kupił system, który jest używany przez inne giełdy – wyjaśniła Marta. – Dzięki temu wiele transakcji może się odbywać bez dodatkowego pośrednictwa naszych domów maklerskich. Odeszło im sporo obowiązków.

– To chyba dobrze?

– I pieniędzy – dodała. – Stracili czysty zysk, który dotąd mieli zapewniony bez kiwnięcia palcem. Witold narobił sobie tym wielu wrogów.

– Aha.

– Niepokoi mnie co innego.

– Tak?

Marta zatrzymała się w pół kroku i uważnie popatrzyła przyjaciółce w oczy.

– Idealnie pasujesz na kozła ofiarnego – szepnęła.

Zwyczajna reakcja. Z lekkim zaskoczeniem, ale bez przesady. Normalna, naturalna.

– Ja? Nie wydaje mi się – odparła Anka.

– Wierz mi, znam się na tym.

– Nie brzmi dobrze...

– No nie. Jednak trzeba szanować fakty. Musimy się zastanowić, co zrobić, żeby to odkręcić.

– Można odkręcić?

Marta zawahała się.

– Jest jeden sposób.

Dwie czarne postaci z boku zatrzymały się pod drzewem. Jedna uniosła papierosa do ust i przypaliła. Druga, przestępując z nogi na nogę, zagwizdała z uznaniem. Obaj mężczyźni byli dość niscy, zadziorni i prowokujący. Łyse głowy mieli zakryte kapturami grubych dresów. Marta celowo zwolniła, żeby to na niej skupił się ewentualny atak. Anka na widok odwracającej się w stronę facetów przyjaciółki przystanęła, nie bardzo wiedząc, czy powinna krzyczeć, czy szukać gazu w torebce.

Marta nie dała jej zbyt dużo czasu na zastanowienie. Poczekala, aż mężczyźni podejda bliżej, i zaatakowała bez zastanowienia, niezbyt przejmując się tymi wszystkimi technikami, których przez lata się nauczyła. Zbyszek zawsze jej powtarzał: „Nie szukaj ratunku w podręczniku. Bij, żeby zrobić krzywdę”. Pierwszego uderzyła najpierw w krtań, potem w szczękę. Pięść miała zawiniętą w chustę i wełnianą rękawicę, dzięki czemu cios nie spowodował kontuzji ręki, a i tak był wystarczająco silny, by przeciwnik nakrył się nogami. Drugi rozdziawił gębę, jakby chciał zawołać: „Zaraz, zaraz, przecież nic ci nie zrobiliśmy!”. Wystarczy, że jesteście. Marta dobrze wiedziała, że gdy szykuje się awantura, trzeba bić z zaskoczenia. A jeśli ci dwaj byli niewinni? Może nie mieli tak naprawdę złych zamiarów. Chcieli tylko pogadać, pośmiać się, poflirtować. W takim razie powinni zmienić wygląd.

Drugi domniemany napastnik unosił do góry ręce, żeby skryć się za nieporadnie złożoną gardą, gdy dostał dwa szybkie, krótkie proste w nos. Nos był duży i połamany już kilkakrotnie, więc kość trzasnęła przy drugim ciosie jak sucha gałąź i gość zalał się krwią. Zanim zapłakał, Marta chwyciła go za dłoń, wykręciła ją w nadgarstku chwytem *yonkyo* i rzuciła na glebę, naciskając tak, by zawył z bólu.

Anka patrzyła oniemiała, z wyraźną naganą.

– Chodź, uciekamy – klepnęła ją w ramię Marta i pobiegła w kierunku ulicy.

– Boże, boję się ciebie – westchnęła przyjaciółka.

– I powinnaś, dziewczyno. – Marta zwolniła trochę i objęła drżącą Ankę ramieniem. – Ci dwaj nie mieli pokojowych zamiarów. Należała im się nauczka. Na przyszłość...

– Ale przecież nic nam nie zrobili.

– Gdyby nie dostali łomotu, kto wie, czyby im się nie udało.

– A jeśli... się mylisz?

Marta nie odzywała się przez dłuższą chwilę. A potem syknęła: – Nie myślę się.

Usiadły na ławce przy ścieżce rowerowej, mimo że była mokra od wilgoci i mrozu. Anka, wtulona w przyjaciółkę, nagle poczuła się taka bezpieczna. Nic nie mogło jej się stać. Marta znajdzie rozwiązanie. Nic jej nie grozi.

– Jak myślisz, co tam się wydarzyło? – zapytała. – Kto zabił Witolda?

– Nie wiem, ale wiem, że to nie byłaś ty.

– Dzięki. A... skąd ta pewność?

– Znam się na ludziach.

– Chciałabym w to wierzyć.

Marta uśmiechnęła się ciepło, ukradkiem podziwiając urodę przyjaciółki. Tak, nie dziwiła się Witoldowi. Anka naprawdę była jak cukierek. Czasami miała ochotę pogłodzić ją po policzku, a potem pocałować. Te usta były takie zapraszające. I odnosiła wrażenie, że przyjaciółka wcale by jej nie odtrąciła. Do diabła, nie jesteś lesbą – besztła się zawsze w takich chwilach.

– Nie wierzysz we własną niewinność?

– Sama nie wiem. Nie wiem, dlaczego to się tak potoczyło, że spóźniłam się aż pół godziny. Nie wiem, jak to się stało, że... kiedy już go zobaczyłam... nie byłam w stanie nawet do niego podejść i go przytulić. Nie byłam w stanie płakać. Nic.

– To dobrze, dzięki temu nie ma na jego ciele żadnych twoich śladów. Przynajmniej świeżych.

– Ja go kochałam. Naprawdę go kochałam.

– Wiem.

Tuliła Ankę w ramionach, czekając, aż się wypłacze.

– Dlaczego tak zareagowałam? Dlaczego nie krzyczałam, nie szarpałam jego ciała? Czy to dlatego, że byłam tylko kochanką? Czułam, że nie mam do niego prawa? Czy dlatego przyjechałam to jak obca osoba? Może byłam obcą osobą.

– To szok. Ludzie różnie sobie z nim radzą. Nie zadręczaj się.

– Nie wiem. Nic już nie wiem.

Wzięła się w końcu w garść, wydmuchała nos, otarła łzy.

Wracały powoli w kierunku ronda Waszyngtona. Niebo zrobiło się jakieś wyjątkowo szare, jak w starym filmie. Łapało mdłą poświatę ulicznych lamp i rozlewało wokół niczym pijany malarz pokojowy. Marta wyobraziła sobie tego malarza, w pomarańczowym kombinezonie, chwiejącego się na źle rozstawionej drabince i malującego przed nimi zimowe nocne niebo w wielkim mieście. Często wyobrażnia podsuszała jej takie absurdalne obrazki, może chcąc zadrwić z całego tego syfu, z którym musiała się mierzyć w pracy.

– Mówiłaś, że masz jakiś pomysł – przypomniała Anka.

– Pomysł? – zdziwiła się Marta.

– Żeby to... odkręcić. Nie pozwolić zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

– A... tak, rzeczywiście. Mam.

– No więc?

– Musimy zaangażować w sprawę kogoś jeszcze.

– Kogo?

Marta uśmiechnęła się, a potem wybrała numer w komórce.

## 6

Od Grega dostał numer jakiejś laski z ABW. Zadzwonił do niej rano i zaczął wypytywać o sprawę Sworowskiego. Szybko ucięła rozmowę, ale oddzwoniła wieczorem. Słyszał, że jest trochę zdyszana i przebywa gdzieś na powietrzu. Szum wiatru i przejeżdżających samochodów zagłuszał trochę głos, który był i tak dość niewyraźny.

Spojrzał za okno. Padało. Od dwóch dób ciągle padało w dzień, w nocy przestawało. Zima nie pracowała na dwóch etatach. A i tak śniegu było już tyle, że zaspasy tworzyły miejscami prawdziwe tunele. Niemal jak w górach. Przypomniał sobie czas dzieciństwa, gdy z niecierpliwością czekał na zimę, by wieczorem po lekcjach wybiec na szkolne boisko, założyć stare łyżwy, a potem budować śnieżne fortyfikacje. Aż któregoś roku strażacy zapomnieli wyłączyć lodowiska i musiał z chłopakami jeździć po ulicy. Tego roku śniegu nie było, za to pojawiło się coś ciekawszego. Czółgi. Przybiegł do domu ucieszony i zaczął krzyczeć do ojca:

„Tato, tato, widziałem czółgi!”.

Mama płakała, a ojciec wziął go na kolana i powiedział:

„Czółgi, synu, nie oznaczają niczego dobrego. Tak samo jak ludzie o błyszczących twarzach. Strzeż się ludzi o błyszczących twarzach, którzy zwykle noszą długie płaszcze”.

Przyszli trzy dni później. Ojciec spokojnie ubrał się i wyszedł.

Bartek nie rozumiał niczego. Był za mały. Ale obraz ludzi o błyszczących twarzach, którzy wyprowadzali ojca z domu, utkwiał w jego pamięci na zawsze. Dziś, gdy rozmawiał ze szpiegiem, agentem czy gliną, ten obraz powracał. Nie żywił do nich nienawiści. Czuł jedynie rodzaj niepokoju. W końcu nic ojcu nie zrobili. Wrócił rok później, tylko nieco bardziej ponury, co w jego wypadku nie stanowiło specjalnej różnicy.

Ale niepokój pozostał.

Kobieta miała ładny, miły głos. Mówiła raczej krótkimi zdaniem, często urywając końcówki, jakby chciała coś jeszcze

dodać, lecz zrezygnowała w ostatniej chwili. Prowadziła swoją grę. Tego był pewien.

Wciąż zbywała jego pytania i generalnie nic nie chciała powiedzieć, ale przystała na spotkanie. Umówili się kolejnego dnia w kawiarni w centrum. Bartek przez dłuższy czas wpatrywał się w wyświetlacz telefonu. Coś było nie tak. Wyczuwał to.

Ewa nie wróciła jeszcze z pracy. Zrobił sobie kawę i usmażył jakiś śmietnik na patelni. Zjadł ze smakiem, zagryzając czerstwą bułką i oglądając program publicystyczny po *Wiadomościach*. Przed dziewiątą na jedyńce rozpoczął się mecz. Dawno żadnego nie widział. Patrzył bez specjalnego zainteresowania, jak piłka ślizga się po brudnozielonym boisku, ścigana przez dwudziestu dwóch milionerów. Takim to dobrze. Zdążył wypić cztery piwa, gdy usłyszał w zamku cichy chrobot. Weszła Ewa. Postawiła na szafce torebkę (nigdy nie kładła jej na podłodze, bo to ponoć przynosi pecha) i przejrzała się w lustrze, poprawiając włosy. Była zarumieniona i podekscytowana. Kogoś ma! Był już tego pewien.

Stefan? Cholerny Stefan.

Otworzył piąte piwo, ale zupełnie mu nie smakowało.

– Co robisz? – Stanęła w drzwiach.

Spojrzał na nią baraním wzrokiem. Ależ była piękna, ależ była piekielnie piękna! Jak mógł to spierdolić?

– Upijam się.

– Aha.

– Nie mam już nic innego do roboty.

Patrzyła na niego dobrą minutę. On się krygował, ona rozważała, co dalej. Co powinna zrobić? Wyszła do łazienki. Słyszał, jak sika. Odkręciła kran przy wannie, rozłożyła ręcznik na podłodze i myła się pomiędzy nogami. Wyobrażał sobie, jak zwija naznaczone kochankiem majtki i chowa je głęboko w pojemniku z praniem. Potem usłyszał szczoteczkę elektryczną i wyobraźnia znów zaczęła pracować. W przedziwnie nienaturalnej pornograficznej projekcji, która nagle i u niego wywołała niechciane podniecenie, ujrzał Ewę na kolanach przed Stefanem. Nie, to niemożliwe. Tak bardzo do siebie nie

pasowali, że to nie mogło być prawdą.

Wyszła z łazienki. Piersi pod długim podkoszulkiem sterczały jej kusząco, a on poczuł jeszcze silniejszy wzwód.

Podeszła i potargała mu włosy, jakby na zgodę, jakby chciała powiedzieć: „To nic, tak bywa, nie ma co się przejmować, życie toczy się dalej. Wszystko mija. Ty masz swoje życie, ja swoje. Stefan też musi kiedyś umoczyć”.

– Przestań – upomniała.

– Co?

– Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Jak na zdziwę

– Przepraszam. – Zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. – Kocham cię.

– Nieprawda – syknęła jak żmija.

Miała rację. Dawno nie mówili sobie prawdy. Nie kochał jej.

– Kto to? – zapytał. – Stefan?

– Stefan? Żartujesz?

Kamień z serca. Ileż to razy sobie powtarzał: „Byle nie Stefan”! Dziwna ulga wyprała go z ciekawości. Właściwie niczego nie chciał już wiedzieć.

– Więc kto?

– Nie znasz.

– Ma imię?

– Patryk.

– Pedalskie imię.

– A Bartek?

– Też pedalskie.

Roześmiała się, obeszła go z tyłu, muskając palcami plecy. Usiadła naprzeciwko. Piersi wciąż jej sterczały.

– Nie wyszło?

Sięgnęła do szafki po wino.

– Otworzysz?

– Pewnie.

Wyciągnął z szuflady korkociąg. Podawał dwie szklanki. Nalał wina najpierw jej, potem sobie. Posmakował.

– Dobrze.

- Ty już masz trochę dość, co?
- No.
- To może chodźmy spać.
- Nie, pogadajmy. Obgadajmy to do końca.
- Okay.

Ewa oblizwała swoje piękne wargi. Nagle poczuł strach, że widzi ją po raz ostatni. Że nigdy więcej nie poczuje smaku tych ust i piersi. Honorowo byłoby teraz wyjść i już nie wrócić.

- Cholera, spierdoliło się – mruknął.
- Lubię cię – odparła. – Wciąż cię lubię.
- Ale nie kochasz?
- Nie.
- Kochasz Patryka?
- Nie wiem.
- Pieprzyłaś się z nim?
- Kiedy?
- Dziś.
- Nie.
- A wcześniej?
- To zależy.
- Jak to zależy?
- Od punktu widzenia.
- Nieee, no nie. Albo się pieprzyłaś, albo nie.

Uśmiechnęła się figlarnie. Lubiła go tak zwodzić. Ranić i oszukiwać. Zawsze to lubiła.

- Pamiętasz, jak się poznaliśmy, Bartuś?
- Nie mów tak do mnie.
- Jak?
- Jak do chłopca.
- Pamiętasz?
- Tak.
- Trzy noce rozmawialiśmy o seksie, a do niczego nie doszło, pamiętasz?
- Tak.

– Trzy noce spijałeś z moich ust wszystkie moje fantazje, chłonałeś moje życie, moją intymność, smakowałeś mnie, a jednak tego nie robiliśmy. Co miałabym odpowiedzieć mężowi,



gdyby mnie zapytał, czy się z tobą pieprzyłam?

Dawno nie mówiła o swoim mężu. Biedak był jej pierwszym chłopakiem. Gdyby nie to, może nawet by im się udało. Był przystojniejszy, bogatszy, a nawet lepszy w łóżku od Bartka – tak przynajmniej twierdziła – a jednak odeszła od niego dla zwykłego pismaka bez grosza, z wynajętą kawalerką, niepewną robotą i skłonnością do picia. Pokazała mu ich wspólne zdjęcie. Wyglądali na nim jak dwa modele na sesji foto. Byli za młodzi na ślub. No i znali się od dziecka. Miłość nie wytrzymała próby czasu. Tak jak ich miłość? Jeśli to kiedykolwiek była miłość.

– Nie wiem.

– No i ja też nie wiem. Chcę się upić.

– Opowiadałaś o nas Patrykowi?

– A miałam zakaz?

– Co mówiłaś?

– Nie wiem. Nie pamiętam... Prawdę.

– Opowiedz.

– Teraz to nie takie łatwe.

– Mówiłaś o seksie?

– Lubię mówić o seksie.

– Całowałaś go?

– Tak.

– A tam, na dole?

– Nie powiem ci.

– Był w tobie?

– Nie. Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie jestem pewna.

– Cholera by cię!

Podерwał się, dopił wino i przeszedł do pokoju. Stał w oknie, za którym było parę drzew i czyste niebo pełne gwiazd. Dziwnie się czuł z tym wszystkim. Coś się kończyło, a może skończyło się już dawno. Pewnie dlatego doznawał i przerażenia, i ulgi. Dręczyła go świadomość utraty, wielki strach przed samotnością i coś dołującego, a jednocześnie był pełen nadziei. Jak przed nowym otwarciem.

Ewa stanęła w drzwiach. Patrzyła na niego. Co sobie myślała?

Myślała o Patryku czy może też miała podobne odczucia jak on?

– Dlaczego nie powiesz, że mnie kochasz? Dlaczego nie walczysz?

– O co?

– O mnie.

– Nie wiem. A miałbym szansę?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, co byś zrobił. Ale teraz widzę, że chyba nie byłbyś w stanie nic zrobić. Coś w nas umarło, już dawno temu.

– Coś umarło – powtórzył.

Podeszła i oparła głowę na jego plecach. Ponownie poczuł erekcję. Mimo że to ona była zdrajczynią, wciąż jej pragnął.

– Fajny z ciebie facet – szepnęła. – Ale to już koniec. Prawie...

Pociągnęła go na łóżko, pomiędzy rozłożone szeroko nogi. Dziwny to był seks. Ona myślała o Patryku, on o innych mężczyznach, którzy w niej byli i będą. Miał świadomość, że daje się wykorzystywać, a jednocześnie napędzał się tą myślą aż do końca, gdy mocno spleceni ze sobą skończyli w tej samej chwili. Ostatni raz.

Rano, gdy się obudził z bólem głowy, jej już nie było. Zadzwoił do redakcji, by powiadomić, że przed południem ma spotkanie i nie zjawi się wcześniej niż koło szesnastej.

– Możecie mi przydzielić nocny dyżur, gdyby coś – powiedział.

Odświeżył się pod prysznicem, ubrał, zadzwonił do kilku znajomych, informując, że poszukuje mieszkania, a potem się rozplakał. Słaby był z niego facet. Ale musiał się wziąć w garść. Obiecał sobie, że babkę z ABW przemagluje na wszystkie możliwe sposoby.

- Marta.
- Bartek. Możesz mówić do mnie Milik. Wszyscy tak mówią.
- Milik? Fajnie brzmi – przyznała. – Miło.
- Prawie.

Patrzyli na siebie badawczo. Marta wyglądała jak studentka. Ładna i mądra studentka. Miała na sobie prostą kurtkę z kieszeniami na piersi imitującą wojskowy strój, apaszkę na szyi i wąskie dzinsy podkreślające szczupłe i trochę krzywe nogi. Kurtka prostym krojem kamuflowała kształt bioder i piersi. Dałby głowę, że ma wszystko jak trzeba, choć bardziej w typie sportswomenki niż miss.

Na miss była już mocno za stara. Ile mogła mieć lat? Dobrze się trzymała, ale czas jest nieubłagany, zostawia wyraźne znaki swojej władzy. Trzydziestka na pewno, może nawet czterdziestka. Gdyby miał stawiać, dałby trzydzieści pięć. Pośrodku.

Wiatr rozwiewał jej długie, proste blond włosy. Opadały na twarz, lekko wyostrzoną, prowokującą, z pierwiastkiem chłopięcej zadziorności. To była twarz i postać chłopczycy, z którą nie flirtuje się za pomocą zgrabnych słówek i poezji, bo ona lubi mówienie wprost i męskie żarty. A kochanie się z nią oznacza coś więcej niż przypadkowy seks.

Zarumienił się.

Zawsze się rumienił, gdy myślał o seksie.

Ona też przyglądała się temu niezbyt męskiemu, niedojrzałemu chłopakowi, który nawet nie potrafił wytrzymać jej wzroku i pąsował jak dzieciak na samą myśl o czymś mocniejszym, do czego od biedy mógłby doprowadzić, gdyby się tak nie bał. Nie był w jej typie, ale była z niego uczciwość i otwartość. To nie był drań jak wielu przykrywkwówców, z którymi sypiała dotąd. To nie był nawet typ Zbyszka, wiecznie myślącego o seksie wiarołomcy, który potem wraca do kochającej żony i zapiera się w żywe oczy, twierdząc, że nie ma

żadnego romansu.

Tak, Milik nie był taki. Zwyczajny chłopak, facet, na którym się nie zawiedzie, który jej nie oszuka. Który mógłby ją wyleczyć. I który powinien się trzymać z daleka od takich kobiet jak ona.

Nie, nie zrobię ci krzywdy.

– Idziemy do knajpy? – zapytała.

– Przejdźmy się – zasugerował.

Chodzili po łąkach okalających żoliborskie twierdze. W nocy temperatura spadła prawie do minus dwudziestu i teraz śnieg skrzypiał im pod nogami. Za to było słonecznie, na niebie ani jednej chmurki. Piękna pogoda na narty, a nie na szukanie mordercy prezesa giełdy.

Potem usiedli na ławeczce przy placu zabaw. Bez wiatru mróz nie był tak dokuczliwy. Marta założyła okulary przeciwsłoneczne. Gawędzili przez chwilę na różne bezpieczne tematy. W końcu on spytał, dlaczego zgodziła się z nim porozmawiać, a ona skłamała, że na prośbę przyjaciela.

– Mamy zdaje się wspólnych przyjaciół – zakończyła.

– Mamy – przyznał. – Jak sądzisz, kto to zrobił?

– Kto zabił Witolda?

– Prezesa GPW – uściślił, jakby mogła mieć na myśli kogoś innego.

– Nie wiem, tego nikt nie wie.

– Macie jakiegoś podejrzanego?

– Jak dużo wiesz?

Opowiedział jej o rozmowie z Gregiem, o historii romansów i zdrad Witolda Sworowskiego, dziwnych zdarzeniach i konfliktach giełdowych.

– Całkiem sporo – przyznała.

– No, ale podejrzanego nie mam.

– My też nie – powiedziała. – Obawiam się jednak, że będą chcieli postawić zarzuty Ance.

Ance? Nie od razu załapał, kogo dokładnie ma na myśli.

– Dziewczynie, która znalazła ciało?

– Dziewczynie Witolda – podkreśliła.

– Uważasz, że to błąd?

- Ona tego nie zrobiła.
- Skąd ta pewność?
- Nie napiszesz tego?
- Jeśli zastrzeżesz, że mi nie wolno...

Skinęła głową, zagryzła wargi, w końcu powiedziała: – Znamy się. Anka i ja znamy się od dawna. Poznałam też Witolda, choć... słabiej.

Napięcie na jej twarzy zdradzało, że rzucone niby od niechcienia zdanie miało większe znaczenie. Przekazywała mu komunikat, nie bardzo tylko wiedział po co.

Chce wybadać, czy uważnie jej słucham lub w jakim stopniu potrafię kojarzyć fakty? Czy też może w coś mnie wpuszcza? Tato, ty na pewno to załapałeś – pomyślał.

Ojciec jednak nie wychylił się z demonicznych czeluści umysłu i niczego nie podpowiedział.

- Czy nie powinnaś odsunąć się od śledztwa? – zapytał.
- Powinnam.
- Dlaczego tego nie robisz?

– Anka jest niewinna. Jeśli postawią jej zarzuty, to będzie znaczyło, że chcą ją wrobić. Nie pozwolę na to. W tym kraju nic nie działa właściwie. Biurokracja, prokuratorzy, sądy, służby. Nie dam im dla wygody polityków zniszczyć tej dziewczyny. Zbrodnia z miłości. Zemsta kochanki. Bardzo zgrabne wyjaśnienie. Tyle że nieprawdziwe.

- „W tym kraju” – zacytował, kiwając głową.
- Co?

– Powiedziałaś: „w tym kraju”. Wielu ludzi właśnie tak mówi: „w tym kraju”, a nie „w naszym kraju”. Nie czujemy, że to nasz kraj.

- Ja czuję.
- To dlaczego tak mówisz?

– Bo to nie moja biurokracja, nie moje sądy i nie moi prokuratorzy...

- A służby? Jesteś oficerem ABW...
- Służby też nie moje.

Gdzieś w zakamarkach umysłu jego ponury, milczący ojciec wstał gwałtownie i krzyknął: „Nie wierz nigdy agentowi, oni

zawsze kłamią. Nawet jak mówią prawdę, to kłamią!”. Komuna zabrała mu całe życie. Zmarnował je przez to, że urodził się o pięćdziesiąt lat za wcześnie. Czyżby? Jednak musiał mieć też lepsze chwile, gdy nie był takim ponurakiem. Gdy kochał mamę, a potem jego. Pamiętał z dzieciństwa tę uśmiechniętą wesoło gębę z bokobrodami à la Elvis. Głównie ze starych, czarno-białych zdjęć w rodzinnym albumie. Na fotografii jego twarz błyszczała, jakby była wysmarowana maścią. Uśmiechał się wesoło do braci podobnych do siebie jak dwie krople wody. Takich samych postrzelenców, którzy zostali na gospodarce i nigdy nie dali się zaszczyć komunie, systemowi, biurokratom i innym złym ludziom. To właśnie ci źli ludzie, jakich można znaleźć w każdym systemie, zrobili z niego ponuraka.

– Więc jesteś wtyką we własnej... firmie? Tak na nią mówicie, prawda?

– Co ty tam wiesz! Nie jestem żadną wtyką. Po prostu nie pozwolę zniszczyć Anki.

Poczuł, że zabrął za daleko. Nie chciał jej spłoszyć. Trzeba zwolnić, wyluzować, pozwolić jej, by sama wszystko powiedziała. Nie był zbyt dobry w wywiadach. W ogóle w niczym nie był zbyt dobry.

– Jak się poznałyście?

Spojrzała jakby zaskoczona pytaniem.

– Byłam oddelegowana do... pracy na giełdzie. Robiłam różne kursy, w tym maklera i doradcy inwestycyjnego. To dość szczególne środowisko, gdzie wszyscy się znają, spotykają na imprezach i przyjęciach urodzinowych, wymieniają numerami telefonów z zarządzającymi. Anka była asystentką prezesa giełdy, próbowała też zrobić licencję, ale chyba nie chciało jej się za bardzo uczyć i oblała. Szczerze mówiąc, kiepski byłby z niej makler. Kręciła się, podobnie jak ja, wśród tych rekinów finansjery. Widziałeś jej zdjęcia?

– Tak.

– Ładna, prawda? Bardzo ładna.

– Ładna – przytaknął. – Bardzo.

Przełknął głośno ślinę. Dziewczyna, o której mówili, była naprawdę wystrzałowa. Nawet Ewa wyglądała przy niej jak

brzydula.

– No więc oni wszyscy się na nią rzucali i potrzebowała ratunku. Kogoś, kto ich onieśmieli.

– I ty ich... onieśmielałaś?

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „To nie do mnie pytanie”.

– Tak czy inaczej ktoś nas ze sobą poznał i coś pomiędzy nami zagrało.

– Zagrało? – Uśmiechnął się nieco zbyt znacząco.

Marta jednak nie okazywała cienia nerwowości.

– Nie chodziło o jakieś sprawy seksualne, choć Anka lubiła prowokować i pewnie nawet czasem mogło to tak wyglądać. Od słowa do słowa szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Miałyśmy... hm, wspólne zainteresowania.

Nie wierzył jej. Kłamała. Może nie mogła inaczej. Może dostała z ABW zadanie zbliżenia się do prezesa giełdy i dlatego nawiązała kontakt z jego asystentką? Może miała przeniknąć do tego środowiska jak słynny agent Tomek z CBA? Szukać możliwości, jak oni to mówią, działań operacyjnych. O ile rozumiał, nie była typowym przykrywkowcem z fałszywą tożsamością, ale mogła się w takiego zmienić. Tak czy inaczej pewnie nie wolno jej było tego zdradzać. Agenci nigdy nie przestają być agentami. Z tego zawodu przecież się nie odchodzi. Coś o tym wiedział. Co zatem było prawdą, a co oszustwem?

– Nie wiedziała, że pracujesz dla ABW?

– Z początku nie.

– A teraz?

Zawahała się. Znowu.

W co ty ze mną grasz?

– Teraz wie.

Zamyślił się na kilka sekund. Czuł, że gdzieś tu rodzi się dla niego duża szansa na fajny materiał. No proszę, Brycht jak zwykle miał rację. Milik nie był jednak pewien, od której strony sprawę ugryźć, żeby czegoś nie schrzanić. „Pamiętaj: czasem warto poczekać i przemyśleć tekst, by potem napisać coś znacznie lepszego i dotrzeć do sedna”. Rady Brychta i innych

starszych dziennikarzy. „Artykuł powinien poleżeć trochę w twojej głowie”. Poleżeć? Jak trup, adekwatne porównanie w tej sytuacji. Umrzeć i zmartwychwstać. No, chyba że idziesz na żywioł, łatwiznę i robisz po prostu...

– A gdybym przeprowadził z tobą wywiad?

– To nie przejdzie. Nie wolno mi udzielać wywiadów. Od razu by mnie wylali i wsadzili.

– Ale uratowałabyś Ankę – zarzucił przynętę.

– Może tak, a może nie. Nie podłożę się tak.

– A bez zdradzania twojego nazwiska?

– I kto ci to puści?

– No tak. Co więc proponujesz?

– Opisz sprawę – powiedziała spokojnie. – Będą się bali cokolwiek ruszyć, wiedząc, że ktoś im patrzy na ręce.

– Ale co mam napisać?

– Prawdę. Różne hipotezy.

– Z pominięciem kochanki prezesa?

– Niekoniecznie, ale pod warunkiem, że podejdziesz do tej kwestii z należytą powagą. Wsadź kij w mrowisko i porządnie zamieszaj. Niech mrówki żołnierze wyjdą z okopów i odkryją prawdziwe cele do ataku. Będzie awantura, ale nikt nie odważy się pociągnąć śledztwa w jednym kierunku. Zyskamy na czasie, żeby samemu znaleźć zabójcę.

– Nie jestem gliną ani detektywem.

– Nikt ci nie każe nim być. Rób to, za co ci płacą. Napisz dobry tekst. Materiału już dziś masz aż nadto.

To prawda. Po rozmowie z Gregiem i z nią miał już niemal gotową sensacyjną teorię z masą mięsa – szczegółów, które uczynią tekst wiarygodnym. Dawno nie trafił mu się tak ciekawy kąsek. Nawet ta konina w wieprzowinie, nigdy zresztą nieopublikowana, przy tym wymiękała. Oficjalne pytania do policji, ABW, Ministerstwa Skarbu i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dostarczą potrzebny materiał uzupełniający. Trzonem będą hipotezy i zwrot w śledztwie. Wszyscy myślą, że prezio walnął sobie w łeb, a tu taka sensacja! To będzie murowana jedynka, która szybko stanie się pewnie głównym newsem na cały kraj. Może dostanie za nią Nagrodę Watergate



albo lokalnego Pulitzera?

Kurwa, mam farta. Nie ma co, wielkiego farta.

– To jak, napiszesz?

– Napiszę.

Marta uśmiechnęła się ciepło. Ścisnęła dłoń Milika, który nie oczekiwał takiego koleżeńskiego, męskiego gestu i oddał mocny uścisk. Jak mężczyzna mężczyźnie. Przyjaciel przyjacielowi. Patrzył potem, jak ona odchodzi, i poczuł, że naprawdę polubił tę dziewczynę.

– Marta! – zawołał i podbiegł do niej. – A ty? Co będziesz robić?

– Szukać prawdziwego mordercy. Stan zawieszenia nie może trwać wiecznie.

– A kiedy już go znajdziesz...?

– Aresztuję. – Wzruszyła ramionami, a potem dopowiedziała w myślach: albo zabiję.

Tak, tak będzie znacznie łatwiej. Trup nie wywinie się... temu krajowi.

Milik pracował od dwunastu godzin. Nie mógł spać w nocy i jeszcze przed świtem zaczął porządkować materiały. Naczelnym początkowo był sceptyczny i chciał podłączyć do niego Stefana, ale Bartek się zaparł. Albo dadzą mu napisać tekst samemu, albo rzuca tę robotę. Pawlak uśmiechnął się od ucha do ucha. Lubił sprowadzać na ziemię takich kozaków.

– Romek, mam ekskluzywa – powiedział łagodniej Milik. – Sam zobaczysz. Materiał, który wychodziłem. I jestem pewien, że to będzie hit. Nie zabieraj mi tego.

Mierzyli się wzrokiem.

– Dobrze, ale tekst musisz pokazać wcześniej prawnikom. Bez ich parafki nie pójdzie.

– Zgoda.

– To co tam chcesz napisać?

– Zobaczysz. To będzie bomba.

– Bomba? – powtórzył Romek bez przekonania.

– Prawdziwa atomówka.

Cztery godziny pisał główny tekst, potem dwie go poprawiał, jednocześnie czekając na komentarze oficjeli. Spływały powoli, niepewnie, niewiele dodając, ale też nie zaprzeczając głównym tezom. To było najważniejsze, bo dementi na tym etapie mogło przewalić wszystko. Nie mówiąc już o reakcji Pawlaka, który po prostu wstrzymałby publikację i byłoby po wszystkim. Jak z tym cholernym mięsem. Cała praca na marne.

Ale dementi nie było.

ABW zażądała dłuższego czasu na odpowiedź, za to rzecznik policji – zgodnie z przewidywaniami – nie szczypał się i wypalił ostro, że mimo przekazania akt do Agencji policja dokonała wstępnych ustaleń i opracowała plan śledztwa, zgodnie z którym oficjalnie obowiązująca wersja o samobójstwie nie musi być jedyna.

„Nie musi być jedyna” – powtarzał sobie Bartek. Jak ja kocham takie okrągłe zdanka.

Do szesnastej miał gotowy cały główny tekst, ramki, podwał i trzy infografiki do wyboru. Zdjęć też mieli masę, zarówno prezesa, jak i osób ze strony policyjno-ministerialno-agencyjnej.

Kiedy wydawca gazety po pierwszej redakcji kierownika działu przeczytał artykuł, wparował do naczelnego. Za chwilę poprosili Milika.

– Zdajesz sobie sprawę, co napisałeś? – zapytali jeden przez drugiego.

– Mówiłem, że będzie bomba – uśmiechnął się Bartek.

– Jesteś pewien, że wersja o zabójstwie gdzieś się pojawi?

– Jestem pewien, że nikt nie zaprzeczy.

– W zasadzie mamy jasność – zasugerował wydawca. – Jest kilka źródeł, a oficjele nie zaprzeczają. Stanowiska ministerstw i ABW są do dupy, ale też nie ma zaprzeczeń. Za to policja pojechała po bandzie i dała nam argument do publikacji, nawet jeśli się pomylimy.

– Nie pomylimy się – powiedział z przekonaniem Bartek. – To było morderstwo.

– Skąd ta pewność? – zapytał Romek.

– Przeczytaj tekst. Ekspertyza balistyczna na to wskazuje. Jest praktycznie pewne, że to nie on strzelał.

– Cholera, dobre.

– Mówiłem przecież. – Bartek spuchł z dumy.

– Podejrzani? – zapytał naczelnny.

– Jest kilka hipotez, ale zarzutów na razie nie ma.

– A ty jak myślisz? Kto to zrobił?

– Moi informatorzy twierdzą, że jakiś kiler.

– Zawodowy zabójca?

– Na to wskazują ślady i te dziwne zdarzenia związane ze zniknięciem danych z systemu giełdy i monitoringu. Gdyby to była zbrodnia w afekcie, nie byłoby takich akcji. Mielibyśmy wszystko na taśmie i zapłakaną kobietę nad ciałem.

– Zapłakana kobieta była – przypomniał prezes, sięgając po zdjęcie Anki. – To ona go znalazła, czyż nie?

– Tak.

– Ładna.

– To prawda.

– Rozmawiałeś z nią?

– Jeszcze nie.

– To może z niej zrobimy kilera? – Głos Romka zadźwięczał w mózgu Milika, który nagle z przerażeniem sobie uświadomił, że naczelny nie żartuje. – Zagrajmy na emocjach czytelnika. *Taka piękna morderczyni*. Dobry tytuł?

– Ona tego nie zrobiła – syknął.

– Ale na naszej jedynce może być. Krwawa love story lepiej się sprzeda.

– Nie – rzucił krótko Bartek.

– Nie pytam cię o zdanie, Milik. – Naczelny już układał sobie tę jedynkę. Przestał dostrzegać dziennikarza i mówił tylko do wydawcy: – Dwa zdjęcia, najlepiej jakiś dobry fotomontaż, tak żeby wyglądali na kochanków. Dwukolorowe. Może być stylizowane na amerykański *crime*. Niech Tomek sam zrobi projekt okładki.

– Dodamy krew i jakieś liczby, będzie pięknie...

– Nie, kurwa, nie słyszeliście?! – wrzasnął Milik.

Zamilkli i spojrzeli po sobie. Romek Pawlak zaczął drżeć. Pieprzony tchórz znów się bał. Milik też drżał, ale tym razem nie ze strachu. Był wściekły. Tak wściekły, że gotów był... No właśnie, do czego jesteś zdolny, by bronić swego? Ojciec na chwilę mignął pod zaciśniętymi ze złością powiekami. Rozchwiana lampa świadomości wyłowiła siedzącą na fotelu postać w podkoszulku na ramiączkach. Milczał. Nie miał dla niego żadnych rad. Sam się broń, chłopcze. Musisz kiedyś dorosnąć i nauczyć się walczyć. Nie można wiecznie być tchórzem, nie da się ciągle uciekać.

– Nie możecie mi tego zrobić. Obiecałem informatorowi, że nie będę lansował żadnej teorii, tylko przedstawię fakty. Są co najmniej trzy hipotezy. Musimy podać je wszystkie.

– I podamy – syknął naczelny. – Ale na jedynce będzie kochanka prezesa, rozumiesz?

– Nie.

– Nie masz nic do powiedzenia. W środku będzie po twojemu, na okładce po mojemu. Jeśli twój informator zacznie

się burzyć, powiesz zgodnie z prawdą, że nie miałeś wpływu na jedynekę. Zwalisz wszystko na nas.

Ojciec siedział w ciemności i czekał. Milik zagryzł wargę.

– Mogę nie dać wam tekstu – szepnął.

Pawłak zaczął drżeć jeszcze bardziej, włożył palec do nosa, ale jednocześnie jego oczy stały się bardziej szkliste i stanowcze.

– Przeczytaj swoją umowę o pracę – syknął. – Gównu możesz. A jak tego nie rozumiesz, to wypierdalaj.

No i tak sukces zmienił się w porażkę. Bartek bez emocji patrzył, jak nad jego gotowym materiałem pastwią się redaktorzy, korektorzy i prawnicy.

Lampa już nie wyławiała ojca. Poszedł spać.

Naczelny przechadzał się z dumą po newsroomie, od czasu do czasu wychodząc do gabinetu z przyłożonym do ucha telefonem. Bartek wyobrażał sobie, jak kutas rozmawia z różnymi notablami, informując ich o kontekście tekstu.

Zawsze są równi i równiejsi. Pewnie nawet uzgodnił z ministrem skarbu wspólne stanowisko, żeby rano nie było wtopy. Rzecznik rządu też miał prawo wiedzieć wcześniej. Tak, dziennikarstwo we współczesnych polskich realiach dalekie było od niezależności i obiektywizmu. Naczelnicy i redaktorzy ustalali strategię, co wolno sprzedać ciemnemu ludowi i jak nim pokierować, by przyjął to tak, a nie inaczej.

Kurewskie życie.

Gdy pod koniec dnia na tablicy ze szpiglami zawisł wydruk jedyнки, Milik omal się nie popłakał. Nad zdjęciem kobiety i mężczyzny w miłosnej pozie wielki napis głosił:

**CZY KOCHANKA ZABIŁA PREZESA GIEŁDY?**

Świnia! Wredna, kurewska świnia!

Marta miała ochotę od razu do niego pojechać, rozkwasić mu ten wielki nochał, zmasakrować bydlaka, a potem oblać benzyną i podpalić. Chuj, ostatni cham! Jak on mógł tak złamać wszystkie ustalenia, po prostu się na nią wypiąć i pójść po linii najmniejszego oporu?!

Długo się zastanawiała, co powinna zrobić. Jak zareagować.

Najpierw zadzwoniła do Anki.

– Nie przejmuj się, przecież to nie twoja wina – powiedziała przyjaciółka.

Głos jednak wyraźnie jej drżał. Była roztrzęsiona i zapewne przybita.

– Przyjechać do ciebie?

– Nie.

– Mogę...

– Chcę być sama – przerwała.

– Wiesz, że teraz śledczy mogą pójść po linii mediów?

– Co to oznacza?

– Że przyjadą po ciebie.

– Aresztują mnie?

– To mocno prawdopodobne. A głupi sędzia im to klepnie.

– Pójdę siedzieć?

Marta nie odpowiedziała.

– Na długo? Na ile powinnam się przygotować?

– Może nawet na rok. Co trzy miesiące będą przedłużać areszt. Przykro mi.

– Trudno.

– Nie zostawię cię. Znajdę zabójcę.

– Marto... przecież ja nie mam do ciebie pretensji.

– Chciałam dobrze, wybacz.

– Wiem.

Odłożyła słuchawkę. Nie powinna więcej dzwonić do Anki. I tak się mocno narażała. Ostrzeżenie podejrzanego to też był

temat dla mediów. Gdyby ktoś w ABW chciał ją wykończyć, miałby powód jak znalazł. A ona nie mogła dać się wykończyć. Musiała odszukać prawdziwego mordercę. Dla Anki, dla siebie, dla... Witolda.

Przymknęła oczy i nagle go zobaczyła. Anka miała szczęście. Był fantastycznym facetem. Ale szczęście zwykle tak się kończy. Ktoś tam na górze siedzi i tylko patrzy, żeby wszystko spierdolić. Żeby się nie udało, gdy jest za dobrze. Żeby włożyć trochę dziegiu do miodu. Kurwa. Kurwa. Kurwa!

– Nie powinno tak być.

Utworzyła nową wiadomość w skrzynce mailowej i zaczęła pisać do pieprzonego Bartka Milika, który okazał się takim oszustem. Napisała ze dwadzieścia zdań, a potem wszystko skasowała. Zestawiła kolejny pakiet wyzwisk w logiczną całość i znów skasowała. W zasadzie miała mu tylko jedno do powiedzenia: <Jesteś pierdolonym skurwysynem! Jak cię spotkam, zajebię, ćwoku.> Won z mojego umysłu! Nacisnęła WYŚLIJ i usunęła go z kontaktów. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Nigdy, draniu.

Potem napisała jeszcze do Grega:

<Twój kumpel to wał. Ty też jesteś wał. Masz u mnie wpierdol.> Wysłała. Obydwa ćwoki powinny się trzymać od niej z daleka.

Do wieczora nie mogła się uspokoić. Potem wzięła się ponownie do akt i przeczytała je jeszcze raz, najdokładniej jak umiała. Na tablicy wypisała wszystkich potencjalnych podejrzanych, z Anką włącznie. Na koniec dla żartu wpisała siebie.

– Jak wszyscy, to wszyscy – mruknęła.

Spojrzała na listę i przy poszczególnych nazwiskach dodała numerki.

– No dobra. Od jutra wielkie maglowanie.

Następnego dnia z samego rana zadzwoniła do byłej prezes zarządu Związku Doradców Inwestycyjnych. Ta nie wydawała się specjalnie zdziwiona telefonem i szybko przystała na spotkanie.

– Mam przyjechać do komisariatu?

– To nie będzie konieczne – odparła Marta. – Ja przyjadę do pani.

– Dobrze.

Godzinę później siedziały naprzeciwko siebie w kuchni domu w Raszynie. Kuchnia była mała i zagracona, ale sprawiała wrażenie przytulnej. Marta nie mogła przestać myśleć o zaparkowanym przed domem samochodziku, który pożyczyła dziś rano od wujka. „Tylko go nie zarysuj” – poprosił, wręczając jej kluczyki. Uliczka przed domem pani prezes była tak wąska, że mimo swoich małych rozmiarów auto wydawało się narażone na jakąś przykrą przygodę. A jeśli nadjedzie śmieciarka? Dobrze pytanie na początek – kiedy przyjeżdża śmieciarka?

– Może zrobię coś do jedzenia – zaproponowała pani prezes.

– Nie trzeba. Wystarczy kawa.

Mąż gospodyni pokręcił się przy nich, a potem na wyraźne, niecierpliwie nerwowe gesty żony poszedł się przewietrzyć.

– Wie? – zapytała Marta. – Pani mąż wie o pani i Witoldzie?

Trudno było jej zrozumieć, dlaczego Witold sypiał z tą kobietą. Była niepozorna, zwyczajna, zupełnie nie nadawała się na kochankę. Czyżby więc mieli rację krytycy Sworowskiego, że chodziło o karierę?

Kobieta chrząknęła i skinęła głową.

– Tak, powiedziałam mu wszystko.

– Z nim też będę musiała porozmawiać.

– On nic nie zrobił.

– Mimo wszystko musi złożyć zeznania.

– Po co? Przecież widziała pani, jaki to człowiek. Chyba nie sądzi pani, że byłby w stanie pojechać na giełdę i zastrzelić Witolda?

– A pani? Byłaby pani w stanie to zrobić?

– Ja... pewnie tak. Zdradził mnie i upokorzył, ale nic już przecież na to nie poradzę. Jakiś czasu temu to zrozumiałam. Zrozumiałam, że mnie wykorzystał, i postanowiłam sama wszystko wyjaśnić. Dlatego rozmawiałam z mężem i teraz... jest już dobrze.

– Bo Witold umarł?



– Nie. Bo zniknął z mojego życia.

– Kiedy?

– Trzy, może cztery lata temu. Szmat czasu. Już o nim zdążyłam zapomnieć, gdy... to się stało.

– Zrobiło się pani żal?

– Uradowałam się jak dziecko. – Uśmiechnęła się szczerze. – Drań dostał za swoje.

– W mediach wcześniej podano, że popełnił samobójstwo...

– Obie dobrze wiemy, że to nieprawda. A teraz wszędzie krzyczą, że jednak morderstwo. Powiem pani szczerze... od początku byłam pewna, że sam sobie tego nie zrobił.

Ja też – pomyślała Marta.

– Był na to za ambitny. Nie poddawał się. Samobójca to człowiek, który rezygnuje. A Witold ciągle walczył. Swoimi podłymi metodami, ale walczył.

Jak może być tak niesprawiedliwa?!

Marta zacisnęła mocno pięść.

Ale może ma do tego prawo. Co bym zrobiła na jej miejscu, gdyby kochanek mnie porzucił, gdybym czuła się upokorzona? Miłość zaświeciła przez okno jak popołudniowe słońce i szybko umknęła, przegoniona deszczem.

– Wciąż żywi pani do niego urazę?

– Na szczęście zrozumiałam, że wszystko, co robił, robił dla kariery. Każdą naszą wspólną chwilę przekuwał w sukces biznesowy.

– Smutne... Smutne, że pani tak myśli.

A może bardziej smutne, że ja w to nie wierzę.

– Taki już był.

– Kochałaś go? – nagle Marta niechcący przeszła na ty.

– Tak, gdybyś go znała, wiedziałabyś, że nie można było go nie kochać.

Marta uśmiechnęła się pod nosem. Owijał je sobie wszystkie wokół palca. Ankę też. Każda myślała, że jest jedyna. I w tych chwilach była.

– Co pani robiła tego dnia, gdy zginął?

– Jestem podejrzana?

– Na razie nie.

- Którego to było?
  - Dwudziestego trzeciego.
    - Dzień przed Wigilią... – Pokiwała głową, jakby to coś znaczyło.
    - Dlatego łatwo zapamiętać.
    - Owszem. Mam dobre alibi. Byliśmy z mężem u siostry w Malborku. Wyjechaliśmy na początku tygodnia i wróciliśmy dopiero po sylwestrze.
    - Siostra potwierdzi?
    - Oczywiście. To chyba... żelazne alibi, prawda?
    - Żelazne – przyznała Marta i podniosła się do wyjścia.
    - A pani? – odezwała się nagle pani prezes. – Co pani robiła dwudziestego trzeciego grudnia ubiegłego roku?
- Marta nie była pewna, czy tamta rzeczywiście zadała to pytanie, czy tylko jej się wydawało. Mimo to odpowiedziała pod nosem: – To co zwykle, proszę pani. Pracowałam.

Pierwszy raz w telewizji nie wypadł najlepiej, ale już za drugim naprawdę się rozkręcił i zaszalał. Podobało mu się. Dość szybko przestał myśleć o Marcie i jej pretensjach. Mail nie wywarł na nim wrażenia, choć zrobiło mu się smutno. W sumie to przecież nie była jego wina. Nic nie mógł poradzić na to, jak go załatwili. Nie był w stanie się wytłumaczyć, ale też nie zamierzał sobie tego wiecznie wyrzucać. Poza tym nie wysłuchała jego racji, tylko od razu wydała nań wyrok.

Skoro tak chciała...

Początkowo zamierzał w odpowiedzi na jej maila wszystko wyjaśnić i przeprosić, jednak zrezygnował. Nie będzie się tłumaczył żadnej cipie ze służb, która pewnie od dawna wszystkimi manipuluje, a teraz udaje wielce obrażoną. Mogła go przecież najpierw wysłuchać. Mogła zwyczajnie zapytać dlaczego, a on by jej wszystko opowiedział.

Nie dała mu szansy, więc niech się pieprzy. Nie będzie płakał.

W TVP, w specjalnym programie śledczym na żywo, prawie godzinę dyskutowali o możliwych konsekwencjach jego tekstu. Cały dzień na giełdzie był nerwowy i pojawiły się różne spekulacje. Rynek zareagował z samego rana sporymi spadkami, wszystkie indeksy świeciły się na czerwono. To też było zadziwiające. Przecież prezes zmarł już dawno, czy to ważne w jakich okolicznościach? Jaką różnicę robi inwestorom fakt, że opcja morderstwo zastąpiła wersję samobójczą?

„Nie rozumiesz? – dziwiła się Mirka z inwestycyjnego. – Giełda zawsze reaguje na nieoczekiwane zdarzenia. Gdy jest przygotowana, łatwiej przewidzieć reakcję inwestorów. Gdy coś się wydarza nagle, tak naprawdę nie jest specjalnie istotne, jakie znaczenie ma to dla indeksów – ważne, że wprowadza dodatkowy element ryzyka. Nowość jest ryzykiem. Maklerzy i doradcy z zagranicy widzą tylko, że coś się dzieje. Coś związanego z czymś złym, a nie dobrym. To dla nich sygnał. Nie zwracają sobie głowy interpretacją, tylko wycofują środki,

a dopiero potem przychodzi czas na ewentualną refleksję i powrót pieniędzy na dany rynek. Na tej samej zasadzie gdy coś złego dzieje się na Węgrzech, obrywają wszystkie rynki regionu, w tym Polska. Polska jest tu największym rynkiem, więc, rzecz jasna, wpływa też na okoliczne. Zobacz, jakie dziś spadki w Pradze i Budapeszcie, a nawet w Wiedniu”.

W Wiedniu... Przypomniał sobie nieco już w tej chwili zapomnianą teorię spiskową, wedle której za śmiercią prezesa giełdy mogły stać sprawy wiedeńskie, z walką wywiadów w tle i tajemniczymi negocjacjami polskich biznesmenów z rosyjskimi, a także próbami przejęcia giełdy wiedeńskiej przez polską, i w telewizji nawiązał do tego wątku.

Redaktor z „Rzeczpospolitej” omal się nie zakrzusił.

– Zwariował pan? Po co powtarzać te bzdury? – syknął, czerwieniejąc.

– Dlaczego sądzi pan, że to bzdury? – odparł Milik.

– Dawno już wiadomo, że te wszystkie rzekome negocjacje dotyczące Wiednia czy nawet akcje z agentami FSB penetrującymi możliwość gospodarczego przejmowania Polski nie mogły mieć wpływu na śmierć prezesa giełdy. Nie ma na to żadnych dowodów.

– Nie było również dowodów na samobójstwo, prawda? – spuentował Milik.

– No tak.

– A jednak powtarzał pan do dziś, że nie ma się czym zajmować, bo to było samobójstwo?

Tym razem redaktor z „Rzepy” tylko poczerwieniał.

– Nie sądzi pan – nie ustępował Bartek – że te nowe dowody, świadczące o zabójstwie, należy zweryfikować równie dogłębnie jak inne hipotezy śledcze?

– Przecież sam pan napisał, że to zabójstwo z miłości, a teraz pan... pieprzy o jakimś Wiedniu.

– Panowie, bez takich słów – upomniała prowadząca.

– Zabójstwo z miłości jest jedną z hipotez, rozpatrywaną równie poważnie jak powody biznesowe, takie jak negocjacje w sprawie Wiednia, wprowadzenie nowych systemów transakcyjnych czy spory kompetencyjne w sprawach

maklerskich. Wszystkie są równie prawdopodobne.

– Robisz niepotrzebne zamieszanie – zakończył dziennikarz „Rzepy” bardziej bezpośrednio, choć umówili się, że na antenie będą per pan.

– A ty bezkrytycznie przyjmujesz wersję oficjalną – odciął się Milik.

Późną nocą poproszono go jeszcze o komentarz w programie radiowym i zaproszono do studia na poranek polityczny i śniadanie w popularnym programie na żywo. Zgodnie z zaleceniami redakcji, której zależało na takiej reklamie, przyjął wszystkie zaproszenia, a potem poczuł się totalnie wypalony.

Rankiem temat wciąż był dość gorący. Wszystkie gazety cytowały tekst, próbując rozłożyć go na czynniki pierwsze i wysnuć jakieś własne wnioski. Nie było to łatwe, bo Bartek nie pozostawił im w zasadzie pola do popisu.

Na śniadaniu w radiu pojawiło się trzech znanych publicystów z największych gazet. Milik czuł się niezręcznie w ich towarzystwie. On miał dopiero pierwszą jedynekę, oni byli starymi wyjadaczami, którzy liczyli swoje ważne teksty w dziesiątkach tysięcy. Jeden z publicystów znany był z walki z komuną, bezkompromisowych starć z przeciwnikami i stanowczych poglądów, inny był kiedyś prezesem największej stacji telewizyjnej, kolejny sprawował funkcję naczelnego w niemal wszystkich tygodnikach po kolei.

To było nobilitujące. Tym bardziej że w przerwie cała ta banda pogratulowała mu tekstu.

– Naprawdę świetny materiał – rzekł naczelny tygodników. – Aż kipi od treści i materiału dowodowego. Perfekcyjna robota. Gratulacje.

– Dziękuję.

– Gdybyś kiedyś szukał pracy – wręczył mu wizytówkę.

ALE ŚWIAT – TYGODNIK NOWOCZESNEGO POLAKA – brzmiał nadruk na wizytówce.

Czemu nie?

– Media papierowe mają się coraz gorzej – powiedział Bartek sceptycznie. – Może już was nie będzie, jak ja zacznę szukać pracy.

– „Express” się utrzyma?

Może tak, może nie. „Małe, niegenerujące dużych kosztów, profesjonalne i dostarczające dobry content redakcje powinny wciąż mieć wzięcie” – przypomniał sobie slogan powtarzany przez prezesów „Expressu”.

– „Express” coraz mocniej stawia na portal internetowy.

– My też mamy taki portal – roześmiał się tamten.

Tak się zaczyna kariera – westchnął w myślach Bartek. Do wieczora ani razu nie wspominał o Marcie. Dopiero koło ósmej, siedząc w pustym domu, kilkakrotnie zbierał się do wykręcenia numeru, jednak rezygnował. Ewy nie było. On już powinien się wyprowadzić, ale wciąż nie miał dokąd. Ona przestała wracać na noc, spijając z Patrykiem. Nawet niespecjalnie mu to przeszkadzało. Jej chyba też. Wciąż traktowała go jak przyjaciela. Tylko nie mógł znieść tych rumieńców szczęścia na jej policzkach, gdy wracała nad ranem.

Dziwak jestem – powtarzał do lustra, unikając widmowego wzroku ojca. Prawdziwy facet wyniosłby się już dawno. Nie pozwoliłby na takie upokorzenie. Tylko dlaczego ja nie czuję żadnego upokorzenia?

W końcu koło jedenastej wybrał numer Marty. Długo się zastanawiała, czy odebrać. Gdy usłyszał szum nawiązanego połączenia i jej oddech, nie wiedział, od czego zacząć.

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę nie chciałem. Przepraszam.

Nie odezwała się.

– To było poza mną, nie miałem innej możliwości. To nie moja wina, do diabła. Wybacz mi.

Znów cisza.

– Nic nie powiesz?

– Nie dzwoń do mnie więcej.

Marta odłożyła telefon i przez chwilę się w niego wpatrywała. A może myliła się w swoich ocenach. Może rzeczywiście nie miał wyjścia. Najwygodniejsze tłumaczenie. Coś jej obiecał i złamał słowo. Nic nie jest wart. Nie zasługuje na drugą szansę.

Rozebrała się i weszła do wanny. Siniaki po ciosach na dzisiejszym treningu dawały się jej we znaki. O mało co nie

pozwoliła Zbyszkowi na to co przed laty. O mało nie udało mu się jej zwieść. Dotknęła ust, które dziś przez kilkanaście sekund odpowiadały na pocałunki Zbyszka, i poczuła podniecenie, rozlewające się w piersiach i podbrzuszu. Potem sięgnęła między nogi i przymknęła oczy. Nie myślała jednak o Zbyszku ani Miliku.

Myślała o kimś zupełnie innym.

Następny na liście był szef Związku Maklerów, rzekomo skłócony z prezesem giełdy. Uchodził za człowieka ostrożnego i unikającego rozgłosu oraz tłumów. Nie pokazywał się na sympozjach czy imprezach, preferował rozmowy w cztery oczy lub w niewielkim gronie znajomych. Pewnie dlatego wcześniej się nie spotkali.

Niewysoki, szczupły mężczyzna o woskowej twarzy i nieufnych oczach, z fatalnym uzębieniem i wadą wymowy, powitał ją oschle w drzwiach i zaprosił do gabinetu. Brak urody rekompensowała bijąca odeń inteligencja.

Marta dużo słyszała o jego talencie do liczenia w myślach i trafnych decyzjach inwestycyjnych. Niegdyś wszystkie domy się o niego biły. Do czasu pierwszej wtopy, która okazała się nader poważna.

Jak to mówią: zawsze kiedyś trafisz na większego twardziela.

Jeśli to ty jesteś zabójcą, pojedynek może być ciekawy – pomyślała Marta.

Nazywał się Jan Klejn. Uważnie obejrzał jej legitymację oficera ABW, zapisał numer sprawy i poprosił o wezwanie z prokuratury. Pokręciła głową i oznajmiła, że nie ma żadnego wezwania.

– Po prostu chcę z panem porozmawiać.

– Kto nadzoruje śledztwo?

– Prokurator Bielski. Jakub Bielski.

Zapisał nazwisko i imię obok numeru sprawy. Zauważyła, że w przypadku jej danych był równie skrupulatny. Spisał wszystkie informacje z legitymacji, z numerem służbowym włącznie.

– Boi się pan rozmawiać z policją?

– Pani nie jest z policji.

– Boi się pan ABW?

– A mam powód, żeby wam ufać? Przez ostatnie pół roku przeżywam duży kryzys zaufania do wszelkich struktur



państwa. Mam wrażenie, że jestem na podsłuchu, chodzą za mną agenci CBA, boję się o swoje dzieci i pracę. Jestem niewinnym człowiekiem, na którego ktoś się uwziął, przy czym nie wykluczam, że to tylko własny umysł i jego skłonność do wiary w spiski płata mi figle. Tak czy inaczej nie ufam szpiegom, agentom, wszelkiej maści TW i... kobietom. Pani uosabia wszystkie moje lęki.

– To przez konflikt ze Sworowskim?

– Konflikt?

– Przeczytałam, że się pokłóciliście.

– Nie wierzyłbym gazetom.

– Więc co się stało?

Makler przejechał językiem po nierównych zębach jakby w poszukiwaniu resztek jedzenia. Cmoknął kilkakrotnie, przelknął ślinę, strzyknąwszy nią wcześniej. Robił to chyba nieświadomie i Marta miała ochotę zwrócić mu uwagę, że to obleśne i nieuprzejme.

Może też uczynię sobie wroga.

– Witold Sworowski był dość trudnym partnerem biznesowym. Prezentował swoje stanowisko w sposób niepodlegający dyskusji, co nie zjednywało mu przyjaciół, za to potrafiło przysporzyć wrogów. Niemniej jednak nie powiedziałbym, że byłem jego wrogiem. Różnice zdań wyjaśnialiśmy sobie w sposób cywilizowany.

– O co się spieraliście?

– Głównie o wysokość kosztów ponoszonych przez domy maklerskie we współpracy z GPW. Witold był przeciwnikiem obniżenia obciążeń, na dodatek robił ruchy, które jeszcze pogarszały naszą sytuację.

– Na przykład?

– Na przykład nie zgadzał się na skrócenie sesji, co oznaczało dla nas znaczące koszty. Próbował przyciągać spółki zagraniczne, mimo że zdawał sobie sprawę, że generują zbyt małe obroty, by zwróciły się nakłady na obsługę. Ogólnie rzecz biorąc, czasem zachowywał się tak, jakby był przeciwnikiem maklerów, a nie partnerem.

– Mimo to nie byliście wrogami?

– Rozumiałem jego grę, on rozumiał moją. Nie miałem powodu...

– ...go zabić?

– Ani nawet inspirować krytykujących go tekstów w gazetach. To nie moja robota.

– A czyja?

– Mówi pani coś nazwisko Tadeusz Szarawarski?

– Minister skarbu? – Marta nie była pewna, czy ma na myśli tę samą osobę.

– Tak.

– I to on inspirował te teksty?

– Minister skarbu nie był przyjacielem Witolda.

– Był jego wrogiem?

– Pani to powiedziała.

– Ale pan zasugerował.

– Minister skarbu od początku swojej kadencji wydawał się sceptycznie nastawiony do Witolda. Sądzę więc, że mógł inspirować takie teksty, a nawet posunąć się do bardziej drastycznych środków nacisku. Chciał jego odejścia i upokorzenia. Dlatego w sporze opowiedział się po stronie maklerów, a nie spółki, którą teoretycznie powinien wspierać.

– Czemu nie zwolnił Witolda?

– Sworowski też miał swoje plecy. To, droga pani, polityka. Tutaj ścierają się różne interesy i często w jednej sprawie dana grupa zawiązuje sojusz, a w innej walczy na noże. Witold dobrze się w tym poruszał. Potrafił zjednać sobie na tyle poważnych popleczników, że minister skarbu nie mógł ot, tak sobie go zwolnić. Musiał mieć powody. Zebrać talię asów i dopiero wtedy zaatakować.

– Pana zdaniem zebrał taką talię?

– Udało mu się skompromitować Witolda w mediach i wyrzucić presję. Stworzył wrażenie, że Sworowski jest na wylocie, i wszyscy w to uwierzyli.

– A nie był?

Marta pomyślała o motywie. Czyżby minister skarbu był tak sfrustrowany nieskuteczną walką polityczną z prezesem, że posunął się do zabójstwa?

– Moim zdaniem chciał zrezygnować ze stanowiska prezesa giełdy, ale tylko po to, żeby przegrupować siły.

– To znaczy?

– Chciał zaatakować bezpośrednio Szarawarskiego. Podczas gdy ten byłby zajęty obsadzaniem stanowisk na giełdzie, Witold zebrałby siły i zgłosił swoją kandydaturę na zastępcę ministra skarbu. Słyszała pani o planach rekonstrukcji rządu? Premier obiecał, że co roku będzie analizował dokonania ministrów i w razie potrzeby dokonywał... korekt. Witold liczył więc na taką możliwość w swojej sprawie.

– To miało szansę się udać?

– Zależy od premiera.

– A pana zdaniem?

– Moim zdaniem Witold miał dobre, a nawet bardzo dobre notowania u premiera. Mogło to się skończyć porażką Szarawarskiego.

– Dobry motyw...

– Zabójstwa? Nie sędzę. Politycy nie zabijają się w walce o stołki. To gra, w której pociąga się za sznurki, stosuje fortele i kłamstwa, gra pełna ryzykownych posunięć, sztuczek i wybiegów... ale przemoc? Nie, szuka pani w niewłaściwej szafie. Poza tym nie wiem do końca, czy Witold kontynuowałby plan.

– A to dlaczego?

– Przed śmiercią dostał intratną ofertę. Gdyby ją przyjął i wszedł do zarządu dużego londyńskiego banku, byłby jednym z najlepiej opłacanych polskich menedżerów. Znalazłby się w zupełnie innej lidze... rozumie pani? Trafić w takie miejsce to jak strzelić cztery bramki Realowi Madryt. Dopóki do tego nie dojdzie, żaden Polak nie uwierzy, że to możliwe.

Marta zmarszczyła czoło. Wiedziała o tym. Ale myślała, że Witold trzymał to w tajemnicy. Powiedział tylko Ance i jej – tak przynajmniej twierdził przed śmiercią. Czyżby z Klejmem byli aż tak blisko?

– Rozważał rezygnację ze stanowiska prezesa giełdy i przyjęcie tej propozycji. Wyjechałby z Polski i prawie na pewno nigdy tu nie wrócił. Kto posmakuje kultury Zachodu i zobaczy,

jak daleko te standardy różnią się od naszych, ten raczej nie wraca.

– Znam wielu, którzy wrócili.

– Cóż, rzecz gustu. Tak czy inaczej nie tędy droga, jeśli chodzi o poszukiwanie motywu zbrodni. Moim skromnym zdaniem, rzecz jasna.

– Więc gdzie powinnam szukać?

– Może w kwitach. Może Witold dysponował czymś, co nie miało prawa ujrzeć światła dziennego.

– Myśli pan, że rzeczywiście tak było?

– Wszyscy ludzie na stanowiskach coś tam mają. Jedni nagrania, inni dokumenty. Pierwsze, co porządny urzędnik robi po nominacji, to szuka kwitów na poprzedników, kolegów, potencjalnych przyjaciół i wrogów. To baza do nawiązywania dalszych relacji politycznych.

– Obrzydliwe – wyrwało się Marcie. Nie wierzyła, żeby Sworowski też grał w te klocki. To nie jego liga zachowań. On nie używał takich kart.

– Obrzydliwe – przyznał Klejn. – Jednak konieczne. Sam mu doradzałem: poszukaj mocnych kwitów i trzymaj je na czarnej godzinę. Nie wyciągaj ich pierwszy, ale jeśli ktoś zacznie z tobą walczyć nieczystymi metodami, nie miej skrupułów.

– I myśli pan, że przez takie kwity musiał zginać.

– Kto wie... – Makler uśmiechnął się tajemniczo. – Ale, prawdę mówiąc, sam w to nie wierzę. Gdyby Witold znalazł coś mocnego, pewnie by się tym ze mną podzielił.

– Jakaś inna teoria? – Marta starała się już zakończyć rozmowę. Straciła wiarę, by kolejne słowa Klejna cokolwiek rozjaśniły. To były tylko przypuszczenia.

– Czytała pani „Express”? – zapytał.

Zarumieniła się. Wiedziała, do czego tamten zmierza.

– Czytałam – przyznała.

– No więc nie rozumiem, dlaczego traci pani czas na rozmowę z takim starym piernikiem jak ja. Powinna pani poszukać... miłości.

– Witold opowiadał panu o sprawach sercowych?

– O tym, że piękna pani Ania jest jego kochanką, wszyscy

wiedzieli na długo przedtem, zanim oficjalnie to ogłosili i zanim ona wyniosła się z rynku do jakiejś agencji, wybaczy pani, ale nie wiem jakiej...

– Reklamowej.

– Być może.

– Ale nie zwierzał się panu?

– Nie byliśmy przyjaciółmi – przypomniał. – Rozmawialiśmy o biznesie.

– Ani wrogami – podkreśliła.

– Witold był dżentelmenem. Nie rozmawiał o takich sprawach.

– Mimo wszystko sądzi pan, że zabiła go... kobieta.

– Tego nie powiedziałem. Sądzę, że zginął przez kobietę. Choć pewnie jest najbardziej prawdopodobne, że również za spust pociągnęła kobieta.

Marta zamyśliła się. Wrócili do punktu wyjścia. Zajrzała do zeszytu, w którym spisała sobie wątki do przerobienia, i zauważyła, że pozostał jeszcze jeden ważny temat.

– Wróćmy do konfliktu z Szarawarskim. Wie pan, o co im poszło?

– Może o kobietę. – Uśmiechnął się zagadkowo, jakby wiedział więcej.

Ona poruszała się po omacku, a ten drań coś ukrywał.

– Szarawarski i Sworowski pokłócili się z powodu kobiety?

– Tak bym tego nie określił.

– Proszę po prostu powiedzieć – westchnęła Marta, dorzucając w myślach: albo zaraz wyduszę z ciebie zeznanie. – Szarawarski był zazdrosny o powodzenie Sworowskiego?

– Przypuszczam raczej, że Szarawarski próbował poderwać panią Anię, zanim ta zaczęła się spotykać ze Sworowskim. Nic dziwnego, to była... to znaczy jest... piękna kobieta. Szarawarski nie mógł przeboleć, że dała mu kosza, a potem wybrała drugiego królika. Męska duma pękła. Od tego się zaczęło.

Dziwne – pomyślała Marta. Anka nic nie wspominała o tego typu zachowaniach Szarawarskiego. A jeśli... nie, to niemożliwe.

- Od tego się zaczęło? – dopytała się, żeby zyskać na czasie.
- Przynajmniej tak mi mówił.
- Witold?

– Czy to ważne?

– Więc Witold opowiadał panu, że Szarawarski próbował poderwać Ankę? A może kłamał?

– Kto? Witold? Nie sądzę. W każdym razie potem nastąpiło parę kolejnych uprzejmości. Najpierw Szarawarski zaczął coś przebąkiwać o konieczności obniżenia premii dla zarządu giełdy, mimo że już wcześniej ustalono stawki. Później sugerował na salonach, że jeśli giełda nie zrealizuje planów finansowych, to prezes będzie miał problem z uzyskaniem absolutorium. Takie małe szpikulce. Witold nie pozostał dłużny, bo to też samiec alfa. Tyle że raczej nie zdawał sobie sprawy, iż problem jest w konflikcie, proszę wybaczyć wyrażenie, kutasów. On nie dostrzegł tego związku. Dlatego przyjął te docinki jako polityczną nagonkę na swoje stanowisko. I odpowiedział, jak przystało na wojownika. Jeśli wróg się na ciebie zasadza, przedź atak...

– W jaki sposób?

– Najpierw zasugerował premierowi, że gabinet polityczny ministra skarbu jest zanadto rozbuchany i trzeba go znacząco zmniejszyć. Istotnie było tam zbyt wielu nierobów.

– Gabinety polityczne są przecież nie do ruszenia.

– Witoldowi udało się nie tylko ruszyć. Doprowadził do niemal całkowitej wymiany zaplecza politycznego Szarawarskiego, wprowadzając swoich ludzi. A wie pani, jak zablefował i dlaczego mu się udało?

– No jak?

– Przekonał premiera, że jednym z ważnych elementów strategii politycznej w następnych wyborach powinna być zmiana postrzegania rządu przy obsadzaniu stanowisk w spółkach Skarbu Państwa. Obalenie tej słynnej zasady TKM – teraz, kurwa, my. Namówił premiera, że jeśli ten da mu wolną rękę, to zbuduje w Ministerstwie Skarbu komórkę, która odpolityczni spółki, jednocześnie nie pozwalając na przejęcie w nich kontroli przez politycznych przeciwników. Zasada będzie

obowiązywać, ale w sposób znacznie bardziej oszczędny i cywilizowany. Gdyby to się udało, w kampanii wyborczej rzeczywiście można byłoby mocno zagrać tą kartą. Duże oszczędności, nowe reguły, etyka i moralność, a przy tym właściwie pozostawienie wszystkiego po staremu. Niezła ściema.

– To nie spodobało się pewnie Szarawarskiemu?

– Wywołało otwartą wojnę. Witold wszedł w jego kompetencje i doprowadził gościa pod ścianę. Szarawarski kipiał ze złości. Był gotowy dać mi wszystko, nawet milionowe odprawy, bylebym tylko pomógł mu pozbyć się Witolda.

– I pomógł pan?

– Nie mogłem otwarcie sprzeciwić się ministrowi. W moim interesie było rozgrywanie stron konfliktu. Przyjąłem więc rolę tego złego i pozwoliłem, by gazety opisywały mnie jako wroga Witolda, jednocześnie... nie będąc tym wrogiem.

– Witold o tym wiedział?

– Mieliśmy wspólne zainteresowania, które realizowaliśmy w pewnym klubie. – Podał Marcie wizytówkę z nazwą klubu i adresem. – Spotykaliśmy się tam i uzgadnialiśmy stanowiska.

– Nie boi się pan, że takimi wyznaniem narobi sobie nowych wrogów?

– A powinienem się pani bać?

– Nie.

– Dobrze pani patrzy z oczu, pani Marto. Dlatego postanowiłem powiedzieć, jak było. Wierzę, że nie wykończy mnie pani, wpisując to do akt.

– A co mam oficjalnie wpisać?

– To, co pani przeczytała w gazetach – roześmiał się. – Byłem dozgonnym wrogiem biednego Witolda. Ale go nie zabiłem.

– Ma pan alibi?

– Szczęśliwie czekałem na niego tamtej nocy w tym cholernym klubie. Miałem mu coś ważnego do przekazania.

– Co takiego?

– Pozwoli pani, że tej karty nie odkryję.

Marta zawahała się. Nie, nie dam się tak spławić.

- Jeśli to coś ważnego, musi pan powiedzieć.
- Powinienem mieć w ręku jakiś atut, proszę zrozumieć.
- Nie. Proszę mi powiedzieć, a ja zachowam to dla siebie.
- Aż tak pani nie ufam.

Marta westchnęła.

- Czy to ma związek z zabójstwem?

– Moim zdaniem nie. Dotyczy pewnej tajemnicy pana Szarawarskiego, którą Witold z pewnością chciałby poznać. W swoim czasie wszystko pani powiem, ale jeszcze nie teraz.

- A jeśli coś się panu stanie?

- Wtedy na pewno pozna pani moją tajemnicę.

Drań. Co on może ukrywać?

Marta dziwnie się czuła, wychodząc od maklera. Z jednej strony rozmowa dała jej bardzo dużo, ustawiła wiele spraw i zweryfikowała część hipotez. Ale ta końcówka... Już lepiej, by nie mówił, że ma coś jeszcze. A tak była piekielnie ciekawa. Czuła wręcz, że to ważne, może nawet kluczowe dla sprawy. Ale znała się na ludziach. Naciski nic by nie dały, a mogła stracić ważnego informatora.

Lepiej było to na razie zostawić.

W przeciwnym razie jedynym sposobem na wyciągnięcie informacji było zdradzenie maklera i przekazanie całej rozmowy do centrali. Co by uzyskała? Może wzięliby go na przesłuchanie, a on by wszystkiemu zaprzeczył. Przecież skoro to jego ubezpieczenie, to nie pozbędzie się go tylko z powodu wielogodzinnych przesłuchań. ABW nie torturowała więźniów. To nie CIA. A makler nie był bojownikiem Al-Kaidy.

- Cholera.



Ewa wróciła o szóstej i położyła się spać. Była trochę zawiana i chyba nie zamierzała iść dziś do pracy. Wstał po cichu, poszedł do kuchni i przyniósł jej wody. Postawił szklankę na nocnej szafce i chciał się wycofać, gdy przywołała go gestem.

– No chodź. Przytul mnie.

Nie był pewien, czy nie mówi przez sen, ale otworzyła oczy i mrugnęła do niego. Nie, nie spała. I widziała jego, nie Patryka. Dziwnie się czuł. Jakby teraz to on był kochankiem, a tamten zdradzonym chłopakiem. Wsunął się pod kołdrę i od razu oświadczył mu podniecenie.

Wciąż go pociągała.

Poruszyła pupę, pozwalając mu się lepiej wtulić. Leżeli tak bez ruchu, aż jego penis sam znalazł właściwą drogę. Dobrze ją znał. Przez te lata szedł nią tyle razy, że nie potrzebował drogowskazów. Ewa westchnęła cicho, gdy w nią wchodził, nie odsunęła się, tylko mocniej zacisnęła dłoń na jego pośladku. Nie był pewien, czy chce go powstrzymać, czy zmusić, by wszedł głębiej.

– Nikomu nie powiesz? – zamruczała. – Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

– Obiecuję.

Odwróciła głowę i musnęła jego gorące usta, a potem zaczęła sama się poruszać i skończyła szybko, kwiląc w poduszkę. Słuchał jej cichnącego oddechu i nagle zrozumiał, że zasnęła. Tak po prostu zasnęła.

Nie no, kurwa – pomyślał – to się nie dzieje naprawdę.

O ósmej wziął prysznic, włożył koszulę, starą, wyświechtaną marynarkę (jedyną, jaką miał) i ruszył na konferencję premiera, na którą polecono mu pójść.

Premier był szczupły i mądry. Milik wolał wprowadzić luzaków z partii lewicowych, ale premiera szanował. Gość miał charyzmę i niebywały zmysł. Osobliwy talent do publicznych debat, erudycję i rzadką u Polaków zdolność do polubownego

załatwiania sporów. Nie pozwalał się też zagonić do kąta. Ilekroć ktoś próbował walczyć z nim merytorycznie, dostawał lupnia. Gdy jedna z posłanek opozycji zarzuciła mu niesłusznie kłamstwo, zażądał odsłuchania taśm i przed kamerami udowodnił swoją rację.

Dużo zyskiwał dzięki takim prostym gestom. Przed wszystkim jednak potrafił słuchać innych, jednocześnie wykazując twardość i zdecydowanie tam, gdzie trzeba.

Do diabła, był dobrym premierem, może najlepszym, jakiego kiedykolwiek miała Polska. Ale ten cały piar i brak działań reformatorskich... Jedna wielka ściema na polu gospodarczym, dążenie do przeciągania koniecznych decyzji. Odkładanie wszystkiego w czasie za cenę utrzymania wciąż zadowolającego poziomu popularności.

W tym zakresie przypominał chłopca, który zlał się w galoty i licząc na to, że wyschną, przed powrotem do domu biegał naokoło bloku. Nic się nie stało, mamusiu, zaraz wrócę i przekonasz się, że to nieprawda, co mówi Kazio o moich obszczanych gaciach.

Pod tym względem to nie był dobry premier. Polska potrzebowała zmian, szybkich reform, odbiurokratyzowania, walki z korupcją i nieprawidłowościami gospodarczymi z jednej strony, a zdecydowanego poszerzenia wolności gospodarczej i odwrócenia proporcji na korzyść obywatela z drugiej. To państwo powinno być dla niego, nie odwrotnie.

Sprzeczności. Polityka to sztuka znajdowania wspólnych punktów w tych sprzecznościach.

Polsce potrzebne były odważne decyzje, a nie stoicka skłonność do przeczekania. Także, a może przede wszystkim, w kwestiach gospodarki i rynku kapitałowego.

Rynek kapitałowy. Tak, on łączył premiera i prezesa giełdy. Przy każdej dużej ofercie publicznej spółek państwowych obaj go prezentowali. Ramię w ramię. Zachęcając Polaków do wejścia w biznes, przejęcia części odpowiedzialności, złudnego dotknięcia steru władzy. Chodźcie, zaróbcie z nami, nie pozwólcie, by pociąg sukcesu wam odjechał. Wsiadamy na jednej stacji i jedziemy. Piękne hasła reklamowe.

Milik miał wrażenie, że bardzo do siebie pasowali. Jakby grali na tym samym instrumencie. Dlaczego więc premier w pewnej chwili odwrócił się od prezesa? Z jakiego powodu rozgorzał spór? Kto go sprowokował? Na monitorze City TV w metrze co chwila pojawiały się nowe informacje o śledztwie dotyczącym zabójstwa prezesa GPW.

Premier zapowiedział konferencję prasową w tej sprawie po doniesieniach „Expressu”. Po moich doniesieniach – pomyślał z dumą Milik. Późniejsza burza medialna była tego wynikiem.

Następnie wyskoczyła przedziwna wiadomość o nagłej chorobie i urlopie ministra skarbu Tadeusza Szarawarskiego. Szarawarski, Szarawarski... Z tekstu Stefana wynikało, że on też był w konflikcie ze Sworowskim. Inna gazeta bardziej się rozpisywała na ten temat. Rzekomo minister razem z prezesem Związku Maklerów miał zawiązać sojusz przeciw prezesowi giełdy, żeby się go pozbyć. Ich działania spowodowały falę artykułów o naruszeniu zasad etycznych przez Sworowskiego przy pozyskiwaniu funduszy na niejasny projekt biznesowy.

Dziwna sprawa.

– Halo, chłopcze, przesuń się. – Jakaś babcia próbowała wcisnąć tyłek pomiędzy niego a inną osobę.

Milik wstał i ustąpił jej miejsca.

– Dziękuję.

Szarawarski wciąż patrzył na niego z monitora, który się chyba zawiesił. Czyżby to był jakiś znak? Powinienem z nim pogadać?

Wysiadł przy Politechnice i przespacerował się do placu Unii, minął aleję Szucha i skręcił w Bagatelę, a potem w Ujazdowskie, gdzie w Kancelarii Premiera miała się odbyć konferencja.

Strażnicy przy wejściu sprawdzili, czy niczego nie wnosi, dali mu przepustkę i skierowali do sali konferencyjnej. Większość dziennikarzy już przyszła. Pierwszy raz miał uczestniczyć w konferencji premiera i czuł się trochę onieśmielony. To tak, jak kiedyś pierwszy raz był w Sejmie. Też dziwnie się czuł. Pierwszy kontakt z władzą, której nie szanował, bo dawała prawdziwy przekrój polskiego społeczeństwa. Zawistnego,

skłóconego, mało merytorycznego i zapatrzonego w konflikty zamiast w nowe projekty. Tam nikogo tak naprawdę nie obchodził postęp – myślał wówczas i do dziś nie zmienił zdania. Nawet jeśli trafiali się mądrzy i dobrzy posłowie, to stanowili wyjątek od reguły. Szkoda. Zaprzepaszczali cywilizacyjną szansę. Cofali nas na bocznice, zamiast dać impuls do wrzucenia piątego biegu.

Kamery i mikrofony osaczały szeroki stół, na którym umieszczono już karteczki z nazwiskami oficjeli. Weszli po chwili, funkcjonariusze BOR stanęli po bokach, a premier uśmiechnął się szeroko. Miał sympatyczną twarz i szczery uśmiech. Cholera, naprawdę mimo wszystko go lubię.

– Dzień dobry państwu – powitał zgromadzonych rzecznik rządu i klepał coś trzy po trzy przez następny kwadrans.

Potem swoje przemówienie wałnął premier. Był dobrym mówcą. Sprawiał wrażenie kompetentnego i wyważonego, a jednocześnie mówił wprost do ludzi, nie bał się ich spojrzeń, wydawał się otwarty i szczery.

Kto cię tego wszystkiego nauczył?

W pewnym momencie ich spojrzenia się zetknęły i Milik przestał rozumieć cokolwiek. Wszystko, co powiedział premier, z niego wyparowało i poczuł, że jest przerażony. Konferencja dotyczyła jego tematu, jego śledztwa, jego sprawy, a on nie wiedział, o co pytać, bo nie usłyszał słów premiera. Dopiero po chwili się uspokoił: cząstki zdań wróciły i zaczęły się układać gdzieś w umyśle.

Śledztwo wzmocniono... zespół dochodzeniowy został powiększony... nad prawidłowością postępowania czuwa już trzech prokuratorów... bezpośredni nadzór nad sprawą objął prokurator generalny... minister sprawiedliwości kontroluje akta postępowań sądowych, które mogą mieć związek z hipotezami biznesowymi... do zespołu ABW badającego wątki kryminalne włączono najbardziej doświadczonych śledczych z policyjnej dochodzeniówki... wykorzystany zostanie najnowszy sprzęt w celu ustalenia wszelkich szczegółów tej niezrozumiałej, potwornej zbrodni na moim przyjacielu Witoldzie Sworowskim.

MOIM PRZYJACIELU? – przebiło się do umysłu Milika. Wyraźnie to powiedział. Użył określenia, które dla wrogów denata powinno mieć jasny, ostrzegawczy kontekst. Kimkolwiek jesteście, właśnie zadarliście z niewłaściwym człowiekiem. No dobra, twardzielu, pytanie tylko, czy to nie blef.

– Zabójstwo prezesa giełdy i wszystkie okoliczności tej sprawy są mocno bulwersujące. Ja traktuję to jak wypowiedzenie wojny. Ktoś, proszę państwa, wypowiedział nam wojnę i musimy się dowiedzieć kto, a następnie odpowiedzieć z całą surowością i wszelkimi dostępnymi środkami.

Boże, co to za nadęty tekst! – pomyślał Bartek.

– Podejrzewa pan działanie zorganizowanych grup przestępczych? – zapytał ktoś z sali, chyba facet z TV8. Miał elegancką marynarkę i czerwony krawat. W przeciwieństwie do Milika nie wyglądał jak fleja.

– Nie wolno mi mówić o konkretnych hipotezach, ale jedną z nich jest rzeczywiście przenikanie struktur mafijnych na rynek kapitałowy. Przestępczość zorganizowana nie tkwi w miejscu i szuka nowych możliwości prania pieniędzy i lokowania środków w legalny biznes. Odnotowujemy takie próby od pewnego czasu. Zarząd giełdy zawsze reagował na nie z należytą uwagą. Tak więc...

Premier przerwał. Niech sobie każdy dopowie, co chce.

– A obcy wywiad? Wątek wiedeński? Rosjanie? Co pan na to?

– Nie sądzę, by można było poważnie traktować te spekulacje. Czasy zimnej wojny i żelaznej kurtyny się skończyły – uciął krótko szef rządu.

– Nie dla wszystkich, panie premierze. Do Wiednia dziś lepiej nie jeździć, prawda?

– Tak jak lepiej nie posiadać kont w Szwajcarii czy na Cyprze albo nawet w polskim banku i... nie hodować kotów – zażartował premier, nawiązując do drwin z lidera opozycji, który nie miał żony i konta w banku, za to miał kota.

– Jednak dane giełdowe wyparowały, a atak na walutę i niektóre akcje nie był przypadkowy – zauważył reporter TVN.

- No i to zniknięcie taśm monitoringu...
- Trudno to komentować na obecnym etapie.
- Jest pan poruszony tekstem w „Expressie”?

Premier ponownie odszukał wzrokiem Milika. Jego oczy się uśmiechnęły.

- To był rzeczywiście poruszający tekst. – Skinął mu głową.
- Jestem pod wrażeniem.

Kurwa mać, mieszkam jak dziad, jeżdżę metrem do pracy, zarabiam poniżej średniej krajowej, moja laska dyma się z jakimś frajerem, piszę boczeki i banalne teksty z raportów giełdowych, a premier rządu kiwa mi głową. Za jeden materiał. Trzeba podziękować Brychtowi, wiedział, co dobre.

– Myślę, że pan Milik zaintrygował nas wszystkich swoimi hipotezami i nie pozwolił uśpić dziennikarskiej ciekawości. Dzięki niemu śledztwo ruszyło do przodu. Brawo, panie Milik.

„Brawo, panie Milik”? To mówi premier, a nie plastusiowy sobowtór? „Brawo, panie Milik”. Zajebicie brzmi. Słyszysz, Ewuś? A ty wolisz jakiegoś pierdolonego Patryka! Zastanów się dobrze, mój czas nadchodzi.

Bartek zdał sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą i czekają na jego pytania. Poczzerwieniał, chrząknął, po czym wypalił:

– Nie obawia się pan, panie premierze, że śledczy pójda po linii najmniejszego oporu i znajdą kozła ofiarnego, który będzie najlepiej pasował do zbrodni?

– To znaczy? Boi się pan manipulacji?

– Mówiąc wprost, czy nie ma zagrożenia, że ABW, pragnąc jak najszybciej zamknąć sprawę, postawi zarzuty konkubinie prezesa Sworowskiego? Niekoniecznie mając po temu odpowiedni materiał dowodowy...

Mam nadzieję, że to, kurwa, oglądasz, pani oficer z ABW. Mam wielką nadzieję.

– Jeśli podejrzenia będą poparte dowodami, niczego nie możemy wykluczyć... – odparł premier. – Chyba nie oczekuje pan ode mnie, że będę kontrolował poczynania śledczych?! To są fachowcy. Nie sądzę, żeby dali sobą manipulować.

– Ale z tego, co wiem, mają przeciwko tej kobiecie tylko

poszlaki. Brakuje dowodu, że kochanka prezesa mogła mieć związek ze zbrodnią. A mimo to wymienia się ją jako najbardziej prawdopodobnego... kozła ofiarnego. Wiadomo, że politycy oczekują szybkich efektów śledztwa, niekoniecznie opartych na racjonalnych wnioskach i dowodach. Nie boi się pan tego?

– Prokurator generalny nie pozwoli na, jak pan to ujął, opcję kozła ofiarnego. Nadzór nad śledztwem będzie... hm, bardzo skrupulatny, proszę mi wierzyć. Oczekuję szczegółowego zbadania wszystkich hipotez.

– Czyli nie będzie zarzutów wobec kochanki? – zapytał ktoś z sali, patrząc z powątpiewaniem na Milika. Właśnie sam zburzyłeś własną jedynekę. Czy tak robi profesjonalny dziennikarz śledczy?

– Jest kilka hipotez i wszystkie są równie prawdopodobne – zakończył premier, wyraźnie zmęczony tym wątkiem.

Potem zaczęły się pytania o inne sprawy. Premier odpowiadał, znów wprawiając Milika w podziw. Ten gość umiał wygrzebać się z każdych tarapatów. I to zawsze z tarczą. Do diabła, trzeba go docenić. Nawet jeśli to tylko zręczny manipulator, choć odnosi się wrażenie, że jest inaczej. Zawsze wygląda na szczerze zainteresowanego lub poruszonego tematem. Czyżby mnie kupił? Milik kiedyś wolał prawicę, bo wierzył w hasła o naprawie państwa. Ale gdy prawica doszła do władzy i nic tak naprawdę nie zrobiła, tylko intrygowała, zaczął sympatyzować z lewicą. Przecież jeszcze na studiach uchodził za rewolucjonistę. Tyle że lewica była lewicą jedynie na pokaz. W rzeczywistości siedzieli w niej goście, którzy myśleli o twardym pieniądzu i do niego dążyli.

Cała polityka to wielkie oszustwo.

Może więc czas dać szansę premierowi?

Mogli nie zgadzać się co do paru kwestii, ale nie sposób było odmówić mu przenikliwości, inteligencji i swoistego uroku. Zaczarował mnie, do diabła.

Kiedy Bartek wychodził, zaczął go jeszcze ktoś z kancelarii.

– Proszę poczekać.

– Na co?

– Zaraz pan się dowie.

Poprowadzono go do pomieszczenia, w którym stał ogromny dębowy stół otoczony krzesłkami. Na ścianie wisiał biały ekran, a na jego tle wystawiono flagi Polski i Unii Europejskiej. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł... premier.

No nie, to już, kurwa, przesada! Milik spłonął takim rumieńcem, że aż się przestraszył: zaraz wykituje! Kiedyś miał problemy z sercem. Nawet spędził tydzień w szpitalu, poddawany specjalistycznym badaniom. Lekarze znaleźli wrodzoną wadę serca, ale ostatecznie stwierdzili, że nie tylko nie powinna mu w życiu przeszkadzać, ale nawet może się okazać pomocna.

– Dzięki temu pana serce lepiej działa, niesamowite, prawda? – powiedział mu lekarz, patrząc nań jak na eksperyment genetyczny.

Poproszono go o udział w rozmaitych badaniach, ale nikt nie był w stanie wyciągnąć z nich jakichkolwiek wniosków. Po prostu zrzędzeniem opatrności miał inne, może nawet lepsze serce.

– Chciałem uścisnąć panu dłoń, redaktorze – powiedział premier.

– Panie premierze. – Niezwykłe Milikowe serce łomotało jak szalone.

– Usiądźmy. – Premier wskazał mu miejsce i poczekał, aż je zajmie. Wtedy sam usiadł. Grzeczny, skubaniec. – Napije się pan ze mną kawy?

– Nie, dziękuję – bąknął Bartek.

Kawa z szefem rządu mogłaby mnie zajebać... to znaczy mógłbym źle skończyć. Pomyślał, że w obecności tak ważnej osobistości nie wypada przeklinać nawet w myślach. Spojrzał na starą skórzaną torbę, w której nosił netbooka i dwa kajety do zapisywania. Czy gdzieś tam nie zawieruszyło się trochę gandzi? Może pan premier zajara? Kiedyś przecież nie był takim sztywniakiem i lubił się zaciągnąć. W ogóle podobno był z niego równy gość. No więc jak, po maszku? To by było co opowiadać Gregowi i innym! Jarałem trawę z premierem. Nieoficjalnie wcale nie jest przeciw legalizacji. Trzeba tylko



przekonać ministra finansów, że na akcyzie zarobi nie gorzej niż przemysłnicy z Kolumbii. W końcu skoro i tak pracujemy w przestępczości zorganizowanej...

– Mówił pan szczerze o tych obawach dotyczących matactw w ABW? – Szef rządu zdjął krawat i odpiął guzik pod szyją.

Nie no, coś się szykuje. Wpierdol czy kochanie?

– No... chyba tak.

– Nie wierzy pan w winę tej...

– Anki – uzupełnił Bartek.

– Właśnie.

– Kochanka nie zabija swojego narzeczonego, z którym nie miała żadnego konfliktu, nie robi tego w budynku giełdy monitorowanym jak bank i nie kradnie taśm z kamer.

– Też tak sądzę.

– Jeśli więc aresztują Ankę, dla mnie będzie to potwierdzenie obaw o matactwo. Ta kobieta tego nie zrobiła.

Premier baaardzo powoli pokiwał głową, a następnie wycedził:

– Dlatego włączyłem w sprawę policjantów z dochodzeniówki. Mają patrzeć na ręce ABW. Od dawna mamy z Agencją na pieńku, to pewnie pan słyszał. Nie ufam im.

Premier rządu nieufający własnym służbom specjalnym to w większości krajów zły znak. Ale akurat w Polsce jest inaczej. Jak z wieloma rzeczami.

– Zapewniam pana, że nie będzie żadnej manipulacji – podsumował. – Wyjaśnimy tę sprawę do końca.

– Dziękuję. To dla mnie... ważna deklaracja.

Premier wstał, ale jeszcze się zawahał.

– Zdradzi mi pan, dlaczego najpierw napisaliście na pierwszej stronie, że główną podejrzaną będzie kochanka, a teraz jej bronicie?

– Taka nasza dziennikarska przekora. – Bartek już się rozluźnił. – A tak szczerze to oszukali mnie szefowie i wstawili na jedynkę kłamstwo.

Premier spojrział mu przenikliwie w oczy.

– Nieładnie źle mówić o szefach.

To kutasy – pomyślał.

– Lepiej kłamać? – zapytał.

– Nie, ale czasem lepiej milczeć. Pozwolić, by trudne pytanie opadło na ziemię, i zasypać piachem. To dobra rada, proszę ją zapamiętać.

A już cię polubiłem.

– Zapamiętam – mruknął cicho.

Ale będę robił po swojemu, cwaniaku.

Premier wyszedł. Milik zastanawiał się przez chwilę, kto tu kogo chce zrobić w konia. Wymienił się wizytówkami z szefem gabinetu, poszedł za nim wąskimi korytarzami do dyżurki, odmeldował się i po chwili był już na zewnątrz.

Czym prędzej wybrał numer do Marty.

No proszę, odbierz. Właśnie, kurwa, odkupiłem winy.

Ale Marta nie mogła odebrać telefonu.

Rezydencja ministra skarbu Tadeusza Szarawarskiego była usytuowana w samym środku podwarszawskiej puszczy i parku narodowego. Marta przeczytała, że minister kupił sobie tę willę za jedną dziesiątą wartości na jakąś dziwną, działającą w branży leśnej spółkę, której kiedyś był właścicielem. Gdy przyjął ministerialną nominację, sprzedał firmę siostrze czy innej zdzirze i udawał, że nic go nie łączy z niewielkimi, ale powtarzającymi się z zadziwiającą regularnością kontraktami ze spółkami kontrolowanymi przez Skarb Państwa.

Piękny dom. Przestronny, z zalesioną starodrzewem działką o powierzchni hektara. Cudo.

Jakiś układ z leśnikami sprawił, że mógł kupić tanio i w miejscu wartym majątek. Biznesmeni płacili za to miliony. Obok, niedaleko, miał zresztą swoją hacjendę jeden z najbogatszych Polaków, ale, o dziwo, nabył ją uczciwie, ofiarowując w zamian inne tereny, położone w specjalnej strefie ekonomicznej – nieco mniej atrakcyjne turystycznie, ale o znacznie większej wartości gospodarczej.

Minister skarbu w zamian za swoje profity oddawał Polsce tylko usługi, których ta chyba wcale nie chciała.

Marta pokonała kilka wąskich uliczek, klucząc między zagajnikami, zanim dotarła wreszcie do bramy rezydencji.

– No, prawdziwa willa milionera... ze Skarbu Państwa – mruknęła pod nosem.

Nacisnęła dzwonek i po chwili ktoś uruchomił silniczki otwierające bramę. Wsiadła do samochodu i przejechała między drzewami, aż zatrzymała się na rozległym parkingu. Za kratą sporego kojca czekały na nią trzy rottweilery. Cholera, pan minister mieszka jak gangster.

Tadeusz Szarawarski otworzył drzwi na ganku i sympatycznie do niej pomachał. Miał weekendową niebieską koszulę bez krawata i lekkie sportowe spodnie. Marta rozejrzała się jeszcze raz. Dom w stylu staropolskiego dworku,

prosta konstrukcja, ganek wsparty czterema kolumnami, obok garaż, z tyłu domek dla służby, po drugiej stronie oranżeria, pewnie spory taras, może mały basen, a może nawet duży. Dom za parę ładnych milionów.

Minister przywitał się z nią wylewnie, ściskając mocno dłoń i poklepując przyjacielsko po ramieniu.

– Pani Marta? – dopytał.

Wyjęła legitymację ABW, ale nawet nie chciał jej oglądać.

– Od razu widać, że jest pani z ABW.

Nie wiedziała, czy to komplement, czy uszczypliwość, uśmiechnęła się więc wymuszenie. Nie lubiła takich cwaniaków i łapówkarzy z układami, które nie pozwalały ich dorwać.

Przedsiomek miał z piętnaście metrów długości i sprawiał wrażenie wejścia do pałacu, zaraz za nim mieścił się ogromny hol przechodzący w salon połączony z kuchnią. Z tyłu, tak jak się spodziewała, oranżeria i duża biblioteka pogrążona w półmroku słabych lampek. Poczula zapach cygar. Prawdziwy gangster z pana ministra.

– Proszę tak nie patrzeć – mruknął pod nosem. – Czego się pani napije?

– Jak nie patrzeć?

– Jak na łapówkarza – uzupełnił. – Jestem biznesmenem.

– Myślałam, że urzędnikiem.

– Obecny rząd jest mądry, więc zatrudnia doświadczonych menedżerów. Pracowałem dziesięć lat w zarządach zagranicznych koncernów. Zarobiłem wystarczająco, żeby było mnie stać na taki dom.

Marta nie lubiła, gdy ktoś robił ją w konia. Szarawarski rzeczywiście był bogaty. Mówił prawdę o pracy dla koncernów, ale nie robił w nich nic poza utrzymywaniem kontaktów ze swoimi kolegami z partii politycznych. Załatwiał politycznych interesów. Doradca zarządu. Tak to się nazywało. Doradzanie polegało na umiejętności wybierania telefonów do osób, z którymi wcześniej nawiązał bliskie relacje. Ciekawe, ilu urzędników sam skorumpował i ile milionów dolarów przelał na ich konta.

– Kupił pan ten dom za jedną dziesiątą wartości – wypaliła.

Nie przyjechała tu dla poprawy samopoczucia pana ministra.

Jego jowialna, przyjacielska twarz stężała.

– Dobrze jest pani zorientowana – westchnął. – I jednocześnie ocenia mnie przed wysłuchaniem wyjaśnień.

– Ma pan wyjaśnienie?

– Dom należał do prezesa spółki, który dokonał pewnych manipulacji i został postawiony w stan oskarżenia...

– I którego nigdy nie skazano. Oszukał pięć tysięcy osób na trzyście milionów.

– Rzeczywiście dużo pani wie. Dom miał być zlicytowany, ale ów człowiek przekazał go żonie, która następnie wynajęła posiadłość i przekazała ją pod zastaw kredytu udzielonego przez ojca owego biznesmena. Cała operacja spowodowała, że ta piękna willa była nie do ruszenia przez komornika. Zadłużenie wielokrotnie przekraczało wartość i nie zaspokoiłoby wierzycieli.

– Pan znalazł sposób.

– Spłaciłem pozostałych wierzycieli i kupiłem posiadłość taniej. Z tego i tylko tego powodu.

Dobre wyjaśnienie, przekonujące. Marta próbowała dostrzec w twarzy rozmówcy fałszywy rys, ale go nie znalazła. Jeśli był zdenerwowany, nieźle to krył. Choć... coś jednak drzemało w jego oczach. Nie strach, coś innego. Każdy ma tajemnice. Jakie są twoje?

– Zostawmy to już – mruknęła.

– Pani oficer, nie jest pani miłą osobą.

– Dlatego że panu nie ufam?

– Jestem ministrem skarbu.

– Nie zapominam o tym.

– Mam nadzieję. Więc napije się pani czegoś?

– Proszę szklanek wody.

– Coś mocniejszego?

– Prowadzę samochód. – Nie dodała, że pożyczony od wujka. Nie rządową limuzynę. Każdy może mnie sprawdzić, nie tak jak ciebie.

Popatrzył na nią z wyraźnym rozbawieniem w kącikach oczu, ale nie skomentował. Nalał jej szklanek wody, a sobie brandy z

ozdobnej karafki z grubego szkła. Wtedy Marta usłyszała kroki na schodach i zobaczyła młodą dziewczynę w luźnych lnianych spodniach i T-shircie z napisem FUCK THEM ALL. Dziewczyna zawahała się i przystanęła w pół kroku.

– Suzi, chodź się przywitać! – zawołał minister.

Suzi wyglądała bardzo dziewczęco. Miała ładną, choć specyficzną twarz o lekko tatarskich rysach, brązowe oczy i proste usta. Wysokie kości policzkowe nadawały jej obliczu wyraz jakiegoś starożytnego malowidła na owalnej wazie. Szczupła sylwetka i niewielkie piersi dopełniały obrazu kobiety o wyjątkowej, oryginalnej i nieco egzotycznej urodzie. Dla jednych mogła być niezwykle piękna, dla innych raczej przeciętna, a nawet brzydka. Marta przez chwilę pomyślała, że mogła być córką ministra, gdyż była sporo od niego młodsza. Wiedziała jednak, że jest inaczej.

– Moja żona Zuzanna. Pani oficer z ABW.

– Chce pani zamknąć mojego męża? – roześmiała się Suzi.

– Na razie tylko przesłuchać.

– A szkoda! – Białe małe zęby błysnęły po raz drugi w nawilżonych ustach Suzi. – Przydałoby mu się trochę dyscypliny.

Marta nic nie odpowiedziała.

– To ja już pójdę, poprzesłuchujcie się w spokoju. – Suzi pomachała jej dłonią i podbiegła w kierunku schodów. Dziewczęca, wiotka, wspaniała.

Cóż za zepsuty świat, że takie fajne laski są skłonne dla kasy poświęcić życie gnidom!

– Ciągle z nią kłopoty – szepnął minister. – Młodość...

– Ma pan piękną żonę – odparła szeptem, wciąż zastanawiając się nad paroma rzeczami.

Ten gangster nie zasługiwał na taką kobietę. Ale pewnie układ był jasny. Kasa, mercedes, fajny dom w zamian za funkcję reprezentacyjną, dwa lodziki tygodniowo i ostre rżnięcie w pupę raz w miesiącu. Czy tak, panie ministrze? A może to ona cię ujeżdża? Zarzuca siodło na plecy i bije mocno w tyłek pejczykiem? Przywdziewa uprząż ze sztucznym członkiem, staje za tobą i wkłada ci w cztery litery? Wyobraźnia

podsunęła jej obrazek Suzi w czarnej masce i lateksowych spodniach, przygotowującej się do spółkowania z tym starcem. Podłe. A może jest niesprawiedliwa? Może to po prostu miłość do wspaniałego człowieka, którego ceni się nie tylko za pieniądze i stanowisko, ale też za wnętrze i charakter. Może...

– Chce pani rozmawiać o mojej żonie?

Pewnie, z przyjemnością. W jaki sposób pan ją pierdoli? Staje jeszcze panu? A może wystarczy tylko jej piękny uśmiech w sukni od Diora na salonach Pałacu Prezydenckiego. Dzieli się pan nią z prezydentem i jego kolegami z WSI? Jest pan ich człowiekiem, prawda? To pana plecy i moc, czy tak?

– Nie. Pańska żona nas nie interesuje.

– Mnie za to bardzo. No, ale przejdźmy do rzeczy.

– Jak pan wie, chcę porozmawiać o Sworowskim.

– No tak, czytałem te rewelacje „Expressu”. I co, sądzi pani, że to ja go odstrzeliłem?

– A miał pan powód?

Szarawarski roześmiał się głośno. Potem szybko spoważniał, przesiadł się bliżej i zapytał: – Nagrywa to pani?

– Nie. Mam dobrą pamięć.

– Więc to luźna rozmowa. Nie żadne zeznanie?

– Luźna rozmowa – potwierdziła.

– I nie szuka pani na mnie haków?

– Nie.

– To powiem pani...

Pociągnął łyk brandy. Skrzywił się, sięgnął do pudełka z cygarami.

– Mogę?

Wzruszyła ramionami.

Chcesz się truć, trudno. Szkoda, że ze mną, ale wytrzymam. Sama też się trułam, ale nigdy takim syfem. Wolę fajki, zwyczajne cienkie wołgi.

Przypalił cygaro, wydmuchnął śmierzdzący dym i wreszcie przeszedł do rzeczy: – Nienawidziłem skurwysyna. Sprawił mi wielką radość, wałąc sobie w łeb. Cieszyłem się jak dziecko. Jak dziecko.

– Problem w tym, że ktoś mu pomógł.

– Teraz to wiem, ale wtedy nie wiedziałem. I powiem pani, że mogę ufundować milion dolarów dla tego, kto to zrobił. Nie chce pani miliona dolarów? Chętnie zapłacę zabójcy, który... wyrwał ten chwast.

Marta zacisnęła pięści, aż ból stał się nieznośny. Dłonie błyskawicznie się spociły.

– Nie podoba mi się to, co pan mówi.

– Chciała pani znać prawdę. To jest prawda.

Westchnęła głośno. Pierdolony drań i łajdak.

– Dlaczego tak go pan nienawidził?

– Bo na to zasługiwał. Nie znałem wcześniej podobnego skurwysyna. Był wyjątkową łajzą, może mi pani wierzyć, moja droga. Niby taki fachowiec, a wie pani, jak to wszystko zdobywał, jak pokonywał stopnie kariery, wie pani? Wkładał... tam gdzie trzeba. Znajdował sobie stare, zmęczone kobiety i na ich plecach wędrował coraz wyżej. Od uczelnianego adiunkta przez urzędasę w ministerstwie i biurwę przy giełdzie aż do wielkiego prezesa giełdy. A na każdym szczeblu czekała już kolejna ofiara, która katapultowała go wyżej. Taka prawda.

Gówno prawda – miała ochotę warknąć, ale udawała, że słowa Szarawarskiego nie wywierają na niej żadnego wrażenia. W rzeczywistości miała ochotę podejść do szui i zdzielić go mocnym shomenuchi w łeb, a potem krótkim katatori w nos. Już słyszała szczęk łamanej kości i płacz starego mężczyzny, który w głębi duszy pozostał nieznośnym bachorem.

– *Watashi wa anata no byu– ni haku shitai.*

– Słucham?

„Rzygać mi się chce na pana widok”. Powiedziała to po japońsku, nie bardzo się przejmując, że minister może znać ten język. Nie znał. Takie gnidy nie znają języków. Polska to kraj, w którym z kelnerem można pogadać po francusku, z mechanikiem po angielsku, a z ministrem tylko po polsku.

– *Watashi wa anata no byu– ni haku shitai* – powtórzyła i skłamała: – To po japońsku oznacza, że każdy drań znajduje w końcu swojego pogromcę.

– Przysłowie? – Szarawarski roześmiał się. – Podoba mi się. Każdy drań znajduje...



– ...swojego pogromcę.  
– Właśnie. Proste, ale dobre. Tak więc Sworowski też znalazł.  
– Czy to prawda, że dzielił panów konflikt w kwestii gabinetu politycznego i powoływania polityków na stanowiska w spółkach Skarbu Państwa?

– Więc o tym też słyszeliście? Cholera, przed ABW nic się nie ukryje. Ale to dobrze. Nawet bardzo dobrze. Tak, wszystko to prawda. Sworowski próbował w ten sposób zrobić mi na złość, ale średnio mu się udało. Premier początkowo dał się nabrać, ale w końcu wytłumaczono mu, że strzela sobie w kolano i pomysły Sworowskiego mogą doprowadzić do oddania ważnych stanowisk przeciwnikom politycznym.

– TKM – prychnęła Marta.

– Szanowna pani, skoro mamy odpowiadać za gospodarkę, to musimy mieć kontrolę nad strategicznymi spółkami. Pani by chciała tego co Sworowski? Żeby rządzący zrzekali się stanowisk i oddawali je opozycji, która robiłaby tam walki, a my byśmy mieli ponosić za to odpowiedzialność polityczną?

– Sworowski chciał, żeby politycy w ogóle nie zajmowali stanowisk w radach i zarządach spółek – wyjaśniła.

– Utopia. I niby jak by to osiągnął?

– Ustawą – syknęła. – Członkowie partii politycznych nie mogliby startować w konkursach.

– To by startowały ich rodziny. Tego się po prostu nie da zrobić.

– W ustawie byłyby określone sposoby naboru, wymagania dotyczące wiedzy i profesjonalizmu oraz inne ograniczenia uniemożliwiające osobom niekompetentnym wchodzić tam, gdzie nie mają nic do roboty. Przecież wasza opcja jest za całkowitą prywatyzacją, a Sworowski chciał ją dokończyć przez giełdę.

– No i tu mamy kolejny problem. Wszyscy się zgadzamy, że pewne spółki strategiczne muszą zostać w naszych rękach.

– Żeby było gdzie kraść?

– Nie słyszałem tego – warknęła. – Jest pani bardzo... beczelna.

– Szczera, tak jak pan.

– Telewizja, spółki energetyczne, paliwowe, łupki... to wszystko są bogactwa naturalne...

Chyba propagandowe – chciała dopowiedzieć.

– ...więc nie możemy ich sprywatyzować lub oddać opozycji. Prezydent rozumie to doskonale.

– A premier nie bardzo?

– Premier jest za młody i mało jeszcze wie.

– Aha.

Patrzyli sobie przez dłuższy czas w oczy i było to spojrzenie dwojga drapieżników, z których każde zdaje sobie sprawę, że przeciwnik może okazać się groźny. Czasem drapieżniki rezygnują ze starcia, uznając, że ryzyko odniesienia groźnych ran nie jest warte ewentualnej wygranej. Czasem dochodzi do starcia mimo wszelkiego ryzyka. Honor nie pozwala drapieżnikowi zejść z drogi.

Ale to nie był jeszcze czas na starcie.

– Dowiedziała się pani tego, czego chciała się dowiedzieć? – zapytał z nutą ironii.

Tak – odpowiedziała w myślach – byłbyś zdolny do tego wszystkiego. Do zabicia Witolda i upozorowania samobójstwa, a potem kradzieży filmów z monitoringu i danych z systemów giełdowych. Byłbyś zdolny.

– Prawie – mruknęła i przystąpiła do ostatecznego ataku. – Zazdrościł pan Sworowskiemu sukcesów miłosnych?

Szarawarski omal się nie udusił dymem z cygara. Kasłał dobrą minutę, zanim udało mu się odzyskać w miarę normalny oddech. Cały czerwony na twarzy zgasił cygaro i odłożył je do popielniczki.

– Żartuje pani? Co to za pytanie?

– Czy próbował pan umawiać się z jego asystentką?

– Skąd pani to przyszło do głowy?

– Proszę po prostu odpowiedzieć.

– Nie, nikogo nie podrywałem. Nic mnie nie obchodziły jego podboje i nie rywalizowaliśmy o żadną kobietę. To jakaś koszmarna bzdura.

Marta zastanawiała się, czy kłamie, ale wyglądało na to, że nie. Dlaczego więc makler ją oszukał? Po co próbował

wprowadzić ten wątek, który wyraźnie skołował Szarawarskiego? A może jednak nie kłamał, a minister zapiera się dla zasady? Może go po prostu zaskoczyłam? Cholera, wygląda na to, że wszyscy są podejrzani.

Pożegnała się i wyszła. Wsiadając do samochodu, zobaczyła, że Szarawarski rozmawia z kimś przez komórkę. Miała dziwne wrażenie, że mówi o niej. Uruchomiła silnik i podjechała pod bramę. Liczyła na to, że Szarawarski sam otworzy jej bramę, ale się przeliczyła. Wyszła z samochodu i nacisnęła dzwonek. Brama ani drgnęła. Ponownie nacisnęła dzwonek. Znow bez reakcji. Może dzwonek nie działał? Nie, słyszała cichy brzęczyk, świadczący, że kontakt przesyła impuls do domu. Wtedy nagle poczuła strach. Odwróciła się w samą porę, by zobaczyć przed sobą uśmiechniętego rottweilera. Pies ciężko oddychał, ślina skapywała mu z pyska. Warknął, gdy się ruszyła.

– Proszę poczekać – usłyszała z oddali głos Szarawarskiego.  
– Zapomniałem powiedzieć, że psy są spuszczone. Saba, Witold, do nogi.

Witold? Nazwałś psa Witold? Musiałeś go rzeczywiście nienawidzić.

Psy odbiegły do pana, a Marta szybko wsiadła do samochodu. Szarawarski pilotem otworzył bramę, a ona wyjechała, zastanawiając się, czy zrobił ten pokaz specjalnie. Może liczył, że wpadnie w panikę i zacznie uciekać przed psem, a ten ją zaatakuje. A może było to tylko małe zastraszenie. Gdy wyjechała z posesji i skręciła w trzecią z rzędu uliczkę, strach powrócił. Przed nią na środku drogi stał jakiś samochód z wyłączonymi światłami. Spojrzała w lusterko i zobaczyła z tyłu światła drugiego auta. To już nie były żarty z psami. Potrafiła wyczuwać prawdziwe zagrożenia. Zaparkowany na drodze samochód zawarczał i oślepił ją nagle dziesięcioma przednimi reflektorami rajdowymi, umieszczonymi na dachu i zderzaku.

Morderca odłożył telefon i wpatrywał się w nadjeżdżający z naprzeciwka maleńki samochód kobiety, która miała dziś zginąć. Oślepił ją reflektorami i był pewien, że nie przejedzie. Jeśli spróbuje, wyląduje w rowie, a potem na drzewie. Sama się zabije. Jego rola skończy się na odnotowaniu śmierci. Jeśli zahamuje lub rozbije się na jego terenowym bmw, on wyciągnie ją z pojazdu i dokończy dzieła. Jeśli będzie żywa, jeszcze ją zerznie, a potem to samo zrobią jego chłopaki, których na wszelki wypadek zabrał do pomocy i którzy jadą za nią.

Tak jak chciał klient.

Brutalny gwałt w lesie. Może jakieś porachunki, może zwyczajna zemsta na kurwie. Kolejna dziwka ABW zginie na służbie, a potem się okaże, że sama była zabójczynią.

Świetny plan, musiał to przyznać zleceniodawcy.

Wywozą ją daleko, żeby nie było skojarzeń z ministrem. Nie lubił go, ale dopóki miał takie, a nie inne rozkazy, musiał powstrzymać antypatię.

Kiedyś może będzie okazja do chwili szczerości...

Przeciwie z kobietą. Obserwował ją już od kilku tygodni i nawet polubił. Wyglądała na twardą sukę. W innych okolicznościach mogliby być nawet razem. O tak, to byłoby przyjemne. Nie wątpił, że dostarczyłaby mu dużo przyjemności. Znacznie więcej niż gwałt, nawet taki brutalny i zakończony śmiercią.

Śmierć wciąż go podniecała bardziej niż seks.

Samochód był coraz bliżej i już widział jej przerażoną twarz.

Bała się. Dobrze, że się boi. Ma czego się bać.

Ten nieszczęsny instruktor aikido w ogóle się nie bał i to był jego główny błąd. Gdy morderca wszedł do klubu zaraz po tym, jak wyszła z niego Marta, facet wciąż był podekscytowany tym, co z nią robił. Nawet jeśli jej nie pieprzył, to na pewno bardzo tego chciał. Myślami wciąż był w niej.

Nic dziwnego, naprawdę na to zasługiwała.

Ale taki doświadczony instruktor nie powinien dać się podejść. Co prawda i tak był bez szans, bo z paralizatorem elektrycznym nie wygra żaden trener żadnego sportu walki, ale to zbyt długie wahanie i oczekiwanie na wyrok nie świadczyło dobrze o jego umiejętnościach i radzeniu sobie w szczególnych sytuacjach. A przecież tego miał nauczać.

Morderca wystrzelił elektrody paralizatora, które powaliły faceta na ziemię. Sparaliżowanego i niezdolnego do obrony mógł zejść z tyłu, opleść ramionami jego szyję, przytulić jak kochanka, a następnie bez trudu skrócić mu kark.

Mógł się nawet dłużej z nim zabawić, z maltretować, ale nie znajdował przyjemności w torturowaniu mężczyzn. To było ciekawe spostrzeżenie. Zawsze gdy zabijał mężczyznę, robił to profesjonalnie, bez żadnych odczuć. Na zimno. Nie czuł ani radości, ani współczucia, ani tym bardziej wyrzutów sumienia. Po prostu wykonywał swoją robotę.

Inaczej było z kobietami, których maltretowanie go pociągało i dostarczało mu zabójczej dawki rozkoszy. Za każdym razem, bez wyjątku, czy kobieta była ładna, czy brzydka. Nie potrafił powiedzieć, czy to podkreślenie dominacji nad słabą pcią dawało mu ową rozkosz, czy też wynikała ona z jakiegoś przerażającego zespolenia przyjemności seksualnych i zbrodniczych? Nie czuł przecież pociągu do mężczyzn i zabijanie ich także go nie pociągało. W przypadku kobiet czuł dokładnie takie same podniety zarówno przy spółkowaniu, jak i podczas mordowania.

Dziwne, a może wcale nie dziwne. Chorobliwe, a może naturalne. Jeśli jestem chory – myślał – to jest to choroba nieuleczalna, której wcale nie chcę próbować leczyć.

Jak zawsze gdy dokonywał podobnych analiz, miał erekcję i już nie mógł się doczekać tego, co stanie się z kobietą, której samochód był zaledwie kilkanaście metrów od niego.

Zabawa zaraz się zacznie.

Zabawa w śmierć była dla niego najlepszą rozrywką.

Greg czekał już przed domem.

– Co tak późno?

Bartek spojrział na zegarek. Zbliżała się dwudziesta trzecia.

– Byłem na piwie.

– Dużo wypiliśmy?

– Pięć. Nie zawsze rozmawia się z premierem.

– Gadałeś z tym gogusiem? I jakie wrażenia?

– Porządny gość. – Milik czknął. – Nie żaden goguś. Nie obrażaj swojego głównodowodzącego.

– W dupie go mam. Chce mi odebrać emeryturę mundurową i zwiększyć obciążenia ubezpieczeniowe. Kto wie, może jeszcze przyjdzie mu do głowy wziąć kasę zebraną w OFE. Wcale bym się nie dziwił. A potem zniknie, zostawiając tylko więcej syfu. Nie ufam politykom. Nie widzą tej prostej prawdy, że zarzynają kurę, która im znosi złote jaja. Zamiast zwiększać podatki pracownikom, których jest coraz mniej, powinni jak najszybciej zrobić rewolucję.

– Tak, jaką?

– Trzeba zmniejszyć podatki za pracę, a zwiększyć obciążenia pośrednie.

– Bawisz się w politykę.

– Nie chcę po prostu kolejnej wojny. A polityków mam, o tu – pokazał na tyłek.

– Ale to oni cię wykorzystują, to dla nich pracujesz.

– Łapię bandytów.

– Albo ich wypuszczasz, gdy politycy tak... chcą.

Greg chwycił go za kołnierz, mocno zaciskając pięść.

– Uważaj, co mówisz – syknął.

Milik uniósł ręce w geście poddania.

– Czego się wściekasz? Zalałem się, pewnie gadam głupoty.

Greg też ochłonął. Nigdy tak naprawdę nie uderzyłby przyjaciela, ale straszyć uwielbiał.

– Problem w tym, że to wcale nie są głupoty. Masz komórkę?

- No.
- Dawaj.

Wziął od niego telefon, rozebrał i wrzucił do swojego samochodu.

- Chodź, przejdziemy się.
- Chcę do łóżka.
- Za godzinę wrócimy.
- Aż godzinę?
- Przestań się mazać, do diabła. To ważne.

Przecięli dwupasmową ulicę w kierunku pobliskiego zespołu szkolnego i szli jeszcze przez dłuższy czas. Dopiero przy placu zabaw Greg zwolnił i pozwolił Milikowi usiąść na ławce. Była zimna i trochę mokra. Rozglądał się cały czas, szukając szpiegów albo innych objawów psychozy. Nie zauważył żadnego, co jednak nie znaczyło, że ich nie ma. W Sejmie jest wielu takich, którzy twierdzą, że jeśli brak na coś dowodu, to na pewno to się zdarzyło.

Dlatego mówił, zasłaniając usta, i poprosił Bartka o to samo.

- Coś się dzieje. Coś złego.
- Słucham uważnie. – Milik miał już i tak dobry humor, więc szpiegowskie gierki przyjaciela całkiem mu się spodobały.
- To chyba przez ciebie.
- Powiesz wreszcie, co się stało?
- Jak wiesz, poszerzono zespół śledczy. Jestem w nim. Dziś była przez cały dzień lansowana teza, żeby zatrzymać Ankę i postawić jej zarzuty. Mielibyśmy podejrzaną.
- Więc jednak? Tylko poszlaki czy coś twardego?
- Takie tam... – Wzruszył ramionami. – Anka chciała zostawić Sworowskiego. Gdyby go nie rąbnięto, pewnie tak by się to skończyło.
- Skąd wiesz?
- Maile i inna korespondencja. Coś między nimi nie grało. Napisała mu tego dnia, że jednak muszą się rozstać, że powinien zrozumieć i tak dalej. On prosił ją o spotkanie. Obiecywał, że wszystko wytłumaczy. Chciał, żeby do niego przyszła, żeby go nie zostawiała w takiej chwili.
- I to ma być motyw?

– Chujowy, nie?

– No, chujowy.

– Ale te nasze superanale od hipotez sobie wymyśliły, że skoro mieli się rozstać, to był konflikt, a jak był konflikt, to Anka mogła przyjść do prezesa wcześniej, pokłócić się z nim, no i...

– I co? Przyszłaby z bronią i strzeliła mu w głowę? Zabiłaby go ot tak? Ocipiałeś?

– No nie, ale może na przykład było tak, że prezio wyjął splotkę, powiedział, że się zastrzeli, a ona próbowała mu odebrać broń i dlatego ta wypaliła w taki nienaturalny sposób. Skąd wiesz, że tak być nie mogło?

– Ona starała się go uratować, a wy chcecie z niej zrobić morderczynię?

– Tak, kupy się to nie trzyma. Niemniej jednak teza jest badana. Nasi wymyślili sobie, że jeśli było na przykład tak, jak powiedziałem, to już mamy sporo zarzutów: fałszywe zeznania, ukrywanie zbrodni, mataczenie, masa tego typu małych kruczków, które możemy wykorzystać do przedłużania aresztowania, cały czas mając podejrzanego.

– Kurwa, a monitoring? Też wyjęła, żeby nikt nie widział?

– Ktoś musiał jej pomagać, no i... też wymyśliliśmy kto.

– Niech zgadnę – roześmiał się Milik. – Może ja? Jak nie macie nikogo lepszego, bierzcie mnie. Kiedyś bawiłem się nawet w elektryka. Co to dla mnie włamać się do systemu giełdy i zapierdolić dane.

– Nie ty. To Marta.

– Kto?

– Marta. Nie powiedziała nam, że знаła denata i potencjalną zabójczynię.

– A znała? – Milik udawał, że tego nie wie.

Czasem nawet przed Gregiem trzeba udawać, bo bezpieczeństwo informatora jest ponad wszystko – odpowiedział sobie w myślach.

– To wydaje się pewne. ABW prowadzi już postępowanie wewnętrzne. Ponoć się przyjaźnili, odkąd zrobiła jakiś tam kurs giełdowy. Poznała Witolda, a potem Ankę. Zaprzyjaźniła się z



Anką, to i z Witoldem też. No i teraz uważaj. Według tych abwerowskich speców od hipotez Marta i Sworowski też mogli coś tam mieć do siebie.

– Jak to?

– Może jakiś trójkącik – roześmiał się Greg.

– Chcesz powiedzieć...

– Marta pierdoliła się z prezesem giełdy. To właśnie chcę powiedzieć. Nie powiedziała nam tego, cały czas będąc w śledztwie. To duże nadużycie. Na pewno beknie ostro i wyleci ze służby, a kto wie, czy nie postawią jej zarzutów o współudział. W najlepszym razie, bo mogą ją nawet oskarżyć o morderstwo, i to nie w afekcie. Anka chciała zostawić Sworowskiego właśnie dlatego, że znalazł sobie nową kochankę. Mogła się dowiedzieć, kim jest, i doszło do kłótni w trójkącie. Ot, teoria zbrodni...

Milik błyskawicznie wytrzeźwiał. To wszystko było jakimś szaleństwem. A jednocześnie nie potrafił w oświadczeniach Grega wskazać żadnej większej luki.

– Tak, kochany, obawiam się, że ponieważ Anka nie jest dobrym samodzielnym podejrzanym, to chcą zrobić kozła z Marty. Jest tylko w tym jeden feler i dlatego do ciebie przylazłem.

– Jaki?

Greg odetchnął głęboko. Milik wytrzeźwiał w jednej sekundzie. Przynajmniej tak mu się wydawało. Patrzył na przyjaciela i widział, jak się w nim gotuje.

– Ja im nie wierzę jak psom! – rzucił Greg.

– Nie wierzysz w tę znajomość Marty z prezesem giełdy czy w ich romans?

– Nie, w to jeszcze mogę uwierzyć, ale nie wierzę, że ta kobieta miała cokolwiek wspólnego z zabójstwem. Za dobrze ją znam.

– A jeśli się mylisz?

– Jest jeszcze coś, co dopełnia moją teorię spisku. Dziś po południu, dosłownie parę godzin temu, zamordowano byłego faceta Marty. Znałem gościa, był w porządku. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Miał na imię Zbyszek, ostatnio

pracował w CBA, a wcześniej w CBS. Sparowaliśmy czasem i gość był nie do wyjęcia. Nie chce mi się wierzyć, że dał się tak po prostu załatwić. Ten, kto to zrobił, musiał dużo umieć.

– Przykro mi – szepnął Milik.

– Aż tak się nie znaliśmy, żebym płakał. Po prostu szkoda dobrego fajtera. Morderstwa dokonano w klubie aikido, gdzie trenował. Marta była dziś u niego, a po jej wyjściu przyszło na komendę anonimowe zgłoszenie, że w klubie jest trup. Ktoś złamał kark Zbyszkowi, a to, jak ci już mówiłem, był naprawdę mocny zawodnik. Marta nie dałaby rady, nawet gdyby chciała, a na pewno nie chciała. Ale to nie przeszkadza tym gamoniom wpisać ją na listę podejrzanych. Mają dowody, że tam dziś była, i to mniej więcej w czasie zabójstwa. Na ciele Zbyszka odkryto też jej DNA.

– Skoro razem ćwiczyli...

– Także w miejscach intymnych?

– Pieprzyli się? – Milik poczuł lekki zawód.

– Kiedyś na pewno, więc może im wróciło.

– No tak.

– Dobrze mnie zrozum, stary. Ja jestem po stronie Marty i chcę, żebyś ty też był, czaisz?

– No... ale...

– Co, kurwa, ale?

– Jestem dziennikarzem. Nie mogę przeinaczać faktów.

– No i właśnie cię proszę, żebyś nie przeinaczał. Jak napiszesz o tych podejrzeniach, to przeinaczysz, rozumiesz? Oni zamkną je obie, Ankę i Martę, i nie wypuszczą ich przez najbliższe parę lat, a kto wie, czy nie skażą na podstawie poszlak. Wcale mi się to wszystko nie podoba. Nie podoba mi się też, że dziś to media wydają wyroki i że muszę cię do tego przekonywać.

– Spoko... – Milik nie wiedział, co powiedzieć.

Greg zacisnął dłoń na jego szyi i podsumował: – Ktoś to wszystko bardzo dobrze uszył, ktoś znacznie bardziej perfidny i bezduszny niż te dwie kobiety. Nie możemy pozwolić, żeby mu się udało. Jesteś ze mną czy nie?

Milik zaczął się bać. Greg dzisiaj nie mówił jak przyjaciel.

Zaczął go namawiać do czegoś, w czym nie chciał brać udziału. Szybko jednak Bartek zadał sobie pytanie: komu mam wierzyć, jeśli nie przyjacielowi? Jego opowieść miała ręce i nogi. Był teraz zdenerwowany, więc nie wszystko brzmiało wiarygodnie, ale... nie no, trzymało się kupy. Do diabła, przecież gdyby ktoś go zapytał, też nie wierzyłby w udział Marty w tej zbrodni. A już na pewno nie w udział w zabójstwie dawnego kochanka, mistrza aikido. Tutaj ten strateg od wymyślania zbrodni przesadził. Tyle że przesadził w jego odczuciu. W oczach opinii publicznej wszystko będzie wyglądało wiarygodnie. Jak to powiedział Greg: dziś media wydają wyroki. Gliny i prokuratorzy boją się czołówek gazet, a czasem też sędziowie wolą święty spokój od sprawiedliwości.

– Jestem z tobą. – Mocno ujął dłoń Grega. – Ale nie zmienia to faktu, że inni nie będą. Skoro ktoś tę sprawę szyje, puści ją do mediów, a one napiszą po jego myśli, bo brzmi lepiej niż nasza wersja.

– I chuj im w dupę. To ty dziś rozmawiałeś z premierem.

Greg puścił jego szyję i z całej siły uściśnął rękę.

– Potrzebujemy twojej pomocy, stary. Bardzo jej potrzebujemy.

Samochód z dziesięcioma reflektorami był wysoką, masywną terenówką. Kierowca ustawił go w takim miejscu i w taki sposób, by żaden pojazd nie był w stanie go wyminąć. Gdyby Marta nawet podjęła taką próbę, prawdopodobnie przy dużej prędkości zahaczyłaby o rów pobocza i przeokoziółkowała. A wtedy by ją mieli.

Pierdolony minister skarbu. Pierdolony gangster.

Nie miała wątpliwości, że to on ich nasłał. Albo ludzie, którzy za nim stali. Ci, którzy potrafili przekonać premiera, że to minister ma rację, a nie Witold.

Pierdolone WSI.

Światła w lusterku wstecznym z wolna się do niej zbliżały. Prawdopodobnie to również była terenówka, może nawet tej samej marki co ta blokująca drogę.

Nie widząc innego wyjścia, nacisnęła pedał gazu.

Będzie, co ma być.

W ostatniej chwili zobaczyła dróżkę w lewo i gwałtownie skręciła. Mały peugeot wpadł w lekki poślizg, skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i zaczął podskakiwać na wertepach leśnej ścieżki, którą ktoś musiał czasem jeździć, bo była odśnieżona. Oba terenowe pojazdy po chwili znalazły się tuż za nią. Pierwszy był ten z wieloma światłami. Pewnie jadący z tyłu nie wyrobił się na zakręcie i musiał zawracać.

Ustawiała lusterka tak, żeby reflektory jej nie oślepiały. Mocne oświetlenie paradoksalnie działało teraz na jej korzyść.

Rozpędziła maleńki samochodzik prawie do siedemdziesiątki i szeptała pod nosem modlitwę, by się nie rozpadł. Terenówki były jednak znacznie szybsze, a także przygotowane do jazdy w takim terenie. Pojazd ze światłami zbliżał się błyskawicznie i już po chwili poczuła mocne uderzenie w tył.

Znów gwałtownie skręciła, przypadkiem trafiając na kolejną dróżkę. Terenówki pojechały prosto. Szarżowali teraz jak na filmie sensacyjnym, jadąc niemal równolegle. Marta zerkała w

bok, starając się dostrzec zarysy postaci za kierownicami. Było nie dość jasno, a przyciemniane szyby nie ułatwiały jej zadania. Zwolniła znacznie, oni również. Zbliżali się do przecinki, którą chcieli zapewne pokonać, żeby wziąć jej małe auto pomiędzy siebie.

Nie miałyby już ucieczki.

Tuż przed leśną krzyżówką wykonała manewr ostatniej szansy, wjeżdżając w las pomiędzy młode drzewka posadzone tak, by utworzyć ścieżkę dla grzybiarzy. Ścieżka była niemal tej samej szerokości co jej peugeot. Małe jest piękne – pomyślała, idealnie się w nią wpasowując. Zdzierając bokami lakier o gałęzie, mogła jechać nawet czterdzieści na godzinę. Poprawiła lusterko i zobaczyła, jak dwie terenówki zatrzymują się przed wjazdem na ścieżkę. Były za szerokie, by się zmieścić. Kilka osób wysiadło z samochodów i wtedy znów poczuła dramatyczne kołatanie serca. Mężczyźni mieli na sobie garnitury i mierzyli do niej z pistoletów. Wciąż była za blisko.

Usłyszała huk, potem drugi.

Serce podskoczyło jej do gardła i zamarło na krótką chwilę. Wszystko ucichło, a potem ruszyło z przytupem w najważniejszym z możliwych wyścigów – walce o życie.

Pierwsza kula rozbiła jej tylną szybę. Druga świsnęła nad głową i wbiła się w dach. Kolejny huk wystrzałów, ale pociski były już mniej precyzyjne. Jeszcze chwila i będzie poza zasięgiem. Właśnie wtedy poczuła piekący ból i lepka maź zalała jej szyję.

Sięgnęła ręką i namacała strzępki ucha. Pierdolone dranie rozwały jej ucho! Ścieżka skończyła się na kolejnej, szerszej drodze. Marta nie była pewna, czy tamci nie spróbują do niej dotrzeć, więc przyśpieszyła. Skręciła w prawo, potem w lewo. Uff, asfalt. Wyjechała na drogę i wcisnęła gaz do dechy.

Nie była pewna, gdzie się znajduje. Wiedziała tylko, że jest noc i że jeśli ją znajdą, to zabiją.

Ale nie znaleźli.

Godzinę później skręcała zgodnie z drogowskazem w kierunku Warszawy. Boże, tylko żeby nie zrobili jakiejś blokady, żeby jej nie wypatrywali. Ale nigdzie nie widziała

dwóch czarnych terenówek. Nigdzie ich nie było. Kiedy minęła tabliczkę z napisem WARSZAWA i wjechała na trzypasmówkę, wiedziała, że tym razem przeżyje.

Ucho przestało krwawić, a może chusta, którą je zasłoniła, po prostu tak nasiąkała. Wiedziała, że musi poszukać lekarza, a potem przyjaciół.

Przy wylotówce zobaczyła napis APTEKA, a obok zakład weterynaryjny. Zaparkowała ulicę dalej i wysiadła z samochodu. Nie miała mroczków przed oczami, czuła się dobrze. Żyła. To było najważniejsze. Oraz to, że nie ulegała żadnej słabości. Nie zemdleje.

Przeszła do domu weterynarza i nacisnęła dzwonek. Było już po północy, obawiała się więc, że nikt nie otworzy. Nawet jeśli są w domu, będą udawać, że ich nie ma. Po co komu robota o tej porze? Zwierzak może poczekać albo niech jedzie do całonocnej kliniki na Bielany czy Ursynów.

Nie, są jednak jeszcze prawdziwi lekarze. Tacy z powołania.

Ktoś zaszurał kapciami i otworzył drzwi. Mężczyzna miał na sobie koszulkę na ramiączkach i wyglądał trochę jak komik ze starych komedii. Chuda klatka porośnięta śmiesznymi kędziorkami, duży brzuch, szerokie, długie wąsy trochę zakręcone, łysina, włosy po bokach rozstrzelone, jakby je rozwał impuls elektryczny, grube, brzydkie okulary w brązowych oprawkach. Poprawił je, jakby chciał być pewny, czy mu się nie przywidziała ta piękna kobieta z ociekającą krwią chustą przytkniętą z prawej strony do głowy.

– Co się pani stało?

Marta wepchnęła się przy nim do środka i wyjęła przygotowaną legitymację.

– Jestem oficerem ABW, proszę mi pomóc.

Mężczyzna trawił to przez dwie, trzy sekundy, a potem wstąpił w niego energetyczny diabeł, działający mechanicznie, bez zastanowienia.

– Boże, oczywiście.

Weterynarz zaprowadził ją do piwnicy, gdzie miał gabinet. Mocny i niezbyt przyjemny zapach wielu zwierząt przyprawił ją o mdłości. Ale zaraz się uszczypnęła.

Nie możesz teraz zejść, bo cię załatwią. Nie wolno ci.

– Mam kogoś zawiadomić? – zapytał, a potem krzyknął w kierunku piętra, gdzie pewnie żona i dzieci już się szykowały, by zasypać go pytaniami: – Spokojnie, nie schodźcie tutaj! Nagły wypadek!

Spojrzał na nią, oczekując wyjaśnień.

Westchnęła, a potem postanowiła zagrać jak na filmie.

– Realizuję tajną misję i miałam strzelaninę z gangsterami kilka kilometrów stąd.

– Boże.

– Mogą mnie szukać, mogą wyglądać nawet jak policjanci. Jeśli mnie znajdą, zabijają.

– Boże.

– Mogą zabić też pana i... rodzinę.

– Boże.

– Nie wolno panu mówić, że tu byłam. Nikomu. Niech pan się nie naraża.

– Jezu.

Pół godziny później, wzmocniona dwoma zastrzykami, ze zszytym i profesjonalnie opatrzonym uchem, była gotowa do wyjścia.

– Super – pochwaliła, widząc w lustrze opatrunek.

– Opatrywanie krów niespecjalnie różni się od opatrywania ludzi. Z porodami jest gorzej, ale pani chyba nie zamierza rodzić.

Roześmiała się chyba trochę zbyt spontanicznie, bo zabolą ją głowa.

– Fajny z pana facet, dziękuję.

– Proszę nie dać się zabić. Przynajmniej nie za szybko. I wspomnieć o mnie, jak już pani będzie mogła.

– Pewnie.

Wyszła z domu, rozejrzała się i ruszyła do samochodu. Nigdzie żywego ducha. Żadnych terenówek. Samochodzik był dobrze ukryty i do rana nikt nie powinien go znaleźć. Postanowiła go zostawić. Wyjęła z kabury glocka, odbezpieczyła i włożyła z tyłu za pasek. Tak łatwiej będzie dobyć broń. Lub przestrzelić sobie tyłek. Znała takich

policyjnych gierojów, którym się to zdarzyło. Pewnie dlatego żaden gliniarz nie zdecydował się na wkładanie broni z przodu. Bandziory nie były tak mądre albo nie rozumiały, że przedni sprzęt jest tylko jeden na całe życie. Co oni w ogóle rozumieli?

Zobaczyła taksówkę i pomachała. Taksiarz zwolnił, ale nie zatrzymał się. Pokazała mu faka, a potem zobaczyła, że nadjeżdża nocny autobus. Ledwie dobiegła do przystanku. Kierowca zatrzymał się i poczekał na nią. Miły facet. Nawet w nocnych tacy się trafiają.

Albo to ona miała takiego farta do porządnych kierowców.

Podziękowała mu i usiadła z tyłu. To nie był weekendowy dzień, więc żadne głośne dzieciaki ani kibice nie urozmaicali pasażerom podróży. Trzy osoby wracające z pracy albo jadące do pracy. Jakiś pijak przysypiał tuż przy środkowych drzwiach.

Dojechała tak do Dworca Centralnego i przesiadła się do drugiego nocnego. Nikt nie zwracał uwagi ani na nią, ani na jej ucho.

Zdecydowała, że teraz, o tej porze, może jej pomóc tylko Zbyszek. Sypiał w klubie. Miała nadzieję, że go tam zastanie.



Północ. Ewa pierdoli się z Patrykiem. Nie ma innego wyjaśnienia. Znów wróci nad ranem i może z łaski rozłoży przed nim nogi. Wypnie pupę, pozwoli się w nią wtulić, odda mu się z przyzwyczajenia i przekory, a on to przyjmie jak ochłapy rzucane z pańskiego stołu. Północ. Godzina duchów, w której wspomnienia ożywają, a fobie się materializują. Ewa staje się duchem, a on jej narzędziem. Resztki z pańskiego stołu, tym będzie kolejne poranne upokorzenie.

Północ.

Właśnie trzeźwieje.

Pięć wypitych wcześniej piw wyparowuje.

Nie ma już za wiele procentów. Jest tylko rosnący w ustach niesmak i świadomość przemijania. Wszystko przemija.

Północ.

Usiadł przed komputerem i starał się nie myśleć o alkoholu. Miał dość na dzisiaj. Trzeźwiał. Pił szklankami wodę mineralną i wymyślał tekst, który mógłby jutro zaproponować redakcji. Tekst napisany po jego myśli, po myśli Grega i Marty, która nie chciała go znać, bo nawet nie odezwała się po konferencji premiera.

Kilkakrotnie kasował lid i tytuł, aż wreszcie chyba znalazł złoty środek. Najważniejszy jest początek, potem to jakoś samo ruszy. Spojrzał na monitor, przeczytał dwukrotnie te kilka zdań i uznał, że teraz zerwie blokadę, rozpędzi się i napisze wszystko jak trzeba.

## **Tajemnice zabójstwa prezesa GPW**

Gra służb specjalnych, piętrowe intrygi i polityczne interesy

uniemożliwiają dojście do prawdy

w sprawie głośnego zabójstwa na warszawskiej giełdzie.

Sensacyjne ustalenie „Expressu Finansowego”!

Nie pisał długiego reportażu. Tym razem musiał zmieścić się na dwóch kolumnach, żeby przekazywana teza się nie rozmyła. Nawet jeśli pozostałe gazety uderzą w inne struny, po konferencji premiera jego materiał rzeczywiście może być najważniejszy. Nieopierzony, mało znany dziennikarz zupełnie nieoczekiwanie zyskał największą wiarygodność w branży i mógł z niej teraz skorzystać.

No i miał Grega i naprawdę wiarygodne informacje.

Miał też nowe tajemnicze zabójstwo.

Koło pierwszej w zasadzie napisał cały artykuł, choć wymagał on jeszcze wielu zmian i poprawek. Po pijaku, trzeźwiejąc, nie był w stanie ich zrobić. Ale przecież miał na to jutro cały dzień. Jak również na potwierdzenie zabójstwa tego agenta CBA, kochanka Marty, oraz zebranie komentarzy. Pisanie pod tezę jest łatwiejsze, tak jak zdobywanie pod nią komentarzy. A jeśli zaprzeczą? To zmartwienie na jutro. Teraz jest noc, i to jeszcze na przedwczesnym kacu.

Artykuł – zgodnie ze sztuką – najpierw prezentował nowe ustalenia, informował o tajemniczym zabójstwie w klubie aikido, które prawdopodobnie wiąże się z morderstwem prezesa GPW, następnie krótko wspominał o możliwych matactwach i podejrzanych hipotezach zmierzających do zaciemnienia prawdy, a także o roli w tym wszystkim służb specjalnych i błędzącej jak we mgle ekipy dochodzeniowej oraz nic nierozumiejących prokuratorów. Druga część artykułu to już background, znane fakty dotyczące samego morderstwa prezesa, zaginionych monitoringów i danych sesyjnych, relacja z konferencji premiera.

Zastanawiał się, czy gdzieś nie powinien wstawić więcej sugestii na temat domniemanego udziału w tym wszystkim WSI czy innych służb specjalnych, ale uznał, że ten wątek jest wystarczająco mocno zaznaczony.

Poza tym to jednak spekulacje.

Jak łatwo spekulować o służbach... One przecież nigdy nie będą się bronić. Tak czy inaczej ukryte za czarnymi okularami bobry o przesiąkniętych wodą oddechach nie będą zachwycone.

Wyłączył komputer i położył się na kanapie. Zaczął przełączać kanały w telewizji. Miał ich tylko kilka, ze zwykłej anteny. Nie płacił za kablówkę i nie potrzebował niczego więcej. Stary telewizor działał jak trzeba. Niedawno musiał kupić do niego dekodery, bo telewizja nadawała już tylko cyfrowo, poza tym wszystko grało. Nie potrzebował plazmy wieszanej na ścianie.

O tej godzinie już nie było żadnych ciekawych audycji czy filmów. Czasem trafiał jeszcze na dobry film lub publicystykę. Nie dzisiaj. Tylko nudne programy i długie pasma reklamowe. Plus wyciąganie kasy na różnego rodzaju telegry, horoskopy i telewizyjne seksparty.

Telewizja nie szanowała nocnych marków, nie mogła na nich zarobić. Słaby target reklamowy. Mocno podniszczony, psychicznie rozkojarzony, wiecznie zaspany, nieciekawym. Brak rodziny i koszyka uciech.

Wyłączył telewizor i próbował czytać książkę, ale też mu nie szło.

Zaczął odczuwać skutki wypitego alkoholu.

Od dawna pił za dużo, choć nie uważał się za alkoholika. Nie potrzebował klina z samego rana, popołudniowego drinka czy wieczornego strzału na zachętę. Kiedy jednak zaczynał, rzadko potrafił przestać. Musiał się upodlić do końca. Przy Ewie trochę spokorniał. Ona w ogóle nie lubiła alku. Woliała trawkę. Była bardziej intymna i seks był przy niej lepszy. Seks z nawalonym gościem mało miał wspólnego z przyjemnością. Był odbębnieniem partnerskiego obowiązku. Seks po gandzi stawał się taką cholernie leniwą przyjemnością, że zaczął go nudzić. Może dlatego ona też się od niego odsunęła. Może dlatego to się skończyło.

Przestał być jej mężczyzną. Przestał się o nią starać, walczyć. Stłamsił gdzieś w sobie entuzjazm, pomysłowość, tę magię miłości rozpalającą zmysły.

Stali się tacy zwyczajni.

A tam, gdzie wkracza zwyczajność, robi się luka dla innych. Trafiło na nią, nadarzył się Patryk. U niego też wcześniej pojawiały się kobiety, ale coś w środku nie pozwalało mu skorzystać z okazji. Widmo ojca patrzyło i karcilo go bezgłośnie. Mężczyzna zdradzający kobietę to zwykły wał. Jeśli nie kochasz, odejź. Mężczyzna podejmuje decyzje, a nie przekręca się z boku na bok, wyrywając włosy z głowy. Tchórz nie potrafi podjąć decyzji.

Przypomniał sobie stażystkę, mężatkę, świeżą jak to tylko możliwe. Kilka tygodni po ślubie, piękne oczy, zachęcające spojrzenia i wiecznie błyszczące usta. Uśmiechały się do niego, prowokowały. Szeptaly głosem duszy: możesz mnie mieć. Na co czekasz, dlaczego nie chwycisz moich bioder, nie włożysz mi dłoni między uda, nie weźmiesz mnie tu i teraz? Chcę tego, tak bardzo chcę.

Jak miała na imię? Nie pamiętał.

Magda. Tak, ją pamiętał lepiej. Pamiętał jej gorące usta na swoim brzuchu podczas imprezy integracyjnej. Tu było znacznie bliżej do zdrady. Ale wyszedł po piwo, a ona była już tak napalona, że ta chwila wystarczyła, by dobrała się do rozporzka grafika. Grafik nie miał dziewczyny, nie musiał myśleć o innej.

Wypuszczona mężatka.

Albo Lidka. O urodzie tak fascynującej, tak niebywalej i pociągającej, że przyćmiłaby wszystkie Ewy świata. A jednak wiedział, że w jego oczach to Ewa jest największą pięknnością, nigdy żadna inna jej nie przebijie, i dlatego tu było mu łatwiej.

A ile przygód przemknęło mu koło nosa po pijaku?

Wzdrygnął się.

Był tak bliski zdrady, a jednak się oparł. Czy zatem mógł się uważać za lepszego od Ewy, która nie potrafiła się oprzeć Patrykowi? Czy tylko za bardziej tchórzliwego?

Przecież ona też go nie oszukiwała. Zakochała się, tak po prostu. Gdyby on się zakochał, też nie byłoby rozmowy. Może tylko załatwiłby to inaczej. Jak na mężczyznę przystało, jak podpowiadał obraz ojca w głowie. Powiedziałby jej wszystko,

zanim jego kutas zrobiłby pierwszy krok.

A może tylko tak łatwo powiedzieć, bo to się nie zdarzyło. Może gdyby miłość przyszła, nie pozwoliłaby na taki racjonalizm, na takie wyrachowanie i przemyślenia.

Miłość spuściłaby kutasa z uwięzi.

Gdzie wkracza miłość, nie ma miejsca na skrupuły.

Głupie myślenie.

Uff – westchnął głośno i zapalił papierosa. Nie powinien palić w łóżku. Umówili się, że palą tylko w kuchni, ale teraz miał w dupie umowy.

Ludzie nie przestrzegają paktów.

Kochankowie nie dbają o stare miłości, nowe zawsze będą ważniejsze.

Lubię fajki i lubię palić w łóżku. I tak właśnie będę robił.

Nie zgasił światła, przymknął oczy i próbując wyrzucić z myśli Ewę i wszystkie te stracone szanse na udany romans albo nową miłość, zaczął się zastanawiać nad sprawą Sworowskiego.

Kto mógł być zabójcą? Na pewno nie Marta. A może zbyt jest tego pewien? Wszystkie ślady jednak prowadziły do służb specjalnych i jakiegoś bliżej nieokreślonego, potężnego mocodawcy. Szczególnie do ministra skarbu, dziwnej postaci z dziwnymi koneksjami i niezbyt przejrzystą historią korporacyjnego biznesmena, który załatwiał dyle z rządem, robiąc na szaro miliony podatników.

Tędy droga?

Może to sprawka tego Szarawarskiego i jego pomagierów z mafii w białych kołnierzykach. A może jeszcze gorszych, bez kołnierzyków i garniturów, za to w dresach i bejsbolem w ręku. Handlujących narkotykami, papierosami i wódką. Wstawiających automaty hazardowe do obskurnych barów z kebabami i rozwożących jagodzianki po leśnych parkingach i domach publicznych w betonowej dżungli.

Wszystko wydawało się takie proste.

Już prawie zasypiał, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

Pierwszego agenta zobaczyła schowanego przy wejściu do klubu. Drugi przestępował z nogi na nogę na przystanku, paląc papierosa. Ich samochód stał dwie przecznice dalej. W środku drzemał gliniarz w mundurze. Nawet takich szczegółów nie potrafią dopilnować.

Nie wiedziała, co się stało, ale lokal Zbyszka był spalony.

Czerwona lampka w głowie rozbłysła i zamrugwała.

Czy to możliwe, że Zbyszkowi coś się stało? Dupa, nawet dziesięciu takich typów nie dałoby mu rady. A ci z terenówek z lasu? Oni by sobie poradzili?

A jeśli jej przecucia są słuszne i ktoś... nie, nawet nie chciała o tym myśleć. Zbyszkowi nic nie jest. Nie dał sobie zrobić krzywdy. Był za dobry. Potrafił się obronić. Potrafił zabijać.

„Zawsze znajdzie się ktoś lepszy.

Pamiętaj, wcześniej czy później przychodzi kres nieśmiertelności”.

Jego słowa.

Skręciła w bok i skryła twarz w dłoniach. Nie chciała płakać, ale nie mogła się powstrzymać.

To nie przypadek. Coś się stało. Coś się, kurwa, musiało stać Zbyszkowi, skoro te cwele tam filują, czekając na mnie.

Bo na kogo innego mogli czekać?

Czy zatem wiedzą też o Ance i Witoldzie? Ile wiedzą? Może wszystko. Może już jest podejrzana. Może to ona nagle staje się kozłem ofiarnym.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Jak mogła do tego dopuścić? Jak mogła?

Przeszła na drugą stronę rzędu kamienic i przez chwilę rozważała, czy nie zrobić włamu do klubu od dupy strony. Ale nawet gdyby niepostrzeżenie jej się to udało, to co by tam zastała? Przecież Zbyszek nie siedzi w środku i nie czeka, skoro na zewnątrz są łapsy.

Dość!

Ruszyła biegiem w kierunku przystanku. Autobus podjechał pięć minut później. Sprawdziła w komórce adres Milika. Wsiadła przy Sadach Żoliborskich i resztę drogi pokonała pieszo. Zastanawiała się, czy nie wyrzucić komórki, ale kupiła ją zaledwie tydzień wcześniej i jeszcze nikomu nie podała numeru. Nie powinno więc być mowy o jakimkolwiek ryzyku. Służbowy aparat został w aucie.

Na zawsze.

Nagle uzmysłowiła sobie, że nie jest już agentem, nie jest już ścigającym. Stała się zwierzyną i ofiarą. To na nią polują. I będą polować aż do końca. Chyba że wcześniej znajdzie rozwiązanie zagadki.

Kim jesteś, zabójco?

Dzisiejsza przygoda z bandziorami w terenówkach była bardzo niepokojąca. Z takimi ludźmi nie wygrywa się, rozwiązując zagadki. Oni zabijają. Żeby wygrać, trzeba ich zabić. Dodatkowo Zbyszek. Jeśli coś mu zrobili, to nie żartują. Jak mogą żartować? Co za głupie myśli!

Zrugła się, że jeszcze ma jakieś złudzenia.

Na głowie siedzi jej mafia. Nieważne, państwowa czy bandycka. Mafia to mafia. Najgroźniejszy przeciwnik.

Doszła do bloku Milika. W mieszkaniu dziennikarza wciąż paliło się światło. Okna na parterze były zakratowane. Głupio, gdyby wybuchł pożar, mógłby zginąć. To co, miał dawać codziennie się okradać?

Okrzyżła blok, weszła na klatkę i stanęła przed drzwiami, na których nie było tabliczki z nazwiskiem, tylko numer. Milik wynajmował to mieszkanie, a właściwie wynajmowała je jego dziewczyna, Ewa. Marta sprawdziła to już dawno, bez problemów, bo ten adres oboje podawali w bankach, ubezpieczalniach czy innych instytucjach prowadzących regularną korespondencję. Sprawdziła ich zresztą bardzo dokładnie. O Miliku w policyjnych systemach nie było zbyt wiele. Żadnych wykroczeń drogowych, pewnie dlatego, że nie jeździł samochodem. Żadnych mandatów, udziału w nielegalnych demonstracjach, legitymowania na meczach piłkarskich.

O niej trochę więcej. Interwencja podczas awantury z byłym mężem. Narobili trochę rabanu, obyło się bez konsekwencji. Wcześniej zatrzymana za palenie trawki w miejscu publicznym i dwukrotnie na uprawianiu seksu. Ciekawe, czy Milik o tym wiedział. Czy mu opowiadała, że kiedyś w parku bzykała się z dwoma facetami naraz? Gdy podszedł patrol prewencji, jeden był w jej tyłku, drugi w ustach. Było jej przyjemnie, im także. Rozbawieni żartowali z policjantów, dopóki nie dostali mandatu. Myśleli, że to żarty. Śmiechy się skończyły na widok kwoty z dwoma zerami. Studenci nie lubią mandatów, choć lubią żarty i seks w parku. A policjanci byli lepsi? Nie lubili publicznego seksu? Mogli im darować. Powinni. Przecież nikt się nie skarżył.

Tak samo systemy policyjne już dawno powinny wyrzucić to z rejestrów. A jednak wrażliwe dane tkwiły w nich i mogły być użyte do szantażu. Pieprzone systemy.

Zastanawiała się przez chwilę, czy Ewa nie wyczyta z jej oczu, że ona wie o tych wszystkich skrywanych tajemnicach. Jak w ogóle dziewczyna zareaguje na widok kobiety przychodzącej do jej chłopaka o tej godzinie i w takim stanie – brudnej, śmierdzącej potem, z zabandażowanym uchem i śladami krwi na kurtce?

Zaczerpnęła powietrza i nacisnęła dzwonek.



Nie spodziewał się Ewy, zresztą by nie dzwoniła, ale nie spodziewał się też Marty. Stał tak, oniemiały, w samych slipkach i powyciąganym nocnym podkoszulku, patrząc na nią jak na zjawę.

– Mogę wejść? – Uśmiechnęła się słabo.

– Pewnie.

Cofnął się o krok, by ją wpuścić, i głodnym wzrokiem patrzył na jej wspaniałą, sprężystą sylwetkę. Długie nogi w obcisłych spodniach opinających zgrabny tyłek, który teraz – gdy zdjęła kurtkę i rzuciła ją na podłogę – mógł podziwiać w pełnej krasie. Podobnie jak piersi podkreślone cienką bluzką i uprzążą podtrzymującą kaburę. Nie było w niej broni. Tkwiła za paskiem, a po chwili wylądowała na stole w pokoju. Jak na westernie – pomyślał.

Taka piękna kobieta z bronią wydała mu się jakimś perwersyjnym męskim marzeniem. Przy czym do Marty zadziwiająco pasowała i uprząż, i broń. Musiał szybko się ubrać albo zacząć myśleć o czymś innym, bo ucisk na slipki stawał się nieznośny i zaraz mógł być wstyd.

Choć w tej sytuacji może nie powinien się wstydzić.

Spojrzała na niego przelotnie i chyba to zauważyła, bo przez jej oblicze przemknął jakiś przyjaźnie radosny błysk. Bartek w panice rzucił się po dżinsy i wciągnął je szybko. Potem wskazał na jej ucho.

– Co się stało?

– Nic takiego – powiedziała, wciąż nie mogąc się pozbyć ironicznego uśmiechu. – Próbowali mnie zabić.

Nie zrozumiał od razu. Nadal myślał o jej piersiach. Przełknął głośno ślinę i starał się patrzeć ponad głową Marty, żeby odsunąć erotyczne skojarzenia.

Wreszcie do niego dotarło. „Zabić”. Ktoś chciał ją zabić. Jak Sworowskiego. Gdyby mu się udało, nie siedziałaby teraz przed nim, tylko leżała gdzieś w krzakach, na mrozie, w brudnej mazi

starego śniegu zmieszanego z błotem, z rozwaloną głową.

– To postrzał?

– Tak.

– Wiesz, kim był ten... napastnik?

– Nasłanym cynglem – wyjaśniła. – Kilerem, zabójcą. Obawiam się, że to dopiero początek i tobie też może grozić niebezpieczeństwo.

– Nie no...

– Przyszłam do ciebie, bo nie miałam dokąd pójść. – Nagle posmutniała. – Uwierz mi, oni nie cofną się przed niczym. Jeśli zobaczysz kogoś podejrzanego, uciekaj bez zastanowienia. Nie próbuj walczyć, tylko uciekaj, bo zginiesz.

Bez jaj – pomyślał – takie rzeczy tu się nie zdarzają. Nie w Polsce. Na amerykańskich filmach owszem, ale tylko na filmach. Czyżby? Przypomniał sobie akcję antyterrorystów w Magdalence. Strzelanina z użyciem granatów, min, bomb. A wojna gangów z Pruszkowa i Ząbek? Nocne regularne kanonady. Dwieście samochodów z żołnierzami mafii podjeżdżających pod willę jednego z gangsterów. Tylko zastraszanie, ale jakże spektakularne. Opanowanie centrum dużego miasta i prowokacje przeciw policjantom. Nawet w jego rodzinnym miasteczku bandyci wdarli się kiedyś na posterunek policji, pobili gliniarzy, zamknęli ich w celach i przez kilka godzin rządzili. Peckinpah czy Cameron mogliby to sfilmować. Życie pisze czasem najlepsze scenariusze.

– Kim są ONI? – zapytał.

Wzruszyła tylko ramionami. Usiadła na fotelu i rozmasowała sobie ramiona. Piersi poruszały się pod bluzką, a on nie mógł przestać o nich myśleć. Chory, seksualny zbok.

– Gdzie Ewa?

– Skąd o niej wiesz? – odparł zaskoczony.

– Dużo wiem. – Ponownie wzruszyła ramionami. – Pracuję w ABW, zapomniałeś? Gdy do mnie zadzwoniłeś, musiałam cię dokładnie sprawdzić.

– Okay – przyjął wyjaśnienie.

– Gdzie zatem posiadasz swoje dziewczę?

– Mamy problemy... – zawahał się, po czym wyznał: – Nie

sypiamy już razem.

- Chwilowo czy ostatecznie?
- Ostatecznie, ona ma kogoś nowego.
- I mieszkacie razem?
- Tak wyszło.
- Jest u niego teraz?

– Pewnie tak. I odpowiedź na następne pytanie też jest twierdząca. I na następne. Tak, tak, tak. Tak, zapewne się z nim pieprzy. Tak, wkurza mnie to. Tak, wciąż o tym myślę.

Wcale nie zamierzała zadać tych pytań. Spojrzała na niego z nieco większą uwagą. Może mu się wydawało, ale dostrzegł to coś w jej oczach. Zaintrygowanie i rodzaj poczucia tworzącej się między nimi więzi.

- Naprawiłem swój kwas – zmienił temat.
- Jaki kwas?
- No ten z pierwszą stroną gazety i hipotezą dotyczącą Anki.
- To już bez znaczenia.

Mimo wszystko opowiedział jej o konferencji prasowej w Kancelarii Premiera, pytaniach i rozmowie z samym szefem rządu.

- Dzięki – mruknęła. – A nuż to pomoże...

Poszedł do kuchni i przyniósł butelkę wina. Nalał jej do szklanki. Podziękowała. Zawahał się, ale po chwili nalał też sobie.

- Nie masz dość?
- Już wytrzeźwiałem.
- Nie za dużo pijesz?
- Za dużo – przyznał. – Ale walczę z tym powoli. Choć teraz pewnie nie będzie łatwo.

- Z powodu Ewy?

Przytaknął, a następnie spojrzał na nią spode łba.

- Muszę ci zadać to pytanie... – szepnął.

Odstawiła szklankę i popatrzyła na niego ufnie.

- Śmiało, pytaj.

– Greg mi powiedział, że możesz zostać oskarżona o współudział, a nawet o zabójstwo Sworowskiego...

Nie przerwała, nie odezwała się słowem. Czekała, co jeszcze

wie i o co chce zapytać.

– Mówił też, że miałaś romans ze Sworowskim i że to mógł być motyw zabójstwa. Jedna z was, ty lub Anka, mogła to zrobić z zazdrości albo z jakiegoś innego powodu. Tak sobie wymyślili śledczy.

Zamilkł, mimo że nie zadał pytania. Patrzył uważnie w jej twarz, starając się przeniknąć przez maskę, którą przybrała. Nieprzejrzystą i nieujawniającą emocji.

– Wierzysz w to? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Ufam Gregowi i jego przecuciom. Dlatego w ciemno przyjąłem wersję, że chcą cię wrobić. Nie wierzę, że wykradłaś dane i filmy z giełdy. Poza tym... zabito twojego byłego chłopaka... nie wiem, czy już to wiesz...

Marta zbladła na sekundę. Przez jej twarz przebiegła błyskawica.

– Cholera, nie wiedziałaś...

Szybko się opanowała.

– Podejrzywałam, że coś się stało – odrzekła spokojnie, choć nagle zaciśnięta szczęka świadczyła o wielkim zdenerwowaniu.

Twardziel baba – pomyślał.

– Zbyszek zginął przeze mnie – dodała słabym głosem. – Cholera, pieprzeni dranie, zabili go.

– Przykro mi.

– Co jeszcze wiesz?

– Podobno na ciele... Zbyszka... są ślady... że współżyliście przed jego śmiercią.

– To nieprawda – oburzyła się niespodziewanie, po czym wyjaśniła spokojnie: – O mało to się tak nie skończyło. Ale do niczego nie doszło.

– Greg się nie upierał – przyznał Milik. – Był za to pewien, że to jakaś akcja skierowana przeciw tobie. Akcja w stylu służb specjalnych. Może więc te sprawy się łączą i za tą prowokacją oraz za zabójstwem Sworowskiego stoi jakiś były esbek albo oficer WSI.

– Albo ktoś przez nich chroniony – dodała Marta.

Zapadła niezręczna cisza. Milik sięgnął po papierosy i zapalił

jednego. Zobaczywszy jej głodne spojrzenie, które nagle uciekło w bok, wyciągnął paczkę i zaproponował:

– Chcesz?

Pokręciła głową.

– Rzuciłam.

Zaciągnął się mocno dymem.

– A o tobie i Sworowskim... to prawda? Rzeczywiście mieliście romans?

Tym razem nie odpowiedziała od razu. Dopiła wino i poprosiła o dolewkę. Gdy podawał jej szklanekę, ich dłonie na chwilę otarły się o siebie. Pomiędzy palcami przeskoczył impuls elektryczny. W innych okolicznościach pewnie by ich to rozbawiło, może zapadłoby tajemnicze milczenie zakłócanie jedynie głośnym przelknięciem śliny, a potem... Nie śnij na jawie, Milik, to nie ten typ. To kobieta zupełnie innej klasy niż twoje dotychczasowe podboje.

– To skomplikowane – odezwała się wreszcie.

– Opowiedz.

Westchnęła i przechyliła mocniej kieliszek.

– Poznałam Sworowskiego na jednym z giełdowych sympozjów. Zrobił na mnie wrażenie. Był wyjątkowo bystry, a ja lubię bystrych ludzi. – Zawiesiła głos, uśmiechając się do Bartka. Jego też uważała za bystrego? – Rzeczywiście coś pomiędzy nami zaiskrzyło i skończyło się w jego pokoju hotelowym. To było na długo przedtem, zanim zaczął sypiać z Anką. Był żonaty i dzieciaty, nie chciałam rozbijać jego małżeństwa, a on nie chciał się rozwodzić. Chodziło tylko o seks i tak to przyjęliśmy. Ja uległam pokusie, byłam zauroczona, nie zakochana. Kochałam wtedy Zbyszka. Skok w bok, o którym żadne z nas nie chciało pamiętać. No, ale siłą rzeczy czasem się spotykaliśmy i znów skończyło się w łóżku. A potem on poznał Ankę i... się zakochał. Dla niej się rozwiódł, zostawił żonę i dzieci. Ktoś powie, że to draństwo, ale jego małżeństwo po prostu było fikcją. Czasem gorzej jest utrzymywać taką fikcję, mamy tylko jedno życie. Miłość do Anki była szczerą i odmieniła go jako człowieka. Przestał poszukiwać seksualnych wyzwania i tego typu rzeczy. Mieli się

pobrać i w ogóle wyglądali na superszczęśliwą parę. Ja z Anką też się zaprzyjaźniłam, jak już wiesz. Ale popełniliśmy z Witoldem jeden błąd. Nie powiedzieliśmy jej o nas.

– I co, zauroczenie było silniejsze i wróciło? – zapytał Milik z nutą sarkazmu.

– Nie nabijaj się. Nigdy więcej nie uprawialiśmy seksu. Ale jak to w Polsce, zawsze znajdzie się ktoś życzliwy, a jakieś służby zmanipulują zdjęcia. Anka dostała przygotowany pakiet zdjęć ze mną i Witoldem w roli głównej. Nie wiem, kto i kiedy je zrobił. Straszny to kraj, w którym hotele wypełniają ukryte kamery.

– Ciebie też szantażowano?

– To chyba złe określenie, bo to raczej była zwykła zemsta, bez szantażu. Ci, którzy przesłali zdjęcia, nawet nie pokusili się o sprawdzenie, kim jestem. Dlatego w ABW też nikt tego nie skojarzył i mnie nie rozpoznał. Ale Anka rozpoznała. No i miała pretensję, dopóki jej wszystkiego nie wyjaśniłam. Uwierzyła nam. Tego dnia, gdy zginął Witold, wcale nie szła się z nim rozstać, tylko wesprzeć go w decyzji rezygnacji ze stanowiska. Z ludźmi o takiej mentalności nie ma sensu walczyć.

– Z jakimi ludźmi?

– Głównie z ministrem skarbu i stojącymi za nim układami, które pewnie prowadzą i do różnych gangsterów, i do byłych służb.

– WSI?

– Też, ale to nie jest żaden mityczny układ. To po prostu grupa luźno powiązanych interesów, bandziorów, którzy raz się skrzykują i działają wspólnie, a innym razem skaczą sobie do gardeł o parę procent źle zainwestowanej kasy.

– *Mafia na giełdzie* – mruknął Milik. – Fajny tytuł.

– Fajny, ale nie dla Witolda.

– Przepraszam.

Marta przez chwilę milczała, dopiła wino, a potem powiedziała:

– Niewiele rozumiało tego przekłętego Witolda. Był naprawdę dobrym człowiekiem, który próbował zrobić coś pozytywnego, zmienić ten kraj, rynek kapitałowy, posprzątać

różne układy i układziki, wyrzucić z giełdy manipulatorów, poprawić nadzór. Niełatwo jest się poruszać między żmijami i nie nadebrać jadowitego gada, więc chodził jak po polu minowym.

– No, święty nie był. Przecież nie wymyślili sobie tych wszystkich zarzutów o nieetyczne wspieranie firmy reklamowej, w której zatrudnienie znalazła Anka.

– Nie wymyślili, ale co w tym złego? Chciał po prostu pomóc przedsiębiorcy, nikogo do niczego nie zmuszał.

– Innych nie promował...

– Bo tę firmę znał i mógł za nią ręczyć. Powtarzam: co w tym złego? Gdyby zmuszał kogoś do inwestycji, uzależniał od nich jakieś swoje decyzje, robił inne myki... Ale on po prostu wykorzystał swój autorytet, żeby pomóc komuś wartościowemu. Mamy prawo to krytykować, nie możemy jednak przesadzać. To nic złego promować dobre marki, nawet jeśli sprawuje się funkcje publiczne.

– Mimo wszystko uważam, że to błąd.

– A ja nie. Każdy w tym kraju robi coś pod stołem, a oficjalnie udaje świeżego. Wszędzie na świecie ludzie jednej narodowości się wspierają i dzięki temu dobrze funkcjonują, a Polacy podkładają sobie świnię i myślą nie o własnym sukcesie, tylko o porażce sąsiada. Witold był inny. Chciał to zmienić. Słyszałeś kiedyś o jego działaniach w sprawie szefa KNF?

– Nie.

– To było za rządów prawicy. Narodowcy sobie wymyślili, że przejmą KNF, bo było tam stanowisko do obsadzenia na pięcioletnią kadencję, no i poza tym ważne dla gospodarki. Wstawili na prezesa młodego, ale mądrego chłopaka. Ten okazał się całkiem rozsądnym, prorynkowym gościem, który wcale nie chciał, by sterowały nim oszołomy. No i się im postawił, nie zgadzając się na zmiany personalne w dużej spółce i postawienie na jej czele faceta o bardzo podejrzanej przeszłości, jeszcze gorszego niż Szarawarski. Prawicowcy, zamiast ocenić jego argumenty, oczywiście się wściekli i próbowali od razu wymienić władze KNF. Witold stanął za tym szefem nadzoru, chociaż go nie znał. Uznał, że taki koleś będzie

znacznie bardziej przewidywalny, a co za tym idzie – mniej ryzykowny dla rynków finansowych, które są bardzo czułe na takie polityczne wojenki. No i całym sobą zaangażował się w tę obronę. Skutecznie.

– Taaak, coś tam słyszałem.

– Paradoksalnie okazało się, że ten klient w KNF też miał dużo za uszami i narobił syfu, ale to nie była wina Witolda. On wtedy stanął po właściwej stronie, jednak rynek uznał, że lepiej brudy zamieść pod dywan, a politycy wzięli na przeczekanie. Tak to już jest na rynkach finansowych. One nie znoszą skandali. Nie tolerują żadnych wojen. Kapitał wówczas zawsze ucieka. A prezes giełdy jest od tego, by nie uciekał. Jest od obrony nawet złych układów, jeśli tylko formacja trójkąta zwiastuje dalszą hossę.

– Formacja trójkąta?

– To takie... narzędzie analizy technicznej do oceny trendów na giełdzie.

– Czy będzie rosnać lub spadać?

– Właśnie.

– Trójkąt zwykle nie oznacza niczego dobrego – mruknął Milik, zerkając na zdjęcie Ewy na stole. Tyle razy sobie powtarzał, by trzymać się z dala od trójkątów. Co z tego, skoro przy każdym związku łamał to postanowienie i wpierdalał się w coś tak pogmatwanego, jak to tylko było możliwe.

– Nie zawsze – odparła zagadkowo Marta, a potem szybko dodała: – Na giełdzie formacja trójkąta może oznaczać też wzrosty.

– Na mój gust w trójkątach łatwo o wrogów. – Milika nie bardzo interesowała giełdowa teoria. – Sam trójkąt tworzy napięcie i przyciąga inne chore atomy.

Marta skinęła głową i podeszła do okna. Na zewnątrz było bardzo ciemno, bo wszystkie latarnie od tej strony ulicy zgasły.

– Witold narobił sobie całą masę wrogów, i to takich na całe życie.

– I któryś nie wytrzymał?

Zawahała się z odpowiedzią.

– Nie byłabym wcale taka pewna – odrzekła zagadkowo. – W



tych kręgach zabójstwo nie jest metodą negocjacji. Białe kołnierzyki, nawet pobrudzone gangsterką, nie stosują bandyckich metod, bo te źle robią pieniądzom. Tu najważniejsza jest kasa, nie pistolety. Walczy się za pomocą koloru zielonego i mocnych pleców, a nie pięści.

– Nie rozumiem. Uważasz, że nie zabito go przez układy?

– To była jakaś sprawa osobista. – Uśmiechnęła się smutno.

– Złowroga formacja trójkąta...

– A ukradzione filmy z monitoringu? Tylko ktoś naprawdę mocno poukładany mógł to załatwić bez pozostawienia śladów. A zabójstwo twojego Zbyszka i próba wrobienia ciebie? Przecież tego nie zrobili amatorzy. To robota służb albo dobrze zorganizowanego gangu. Albo i jednych, i drugich.

– To prawda. Tuszowaniem sprawy zajęła się jakaś organizacja, ale to nie znaczy, że ona stała też za zabójstwem. To znaczy tylko, że jest gotowa zrobić wszystko, by chronić zabójcę lub zatuszować ewentualny skandal.

– Obstawiasz tego co ja? – Milik sięgnął po leżące na ziemi gazety i wyszukał jedną, ze zdjęciem ministra skarbu na okładce.

– Chyba tak, albo kogoś jeszcze wyżej. – Przykryła podobiznę Szarawarskiego inną gazetą.

Z jej pierwszej strony spoglądała na nich dostojna, patriarchalna twarz zadbanego mężczyzny, prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Ewa wróciła przed szóstą i bardzo się zdziwiła, że w jej łóżku leży kobieta z zakrwawionym opatrunkiem na uchu. Bartek zbierał się już do wyjścia. Przytknął palec do ust, prosząc, by nie robiła rabanu. Poszli do łazienki i wyjaśnił Ewie, że to tylko znajoma, która miała kłopot i została przez kogoś pobita.

– Bądź dla niej miła, nic nas nie łączy.

– A co mnie to obchodzi, czy was coś łączy? Śpi w moim łóżku, do diabła.

– Proszę cię...

Przeklęła dwukrotnie pod nosem, a następnie zawróciła i ruszyła do przedpokoju. Zerwała z wieszaka płaszcz i ze złością włożyła długie do kolan buty przypominające trochę oficerki.

– Że też zawsze muszę mieć do czynienia ze świrami!

Zgrabna z niej była laska i miała dobry gust – pomyślał Milik. Fajnie mieć atrakcyjną babkę. Ale zbyt często trzeba się nią dzielić – dopowiedział szowinistycznie jego umysł. Jak to było w tym żarcie? Mieć całe gówno dla siebie czy dzielić się tortem z wieloma? Co jest lepsze? A może wystarczyłoby, żebyś nie patrzył na nią jak na towar? Może tu popełniłeś błąd. Nie patrzyłem nigdy jak na towar. Dopiero... teraz.

– Dobra, wracam do Patryka. – Spojrzała na niego bez wyrazu. Zero uczuć.

– Dzięki.

– Za co dziękujesz, głąbie? – prychnęła.

No tak, zaraz ktoś inny będzie pieprzył jego dziewczynę, a on za to dziękuje. Tyle że to już nie była jego dziewczyna.

Zagryzła wargi, myśląc nad czymś jeszcze, a potem bomba odpaliła. Wcześniej czy później to się musiało stać.

– Wyjeżdżam na weekend, ale wołałabym, żeby po moim powrocie jej tu nie było – szepnęła, po czym dodała szybko: – I ciebie też.

– Dobrze. – Skinął głową. Nie bardzo do niego dotarło znaczenie tych słów.

– Bądź mężczyzną i w końcu się wyprowadź. To staje się... przykre – podkreśliła.

– Wczoraj rano mówiłaś coś innego – wytknął z ironią.

Aż parsknęła, zirytowana i zarazem rozbawiona. No tak, z facetami nie ma co zawierać paktów. I tak o nich zapomną.

– Nie pamiętam. Wyprowadź się i zapomnij o mnie. Tak będzie dla wszystkich najlepiej.

Wyszła.

Milik wpatrywał się w drzwi. W końcu odpowiedział: – Pewnie tak.

Skończył śniadanie, wypił kawę, zostawił Marcie liścik i wyszedł na przystanek. Podjechał tramwajem do metra, w centrum przesiadł się do kolejnego tramwaju i obserwując tworzące się już korki, dojechał do redakcji. Dopiero co minęła siódma.

Pokój naczelnego był pusty, w newsroomie szpiigel gazety układało dwóch wydawców i szefowa reportażu.

Rzucił torbę na swoje biurko i podszedł do nich.

– Cześć. Mam nowe informacje w sprawie Sworowskiego.

Wydawcy spojrzeli po sobie. Coś było nie tak.

– Prezesa giełdy – dodał, choć przecież nie mogli nie skojarzyć nazwiska. – Tego, którego zamordowano. Wczoraj była konferencja premiera.

Zmieszali się jeszcze bardziej.

– Halo, Houston, tu Ziemia. Mam fajnego newsa.

– Bartek, tematy śledcze z giełdy to działka Stefana – przypomniał mu jeden z wydawców.

– Przecież Stefan nie chciał się zajmować tym śledztwem.

– Może i nie chciał, ale dziś dzwonił i zaanonsował tekst. Mówił, że ma sporo nowych faktów.

– Skoro ty też masz coś nowego, to może razem napiszecie ten materiał – usłyszeli za plecami głos naczelnego.

Bartek odwrócił się gwałtownie.

Pawlak patrzył na niego z rozbawieniem albo drwiną. Co, myślałeś, że jak raz dobrze strzeliłeś, to wskoczyłeś do ekstraklasy, osiągnąłeś poziom zarezerwowany dla gwiazd, zostałeś celebrytą? Cały czas jesteś chłopakiem od boczków.

Dużo musisz się jeszcze nauczyć i napracować, żeby być Stefanem.

– Kiedy będzie Stefan?

– Za godzinę.

Ale Stefan przyszedł później. Na porannym spotkaniu redakcyjnym dyskutowali wszystko z wyjątkiem jedyńki, na którą zaplanowano już tekst Stefana. Wydawca zawahał się, a potem dopisał plus i nazwisko Bartka. Pierwsza strona szpiglia: „Stefan + Milik”.

– Nie omawiamy tego na zebraniu – przypomniał wydawca i przeszedł do debaty nad dalszą częścią gazety. – Stronę drugą, edytorial i komentarz dzienny, robi dziś Radek. Stronę trzecią: co tam słycać w węglu? Aha, Baśka jest na konferencji. Czwórka... Co damy na czwórkę?

Bartek spojrział w kierunku biurka Brychta. Wciąż go nie było. Nie widział go od paru dni. Masz u mnie flaszkę, ale musisz się pojawić, bym mógł ci ją wręczyć.

Wyszedł na papierosa i wypalił dwa. Drugiego odpalił od niedopałka pierwszego.

Stefan przyszedł w końcu po dziesiątej i od razu zasiadł do komputera, wyjmując z teczki gotowca opracowanego pewnie przez ABW.

– Słyszałem, że też coś masz – zwrócił się do Bartka. – O Sworowskim.

– Coś tam mam – powiedział ostrożnie Bartek.

– No, ja w zasadzie wiem już wszystko, choć możesz coś dopisać, jeśli chcesz. Moje nazwisko idzie pierwsze, okay?

– Okay. To kiedy wrzucisz mi tekst?

– Za godzinę. Może półtorej.

– Dobra – mruknął Bartek i włączył pasjansa.

Dwie godziny później Stefan zawołał:

– Już masz! Nazywa się „Sworowski\_roboczy”. Jak coś dopiszesz, zmień na „Sworowski\_do\_czytania”.

– Dobra.

Otworzył plik i dwa razy przeczytał lid. Tego mógł się spodziewać. Po rozmowie z Gregiem nie powinien być zaskoczony.

## **Agentka ABW podejrzana o zabójstwo prezesa giełdy**

Taki tytuł proponował Stefan, pisząc o tym, że zarzuty zostaną przedstawione Marcie S., majorowi ABW, która miała romans ze Sworowskim. Agentka była wyszkolona, знаła się na giełdzie, miała potrzebne przygotowanie techniczne, by ukraść dane i usunąć filmy z monitoringu, a nawet wiedzę na temat manipulacji giełdowych. Potrafiła dokonać ataku hakerskiego. Kto wie, co jeszcze wyjdzie.

Dodatkowo agentka prawdopodobnie zamordowała innego swojego byłego kochanka, którego znaleziono wczoraj ze skreślonym karkiem w klubie aikido. Marta S. ukrywa się gdzieś w okolicach Warszawy. Poszukiwania trwają. Policja prosi media i obywateli o pomoc w ujęciu sprawczyni i przestrzega, że może być niezwykle groźna. Za pomoc poszukiwanej w ucieczce lub jej ukrywanie grozi odpowiedzialność karna.

To oznacza list gończy i publikację zdjęcia. Cholera, niedobrze.

– No i co, pistolecie, dopiszesz coś? – zapytał Stefan.

– Nie. – Bartek uśmiechnął się wymuszenie. – Wiesz wszystko.

– No widzisz. Trzeba było szperać w swoich źródłach, a nie łązić po konferencjach. Nie masz mi za złe, mam nadzieję?

– Nie mam.

Bartek wyszedł na papierosa.

Pieprzony Brycht, gdyby tu był, doradziłby mi, co robić. Co robić? Czy może jeszcze ufać komukolwiek. Czy naczelny stanie po jego stronie, jeśli zaproponuje zupełnie inny materiał.

Spróbować trzeba.

Skończył palić i wparował do naczelnego.

– Nie mam czasu – warknął Pawlak.

– Ale to ważne. Piekielnie ważne.

Pawlak spojrzał na niego uważnie i przerwał czytanie

jakiegoś urzędowego pisma.

– No dobrze, siadaj. – Skrzywił się, pociągnawszy nosem. – Mógłbyś po paleniu trochę pooddychać na powietrzu. Śmierdzisz jak popielniczka.

– Przepraszam.

– Dobra, do rzeczy.

– Chodzi o dzisiejszą jedynekę.

– Mieliście ją zrobić razem ze Stefanem.

– Tak, ale to niemożliwe.

– Dlaczego? Do diabła, czasem trzeba pracować zespołowo. Ty coś wiesz, Stefan coś wie. Napiszcie każdy swoją część i będzie git.

– Nie będzie, bo nasze wersje zbyt się różnią.

– Jak to?

– Stefan przyniósł gotowca od swoich informatorów ze służb.

– Zawsze tak robi – mruknął naczelny. – Źródło przynajmniej jest pewne.

– Pewne? Przecież to zawsze manipulacja.

– Ale nigdy nie będzie dementi. Służby nie dementują swoich kłamstw.

– I tak spokojnie to mówisz?

– A co mam zrobić? Odciać takie preparowane newsy? To pójdą do innych. I tak chodzą. A my zostaniemy bez tajnych danych. Czasem trzeba iść na kompromis.

– Tym razem jednak oni chcą sprzedać całkowicie nieprawdziwą wersję. Wszystkie gazety ją opublikują, ale to będzie kłamstwo. Celowe kłamstwo.

– A ty masz prawdziwą wersję?

– Stefan zamierza napisać, że podejrzaną jest agentka ABW...  
– zaczął powoli Bartek.

– A ty twierdzisz, że to nieprawda. No to niech Stefan napisze o podejrzeniach, a ty dodaj, że według innej wersji to ściema. I będzie git.

– Powtarzam: nie będzie, bo nie chodzi o różne wersje. ABW chce celowo wprowadzić śledztwo na fałszywy trop, znaleźć kozła ofiarnego. Tymczasem ta agentka jest niewinna, a cała intryga jest szyta grubymi nićmi przez jakiegoś... grubasa –

zakończył slangiem giełdowym. Grubasem nazywano dużego inwestora czającego się na megatransakcje, czasem jednym ruchem sterującego całym rynkiem, obracającego miliardami na giełdach.

– Grubasa?

– Mafia albo służby chcą ukryć prawdziwe powody zabójstwa Sworowskiego.

– A jakie są prawdziwe?

– Tego jeszcze nie wiem.

– I mówisz, że tylko my będziemy mieli te twoje ustalenia, a wszyscy inni wersję o podejrzanym agentce?

– No. – Bartek poczuł, jak serce mu łomocze. Naczelnym właśnie zwietrzył krew. Znów będzie mógł namieszać, ha!

– W takim razie... opublikujemy ją jutro, a dziś idzie tekst Stefana.

– Jak to?

– Tak to. Dziś będziemy mieli to co wszyscy, a jutro puścimy twój tekst. Przecież się nie zdezaktualizuje.

Bartek otworzył usta, żeby jeszcze powalczyć, ale zrozumiał, że przegrał. Nie było sensu dalej dyskutować. Pawlak podjął decyzję i jej nie zmieni.

Wyszedł z gabinetu i znów ruszył na fajkę. Na dole przez przypadek natrafił w kurtce na wizytówkę, którą dostał po śniadaniu w radiu od naczelnego tygodnika. Może to jakiś znak? Oddalił się od redakcji, schował się w niszy i wystukał numer na komórce. Naczelnym odebrał po pięciu sygnałach.

– Dzień dobry, mówi Bartek Milik.

– A, witaj, Bartek, szukasz pracy? Tak szybko?

– Nie, ale mam tekst do publikacji, prawdziwą sensację. Jesteś zainteresowany?

– Pewnie – odparł tamten bez wahania.

– Tylko trzeba byłoby to wrzucić dziś na net, bo jutro będzie już nieaktualne.

Tym razem naczelnym tygodnika milczał przez dwie albo trzy sekundy.

– Prześlij, zobaczymy, co da się zrobić.

Tygodnik „Ale Świat” opublikował tekst Bartka Milika niespełna dwie godziny później, poprzedzając go komentarzem redakcyjnym, w którym wydawcy przekonywali, że jest to absolutnie sensacyjny i wiarygodny materiał, świadczący o tym, jak inne media są sterowane przez służby specjalne, a cały mainstream kłamie.

Tylko „Ale Świat” się nie dał.

Bohaterowie. Prawdziwi bohaterowie to my. Niezależne media, niewchodzące w układy z rządem, nieczyhające na ochłapy reklamowe z państwowych molochów i niepoddające się żadnej presji. Tygodnik „Ale Świat” twoim wiarygodnym źródłem informacji.

Reklama mniej więcej tej treści była rozsyłana po portalach internetowych i społecznościowych jeszcze tego samego dnia.

Szybko starali się zebrać plony.

Bartka także nazwano bohaterem, który oparł się pokusie pójścia na łatwiznę i zdecydował publikować pod prąd, skoro jego macierzysta redakcja „Expressu Finansowego” wołała układy z władzą.

Tekst był tandetny, pełen patosu i mało wyszukanej propagandy. Ale reportaż Bartka poszedł bez zmian, a że bardzo mocno uderzał w oficjalne wersje śledczych, zakłamanie rządzących i próby matactwa w jednym z najważniejszych obecnie śledztw, to wynikała z tego niezła awantura.

Ciekawe, co teraz zrobią inne media?

Pawlak zadzwonił do niego dokładnie minutę po publikacji Tygodnika Niepokornego.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

– Nie chciałeś mojego tekstu, to go opublikowałem gdzie indziej.

– Jesteś dziennikarzem „Expressu”, do diabła!

– Jestem freelancerem, zwykłym gnojkiem od boczków i wykonywania poleceń. To twoje własne słowa. Nie stać was na



etat dla mnie, zapomniałeś? Mogę publikować, co chcę, gdzie chcę.

– To sobie, kurwa, publikuj i już do nas nie wracaj!

– Nie zamierzam.

Inne gazety na razie milczały. Nikt nie odpowiedział na zaczepkę Tygodnika Niepokornego. Bo też byłoby to bardzo trudne. Tekst Milika kipiał od faktów, dowodów i logicznych wniosków. Przeciwwstawienie go teraz spreparowanym w oczywisty sposób przeciekom ze śledztwa, mówiącym o jedynej możliwej wersji, nie miałyby żadnego sensu. Milik wygrał.

Zobaczymy, co będzie w porannych numerach.

Greg zadzwonił z jakiegoś telefonu na kartę.

– Mam załadowane tylko pięć złotych, więc się streszczajmy. Świetny ruch z tym „Ale Światem”.

– Dzięki.

– Prokurator generalny zwołał naradę całego zespołu. Na korytarzach u nas przebąkują, że zakaże postawienia zarzutów obu kobietom i poleci kontynuację wielowątkowego śledztwa. Mamy zbadać wszystkie hipotezy, a dopiero potem wypychać dane mediom. Zdaje się, że wygraliśmy.

– Dzięki za info.

– Też ci dziękuję. Słyszałeś coś o Marcie?

Bartek zawahał się. Powiedzieć czy nie?

– Nie.

– Cholera, zapadła się pod ziemię.

– Na pewno da sobie radę.

– Pewnie, to doświadczona agentka. Na razie.

– Na razie.

Nie minął kwadrans, gdy Greg zadzwonił ponownie.

– Ale dzień! Wejź na blog tego czubka z „Gazety Giełdowej”, kojarzysz?

– Jasne.

– Facet ma bardzo ciekawą teorię dotyczącą motywów zabójstwa Sworowskiego i tego, co się wówczas działo na giełdzie. Przeczytaj koniecznie.

– To prawdziwa teoria?

– Brzmi wiarygodnie. Tylko pamiętaj, że ja się na tym nie

znam. W pieprzonej ABW i pieprzonej policji nikt się chyba na tym nie zna poza Martą, która, jak wiadomo, zniknęła i niby jest podejrzana. Wszyscy chodzą i powtarzają sobie pod nosem te cyferki, jakby to były jakieś tajemne wersety z Biblii.

– Przeczytam, jak dojadę do domu.

– Nara.

– Nara.

Potem Bartek nie odbierał już telefonów. Do domu dojechał po szesnastej. Drzwi otworzyła Marta w jego flanelowej koszuli, pod którą niczego nie miała. Przynajmniej tak mu się wydawało. Przelknął głośno ślinę. Miała krótko obcięte włosy po lewej stronie głowy i nieco dłuższe (by zasłonić ucho) po prawej, teraz ufarbowane na czarno, podobnie jak brwi.

Była piękna blondi, jest nieco dziwna czarnula. Nie mniej fascynująca, ale zdecydowanie bardziej wymagająca. Teraz ostre rysy twarzy oraz ta prowokacyjna fryzura nadawały jej zadziorny charakter. Wyglądała inaczej, trochę punkowo, młodzieżowo i intrygująco.

Ładnym laskom dobrze w każdym wcieleniu. Przechodzą metamorfozę i znów są wspaniałe. Choć wolał ją jako zwyczajną kobietę, z długimi włosami blond, to tak też było dobrze.

Przyjrzał się jej ukradkiem jeszcze raz.

Bardzo dobrze.

Zmieniła też opatrunek na uchu. Był już mniejszy i nie rzucał się tak w oczy, szczególnie że dłuższe z tej strony włosy dobrze go przykrywały.

– Goi się?

– Przeżyję.

– Ładnie wyglądasz.

– Dziękuję. Kiedy wraca twoja dziewczyna? Mam się wynieść przed wieczorem?

– Była rano. Powiedziała, że wyjeżdża na weekend. – Uśmiechnął się. – Mamy więc czas do poniedziałku.

– Okay.

– Ja też mam się wynieść. Może poszukamy czegoś razem.

– To przyjacielska propozycja? – zażartowała. Ten chłopak

był naprawdę miły i szczerzy. Nie zasługiwał na wcześniejsze baty.

– Trochę wymuszona. Nie stać mnie na wynajęcie chaty samodzielnie.

– Mam jakieś zaskórniaki.

– Weźmiesz mnie na utrzymanka?

Przypomniawszy sobie słowa Grega, zrelacjonował jej wydarzenia dnia i podszedł do komputera.

– Muszę sprawdzić tego bloga i w ogóle co się dzieje.

– Dobrze zrobiłeś, dziękuję – szepnęła.

Stała za jego plecami i położyła mu dłonie na ramionach. Uciskała je delikatnie, a jemu robiło się naprawdę gorąco. Czując jej piersi tuż za głową. Poruszały się w górę i w dół, muskając jego rozwichrzone włosy. Słyszał coraz cięższy oddech i czuł, że ona też ma na niego ochotę, choć jeszcze trochę się boi. Nie, to wahanie nie było ze strachu. To coś innego. Chyba nie do końca pasował jej jego typ męskości, urody, charakteru. Chyba nie mogła kochać kogoś takiego, a tym bardziej pożądać.

A jednak stała tam, a jej wolne od stanika piersi pod flanelą muskały go nabrzmiałymi, twardymi już jak kamień sutkami.

Był tego pewien. Te znaki wydawały się dość czytelne.

Nagłym ruchem odchylił się do tyłu, opierając plecy na oparciu fotela, a głową łądując między jej piersiami. Nie cofnęła się, cały czas utrzymywała kontakt. Miał wrażenie, że jeszcze mocniej wtuliła jego głowę, zwiększając intensywność tej niecodziennej pieśczoły.

– Nie jestem zbyt dobrym facetem – szepnął.

– Na pewno nie gorszym niż ja kobietą.

– Nie masz nikogo?

– Jestem sama jak palec. – Uśmiechnęła się.

– I myślisz, że warto spróbować?

– Kto wie...

Odwrócił się i już po chwili całowali się namiętnie. Siadła na jego kolanach, falując delikatnie i zachęcając do pieśczoły piersi i całego ciała. Całował jej sutki i liżał piersi, uwalniając je ze zbyt obszernej koszuli.

Powstrzymała go i zaczęła się wpatrywać w jego oczy, gładząc

po twarzy i odgarniając mu gorączkowymi ruchami włosy z czoła. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, coś ważnego, a może mało istotnego, ale z tego zrezygnowała. Wpiła się w jego usta i pozwoliła, by zaniósł ją do łóżka, a potem kochał, zupełnie nie zważając na to, w jakiej są sytuacji i co się wokół dzieje.

Leżeli potem przytuleni, milcząc i mając ochotę tylko na szklankę wina i papierosa. Komputer z wygaszonym monitorem szumiał w rogu.

Bartek wstał. Nago podszedł do peceta, wybudził go z uśpienia i chwycił papierosy.

– Chcesz?

Pokręciła przecząco. Jeszcze wytrzymuję, ale jak długo? Załamka, tak bardzo chciało jej się palić.

– Daj mi coś do picia.

Przyniósł wino, nalał do dwóch szklanek, podał jej jedną, a z drugą usiadł przed kompem. Wszedł na bloga „Gazety Giełdowej”. Tekst kontrowersyjnego analityka, który już nieraz zaskakiwał rynek swoimi radykalnymi, ale przykuwającymi uwagę ocenami, był straszliwie długi i nudny. Pełen różnego rodzaju wydumanych teorii, trudnych do pojęcia dla zwykłego zjadacza chleba. Bartek musiał przyznać, że sam też niewiele rozumiał, mimo że pracując w „Expressie”, trochę nauczył się o giełdzie. Ale wymowa artykułu była dość jednoznaczna i logiczna. To miało ręce i nogi.

– Co pisze?

– Pastwi się nad fixingiem z dwudziestego trzeciego grudnia.

– I słusznie, coś było nie tak, skoro zniknęła część danych.

– No ale co z tym można zrobić? Anulować wszystkie transakcje?

– Nic nie można zrobić. System jest trefny. Powinien być przebudowany.

– Może już jest.

– Może. Witold robił wszystko, żebyśmy mieli taki system jak giełdy światowe, ale ci cholerni maklerzy ciągle narzekali i podkładali miny.

– Też o tym pisze bloger z „Giełdowej”.

– I słusznie.

– Według jego teorii doszło do jakiejś dużej operacji międzynarodowej, którą system powinien odrzucić. Nie wskazuje konkretnych podmiotów, ale sądzi, że gdyby wszystko dokładnie przeanalizować, nadzór na pewno by do tego doszedł. Tylko u nas nikt nie chce analizować tego, czego lepiej nie wiedzieć.

– Znowu bingo.

– A teraz clue sprawy. Bloger uważa, że na zawieszeniu notowań ktoś zarobił dokładnie sto milionów dolarów. Sporo.

– Kto?

– Jakieś fundusze cypryjskie.

– Rуска mafia?

– Kto wie. A może nasi przedsiębiorcy? No i tu dochodzimy do zabójstwa Witolda. Bloger spekuluje, że prezes decyzją zarządu chciał anulować wszystkie transakcje z tego cudofixingu, jak go nazywa. Jeśli istotnie zamierzał zgłosić taki wniosek i mógł go formalnie zrealizować, to może coś w tym jest.

Marta zamyśliła się.

– Po śmierci Witolda nie podnoszono tej sprawy, a śledztwo nadzoru utknęło gdzieś w biurokracji.

– Za sto milionów dolarów można zabić. To lepszy motyw niż zazdrość o... koleżankę.

– Co sugerujesz?

– Że powinniśmy przyczepić się do tej teorii spiskowej i mocniej ją lansować. Dziś prokuratorzy, zamiast odbębniać swoją robotę, czekają na sygnały z mediów i nimi się kierują. To chore, ale co możemy poradzić?

Potem, w nocy, Marta nie mogła zasnąć i patrzyła na spokojnie odsypiającego ostatnie noce Milika. Wyglądał trochę jak dziecko. Mało było w nim z mężczyzn, z którymi ostatnio sypiała. Psychicznie i fizycznie silnych, drapieżnych, seksualnie wyjątkowo sprawnych i wymagających, a jednocześnie zniszczonych, targanych wewnętrznymi demonami. On był w tym wszystkim jak dziecko we mgle. Chłopięcy, młodzieńczy, inny. Kochał się też bardziej jak chłopiec niż mężczyzna. Czują

się, jakby była na wakacjach, gdzieś na Mazurach, w ramionach spotkanego po raz pierwszy tej nocy młodzieńca, który dopiero poznaje kobiety, uczy się miłości i seksu. To było... takie przyjemne. Inne od ostrego seksu, do którego przyzwyczyły ją ostatnie przygody z różnymi twardzielami. Przyjemne doświadczenie. Mniej porażające, niedające takiej satysfakcji ciału, za to odmładzające i zwyczajnie fajne.

Zasypiała z uśmiechem, choć sen nie chciał nadejść, odpędzany przez wątpliwości i pojawiające się raz po raz widmo Zbyszka. Zginął przez nią. To było cholernie niekomfortowe uczucie. Gdzieś w zakamarkach umysłu ciągle powracały pytania o nasłanych na nią zabójców. Wcześniej czy później oni wrócą, znajdą ją i znów spróbują wykończyć. Ona będzie przygotowana, ale co z dziennikarzem? Poradzi sobie, nie da się zabić? Nie podzieli losu Zbyszka?

Na to nie знаła odpowiedzi. Nikt jej nie znał.

Zasnęła dopiero nad ranem z mocnym postanowieniem, że jutro powinni się rozdzielić.

Morderca przeglądał policyjne raporty, które kupił od pośrednika mającego kreta w Komendzie Stołecznej. Samochód Marty znaleziono w Raszynie, zaparkowany gdzieś przy bocznej, mało uczęszczanej uliczce. Zwrócił czyjaś uwagę, lecz policja dopiero następnego dnia zareagowała na zgłoszenie. Patrol z początku myślał, że wybita szyba i krew w pojeździe są wynikiem działań jakichś chuliganów, ale po sprawdzeniu przekazano właściwy komunikat do dyżurnego i w Raszynie zaroilo się od oficerów dochodzeniówki, a potem także ABW. Komórkę Marty znaleziono rozebraną w samochodzie. Kontakt się urwał.

Morderca nie miał pomysłu, jak znaleźć cel, postanowił więc czekać. Jego źródła w policji, ABW i Ministerstwie Spraw Wewnętrznych odezwą się natychmiast, gdy nadejdzie jakiś raport ważny dla sprawy.

Cierpliwość jest ważna. Zapewnia nagrodę. Nieprzemyślane, impulsywne działania wzmacniają chaos, czyniąc wszystko nieprzewidywalnym. On wolał planować i działać zgodnie z ustaloną strategią. To przynosiło efekty.

Nie miał zresztą innego wyjścia. Sprawa była nietypowa i w nietypowy sposób musiała zostać przeprowadzona. Pierwszy raz naruszał zasadę, której dawniej się trzymał. Nie bierz tematów osobistych, które mogą cię bezpośrednio dotyczyć. Nie kieruj się emocjami. Tak sobie powtarzał i do dziś trzymał się tego kurczowo.

Ale w jego życiu też następowały zmiany. Na lepsze, taką przynajmniej miał nadzieję.

Zdziwiło go polecenie, które właśnie otrzymał.

Spojrzał w notes i wstukał w Google dwa słowa, sprawdzając, czy na pewno dobrze zapisał nazwisko.

Bartosz Milik. Dziennikarz. Niezbyt znany. Bez hasła w Wikipedii. Młody. Wolny strzelec. Większość wyników dotyczyła reportażu o śledztwie w sprawie Sworowskiego.

Marta była w grupie dochodzeniowej. Sam powinien na to wpaść. Czyżby zleceniodawca sądził, że daje mu cynki? Możliwe. Ten pismak na pewno miał informatora w zespole prowadzącym sprawę. Zbyt dużo wiedział. Jeśli była nim Marta, mogą teraz być razem. Znajdzie ich bez trudu.

Wyświetlił jedno z nielicznych zdjęć Milika z sieci. Powiększył na pół ekranu, a potem otworzył zdjęcie Marty. Za co daje ci newsy?

– Posuwasz ją?

MM. Inicjały się zgadzają. I nic poza tym.

Ona była kobietą, on chłopcem. W jej oczach błyszczały upór, inteligencja, przebiegłość i świadomość. Tak, to dobre słowo. To była osoba, która w mig rozumiała sytuację. A on? Naiwny gnojek, farciarz. Właściwie jeszcze dzieciak. Nikt go porządnie nie złapał za kutasa i nie ścisnął z całej siły. Nie wie, co to prawdziwa kobieta, nie ma pojęcia, jakiego mężczyzny taka potrzebuje.

Znów miał erekcję.

Pokażę ci, co to znaczy być prawdziwym mężczyzną. Obojgu wam pokażę.

Sprawdził adres i wprowadził go do GPS. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w Jana Pawła.

Ruszył w kierunku Żoliborza.



Wyszli z domu zaraz po śniadaniu i kupili dwie gazety. Obie opublikowały teksty jedynie nawiązujące do jego materiału ze strony „Ale Świata”. Nawet „Express” nie puścił tekstu Stefana, umieszczając na jedynce raport o stanie wydobywania węgla. Milik uśmiechnął się pod nosem. Prawdopodobnie stracił robotę, ale za to wyskoczył z tego okrętu z prawdziwym przytupem. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie ma jaj. Nawet Brycht.

A ojciec? Przestał go nawiedzać, może stracił nadzieję, że syn stanie się mężczyzną.

Tato, tak szybko zrezygnowałeś?

Marta jeszcze przy śniadaniu próbowała go namówić, żeby ją zostawił i zajął się swoimi sprawami, ale nie chciał o tym słyszeć.

– Nie zostawię cię samej, jadę z tobą.

– A umiesz chociaż prowadzić samochód?

Prawo jazdy miał. Nie jeździł od dawna, ale podobno tego się nie zapomina.

Marta prawie pół godziny obserwowała parking, aż w końcu wybrała dość zaawansowaną wiekiem, lecz wciąż dobrze się prezentującą hondę civic, którą przed chwilą zaparkowali dwaj młodzieńcy. Podeszli do czekających na nich dziewczyn i cała grupa ruszyła przez osiedle. Wyglądało na to, że nie wrócą zbyt szybko, a kto wie, czy nie ruszą razem na imprezę, samochodem zaś zainteresują się dopiero jutro czy pojutrze.

– Może do tego czasu zdołamy go odstawić.

– Często... pożyczasz tak samochody?

– Zdarza się.

Podeszła do hondy od strony kierowcy, upewniła się, że nie ma alarmu, po czym pogmerała przy zamku za pomocą dwóch cienkich blaszek i otworzyła drzwi. Rozpracowanie zamka zajęło jej zaledwie dwadzieścia sekund.

– Niezła zabawa.

Marta usiadła za kierownicą, a kiedy Bartek zajął miejsce obok, włożyła jedną z blaszek do stacyjki, a drugą ostrożnie zbadła jej wnętrze. Uruchomiła silnik. Ruszyli powoli z parkingu, przecięli dwie osiedlowe uliczki i wyjechali na jedną z głównych arterii Żoliborza. Marta prowadziła pewnie, ale bez brawury. Nie przekraczała dozwolonej prędkości i nie prowokowała innych kierowców. Po chwili wjechali na Wisłostradę, przelotową trasę stolicy.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Czas odkryć karty.

– A jak nie będzie go w domu?

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma co gdybać. Działamy teraz bez planu, licząc, że coś nam się uda wyjaśnić.

Spod rozpiętej kurtki puchowej, którą pożyczył jej Milik, wystawała kabura z bronią. Rano oczyściła ją w jego obecności i przygotowała do strzału. Teraz co chwila upewniała się, że jest na miejscu, jakby była pewna, że jej dziś użyje.

– Mam nadzieję, że go nie zastrzelisz – mruknął.

– Zrobię, co będę musiała. – Spojrzała na niego badawczo. – Nie powinnam brać cię ze sobą.

– Już o tym rozmawialiśmy. Nie pozwolę ci jechać samej.

Uśmiechnęła się. W sumie to jednak tego chciała. Także czuła się przybita tymi wszystkimi wydarzeniami. Nie była przyzwyczajona do tak dużej dawki adrenaliny. Mimo przebytych szkoleń i dość mocnego charakteru była blisko załamania. Śmierć Witolda, całe to ściemnione śledztwo, bezczelne robienie kozła ofiarnego z Anki, a potem z niej samej, zabójstwo Zbyszka, wreszcie próba wykończenia jej rękami jakichś bandziorów.

Tego było za wiele.

Chcecie wojny, będziecie ją mieli. Teraz była już gotowa na wszystko.

A Milik? Sam się pcha. Jej przyda się świadek. Kto wie, czy ostatecznie nie odegra istotnej roli. A jeśli zginie?

Popatrzyła na tego młodego chłopaka jeszcze raz. Miała go pod swoją opieką. Wykorzystywała, ale przecież on też ją

wykorzystał. To była gra, którą oboje prowadzili, świadomi ryzyka. Sam chciał.

Próbowała się uodpornić, odrzucić wszelkie skrupuły. Tak naprawdę jednak wiedziała, że jeśli będzie miała wybór: jego życie lub jej, wybierze właściwie.

Dzieciak nie był niczemu winien. Nie pchał się do łóżka Witolda, a potem do tych wszystkich rozgrywek.

Nie zginie, ona na to nie pozwoli.

– O czym myślisz?

Wzruszyła ramionami.

– Nawet nie wiem. Wyłączyłam się.

Jechali kilkanaście minut trasą gdańską, a potem skręcili w lewo, w mocno zalesione tereny. Kluczyli drózkami Kampinosu dobre pół godziny. Milik miał przy tym wrażenie, że Marta dobrze zapamiętała trasę i nawet jeśli skręcała kilka razy nie tam gdzie trzeba, robiła to celowo. Nie pomyliła się ani razu, dojeżdżając do rezydencji Szarawarskiego. Minęła bramę i zaparkowała kilkaset metrów dalej w zatoczce przy paru innych budynkach. Wszystkie były bogatymi willami.

– Nie boisz się, że ktoś zadzwoni po policję?

– Trudno. Gramy *va banque*.

Zapięła spodnie narciarskie nad butami, on zrobił to samo i ruszyli przez zaśnieżony las do ogrodzenia posiadłości ministra. Marta uprzedziła Bartka, że mogą mieć problem z psami, i poprosiła, by trzymał się blisko niej, a w razie ataku po prostu skulił i poczekał, aż ona sobie z nimi poradzi.

– W jaki sposób?

– Zobaczysz.

Psy jednak były zamknięte. Zaczęły straszliwie ujadać, gdy przebiegali obok klatki. Marta chciała jak najszybciej zejść im z oczu, bez zastanowienia biegła więc na tył domu, do oranżerii. Milik z trudem dotrzymywał jej kroku. Ciężko dysząc, przylgnął do oszklonej ściany. Drzwi były otwarte. Marta wślizgnęła się do środka i gestem nakazała mu iść za sobą. Stanęli przy uchylonych drzwiach do salonu i przez kilka minut nasłuchiwali.

– Chyba nikogo nie ma – szepnęła Marta.

– I zostawili dom tak bez żadnego zabezpieczenia? Z zamkniętymi w kojcu psami?

– Może pracownicy są w domu dla służby i niczego się nie spodziewają. Nikt nie okrada gangstera.

– A ministra?

– Dziś to dla wielu znaczy to samo.

Marta dobrze zapamiętała rozkład domu. Przebiegli przez salon, mijając bibliotekę i kuchnię, wszystkie te puste teraz i zimne pomieszczenia, aż dotarli do gabinetu w zagłębieniu bezpośrednio przylegającym do salonu. Drzwi zastali otwarte. Zaciągnięte ciężkie story sprawiały, że w środku panował lekki półmrok.

Gabinet był sporej wielkości, urządzony w angielskim stylu, przypominał trochę bibliotekę i palarnię, w której wcześniej rozmawiał z nią Szarawarski. Przy ścianie stało masywne biurko z laptopem i kilkoma stosami papierów i dokumentów.

Gdy ich oczy przyzwyczyły się do półmroku, Marta bez słowa usiadła za biurkiem i włączyła komputer. Był zabezpieczony hasłem, które spisała ze spodu szuflady. Pan minister nie różnił się od innych głabów zapominających hasła. Czekaając na uruchomienie laptopa, zaczęła przeglądać dokumenty.

– Czego szukamy?

– Nie wiem.

– Co mam robić?

– Zamknij drzwi. PO CICHU – dodała z naciskiem.

Zrobił, o co prosiła, i poczuł ulgę, jakby teraz już nikt nie mógł ich nakryć. A przecież byli w cudzym domu, wielkiej rezydencji ministra gangstera, pilnowanej przez psy i zastęp służby, która nagle zniknęła nie wiadomo gdzie. Do licha! To nie było normalne.

Tak jak przeglądanie rzeczy pana ministra i grzebanie w jego laptopie.

Dysk komputera przestał trzeszczeć. Był już gotowy do pracy.

Marta westchnęła głośno na widok zawalonego folderami pulpitu. Bałagan był tak ogromny, że wcale nie miała ochoty się w nim grzebać.

– Boże. To jeszcze ci działa?

Uruchomiła wyszukiwarkę i wpisała na początek hasło „Sworowski”. Wyskoczyło kilka plików, żaden nie był interesujący.

– Masz pendrive?

Milik poklepał się po kieszeniach i wyjął ośmiogigowy maleńki dysk w skórzanej oprawie.

– Tylko nie zepsuj. Trzymam na nim całą swoją twórczość.

– Bez obaw.

Włożyła dysk do portu USB, utworzyła folder MILIK i żeby uniknąć pomieszania dokumentów, przeniosła do niego całą zawartość, którą Bartek nagrał wcześniej, a następnie na czystym ekranie utworzyła nową teczkę o nazwie MINISTER\_SP. Przekopowała znalezione pliki, które laptop skojarzył z wyszukiwanym hasłem „Sworowski”. Następnie wpisała „gpw”. Dokumentów było kilkaset. Przekopowała je, nie patrząc, z czym ma do czynienia. Potem wpisała jeszcze kilka kolejnych haseł, które mogły kojarzyć się ze sprawą Witolda, GPW, rynkiem kapitałowym, AK Invest i innymi cudofixingami.

– Mam wrażenie, że kradniemy dane, za które można nieźle beknąć.

– Z prywatnego laptopa ministra? Nie powinien mieć tu niczego tajnego. Za to dam głowę, że ma coś, czego należy się wstydić.

Już miała wyłączyć komputer, gdy przypomniała sobie orientalną urodę żony ministra i jej koszulkę FUCK THEM ALL. Jak miałaś na imię, kochanie? Nazywał cię Suzi? Wpisała SUZI. Wyskoczyło kilka folderów zdjęć i różnych plików. Może jakieś porno z ministrem? – pomyślała z uśmiechem. Skopowała zdjęcia i filmy, mimo że ważyły prawie cztery giga. Ledwie się zmieściły.

– Masz drugi pendrive?

Milik westchnęła i wyjął z kurtki identyczny dysk.

– Ale błagam, to wszystko jest dla mnie naprawdę bardzo ważne.

– Oddam ci.

Wyjęła z portu zapełniony pendrive, zainstalowała wolny,

powtórzyła procedury porządkowania. SUZI już było, zobaczymy, co nam dadzą ZUZANNA i ZUZA. Także wyskoczyło sporo teczek ze zdjęciami i filmami. Prawie pięć giga materiałów. Zaznaczyła wyszukane wyniki i wcisnęła polecenie KOPIUJ. Tym razem musiała poczekać prawie dziesięć minut. Być może drugi dysk był wolniejszy albo procesor nie wyrabiał.

– Dobra, jeśli coś mamy znaleźć, to będzie tutaj.

Schowała oba dyski i wyłączyła komputer. Zamierzała przetrząsnąć jeszcze szafy gabinetu, ale w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich na oko osiemdziesięcioletni mężczyzna we flanelowej koszuli i wełnianym swetrze zapinanym na guziki. Na nogach miał ciepłe spodnie i góralskie kapcie. Poorana bruzdami twarz, zmęczone oczy i wielkie okulary dopełniały obrazu bardzo starego i zmęczonego człowieka.

Marta i Bartek zamarli, popatrzyli na siebie.

Starzec zapalił światło, podszedł do jednej z szafek, zabrał z niej jakąś teczkę, po czym zgasił światło i wyszedł. Jego powolne kroki oddalały się i w końcu ucichły gdzieś przy schodach.

Bartek odetchnął głęboko.

– Chyba nie powinniśmy dłużej wyzywać losu – szepnął.

– Chodźmy – potaknęła Marta.

Wrócili tą samą drogą. Psy wciąż były zamknięte. Ujadały jak szalone, gdy przebiegali obok klatek. Dostali do muru, przesadzili go bez większego trudu i... stanęli naprzeciwko sześciu mężczyzn w hełmach, kominiarkach, kamizelkach kuloodpornych i kurtkach z wielkim napisem ABW na plecach. Wszyscy mierzyli do nich z pistoletów maszynowych lub krótkich strzelb.

Jechali dwiema limuzynami dostosowanymi do potrzeb służb. Samochody miały niemal czarne szyby, zupełnie nieprzejrzyste dla osób z zewnątrz. W środku było jednak jasno i Bartek mógł sobie dokładnie obejrzeć agentów, którzy pozdejmowali już kamizelki i hełmy. Spoceni, mogli równie dobrze być bandytami jak policjantami. Wyglądali dokładnie tak jak Greg, który siedział obok nich i stroił groźne miny, czasem mrugając do Milika.

– Wiecie, ile wam grozi za... porwanie tej usportowionej hondy i włamanie do domu szanowanego ministra? I tak macie farta, że rottweilery Szarawarskiego nie odgryzły wam dup. Co ci odpierdoliło, żeby włamywać się do domu ministra?

Ostatnie pytanie zadał wyraźnie Marcie, która tylko uśmiechnęła się lekceważąco.

– To nie minister, to gangster.

– Ale teraz on jest górą. Może jutro ukradnie jakieś futro i będziemy mogli mu dopierdolić, dziś jednak po prostu nie wolno się do niego włamywać...

– To on jest kluczem – powiedziała Marta. – Jestem tego pewna.

– Dlaczego?

– Podczas spotkania z nim po prostu to czułam. Czułam, że on wie. Przychodząc do niego, założyłam stryczek na własną szyję i wydałam wyrok na Zbyszka. On to po prostu wiedział i dlatego rozmawiał ze mną tak, a nie inaczej. Myślał, że mówi do trupa. Ledwie wyszłam z jego domu, czekała na mnie pułapka. To on wydał polecenia.

– Może.

– Gdyby dziś był w domu, tobym go zastrzeliła – wyznała.

– Nie wątpię, dlatego go nie było.

– Skąd wiedzieliście?

– Obserwowaliśmy posesję, podobnie jak inne możliwe miejsca, dokąd mogłaś się udać.

– I co teraz?

Greg roześmiał się głośno.

– Chujowo, nie? Nie wiadomo, co z tym paszтетem zrobić.

Jeden z siedzących z przodu agentów odwrócił się.

– Podjedziemy do firmy, pogadamy i zobaczymy. Ale z tym – pokazał broń i legitymację, którą jej odebrali, zanim wsiadła do auta – możesz się już pożegnać.

– Ale dysk mi oddacie?

– Ten? – Dźgnął palcem jeden z dysków zabranych razem z bronią. – Zapomnij, zostaje u nas w dowodach.

Bartek zacisnął zęby, żeby nie zdradzić własnych myśli. Gdzie, u licha, schowała drugi dysk, że go nie znaleźli? Mam nadzieję, że nie wykasujecie mi moich tekstów, są warte więcej niż życie.

W budynku ABW na Rakowieckiej czekał cały komitet powitalny. Trzech prokuratorów, pięciu innych śledczych z grupy dochodzeniowej, dwaj technicy i lekarz, wyraźnie znudzony sprawą i ciągle zerkający na zegarek. Wprowadzono ich do sali konferencyjnej, posadzono na krzeselkach, podano wodę, lurowatą kawę i soki.

– Mogę zapalić? – zapytał Milik.

Jeden z prokuratorów wstał z krzesła, otworzył duże okno na całą szerokość i skinął głową. Niemal wszyscy wyciągnęli fajki i zapalili.

Marta zakaszłała, dając znać, że wcale jej się to nie podoba. Po co rzucała to cholerne palenie? Co innego jeden fajek po seksie, a co innego gromada wygłodzonych samców palących w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu.

– Dobra, porozmawiajmy bez ściemy – zaproponowała.

– Na to liczymy – odparł jeden z prokuratorów.

Milik przysłuchiwał się tej rozmowie i mógł powiedzieć jedno: jeśli wszystkie śledztwa w tym kraju wyglądają podobnie, to przestępcy mogą się czuć bezkarni. Prokuratorów nie obchodził wynik śledztwa, wina, kara czy cokolwiek w tym koszyku usług. Oni chcieli się upewnić, że prywatna wendeta Marty nie skończy się jakąś wielką chryją na poziomie Sejmu, komisji śledczej czy – nie daj Boże – organów Unii



Europejskiej. Możesz zamordować, kogo chcesz, ukraść, na co masz ochotę, napierdalać się z gangsterami na głównej ulicy miasta, tylko – na Boga – nie każ nam ponosić za to odpowiedzialności.

Prokurator to jedynie urzędnik, przypomina muchę, bo tak jak owada można go zabić gazetą. Oni chcieli mieć wyłącznie święty spokój, a po szesnastej poczucie dobrze wypełnionej psychologii. Sprawiedliwość? Dobro kraju? Wina i kara? O takich kwestiach ubocznych dobrze czyta się w książkach. Znacznie gorzej wychodzą na sali rozpraw, a już całkowicie fatalnie w Sejmie czy innych politycznych gremiach.

– Nie pozwolę na zatuszowanie śledztwa w sprawie Witolda – powiedziała w końcu Marta. – Jeśli chcecie je umorzyć, to beze mnie. Nie będzie żadnego porozumienia.

– Co proponujesz? – zapytał jeden z prokuratorów.

– Róbcie swoje, a ja będę robiła swoje. Znajdę zabójcę i wtedy możemy spotkać się ponownie.

Prokuratorzy popatrzyli po sobie. Agentów ABW cała ta dyskusja niewiele obchodziła. Oni w godzinach pracy byli na każde zawołanie śledczych, niespecjalnie się przejmując krnąbrną koleżanką. Nikt nie lubił tutaj Marty. Z wyjątkiem Grega, który mocno zaciskał pięść na zapalniczce. Milik wiedział jedno: przyjaciel go nie zdradzi. Byli jak bracia krwi. Mógł na niego liczyć. Na kogo, do diabła, jak nie na niego?

– A jeśli nie będziemy mogli go aresztować? Jeśli to na przykład Szarawarski?

– Gównu mnie obchodzi, kim jest i jakie ma koneksje – odparła Marta. – Znajdę go i zamknę albo... zabiję. Wy róbcie sobie, co chcecie.

– Włamanie do willi ministra to było przegięcie.

– Jak inaczej miałam zabezpieczyć dowody? – Wskazała leżący na stole dysk. – Oddajcie mi pendrive i pozwólcie skończyć sprawę.

– Sami przeanalizujemy te dokumenty. Jeśli coś znajdziemy, dostaniesz info.

– Pierdolisz.

Prokurator nie odpowiedział.

– Myśl, co chcesz – wtrącił za to drugi, najniższy w tym pokoju.

Marta słyszała, że ma całkiem dużego kutasa i potrafi robić z niego użytek. Ale był przy tym wyjątkowo oślizgłym i wrednym typem. Nawet jeśli jest herosem seksu, z nią nie ma szans.

– Dobra, porozmawiajmy szczerze – powiedziała spokojnie.  
– Czego chcecie?

– Może byście gdzieś wyjechali i przeczekali – zaproponował ten z dużym kutasem i małym rozumkiem.

– Zabito mojego byłego, także agenta ABW, a wy tak spokojnie na to patrzycie? – zwróciła się do ludzi z Agencji. – Nie pamiętacie już Zbyszka. W normalnym kraju, gdy ginie policjant albo agent, wszyscy się spinają, żeby złapać mordercę. Nie ma szans. A u nas? Jak zamordowali szefa policji, wszyscy walili ściemę, żeby tylko trzymać się z daleka. Zbyszek też gównu was obchodzi. I ja. I ten dziennikarz. Dacie nas odstrzelić, żeby tylko wszystko poszło po staremu, powoli i do umorzenia? Zabito prezesa pierdolonej giełdy rzekomo cywilizowanego kraju w środku Europy, a wy tylko myślicie, jak to przetrwać z minimalnymi stratami.

– Spokojnie – wtrącił Greg. – Nie oceniaj nas tak. Robimy, co możemy.

– To dlaczego nie przemaglowaliście Szarawarskiego?

– Bez przesady, to minister – wtrącił ten z dużym kutasem.

– Tak? To obejrzyj sobie dokładnie jego dom, zeznania podatkowe i ten pendrive. Założymy się, że znajdziesz wszystko, co potrzeba, żeby wnioskować o uchylenie immunitetu?

– Z nikim się nie będę zakładał.

– Ja też nie zamierzam. No to jak? Jesteśmy zatrzymani, aresztowani czy coś podobnego? Jeśli nie, to pozwolicie, że się zmyjemy i będziemy dalej robić waszą robotę.

Podczas całej tej dyskusji Milik w ogóle się nie odzywał. Czuł się trochę jak między wódką a zakąską. Gdyby nie włamał się do willi ministra, mógłby się rzucać, a tak nie było sensu. Marta zresztą świetnie dawała sobie radę. Teraz wstała i skinęła na niego.

– My wychodzimy!

Sięgnęła po leżący na stole pendrive, ale ten z dużym kutasem chwycił go pierwszy.

– To dowód, zostaje tutaj! – powtórzył z uporem. – Tak jak twoje dokumenty i broń. Czuj się zawieszona i uważaj na to, co robisz.

– Jak chcecie. – Marta podeszła do drzwi, odepchnęła jednego z agentów i wyszła, rzucając do Milika: – Idziesz czy zostajesz z tymi palantami?

Greg mrugnął do niego i uśmiechnął się.

Korytarzem dotarli do łącznika z windami i klatką schodową, a potem zeszli na dół. Przy bramkach kontrolnych dyżurny oddał im zarekwirowane rzeczy, z wyjątkiem broni i dysku, które zostały na górze. Podpisali protokół i wyszli na zewnątrz. Kompleks, w którym mieściła się siedziba ABW, był małym miasteczkiem. Poza więzieniem, szpitalem, pocztą i budynkami biurowymi były tam nawet hotele i budynki laboratoryjne. Przeszli do dyżurki, w której odebrano im identyfikatory, a potem alejką do posterunku przy bramie, skąd już bez problemów wyszli na ulicę.

Byli wolni. Nikt ich nie zatrzymał ani nie zastrzelił.

Po chwili usłyszeli za plecami tupot stóp Grega.

– Poczekajcie! – zawołał.

Dopał do nich i objął oboje ramieniem. Wyglądali jak rodzina, która się spotkała po dwudziestu latach rozłąki.

– Wyjmij z mojej kabury glocka i schowaj do swojej – szepnął do Marty. – Tylko tak, żeby nikt nie widział.

– A ty?

– Coś czuję, że wam może się bardziej przydać. Ja mam w domu jeszcze sig-sauera. Zwędziłem na szkoleniu pijanemu gogusiowi ze sztabu generalnego.

– Dzięki.

– Nie dajcie się zabić.

Greg pomachał im i biegiem ruszył z powrotem do budynku ABW. Czekala go wielogodzinna narada z udziałem szefów.

Uwielbiał narady.

Przeszli na przystanek tramwajowy w kierunku Żoliborza i

Milik spojrział na zegarek. Zbliżała się dwudziesta. Było ciemno i zimno. Po całym tym zwariowanym dniu Bartek miał ochotę tylko na jedno. Znaleźć się sam na sam z Martą i podjąć przygodę tam, gdzie przerwali ją wczoraj.

– Jedźmy już do domu – szepnął jej do ucha.

– Najpierw mam ochotę na knajpę i piwo – odparła, wyjmując z ucha ukryty w opatrunku pendrive. – A potem musimy trochę... poanalizować.

A więc tu go schowałeś?

– Analizy to moja specjalność.

Podbiegła na przystanek i pierwsza wskoczyła do tramwaju.

Morderca grał w Minecrafta na tablecie, obserwując mieszkanie Milika. Do dwudziestej pierwszej nie działo się nic ciekawego. Zamordował hordę zombi i parę innych potworów, zbudował dom i kopalnię, a potem gra mu się sprzykrzyła. Na dziś dosyć.

Spojrzał na zegarek. Już dwudziesta druga, a tu całkowita nuda. Potem przyglądał się chwilę kilku chłopakom krążącym koło samochodów. Chyba szukali jakiegoś auta do oskubania. Gdy zobaczyli, że w dwóch czarnych bmw siedzi kilku podejrzanych typów, czmychnęli, nie oglądając się za siebie. Nic nie widzieliśmy, co złego, to nie my.

Dziś po południu odbył dłuższą niż zwykle rozmowę ze zleceniodawcą. Przekazał mu info od wtyki z policji. Wtyka fartem trafiła do grupy śledczej w interesującej ich sprawie, więc mieli pełny podgląd.

„Jesteś pewien, że policja ma dane z dysku?”

„Tak”.

„Niedobrze, mogą na nas trafić”.

„Nie trafią”.

Pozbędą się tej głupiej cipy i pismaka, a kontrakt w grupie śledczej zadba o to, by nikt za głęboko nie grzebał w dyskach. Po co grzebać tam, gdzie można coś znaleźć. Coś, czego wszyscy będą się bali. Są tajemnice, których lepiej nie ruszać. Niech dalej tkwią w swoich szafach.

Sprawa umrze śmiercią naturalną. Nikomu już nie będzie na niej zależeć. Było wystarczająco dużo trupów.

A może lepiej poczekać w mieszkaniu? – przyszło mu na myśl. W oknach panował mrok i prawdopodobnie w środku nikogo nie było. A jeśli są i śpią, a my tu czekamy jak idioci? Nie, nie ma ich.

Dopiero koło północy usłyszał podniesione głosy kobiety i mężczyzny. Roześmiani, szczęśliwi i nieźle zaprawieni, wysiedli z tramwaju, a potem, zataczając się i całując, przeszli do

obserwowanych przez mordercę drzwi.

Chwilę później w oknach Milika zobaczył wątle światło z przedpokoju. Następnie znacznie silniejsze z salonu i kuchni. Dwie sylwetki w jakimś pijanym tańcu krążyły między pomieszczeniami.

Tak, z pewnością byli pijani.

Kobieta o delikatnej figurze, długich włosach i dość swobodnych, wręcz wyzywających pozach. I mężczyzna, nieco bardziej wycofany, raczej bierny, oczekujący na zachętę. Po półgodzinie takiego krążenia wokół siebie zaczęli tańczyć w kuchni, przemieścili się do pokoju, a zaraz potem światło zgasło i już nic nie było widać.

Pieprzyli się. Morderca znalazł się na tych wszystkich tańcach godowych.

Obserwował czarne okna jakieś pięć minut, a potem wrócił do Minecrafta. Zbudował jakąś nową wioskę, ustawił wydobywanie surowców, wykończył kilka kolejnych potworów, zapisał profil i wylogował się.

Świetna gra.

W mieszkaniu wciąż było ciemno. Jeśli się pierdolili, powinni już skończyć. Może gadają i wciąż jest za wcześnie. A może jednak śpią. Gdyby gadali, pewnie paliliby papierosy. Byłoby coś widać. A w mieszkaniu panował całkowity mrok.

Niewykluczone, że śpią.

Mogli być wykończeni po takim dniu.

Tak właśnie pomyślał.

Wyłączył tablet i wysiadł z samochodu. Nie włożył płaszcza. Mięśnie i odrobina tłuszczu doskonale chroniły jego ciało. W samym garniturze przeciągnął się, rozprostował kości, rozgrzał mięśnie, a potem ruszył do klatki schodowej po drugiej stronie budynku.

Trzej towarzysze podążyli za nim, rzucając na wszystkie strony krótkie, badawcze spojrzenia.

Musieli przejść niezły kawałek. Cienkie pantofle zamoczyły się w śniegu. Otrząsnął je na chodniku, stukając mocno o betonowe płytki. Wszedł na klatkę i otworzył niedomknięte drzwi. Mieszkanie Milika było na parterze. Przytknął ucho do

drzwi i tkwił tak kilka minut. Cisza. Śpią.

Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Wyjął wytrych i delikatnie włożył go do zamka. Potrzebował niespełna minuty, by odblokować drzwi. Wszedł do środka, poczekał, aż za nim wślizgną się towarzysze, którzy rzędem przylgnęli do ściany, zamknął drzwi najciszej jak umiał, przekręcając górny zamek, który tak łatwo ustąpił.

Poruszał się bardzo wolno, gdyż w mieszkaniu panowała całkowita cisza. Żadnej muzyki, telewizora czy nawet pochrapywań i głośnych oddechów.

W pokoju na łóżku leżały dwie postaci. Splecione ze sobą, spały jak dzieci. Przez odsłonięte okna wpadało światło księżycy i ulicznych latarni. Było dość widno i morderca mógł bez trudu rozpoznać rysy kobiety i mężczyzny. Ona była bardzo piękna. On znacznie mniej atrakcyjny. Typ urzędnika, bez wielkich planów i wewnętrznej pasji, za to z przekonaniem, że jakoś to będzie.

Nie lubił takich ludzi i miał ochotę zabić go od razu.

Ale pomyślał, że to żadna przyjemność.

Będziesz patrzył, co zrobię z twoją kobietą, będziesz kwiczał i błagał o śmierć, a ja dopiero wtedy pozwolę ci odejść.

Poprawił włosy na twarzy kobiety i poczuł lekki zawód. Nie tego się spodziewał. Nie do tego go wynajęto. Skoro jednak już zaczął, bez sensu było przerywać.

Zacisnął dłoń na jej ustach i nosie, uniemożliwiając oddychanie. Wzdrygnęła się, próbowała uwolnić, a gdy zrozumiała, że nie jest w stanie, nagle opadła z sił i czekała na wyrok. W tym czasie jego ludzie odciągnęli już mężczyznę do ściany i zaczęli go okładać pięściami. Bili mocno, po twarzy i brzuchu, tak jak lubili.

Facet miał zaciśniętą na ustach mocną taśmę klejącą z kneblem i ledwie jęczał. Nikt nie powinien krzyczeć.

Co innego kobieta. Gdy dostała dwa ciosy w brzuch, zwinęła się w kłębek i zaczęła płakać. Odsunął jej włosy i szepnął w odsłonięte ucho:

– Jeśli będziesz grzeczna, przeżyjesz. Rozumiesz?

Skinęła głową.

– Nie krzycz i nie strugaj bohaterki, a wszystko będzie dobrze.

Ponownie skinęła.

Ułożył ją sobie, rozpiął rozporek, ściągnął spodnie do kolan i przygnał do niej. Wciąż był zbyt miękki, więc onanizował się przez chwilę. A potem wpasował się w nią i jednym pchnięciem podbił nowy kosmos.

Było wspaniale, choć się nie broniła. Uwielbiał, gdy się bronią. Zawsze podniecała go możliwość przełamywania oporu ofiar.

Skończył, ubrał się i popatrzył na nią. Kwiliła cichutko. Drżała na całym ciele, bojąc się go sprowokować. Mimo obrzydzenia do oprawcy była gotowa na wiele, by koszmar się po prostu skończył, wyszedł drzwiami tak nagle, jak się pojawił.

Chciała żyć. Tak bardzo chciała żyć.

Morderca ujął jej twarz jedną dłonią, drugą zaś uniósł i uderzył z całej siły. Mimo amortyzującej ciosy skórzanej rękawicy pięść bez trudu rozkwasiała jej nos i zmiażdżyła usta. Drugie uderzenie było jeszcze silniejsze. Trzecie rozłupało kość policzkową i naruszyło czaszkę. Kolejne i następne dopełniło dzieła zniszczenia.

Ofiara początkowo starała się walczyć, ale szybko się poddała. Nie żyła już, gdy oprawca zadawał ostatnie ciosy.

Potem wzięli się do mężczyzny i nie mogli wyjść z podziwu, jak bardzo jest przywiązany do życia. W ogóle nie chciał umrzeć.

Jedna noc, dwa trupy.

Morderca umył twarz i rany nad umywalką, poprawił ubranie i zawołał towarzyszy.

Wychodzili, nie przejmując się, czy ktoś ich zobaczy. Byli pewni, że żaden sąsiad nie zadzwoni na policję i nie złoży wartościowych zeznań.

W kraju, w którym ludzie nie ufają policji, a prawo i sądy nie działają, to normalne.



Kochali się dwukrotnie, na początku pod prysznicem, szybko i gwałtownie, potem powoli i nieco leniwie w łóżku. Dopiero po północy włożyli ubrania i usiedli przed tanim laptopem, który Marta kupiła z wyprzedaży w sklepie sieciowym. Zapłaciła gotówką wyplaconą wcześniej z bankomatu. Laptop nie miał żadnych bajerów, ale dobra karta sieciowa i jako taki procesor z czterema mega RAM w zupełności im wystarczały.

Zanim trafili do hotelu, wypili po dwa piwa w lokalu na Chmielnej. Rozmawiali trochę o pierdołach, trochę o sprawie. Bartek miał mętlik w głowie. Z jednej strony agentka go pociągała, wręcz fascynowała. Z drugiej zwyczajnie się bał jej przeszłości, kochanków, tajemnic i tego, co mogło mu przynieść zaangażowanie w ten związek.

Ojciec tym razem milczał w jego głowie. Siedział i milczał.

Zawsze gdy cię potrzebowałem, tato, ty milczałeś. Potrafiłeś tylko narzekać, nigdy nie chciałeś pomóc. Niczego mnie nie nauczyłeś. A już szczególnie o miłości.

Mimo to potrafił kochać. Tak mu się wydawało.

Nie myślał o miłości zbyt racjonalnie. Za każdym razem wciągała go bez reszty, a potem nagle wypalała jego i siebie, wiedła jak kwiat na pustyni. Pieprzył racjonalne podejście i wszelkie rozważania.

Teraz po raz pierwszy było inaczej i w żaden logiczny sposób nie potrafił tego wytłumaczyć.

Bał się jej. Była zagadką, skomplikowaną i za mądrą dla niego.

Tak, za mądrą. I może to była przyczyna. Bał się kobiet mądrzejszych od siebie, które mogły go zdominować, stłamsić, zniewolić? Czy tak samo on traktował wcześniejsze związki? Jako podbój?

Wolał kobiety nieco wycofane, intelektualnie oddające pole partnerowi, pogodzone z rolą drugoplanową w całej strategii wspólnego życia. Taka była Ewa i wszystkie jego wcześniejsze

narzeczony. Nie widział w tym nic złego, że woli od w pełni partnerskiego związku takie trochę niedookreślone coś, gdzie on gra zdecydowanie pierwsze skrzypce. Może dlatego im nie wychodziło. Może one czuły, że w pewnym momencie przestał o nie zabiegać i starać się w tych związkach tak, jak starałby się w relacjach z prawdziwą partnerką, która nie pozwala narzucić sobie żadnej roli.

Ale to wszystko były uproszczenia.

Tak czy inaczej patrzył na Martę, słuchał jej i zastanawiał się, czy jest dla niego kobietą na jedną noc, czy jednak może połączyć ich coś więcej.

A co ona myślała?

„Nie możemy jechać do ciebie – zdecydowała tuż przed wyjściem z knajpy. – Kupmy najtańszego notebooka i chodźmy do hotelu. Mam parę wolnych voucherów”.

„Muszę się wyprowadzić przed końcem weekendu – zaoponował. – Spakować się i coś wynająć”.

„Pojedziesz po rzeczy, jak to się skończy. Na razie to zbyt niebezpieczne”.

„No to muszę ostrzec Ewę”.

„Jej nic nie zrobią. To nas będą szukać”.

Mimo wszystko zadzwonił do Ewy na komórkę, ale nie odbierała.

Nocą w hotelu zainstalowali dysk z danymi do laptopa i przenieśli wszystkie dokumenty do żółtej teczuszki na pulpicie. Marta utworzyła trzy foldery: ŚMIECI, WAŻNE, INNE, po czym rozpoczęła pracę. Była skrupulatna. Otwierała kolejno pliki i przeglądała zawartość. Pierwsze dziesięć dokumentów trafiło do ŚMIECI.

– W ten sposób będziemy siedzieć nad tym tydzień – mruknął Milik.

– Masz lepszy pomysł?

– Pokaż.

Usiadł do komputera. Zaczął przeglądać dokumenty, stosując różne klucze wyboru. Jeśli część plików była typowymi jpg ze zdjęciami, a większość fotek przedstawiała dzieci i była żoną Szarawarskiego, to można było z góry założyć, że nie znajdą w

nich niczego interesującego. Utworzył folder ZDJĘCIA\_RODZINNE i wrzucił je tam. W ten sposób pozbyli się trzech czwartych dokumentów do przejrzenia.

– A jeśli wśród nich zaplątało się to, czego szukamy?

– A czego szukamy?

– Nie wiem.

– Jeśli ja nic nie znajdę, wrócisz do swojej metody przeglądania na piechotę – zaproponował.

– Zgoda.

Otworzył na pożegnanie jedno ze zdjęć. Przedstawiało nieco młodszego ministra na demonstracji katolickiej, w towarzystwie otyłej, zaniedbanej kobiety i dwójki ładnych dzieci. Zanim trafił do rządu i zrobił skok w bok, Szarawarski był przykładnym katolem. Co niedziela chodził do kościoła i udawał, że sprzęt między nogami służy tylko do prokreacji w jednej możliwej pozycji, z udziałem znudzonej małżonki, obowiązkowo okrytej szczelnie prześcieradłem. Politycznie też bliżej mu było do prawicy: uczestniczył w wiecach rodzinnych, a nawet podpisał się pod petycją *Pedały do gazu*. Gdy prawicowcy stracili politycznie na znaczeniu, nagle odnalazł w sobie pierwiastki lewicowe, pojechał na wycieczkę do Izraela, wystąpił w kolorowej koszulce na Manifie, napisał list z pozdrowieniami do organizatorów Love Parade i zaczął dymać Suzi. Ciekawe, czy to kontakt z nią go ukształtował, czy też zmienił się wcześniej, by móc ją dymać?

Czy kochanka miała też związek z porzuceniem lewicy na rzecz liberałów? Wątpliwe, jedynym wyznacznikiem były tu chyba słupki poparcia. Ot, polityczna droga pełna zakrętasów, byle jak najdłużej utrzymać się na powierzchni.

Milik otworzył zdjęcie nowej żony. O, ta przynajmniej wygląda na zdeklarowaną faszystkę, która wierzy tylko w jednego boga. Przyjemność.

– Jak mówiłaś, że na nią mówi... Suzi? Dziwisz się, że zostawił pierwszą żonę dla tego kociaka? – mruknął pod nosem.

– A ty byś zostawił? – odparła ze złością. – Tamta kobieta urodziła mu dzieci, spędziła kilkanaście lat na ich

wychowywaniu i dopieszczaniu, a gość wziął sobie po prostu młodszy model. Tak wolno?

– A twój Witold? Czyż nie zrobił podobnie?

Nie odpowiedziała.

– Wracajmy do roboty.

Milik powiększył zdjęcie nowej żony Szarawarskiego.

– A może to ona jest kluczem? – zapytał. – Skoro święty Witold był takim psem na kobiety, to może ją też pukał.

– Nie mów tak...

Uniósł ręce w obronnym geście. Cały czas patrzył na zdjęcie Zuzanny Szarawarskiej, zwanej Suzi. Tutaj wyglądała trochę mniej orientalnie, ale i tak miała bardzo oryginalną urodę. Dla takich kobiet mężczyźni zabijali. A kobiety?

Spojrzał jakoś tak dziwnie na Martę. A jeśli Witold miał z nią romans, Marta była wkurzona i rzeczywiście go za to zastrzeliła? Teraz udaje głupią i go wkręca?

– No dobra, już nie będę, ale pytam poważnie. Ta laska nie wygląda na taką, którą można zamknąć pod kluczem. Kto wie, czy nie poznała Witolda na jakimś sympozjum lub bankiecie, a potem... sama wiesz. Szarawarski się o tym dowiedział i diabli go wzięli. Wynajął cyngli, którzy i ciebie chcieli dopaść, gdy zaczęłaś zbliżać się do rozwiązania. Ma ręce i nogi?

– Za proste – mruknęła. – To nie mogło być aż takie proste.

Może i za proste. Może teoria z pewną agentką ABW byłaby lepsza...

– W głębi duszy ty też przeczuwasz, że Witold mógł mieć z nią romans, prawda?

– Nie.

– Dlaczego w takim razie skopiowałaś pliki otagowane imieniem żony Szarawarskiego?

– Nie wiem, poruszamy się trochę jak dzieci we mgle.

– Czyżby, a co powiesz na to?

Milik otworzył właśnie spory folder. Oczekiwał kolejnej partii niewinnych zdjęć, a tu niespodzianka.

– To ta sama Suzi?

Marta, zerkając mu przez ramię, skinęła tylko głową. Folder zawierał kilkanaście fotek zrobionych z ukrycia. Suzi w sklepie,

kawiarni, na spacerze w parku, w towarzystwie innych osób. Pozornie żadnych rewelacji. Żadnych kompromitujących faktów. O co więc w tym wszystkim chodziło? Dlaczego ktoś fotografował ją z ukrycia? Dłużej wpatrywała się w jedno ze zdjęć. Suzi siedziała na ławce. Odpoczywała. To było dziwne. Wyglądała jak na amerykańskim filmie. W jasnym płaszczyku z wielkim kołnierzem, zarzuconą na ramię torebką i dużych ciemnych okularach. Spięta, nienaturalna. Z kim miała się spotkać? W folderze nie było żadnej fotografii, która stanowiłaby kontynuację tej z ławeczki. A właśnie to ujęcie przykuwało uwagę.

– Nie ma żadnego opisu?

– Nie.

– Jeśli to robił prywatny detektyw, powinien sporządzić raport. Chyba że Szarawarski sam śledził żonę.

– Czekaj, coś jest.

Milik otworzył jeden z plików opisanych trochę inaczej. Zawierał skan kilkunastu rachunków z kawiarni, paragony z parkometrów, bilet do kina na komedię. A więc jednak to był laps, a to są jego koszty.

– Wejdz we właściwości dokumentu – poprosiła i odepchnęła go od komputera.

Postukała chwilę w klawisze, przekształcając widoczny na ekranie dokument w ciąg cyfr i znaczków na czarnym tle.

– Co robisz?

– Szukam w kodzie źródłowym informacji o właścicielu sprzętu. Większość komputerów jest tak ustawiona, że podczas tworzenia i edycji plików zostawia ślad w kodzie. W ten sposób na innym komputerze można odczytać dane autora dokumentu lub informację o zmianach. Firmy mają zwykle sprzęt tak ustawiony, żeby wszystko to zapisywało się automatycznie. Dzięki temu można tworzyć różne cuda w systemach lub dowodach. Szpiedzy je usuwają, detektywi nie są tak skrupulatni.

Po chwili miała odpowiedź.

– Do zeskanowania dokumentu użyto urządzenia podłączonego do komputera o nazwie Pirus, a jego

właścicielem jest niejaki Konrad Wojtkowski, kojarzysz?

– Wojtkowski. – Milikowi coś świtało, ale początkowo nie mógł powiązać nazwiska z faktami.

– Dokładnie Wojtkowski Investigations. Prywatny detektyw, specjalista od zrad małżeńskich i wszystkich spraw, przy których można zaistnieć w mediach. Kiedyś kilka razy wystąpił w telewizji jako konsultant w programie o zdradach.

Nagle sobie przypomniał. Przecież nie tak dawno temu czytał o Wojtkowskim, jeśli to był ten sam.

– Czy to nie on... zmarł kilka dni temu? Niedługo po Witoldzie? O ile pamiętam, opozycja żąda śledztwa, bo to kolejna dziwna śmierć.

– Miał zawał – przyznała Marta. – Ulubiona choroba ludzi, którzy weszli w posiadanie tajemnic nieprzeznaczonych dla ich oczu. Nie pomyślałam, że mógł mieć związek z naszą sprawą.

– Cholera, nic nam już nie powie.

– Poczekaj, mam pomysł. – Spojrzała na zegarek. – Kto wie, może jeszcze się uda.

Zalogowała się na Facebooku do grupy detektywistyczno-spiskowej o nazwie DzikiKraj. Występowała tam jako Fargo. Wyszukała na liście członków grupy osobnika o nicku Kinol i wywołała go na czacie.

<Cześć, Kinol. Mam sprawę. Odezwij się.>

Kinol nie odpowiedział.

– Może śpi?

– Może. Jeśli nie odpowie, wyślę wiadomość.

Kinol jednak nie spał. Kilkanaście sekund później przy jego awatarze pojawiła się uśmiechnięta buźka.

<Cześć, Fargo, dawno cię nie było.>

<Pracowałam.>

<Coś ciekawego?>

<Dużo mam do opowiadania :)>

<Fajnie.>

<Ale najpierw potrzebuję pomocy.>

<Wal śmiało.>

<Czy coś słyhać na temat śmierci twojego szefa?>

<Pierdolony Wojtkowski sobie zasłużył, straszny był z niego

wał.>

<Wiesz coś więcej?>

<To znaczy?>

<Było śledztwo? Ktoś coś podejrzewał?>

<Stary sam wykitował. Za dużo grał w pokera i chodził na dziwki. Wykończył się nocnym życiem.>

<A słyszałeś coś o zleceniu na żonę ministra?>

Dłuższa przerwa.

<Może...>

<No nie bądź taki...>

<To nie na chat, w dodatku na cholernym fejsie.>

<Spotkajmy się.>

<Jutro, w Łazienkach?>

Marta zapisała godzinę spotkania w notesie i wylogowała się z fejsa.

– Masz fałszywe konto, ale on wie, kim jesteś?

– Myśli, że z branży. Jest przekonany, że też śledzę zdradzających i zdradzanych.

– Coś nam to da?

– Zobaczymy.

W drodze powrotnej zatrzymał ich radiowóz policyjny. Chyba kogoś szukali, gdyż na poboczu kontrolowano dwa inne pojazdy. Policjant popatrzył podejrzliwie na mordercę i poprosił o dokumenty pojazdu oraz prawo jazdy. Morderca wyjął podrobioną legitymację Agencji Wywiadu i powiedział spokojnie:

– Śpieszy nam się.

Nie musiał ich przepuścić. Tym bardziej że wyglądali bardziej na bandziorów niż agentów. Policjant jednak widział zbyt wielu bandytów na najwyższych szczeblach władzy, w tym w policji, żeby sugerować się wyglądem.

Jego szwagier pracował w Komendzie Głównej. Nie był nikim szczególnym, jedynie zwykłym pracownikiem fizycznym w serwerowni. Gdy podczas rodzinnych spotkań opowiadał o skali przekrętów, nawet pyszna kolacja wigilijna przygotowana przez mamę przestała smakować, a polskie przysłowie „Rybka lubi pływać” zyskiwało zupełnie inne znaczenie.

Dyrektorzy pieprzyli się z handlowcami z rozmaitych firm, a potem kupowali od nich sprzęt, kierownicy wyjeżdżali na fundowane przez menedżerów z korporacji wycieczki na Malediwy, a szef całego tego burdelu jeździł motorem, który sprezentował mu prezes amerykańskiej spółki o szpiegowskich korzeniach.

„Wcześniej w Las Vegas zrobili ustawkę, żeby mógł wygrać kilkadziesiąt tysięcy dolców w kasynie, czujesz?” – opowiadał szwagier.

„Niemożliiwe” – niby zaprzeczenie, lecz potwierdzenie.

„O łysym mówią nawet, że mu płacą za mieszkanie i budują dom na wsi. Ale co tam łysy! Słyszałeś, że firmy budowlane w zamian za kontrakt z jednym lotniskiem zbudowały całe osiedle dla urzędników Pałacu Prezydenckiego?”

Niestety, nie były to tylko pijackie majaki. Polska stała korupcją. Im wyższe stanowisko, tym wyższa wziętka. Dla



takich ludzi nie warto się narażać. Uważają cię tylko za frajera.

Zresztą nie lepiej było w drogówce. Ileż to razy naprانی samorządowcy unikali odpowiedzialności dzięki podmianie próbek krwi w laboratoriach! Tak jak podmienia się próbki na tych cholernych autostradach.

Czy zatem w kraju przekrętów agenci nie powinni wyglądać na bandytów?

A czy warto się przejmować takimi pytaniami, gdy – jak to pisał jeden prawicowy publicysta – jest co wrzucić w sobotę na grilla?

– Proszę jechać. – Oddał dokumenty i długo patrzył na luksusowe bmw, powoli jadące prawym pasem.

Dopiero gdy znalazło się poza zasięgiem wzroku policjantów, kierowca zmienił pas i przyśpieszył.

W radiu wciąż nie było mowy o nocnym incydencie w domu na Żoliborzu. Znajdą ich pewnie dopiero jutro albo pojutrze. Może dopiero Milik ich znajdzie, jeśli w ogóle wróci do domu. Skoro dziś się nie zjawił, to może nie jest taki głupi. Może się domyślił, że i jemu coś grozi. Ale dlaczego nie ostrzegł tej suki?

Dziwka sprawiła mordercy dużo radości, jednak finał był rozczarowaniem.

Uwielbiał gwałcić i zabijać, ale w tym wypadku sprawy potoczyły się zbyt łatwo. Jakby ta kobieta pogodziła się z losem, zdała na łaskę prześladowcy. Nie walczyła, dlatego nie był do końca zadowolony.

Mimo to nie czuł rozczarowania. Wprawdzie kobieta nie była tą, której szukał, ale wykonanie wyroku na takiej uległej suce też ma swoje dobre strony. Też daje rozkosz, nawet jeśli przynosi odrobinę zawodu.

W sumie niezła laska, a ciebie i tak znaję.

Ponownie zerknął na zdjęcie Marty, które trzymał schowane za osłonką przeciwsłoneczną.

Z tobą też będzie przyjemnie, znacznie przyjemniej niż z tamtą. Ty będziesz walczyć do końca, do ostatniego jęku, ostatniej możliwości stawienia oporu. I dopiero na koniec zrozumiesz, jaką mi tym sprawiasz satysfakcję.

Teraz mniej przyjemny obowiązek.

Sięgnął po telefon, odetchnął głęboko i wybrał numer zleceniodawcy.

– Pudło – rzucił krótko. – W sklepie nie było towaru. Kupiłem zamienniki, ale nie będziesz zadowolony.

Zleceniodawca przyjął informację. Rozmawiali jeszcze przez chwilę w śpiewnym języku, który dla obcokrajowców prawie wcale nie różnił się od polskiego, choć przecież oba były zupełnie inne, a posługujące się nimi narody tak bardzo się nienawidziły. Może nie tyle narody. Polacy wcale nie różnili się tak bardzo od Rosjan.

Morderca też nie widział tych różnic. Lubił swoich pracodawców.

– Szukaj dalej – zakończył zleceniodawca. – Nie może ci uciec.

– Spokojnie. Wszystko pod kontrolą.

Tak, wszystko pod kontrolą. Wcześniej czy później Milik i ta suka z ABW wpadną w jego ręce. Na wolności albo w pudle. Tam sprawę będzie jeszcze łatwiej załatwić, choć nie obejdzie się bez dodatkowych opłat.

Cóż, czasem trzeba zainwestować, żeby zyskać.

Zleceniodawca zwróci koszty.

Niemniej jednak wolałby osobiście załatwić sprawę. Dla siebie i z jeszcze innego względu, który powodował nagle przyspieszenie pulsu.

Zostawił jednego z ludzi na dworcu kolejowym, drugiego wysadził przy mieszkaniu Marty, trzeciego przy redakcji „Expressu” na Jerozolimskich. Sam zaparkował na wąskiej uliczce bliskiego Mokotowa i poszedł do burdelu.

Był mocno podekscytowany tym, co się wydarzyło, i wciąż potrzebował rozładowania napięcia.

Ta dziwka nie zdołała go zaspokoić.

Musiał się udać do profesjonalistki.

Makler Klejn nie odbierał telefonu i nie oddzwaniał. Dopiero przy trzeciej próbie usłyszeli suchy trzask, jakieś szumy, po czym przywitał ich nieco wystraszony odległy męski głos.

– Pan Klejn? – zapytała Marta.

– Kto mówi?

– Marta z ABW. Rozmawialiśmy kilka dni temu o Witoldzie Sworowskim, pamięta pan?

Milczenie.

– Jest pan tam?

– Taaak. Przepraszam, zastanawiam się, czy to rzeczywiście pani.

– Nikt inny.

Uśmiechnęła się, pokazując Milikowi wystawiony do góry kciuk. Jest dobrze. Zaraz przełamią lody.

– Dużo się ostatnio dzieje. Czytała pani gazety?

– Pewnie. Dlatego dzwonię.

– Cóż, mnie się to wszystko przestaje podobać. Może powinienem wyjechać na parę tygodni na Barbados. Jak pani sądzi, warto się schować do dziury?

– To nie leży w pana naturze. Wychyli pan głowę z dziury w nieodpowiednim momencie, a wtedy i tak...

– ...szlag mnie trafi? Cholera, ma pani rację. I chyba to rzeczywiście pani.

– Mówiłam.

– Zwykle nie rozmawiam przez telefon. – Klejn wyraźnie się wahał. Może i miał niechęć do telefonicznych dyskusji, ale chyba też nie chciał zapraszać Marty do siebie. – No dobrze, z czym pani dzwoni?

– Pamięta pan naszą ostatnią rozmowę? Mówił pan, że zna jedną z tajemnic, która doprowadziła do konfliktu Witolda z Szarawarskim... – zablefowała, gdyż w rzeczywistości brzmiało to nieco inaczej.

– Tak mówiłem? Nie pamiętam.

– Tak pan mówił – podkreśliła. – Twierdził pan, że mi jej nie wyjawia, bo musi zachować coś dla siebie. Czy chodziło o żonę Szarawarskiego? A dokładniej: czy dotyczyło to romansu Witolda z żoną ministra?

Klejn nie odpowiedział. Zastanawiał się za długo, Marta więc podjęła: – Panie Klejn, to dla mnie ważne. Myślę, że wtedy kłamał pan na temat Szarawarskiego i Anki. Niczego takiego nie było. Szarawarski za to podejrzewał Witolda o romans z jego żoną, prawda? To dlatego się poróżnili.

– Poróżnili... to łagodnie powiedziane – szepnęła Klejn.

– Więc mam rację?

– Gdzie dwóch samców walczy o kobietę, musi polać się krew.

– Witold panu o tym opowiedział?

– Witold? Przecież mówiłem pani, że był dżentelmenem. Nie rozmawiał o takich sprawach.

– Ale już o Szarawarskim mógł rozmawiać.

– Nie... To znaczy było inaczej. Witold nie chciał mi powiedzieć, dlaczego minister się na niego wziął, ale miałem cały czas wrażenie, że on wie. Postanowiłem sam się dowiedzieć i... odniosłem sukces w tej grze, tak mi się przynajmniej wydaje. Tego dnia, dwudziestego trzeciego grudnia, gdy czekałem na niego w klubie, właśnie miałem odtrąbić ów sukces i omówić go z Witoldem. Bo w gruncie rzeczy nie mogłem być pewien, czy to wszystko prawda.

– Nie rozumiem, proszę jaśniej...

– Witold utrzymywał, że Szarawarski napadł na niego bez powodu, że była to niczym nieuzasadniona agresja, gdyż on sam nie dał mu pretekstu, nie wywołał wojny. A jednak Szarawarski był mocno zdeterminowany. Coś takiego nie dzieje się bez przyczyny. Witold mógł jej nie znać, jeśli leżała poza nim. Może na przykład coś się Szarawarskiemu wydawało, a nie było prawdą...

– Ubzdurał sobie, że Witold ma romans z jego żoną, tak? To chce pan powiedzieć?

– Bingo. No i tego dnia zamierzałem o tym porozmawiać ze swoim nieprzyjacielem Witoldem, bo choć jako dżentelmen nie

obnosił się z miłosnymi podbojami, to w tym wypadku sprawa zaszła na tyle daleko, że warto było ją obgadać.

Marta zamyśliła się, przygryzając dolną wargę. Coś jej nie grało, jednak nie wiedziała, o co jeszcze mogłaby zapytać maklera.

Milik uszczypnął ją w ramię.

– Zapytaj, skąd było info o tym... romansie.

Zapytała.

– Kto pani podpowiada, pani major? Dobrze zapamiętałem stopień?

– Dobrze. To mój partner.

– Z ABW? A może ten dziennikarz, co pisze teksty w „Expressie”?

Marta nie była zaskoczona, ale postanowiła odczekać kilka sekund, żeby Klejn nasycił się własną wielkością.

– Błyskotliwy ma pan umysł – pochwaliła.

– Od tego jest umysł.

– Dziennikarze też czasem pracują w ABW.

– A ponoć nie wolno ich werbować, ha!

– No więc powie nam pan?

Klejn chrząknął i odparł jak dziennikarz:

– Nie wolno mi ujawniać swoich źródeł, szczególnie zaufanych, ale w sumie mogę wam to powiedzieć. Otóż Szarawarski prowadził jakieś ważne negocjacje w sprawie połączenia pozostających pod kontrolą Skarbu Państwa aktywów, chyba spółek zajmujących się wytwarzaniem energii odnawialnej. Chciał zrobić z nich holding i komuś je sprzedać. Negocjacje toczyły się gdzieś na Mazurach, może w hotelu w Mikołajkach. I wyobraźcie sobie, podjeżdżają tam swoimi limuzynami, a tu niespodzianka: na parkingu stoi prywatny samochód żony Szarawarskiego, zaparkowany przy wozie Witolda. Wie pani, jaką Witold miał opinię. Jego samochód obok wozu żony szefa to wymarzony wręcz temat do plotek. No i ktoś tę plotkę zaczął rozpowszechniać, robiąc z ministra rogalca.

– Samochody zaparkowane jeden przy drugim nie oznaczają jeszcze romansu.

– Cóż... – Klejn był przygotowany na to pytanie. W jego głosie słyhać było nutę sarkazmu i samozadowolenia. – W tym hotelu miejsca są numerowane. Te pojazdy były obok siebie, ponieważ zostały przypisane do jednego pokoju. Apartamentu, mówiąc dokładnie. Mażeńskiego. Za pokój płaciła pani... Wolska.

– Wolska?

– To nazwisko panieńskie Zuzanny Szarawarskiej. Apartament wynajęli państwo Wolscy. Czy muszę jeszcze coś dopowiadać?

– Ale mówił pan, że może to jednak nieprawda. Może Witold... miałby jakieś wytłumaczenie.

– Tak, bo nigdy nie ma źródeł zaufanych w stu procentach. Kto wie, czy to nie była jakaś prowokacja. Osoba, która mi o tym opowiedziała, jest, mówiąc delikatnie, dość znana z intryg i manipulacji. Nieprzypadkowo szkolono ją w tym zakresie w WSI. Tak więc co jest prawdą... tego już się nie dowiemy, chyba że od Szarawarskiej. Witold nie może się bronić.

– Fakt – podsumowała Marta. – Czemu nie chciał mi pan tego powiedzieć za pierwszym razem? Czemu robił pan z tego taką tajemnicę?

Klejn roześmiał się głośno.

– Chciałem, żeby mnie pani jeszcze kiedyś odwiedziła. Lubię, jak mnie odwiedzają piękne kobiety. Także w mundurach...

– Przed chwilą użył pan czasu przeszłego.

– Bo też trochę się zmieniło. Za dużo trupów wokół. Od spraw, gdzie pojawiają się wciąż nowe przypadki dziwnych zgonów, lepiej trzymać się z dala. Muszę kończyć, pani major...

– Ja też. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy pana zdaniem oni ze sobą sypiali? Witold i Szarawarska... Czy to była tylko plotka lub manipulacja?

Klejn westchnął.

– Cóż, w przypadku spraw sercowych Witolda wszystkie plotki raczej okazywały się faktami...

– Dziękuję panu – szepnęła Marta i bez pożegnania przerwała połączenie.

Siedziała, wpatrując się w milczeniu w ścianę. Dziwnie

wyglądała. Milik nie bardzo wiedział, jak się zachować. Czy powinien ją pocieszyć albo powiedzieć coś żartobliwego? Nie wiedział, skąd się wzięła ta wściekłość. Może ten jeden romans przeważał szalę. Może Marta broniła Witolda, bo była pewna, że nie zdradzał Anki, a tu się okazało, że jednak pozostał tym samym samcem i żadnej nie przepuścił. A może chodziło o samą Szarawarską. Może gdyby to była inna kochanka, łatwiej byłoby jej to znieść? Ech, kobiety, nie nadążymy za nimi. Mężczyźni mają jednak znacznie prostszą konstrukcję. Zwykły szeregowy schemat, coś wynika z czegoś, a nie węzeł spleciony tak, że można go przeciąć tylko mieczem.

Tak czy inaczej mieli chyba odpowiedź, dlaczego Szarawarski wynajął detektywów.

Milik sięgnął po butelkę z wodą. Wypił kilka łyków i rzucił od niechcenia: – Zajmę się swoimi sprawami. Muszę zadzwonić do Ewy.

Ewa jednak miała cały czas wyłączony telefon. Nie myślał już o niej źle. Zdziwiająca, jak własna zdrada może usprawiedliwić inną zdradę, pozbawić ją bolesnego i upokarzającego ładunku. Może tak musiało z nimi być. Martwił się trochę, ale z drugiej strony w tym, że Ewa nie odbiera, nie było nic dziwnego. Wyjechała ze swoim facetem na weekend, pewnie na narty. Jest noc, może pieprzą się jak szaleni, a tu dzwoni jej były. Po co ma odbierać? Często wyłączała telefon lub wyciszała dźwięk dzwonka, gdy nie chciała z nim rozmawiać, a teraz pewnie nie chciała. Ustalili, że on się wyprowadzi, i widząc jego numer, może oczekiwała kolejnych próśb o przesunięcie ustalonego terminu. Trudno. I tak pewnie wróci dopiero jutro i zdziwi się, że zastanie rzeczy, a jego nie będzie.

Wtedy zadzwoni, a on jej powie, by uważała. Zasugeruje, że mogłaby się wprowadzić na parę dni do Patryka.

Posłucha albo nie.

Nieważne.

To już nie jego sprawa. Ważne, żeby zrobił, co należy.

Była niedziela. Piękna, słoneczna i mroźna zimowa niedziela, w sam raz na wycieczkę do zaśnieżonych Łazienek. Marta

przeciągała się leniwie w łóżku, gdy wrócił spod prysznica. Przechadzał się przed nią nago, a ona z przyjemnością patrzyła na jego ciało.

Dbał o nie. Wciąż był młody, wysportowany. Kilka godzin w tygodniu poświęcał na pływanie, piłkę nożną, siatkówkę. Nie miał talentu do sportów walki. Kiedyś próbował boks, ale jeden z przeciwników szybko wybił mu to z głowy. Skończyło się na naruszonym nosie i przekonaniu, że lepiej uciekać niż walczyć.

Uciekałby, gdyby musiał walczyć? Nawet ojciec drzemiący w umyśle nie mógł tego zmienić. Jego gniew nie byłby silniejszy od strachu Bartka. Mógł zerwać się, wrzeszczeć, rozkazywać: do boju, młody! Walcz! Broń się! Nie bądź tchórzem! A on i tak by zmykał. Wojna to nie dla mnie, tato. Jestem dzieckiem pokoju. Pierdolonym pacyfistą. Słyszałeś kiedyś o pacyfistach? Tak, tak, pomarańczowe podkoszulki i czerwone czapeczki. Stop przemocy! Nie będę mięsem armatnim, żeby zaspokoić skłonność tłumu czy jednostek do narzucania władzy innym.

A gdyby musiał walczyć o Ewę albo teraz o Martę?

Nie. Aż takim tchórzem nie był.

Może silne ciało z zastrzykiem adrenaliny dałoby sobie radę pomimo braków technicznych i psychopatycznych?

W każdym razie sport utrzymywał go w dobrej formie. I seks. Paradoksalnie częstszy w trakcie rozstania z Ewą niż wcześniej, gdy dopiero zaczynało się psuć. Wtedy oboje znajdowali różne wymówki, by się nie kochać. Milik złapał się na tym, że ustalał limity seksu. Zamiast, jak na początku, kochać się codziennie, zaczęli to robić co drugi dzień, potem dwa razy w tygodniu, wreszcie raz na tydzień czy dwa tygodnie. Przedłużający się okres Ewy czasem podpierał go psychicznie. Tak, okresy wstrzemięźliwości wydłużały się nieubłaganie, dając obojgu sygnał ostrzegawczy. Aż godzili się burzliwie i przez weekend nie wychodzili z łóżka. Ale ono też zaczęło ich dzielić. Czuł to. Ewa też to czuła. Dlatego znalazła kogoś innego. Skorzystała z pierwszej oferty? A może drugiej? A może jest niesprawiedliwy i to wyśniona miłość. Taka, o jakiej czytała w tych swoich romansach. Uwielbiała romanse. A co lubi Marta? Kryminały?



– Czytasz książki? – zapytał znienacka.

Spojrzała zaskoczona. Leżała nago pod prześcieradłem. Jej trochę za duże (w jego odczuciu) piersi i mocne, umięśnione uda rysowały się wyraźnie pod cienkim materiałem. Zawsze lubił kobiety wiotkie, delikatne, przy których Marta była wręcz... monstrum. Wężem przy motyłu. Dlaczego więc mu się podobała?

– Wyglądam na taką, co nie czyta?

– Nie, ale jestem ciekaw, co lubisz – odparł.

– Ostatnio przeczytałam Bolaña.

– Podobało ci się?

– Trudne.

– Mnie się podobało.

– Nie musi nam się podobać to samo. Masz ulubioną powieść?

– *Mistrza i Małgorzatę* – wypalił bez wahania. – Tylko nie każ mi cytować, bo nie mam pamięci do cytatów.

– Ja pamiętam ten o wódce.

– „To wódka? Na litość boską, królowo, czy ośmieliłbym się nalać damie wódki? To czysty spirytus”.

– Więc jednak niektóre pamiętasz. Ja lubię Latynosów.

Milik nagle zdał sobie sprawę, jak niewiele w gruncie rzeczy ich dzieliło. Byli w podobnym wieku, on trochę młodszy, dorastali w czasach schyłku komunizmu, nijakości, pustek w sklepach i na wszelkich półkach, także tych kulturalnych. Wszystko wokół było szare, nijakie, mdłe i napawające czarnymi myślami.

– Wychowałem się na nich. Na nich i na Skandynawach, ale nie na kryminalach, tylko tych starszych. Potem wziąłem się za Rosjan. Rosjanie piszą najpiękniej na świecie. – „Choć tak bardzo ich nienawidziłem za te wszystkie historyczne upokorzenia”, miał ochotę dopowiedzieć.

– Ja tych nowych Skandynawów też lubię.

Milczeli przez kilka minut. Milik zagryzł wargę, z dziwnym poczuciem, że znalazł prawdziwą przyjaciółkę. Taką, która zrozumie to, co chciałby jej teraz powiedzieć. Czego nie wyznał dotąd nikomu, nawet Ewie czy Gregowi, a co ciążyło mu na

duszy tak, że musiał, po prostu musiał komuś to powiedzieć.

– Miałś dobre stosunki z ojcem? – zapytał.

Marta zdziwiła się, że o to pyta. Nie wyczuła żadnego podstępu, może dlatego odparła szczerze: – Nie bardzo, ale też nic szczególnie złego się nie działo. Po prostu on jakby... wegetował. Siedział przed telewizorem i nic go nie obchodziło. Tylko telewizor, krzyżówki i sen przez dziesięć godzin. Wstawał, szedł do pracy, wracał, palił papierosy i oglądał filmy dokumentalne. Mieliśmy jeden telewizor. Nie mogłam oglądać przez to bajek. Czemu pytasz?

– Mam wrażenie, że przez całe życie chciałem sprostać oczekiwaniom starego. Siedzi mi we łbie i podpowiada. To nie tak, tamto inaczej, jesteś nic niewartym robalem, synu. Nic ci się nie udaje, niczego nie kończysz, wszędzie same porażki. Siedzi sobie na fotelu i tak pierdoli.

– To normalne.

– Co takiego?

– Chciałbyś, żeby stary był z ciebie tak dumny jak ty z niego.

Milik długo się przygotowywał, by w końcu wyrzucić z siebie to, co miał do powiedzenia.

– Mój stary przez ostatnie lata udawał bohaterskiego opozycjonistę, antykomucha, walecznego bojownika o wolność. Był internowany, działał w podziemiu, opowiadał mi różne takie dyrdymały o tym wszystkim... Kiedy otwarto archiwa bezpieki dla dziennikarzy, wziąłem sobie jego teczkę. I wiesz co, to wszystko było gównem prawda. Podpisał lojalkę zaraz po zatrzymaniu, a potem przez pięć lat donosił na kolegów. Gdy komuna zaczęła się staczać, zrobił dla ściemy akcję pokazową zerwania kontaktów, ale tak naprawdę nigdy się od nich nie uwolnił. Do śmierci spotykał się ze smutnymi panami z dawnych czy obecnych służb i kablował. To mój autorytet, do którego równałem.

Marta nie bardzo chciała na to odpowiadać. Rzekła więc tylko pojednawczo: – To nie jest temat do łóżka.

– Wiem, przepraszam. Po prostu chciałem to powiedzieć. Komuś. Nikomu jeszcze nie mówiłem.

– Dobrze. Ale... nie daj się zatruć temu jadowi. Jeśli chodzi o

tamte czasy, nikt nie wie, co jest prawdą.

– Ja wiem.

– Każdy tak mówi. Nic tak naprawdę nie wiesz.

Włożył spodnie i sięgnął po uspiętego laptopa. Jednym klawiszem wybudził komputer i zaczął udawać, że ponownie przegląda folder z dokumentami Szarawarskiego. W rzeczywistości myślał, co dalej. Marta także się ubrała. Dłonią lekko poczochnęła mu włosy.

– Nie martw się – powiedziała – nic nie musisz.

– Czego nie muszę?

– To, że byliśmy ze sobą, do niczego cię nie zobowiązuje. Jestem normalna. Fajnie było, możemy się jeszcze zobaczyć, ale nie musimy.

– Fajnie było?

– No, chyba fajnie. Tobie nie?

– Nie no...

– Możesz robić, co chcesz. Pojechać do pracy czy gdziekolwiek, proszę cię tylko, byś nie wracał do domu, bo coś ci się może stać. To nie są żarty.

– A ty?

– Pojadę na spotkanie z Kinolem, a później... to zależy. Może poszukam Szarawarskiego i wyrównam rachunki. Albo spróbuję złapać Suzi i się z nią rozmówić. Jeśli pieprzyła się z Witoldem, możemy mieć sobie dużo do powiedzenia.

– Jeśli?

– Klejn nie był jednak taki pewien... Może to rzeczywiście była manipulacja.

– Niewykluczone.

– A może spróbuję znaleźć ludzi z bmw.

– Sama?

– Wcześniej czy później to się musi stać. Oni mnie znajdują albo ja ich. Albo poszukają ciebie.

– Cholera – westchnął i nagle poczuł strach. Przejmujący i dogłębny. Nie, nie o siebie. O nią. Nie chciał jej zostawiać samej. – Idę z tobą.

– Nie musisz.

– Chcę.

Spojrzał na nią twardo. Może wcale nie jest za mądra? I wcale nie jest zbyt umięśniona i silna. W ubraniu wygląda nawet na wiotką, dziewczęcą. Jest zgrabna i seksowna. W ogóle wspaniała.

– Naprawdę chcę.

Do Łazienek poszli pieszo. Kilkukilometrowy spacer w mroźny, ale słoneczny dzień podzielał na nich ożywczo i kojąco jednocześnie. Marta oglądała z uwagą każdego przechodnia, wypatrując niebezpieczeństwa czy szpiega. Bartek patrzył na inne pary. Roześmiane, natchnione, obcałowujące się na rogatkach ulic, a potem przeskakujące radośnie do następnego przystanku, kolejnego uścisku i pocałunku. Parujące oddechy oddawały gorąco serc światu, który kompletnie się nimi nie interesował. Miłość wszędzie udaje normalność. Za to śmierć przyciąga wzrok wszystkich. I przemoc. Może z powodu strachu, który wywołuje. Lubimy się bać, ale nie chcemy, by powód strachu dotyczył nas samych. Chcemy odepchnąć go od siebie do innych. A potem napawamy się tym widokiem.

Kolejna para przebiegła przed nimi. Ona się śmiała, on szukał śniegu, by przyłożyć jej śnieżką. Śnieg się nie lepił. Białe puch rozpylony w powietrzu ulatywał z wiatrem.

Niczym się od nich nie różnimy – pomyślał Milik. Jesteśmy tak samo młodzi, weseli, zepsuci i... zdolni do miłości. Kochamy się pieprzyć. Gównu nas obchodzi cały świat, polityka, sprawiedliwość i wszystkie te brudne gry. Wszystko, co robimy, robimy z przekłętą egoizmu. Ona z zemsty, ja z pragnienia sławy. To mój temat, tylko dlatego tu jestem. Nie chcę go nikomu oddać.

Kosmyk włosów Marty otarł się o jego twarz. Bartek spojrzał na nią i gdy tak szła obok szybkim krokiem, zobaczył coś więcej niż tylko zwykłą dziewczynę. Piękną i seksowną.

Zobaczył kogoś wyjątkowego.

– Co tak patrzysz? – zapytała, nie zwalniając.

– Niezwykła jesteś.

Zatrzymała się. Pomyślał, że ją uraził, ale jej oblicze wciąż było ciepłe, przyjazne.

– To komplement?

- No. – Wzruszył ramionami.
- Chyba nie zamierzasz się we mnie zakochać?
- To taki zły pomysł?

Roześmiała się głośno.

- Zły – przyznała. – Chodźmy, bo się spóźnimy.

Kinol już czekał. Dreptał przed zamkniętą tego dnia restauracją Belvedere. Początkowo nie zwrócił na nich uwagi. Gdy podeszli, wyraźnie było widać, że jest zawiedziony obecnością Milika. Myślał, że spotka się tylko z laską.

Marta zresztą zrobiła na nim niemałe wrażenie. Mimo zimna biedak spocił się, aż musiał odgarnąć wełnianą czapkę z czoła.

- Wow, w internecie nie wyglądasz tak wystrzałowio – załkał.

– W internecie mam twarz szopa – odparła Marta z uśmiechem.

Kinol był wyjątkowo nieprzyjemnym gościem. Miał sporą nadwagę, obślizgłe ciało, znoszone spodnie opadały mu tak, jakby w nie narobił, krótkie ręce i małe, grube dłonie podrygiwały nerwowo. Owalną twarz pokrywał gęsty zarost, a rozbiegane oczka nie mogły się skupić na rozmówcy. Poza tym śmierdział. Czuć to było nawet przez grubą kurtkę.

Internetowy zbok.

Zaczął przyglądać się Milikowi i w pewnym momencie go olśniło.

– Zaraz, czy ty nie jesteś tym gościem z telewizora? Tym, kurwa, dziennikarzem? Widziałem cię na konferencji. W co wy mnie, kurwa, chcecie wmanewrować?

– Spokojnie, pismak mi pomaga – powiedziała Marta. – Nie masz się czego bać.

Kinol zawahał się.

– Kurwa, fuck.

– Spokojnie – powtórzyła Marta.

Zadrzał, ale nie odszedł. Jakoś już przetrwał Milika i był gotów do rozmowy.

– Na pewno mnie nie wkręcacie?

– Po co mielibyśmy to robić?

– No dobra, ale najpierw kasa – powiedział. – Ile to dla was warte?

Marta zaproponowała pięć stów, Kinol odbił, że chce tysiąc, a potem zgodził się na siedemset. Z góry. Marta wręczyła mu trzy stowy. Resztę trzymała w dłoni.

– Jeśli to będzie coś warte, dostaniesz resztę.

– Dobra – zgodził się Kinol. – Przejdźmy się.

Poszli w głąb parku.

– Co wiesz o sprawie ministra? – ponagliła Marta.

– Firma dostała to zlecenie prawie rok temu, chyba tuż przed wakacjami. Wojtkowski spotkał się z klientem i obiecał, że osobiście zajmie się sprawą, ale, jak to on, kłamał, burak jeden, i przekazał to Małemu. Kojarzysz Małego?

– Hm, tak – skłamała Marta.

– No więc Mały chodził za laską przez prawie miesiąc, a potem nabijał się ze starego kutafona. No bo okazało się, że żona wcale nie przyprawia mu rogów. Jest grzeczna jak nakręcana lalka. Żadnych skoków w bok, przypadkowych spotkań, fiutów w dupie i macanek po parkach, nawet cienia podejrzeń. A gościu wywała prawie dwadzieścia pięć tysięcy, żeby zdobyć na nią kwity.

– Aż tyle?

– Wojtkowski umiał naciągać, zresztą wiedział, kiedy i kogo mógł zrobić na kasę. Klient, któremu powiesz, że niesłusznie oskarżył żonę, jest zwykle szczęśliwy, no chyba że szukał kwitów na sukę. Ten minister nie szukał, kochał dziwkę, a ona była mu wierna. No więc był szczęśliwy i zapłacił ile trzeba. Wojtkowski przekonywał, że dużo kosztowało, bo trzeba było wymieniać agentów i sam musiał wszystko nadzorować.

Milik i Marta popatrzyli po sobie. Nie tego oczekiwali. Informator Klejna kłamał, manipulował. Tylko po co?

– Skąd tyle wiesz?

– Mały nie był szczególnie dyskretny. Wiesz, taką sprawę trudno utrzymać w tajemnicy. Nabijaliśmy się z tego ministra przy piwie, a Mały się zawsze rozkręcał i dużo mówił.

– Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? – zapytał Milik.

– Nic nie wiesz? – Kulfon spojrzał zdziwiony na Martę. – Pisaliśmy o tym w grupie na Facebooku. Mały utopił się w

Egipcie. Zachciało mu się, kurwa, nurkować i już, jebany, nie wypłynął.

Milik spojrzął na Martę. Ta jednak była skupiona na Kinolu. Nie chciała go teraz stracić.

– Pamiętasz nazwisko ministra?

– No pewnie. To fiut, który naciągnął mnie na ofertę tego niby giganta finansowego na giełdzie. W telewizji kutafon występował i namawiał: z nami po sukces. A jak się skończyło? Wtopiłem swoją kasę i kasę starej. Chuj od giełdy. Szarawarski się chyba nazywa.

– Szarawarski – przyznała Marta.

Kinol wyjął z kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos.

– Przepraszam, grypa czy inne kurewstwo... No i jak, wartościowe info?

– Wartościowe. – Marta dała mu resztę pieniędzy.

Kinol wyraźnie ociągał się z pożegnaniem. Spoglądał na Milika, jakby ten mu przeszkadzał. Może chciał zaproponować Marcie randkę, ale przy nim się wstydził? Nie widzisz, chłopie, jak wyglądasz? – miał ochotę odpowiedzieć mu Bartek. Kurwa, chuj, fiut – to nie są słowa dokładane do bukietu na randce. Chamstwem nie zdobędziesz dziewczyny. Chyba że między wami detektywami to norma i myślisz, że tak trzeba.

– Fajnie, że cię w końcu poznałem na żywo – szepnął.

– Ja też się cieszę.

– Super z ciebie laska, wiesz? Zawsze lubiłem twoje posty i wtręty.

– Dzięki. Ja twoje też lubiłam.

Jeszcze trochę przestępował tak z nogi na nogę, aż w końcu uniósł rękę.

– No to lecę.

– Cześć – odpowiedzieli równocześnie Marta i Bartek.

Gdy już odszedł na dziesięć metrów, Marta nagle zawołała za nim: – Kinol!

Zatrzymał się i wrócił szybko.

– Tak?

– Myślisz, że mógłbyś wyciągnąć dla mnie raport z tej sprawy?

Popatrzył spode łba.

– No, nie wiem.

– Zapłacę dwa tysie.

– Ale wiesz, to trochę głupio tak przeciwko... własnej firmie.

– Przecież Wojtkowski nie żyje.

– Ale jego dupa jeszcze lepiej sobie radzi. Bez mediów i po cichu idzie nam całkiem, całkiem.

– To sprawa archiwalna i mówiłeś, że nic tam nie ma, więc co ci szkodzi?

– No właśnie, skoro nic tam nie ma, to po co ci to?

– Lubię sama popatrzeć – szepnęła nieco zbyt uwodzicielsko.

Wahał się, wreszcie rzekł:

– Trzy tysie.

Stańło na dwóch i pół, a Kinol zgodził się przynieść raport następnego dnia.

– Może być na dysku czy musi być wydruk?

– Dysk wystarczy.

– Dobra. No to cześć.

– Cześć.

Gdy zniknął im z oczu, Bartek objął Martę ramieniem.

– Myślisz o tym samym co ja?

– Dziwne te wszystkie śmierci – przyznała Marta. – Może jednak z tą żoną Szarawarskiego coś było. Coś tu nie gra, nie wiemy tylko co. Jeśli ona była czysta i nie miała romansu z Witoldem, to co jest grane?

– A może minister w to nie uwierzył i postanowił kropnąć Witolda mimo wszystko, dla pewności. Zazdrosny facet bywa zdolny do dziwacznych zachowań, nawet jeśli jest ministrem.

– A te wszystkie pozostałe śmierci?

– Mówiłaś, że to minister gangster. Albo sam ma armię drani, którzy go w ten sposób chronią, albo koledzy pilnują, żeby nic się nie stało ich ministrowi. Trzeba chronić swoje źródło... władzy.

– Coś tu nie gra.

– No, nie gra na pewno. Chodźmy się upić.

– W niedzielę?

– A co jest nie tak z niedzielą, że nie można się upić?



Morderca krążył po mieście jak drapieżnik. Jakby wierzył, że może wypatrzeć w tej dżungli agentkę i dziennikarzynę i upolować. Czuł się trochę jak bez ręki. Wszyscy jego ludzie obserwowali miejsca, gdzie mógłby się pojawić Milik lub agentka ABW zagrażająca Szarawarskiemu. Nie wiedział, dlaczego zleceniodawcy tak zależy na ochronie tego buca, ministra z bożej łaski. Nigdy go nie lubił. Ani na żywo, ani w telewizji. Dwa razy mieli okazję rozmawiać – na przyjęciach w niemieckiej izbie handlowej i konsulacie szwedzkim. Wydawał się nawet inteligentny, ale nie miał pojęcia o tym, jak funkcjonuje współczesny świat gospodarczy. A od ministra skarbu chyba można było tego oczekiwać. Czego jednak wymagać od ludzi zainteresowanych wyłącznie stolkami? Biurokracja to taki właśnie potworek, pasożyt, który przysałał się do społeczeństwa i nie chce dać się oderwać. Rolą buca od gospodarki jest jej usprawnianie, a można tego dokonać jedynie przez prywatyzację. Mądrą, szybką i uczciwą. A on co robił? Tylko oglądał się za tą dziwką. Gdy zaś spojrział na nią ktoś inny, od razu skakało mu ciśnienie. Czerwieniał na gębie, a oczy robiły mu się szkliste.

Miał o kogo być zazdrosny.

Suzi. Piękna Suzi. Naprawdę niezła laska.

On też chętnie by z nią zatańczył.

Dużo by dał, żeby zabrać ją na weekend gdzieś na odludzie. Przeczyściłby jej wszystkie dziurki, a potem zrobił parę nowych.

Piękna kobieta. Zasługiwała na specjalne traktowanie.

Ale żeby minister dał się tak zapakować w jakąś miłość? Żeby można było go tak całkowicie omotać, że stracił wszelki dystans do tych spraw i całego świata.

Klapki na oczach. Pierdolone serce, bo tu nawet nie chodziło o kutasa.

Lepiej nie mieć serca.

Około siedemnastej wrócił do domu i przechadzał się po pustym wnętrzu. Zbyt często zmieniał mieszkania i domy, by przejmować się ich umeblowaniem czy wyposażeniem. Dbał tylko o to, by w każdym był telewizor. Telewizor to dobry towarzysz. Szczególnie teraz, gdy jest tyle kanałów, choć dla niego mógł być tylko jeden. Ten ze starymi filmami, bo nowe niemal bez wyjątku okazywały się gniotami.

Nie miał żony. Nigdy nie myślał o żadnej kobiecie jak o potencjalnej żonie. Wszystkie kobiety to kurwy. Nic więcej nie są warte. Każda wykorzystuje mężczyznę, a jak już wysie wszystko, co ją interesuje, to go zmienia.

On nie da się zrobić. Żadnej na to nie pozwoli. Nawet tej, która go całkiem niedawno podeszła i której wciąż nie potrafił rozgryźć. Nie pozwoli się omotać.

Był jak Leon Zawodowiec. Bohater filmu, który uwielbiał.

Gdy kiedyś jeden z jego ludzi upierał się, że to historia o miłości, a nie zabijaniu, o mało go nie zamordował. *Leon Zawodowiec* to film o zabijaniu. Wy wszyscy gównu wiecie. Nie znacie się. A jak będziecie się upierać, to ukatrupię.

Oglądał go już z tysiąc razy.

Od pewnego czasu przewijał wszystkie momenty z tą małą lalą i zwalniał taśmę na Jeana Reno. Klasyka. Prawdziwa klasyka.

W domu jednak długo nie mógł wytrzymać.

Raziła go ta pustka. Coś mu przeszkadzało.

Włączył telewizor, ale w wiadomościach nie było niczego ciekawego. Wciąż nie znaleziono ciała na Żoliborzu. Nie było nagłośnionego morderstwa. To dobrze, bo nadal miał czas. Kiedy pojawią się gliny, on chyba będzie musiał ustąpić. Taki lajf. Trudno.

Zasnął w fotelu.

Nie wiedział, ile spał, gdy obudziła go komórka. Dzwonił zleceniodawca z dobrymi wieściami.

Mamy ich. Tym razem się nie wymkną.

Usta muskają jego skórę na szyi, przechodzą niżej, obejmują prawy sutek, potem lewy, by za chwilę być już na brzuchu, coraz niżej, omijają nabrzmiałego penisa, wędrują po nogach, a potem znów są przy jego ustach. Delikatny powiew oddechu osusza rosę błyszczących warg. Oczy nad oczami, długie włosy otulające jego szyję. Ciało przy ciele. Pachnące jeszcze wodą spod prysznic, ochoczo otwarte i oczekujące. On na dole, ona na nim. Ich wzrok spotyka się ponownie.

Bartek ma w tej chwili wrażenie, że oczy Marty się do niego uśmiechają.

Ile już trwa ta ich gra leniwych pieszczot? Godzinę? Może dłużej.

Jest dziś taka inna. Jakby chciała go oszukać, zwiędć. Pokazać, że ta cała drapieżność, siła i pasja, oczekiwanie czegoś mocniejszego, dzikiego to tylko gra pozorów, maska, którą czasem zakłada, by ukryć tę zamkniętą w niej małą, wiotką, skromną i uczuciową dziewczynkę.

Rozpala go i prowokuje tak długo, że on aż czuje ból, staje się nadwrażliwy, a jednocześnie nieco spokojniejszy i gotowy do długiej, spokojnej, powolnej drogi ku zaspokojeniu.

Wreszcie, zupełnie nagle i niespodziewanie, ona opada niżej i Bartek czuje gorąco oplatające penisa. Jest w niej, poddaje się powolnemu, delikatnemu kołysaniu.

Płyną tak wolno, że gdy przymyka oczy, widzi morze. Spokojne, kojące, skąpane w zachodzie słońca, kiedy wszystko cichnie i usypia.

Leży na materacu, chłonąc słoneczne promienie i czując nieco chłodniejszą wodę od spodu. Kołysze się w rytm delikatnej fali. Może tak się kołysać wieczność. Aż do spełnienia...

– Podobało ci się?

– Dziwnie.

- Dziwnie?
- No, inspirująco dziwnie.
- Zaczęła się śmiać.
- Czasem lubię tak powoli. Jakby nic się nie działo.
- Położyła głowę na jego piersi i przymknęła oczy.
- Cieszę się, że tu jesteś – szepnęła.
- Ja też.
- Dziękuję.
- Za co?
- Za wszystko. Dobrze mi. Tak mi dobrze. Po prostu.

Zasnęła, a on bał się poruszyć, by jej nie zbudzić. Oddychał powoli. Przymykał oczy, ale nie chciało mu się spać. Myślał ponownie o Ewie. Powinien jednak pojechać do domu. Zostawić jej wiadomość. Poczul nagły strach, że przez niego, przez jego bez troskę, coś się stanie. Potem zaczął ponownie wdychać zapach włosów Marty i powoli udało mu się uspokoić sumienie, wyrzucić Ewę z myśli. Przecież nic nie może się stać. Wróci do domu najwcześniej jutro po południu. Może dopiero w nocy. Pełna nadziei, że jego już tam nie ma. Że wyrzuciła go ze swojego życia na zawsze.

Patryk... Ciekawe, jak ten kutafon wygląda. Rozmawiali o nim, lecz jej opisy nie były ani szczegółowe, ani obrazowe. Zbywała go jedynie, nie pozwalając wyobraźni na rozwinięcie skrzydeł. „Po co ci to? – dopytywała. – Po co się nakręcasz? To już nie twoja sprawa”. Nie chciała zbyt dużo o tym mówić, może czując, że spotęgowałoby to jeszcze niezrozumiałość jej zdrady.

Dziwne to wszystko. Życie w ogóle jest dziwne.

Nie wiedział, kiedy zasnął. Obudziło go poczucie, że dzieje się coś złego. Miał sen, który szybko zapomniał. Rozmazana wizja przedstawiała kogoś stojącego na progu – kogoś, kto zaraz zabierze mu owo złudzenie szczęścia, które sobie stworzyli w tym pokoju hotelowym. Potwór, demon. Stał i patrzył, z kamienną twarzą i śmiercią w oczach. Potem zrobił krok i zaczęło się dziać coś, co sprawiło, że Bartek wyrzucił sen z myśli i przebudził się z jęknięciem, zlany potem.

Marta obejrzała się, ale nie zauważyła, że ma już otwarte

oczy.

Pewnie dlatego, że jej wzrok nie zdążył się przestawić na widzenie w ciemności.

Siedziała przed laptopem i przeglądała skrzynkę mailową. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ponownie przymknął oczy, gdy obejrzała się w stronę łóżka. Wyglądała na lekko wystraszoną, jakby chciała ukryć to, co teraz robiła. Dostrzegł w jej oczach coś jeszcze. Jakby błysk.

Płakała?

Czy to były łzy?

Ta silna, niezwykle mocna psychicznie kobieta płakała?

Rozbudził się już zupełnie. Starał się oddychać spokojnie i patrzył spod przymkniętych powiek. Szpieg. Ona była szpiegiem, dlaczego on nie mógł nim być? Jego wzrok już całkowicie przyzwyczał się do mroku. Zegar wskazywał drugą w nocy. Z łóżka nie było widać dokładnie obrazów wyświetlanych na monitorze, ale ich układ sugerował, że to jakaś internetowa skrzynka pocztowa, chyba Gmail.

Nie pisała maili, tylko je czytała. W pewnym momencie pociągnęła nosem, a następnie otarła prawą dłońią oczy. A więc płakała.

Poruszył się niespokojnie, jakby złapał go kurcz. Ziewnął głośno. Przekręcił się na bok. Marta wzdrygnęła się, obejrzała, jednocześnie wygaszając monitor. Komputer zaprotestował ostrym piskiem, a potem grzecznie zapadł w uśpienie.

Bartek czuł jej spojrzenie. Patrzyła na niego uważnie. W końcu i on otworzył szeroko oczy, pomacał miejsce obok, udając, że jej szuka. Uniósł głowę, przetarł oczy i już zupełnie jawnie spojrział na nią.

– Co robisz?

– Nic. – W jej głosie nie było żadnej melancholii, wzruszenia czy smutku. Wygoniła te wszystkie uczucia. Szybko sobie z tym poradziła. Cholera, była niezłą oszustką. – Już idę do ciebie.

Wyszła do łazienki, przemyła twarz. Słyszał, jak potem sika i myje ręce.

Wróciła i przytuliła się do jego pleców.

Zasnęła pół godziny później. Była prawie trzecia. On także

przymknął oczy i starał się zasnąć. Buzujące w głowie myśli jednak mu nie pozwalały. O czwartej wciąż nie spał. Zachciało mu się siusiać. Delikatnie zdjął z brzucha jej ramię, wstał, poszedł do łazienki i oddał mocz. Potem patrzył na swoje odbicie w lustrze, walcząc z rosnącą pokusą. Wślizgnął się do pokoju najciszej jak umiał.

Marta spała, spokojnie oddychając. Był pewien, że nie udaje. Po cichu odłączył laptopa i wrócił z nim do łazienki. Jeśli się obudzi, najwyżej jej powie, że chciał na kibelku przejrzeć wiadomości. Ściema dobra jak każda inna. Pewnie nie uwierzy, ale nie powinna go zaatakować.

Usiadł na kłocie i wybudził komputer z uśpienia, jednocześnie naciskając kilkakrotnie przycisk wyciszenia dźwięku. Laptop zawarczał, na ekranie pojawiła się ikonka logowania. Na szczęście Marta nie zdążyła wprowadzić żadnego hasła. Zalogował się i wszedł w przeglądarkę internetową, która wyskoczyła automatycznie na ekranie, odświeżając okna otwarte w momencie uśpienia. Milik pomyślał, że robi świństwo, i w głowie zaświtało mu życzenie, by skrzynka pocztowa zażądała ponownego logowania. Nic nie zobaczy, i dobrze.

Jednak Gmail nie uruchomił okna z logowaniem, tylko od razu skrzynkę przeglądaną przez Martę. Korzystała z adresu [slomka1970@gmail.com](mailto:slomka1970@gmail.com). Foldery były uporządkowane i przejrzyste. Nie musiał właściwie ich przeszukiwać, bo program od razu uruchomił właściwą teczkę o nazwie WITOLD. Zawierała korespondencję z kilkunastu miesięcy pomiędzy [slomka1970@gmail.com](mailto:slomka1970@gmail.com) a [witold@privet.hu](mailto:witold@privet.hu). Nie trzeba było być Sherlockiem, by się domyślić, kto krył się za tym adresem. Skrzynka zawierała blisko tysiąc wiadomości.

Hm... „Spotkaliśmy się tylko kilka razy – przypomniał sobie słowa Marty. – To było bez znaczenia. Miły seks bez zobowiązań”. Jeden raz? Tak mówiła, no, może więcej niż jeden. Bzyknięcie i już jesteśmy tylko przyjaciółmi. Oto kłamstwa.

A prawda?

Tysiąc wiadomości w ciągu nieco ponad roku – „bez

znaczenia”? „Seks bez zobowiązań” poparty czułymi słówkami pisanymi o każdej porze dnia i nocy, czasem po dwadzieścia razy na dobę.

Zresztą już wtedy, gdy powiedziała mu o tym romansie, jej oblicze przeczyło jej słowom. To, z jaką żarliwością broniła poglądów prezesa giełdy, jak gorąco popierała jego postawę, z jaką pasją mówiła o tym człowieku – to wszystko świadczyło, że nie był dla niej kimś „bez znaczenia”.

Czy zatem także nie powinna się znaleźć w kręgu podejrzeń? Może bardziej niż sam minister Szarawarski czy jego żona. Czy ABW o tym wiedziała? Pewnie nie, pewnie mieli inne poszlaki, by ją oskarżyć o bliższą znajomość z Witoldem, ale mogli nie wiedzieć, że to ona kryła się pod pseudonimem „Słomka”. Jeśli była wystarczająco ostrożna.

Anka też raczej o tym nie wiedziała. Domyślała się – zresztą, jak się okazuje, słusznie – że Witold kogoś ma, dlatego chciała się z nim rozstać... Boże, to rzeczywiście może być Marta.

Na chybił trafił otworzył kilka maili. Wszystkie były czułe i jednoznaczne. Nawet jeśli rozmawiali o zwykłych sprawach, dało się wyczuć łączącą ich więź. Tylko kochankowie piszą do siebie w ten sposób.

Serce biło mu coraz mocniej.

Głupek ze mnie.

Przesunął obraz do najnowszych wiadomości i oniemiał.

Ostatnią korespondencję kochankowie wymienili w dniu, w którym zginął Witold Sworowski.

Marta kłamała. Była pokrętną kłamczuchą.

Grega obudzono około pierwszej w nocy.

– Chciałeś, żeby dzwonić o każdej porze, jeśli będą wieści na temat Milika lub Marty?

– Pewnie. – Przetarł oczy, przygryzając jednocześnie policzek, żeby szybciej się obudzić.

– No więc są wieści, ktoś ich chyba kropnął.

– Gdzie?

– W mieszkaniu na Żoliborzu, dwa trupy...

Greg nie słuchał dalej. Wciągnął dżinsy, przeprosił łaskę, która nieśmiało protestowała, a której imienia już nie pamiętał, i wybiegł z domu.

Zwykle pokonanie tej trasy na motorze zajmowało mu pół godziny. Zimą czasem więcej. Tym razem po kwadransie parkował swoją yamahę koło dwóch radiowozów ustawionych pod blokiem Milika. Przed wejściem na klatkę stał znajomy gliniarz, więc nie musiał się legitymować.

W mieszkaniu roіło się od techników i chłopaków z dochodzeniówki. Prokuratora dyżurnego jeszcze nie było albo wyszedł zadzwonić do żony, że jednak „jest tu straszny syf i nie wróci na śniadanie”. Dowodził Micha, z którym Greg niespecjalnie się lubił.

– To był mój przyjaciel – uprzedził go lojalnie z naciskiem na ostatnie słowo. A znaczyło to ni mniej, ni więcej, tylko: „Jeśli nie chcesz zarobić w dziób, to daruj sobie uszczypliwości i swoje słynne żarciki”.

Micha zmieszał się, ale powiedział po ludzku:

– Przykro mi.

Ciało kobiety leżało przy łóżku. Greg poznał Ewę dość dobrze, nie przepadali za sobą, za to teraz nie miał problemów z identyfikacją, mimo że jej twarz była zmasakrowana i zakrwawiona. Milik wyglądał jeszcze gorzej. Pochylali się nad nim lekarz i technik. Obok stał jeden z detektywów.

– Cześć, Greg. Niezły sajgon, nie? – powiedział na powitanie.



– Podobno znałeś tego Milika?

– Tak.

– „Kumpel morderca” nie brzmi za dobrze.

– Morderca?

Wtedy się zorientował, że to nie Milik leży na podłodze, tylko jakiś inny gość.

– No, jak chcesz znać moje zdanie, to twój kumpel przyszedł nie w porę i zastał swoją lolę z fagasem. Skończyło się jak widać.

Bzdura. Bartek był z Martą. Rozsądnie zrobili, gdzieś się zaszywając, bo byliby teraz na miejscu tych dwojga. Ale nie było sensu nikomu tego tłumaczyć.

– Kto zgłosił sprawę?

– Anonim.

– Macie nagranie?

– Jasne.

Greg pokiwał głową. Potem wyszedł. Uspokoił się trochę. Zapalił papierosa i usiadł na motocyklu, zapatrzony w uśpiony Żoliborz. O tej porze, w zimową noc, nikomu nie chciało się szukać wrażeń. Tylko demonom i bestiom. Jedynie one grasowały.

Popatrzył na okna obu bloków. Wyłącznie w mieszkaniu Milika paliło się światło. Nikt się nie kochał, nikt nie bawił. Smutna poczekalnia do śmierci.

Nie wiedział, co z tym zrobić.

Marta go okłamała. Okłamała tak dalece, że nie mógł już jej ufać. A jednak instynktownie czuł, że są po tej samej stronie. Nie mogła zamordować Sworowskiego. Skoro to zrobiła, dlaczego teraz szuka mordercy? Tylko po to, żeby zapewnić sobie kamuflaż? Żeby zrobić w morderstwo kogoś innego? Bzdura, to się nie trzymało kupy.

Dlaczego zatem nie powiedziała mu prawdy?

Przecież wystarczyło spokojnie wytłumaczyć.

Tak, pieprzyłam się z Witoldem aż do tego dnia, gdy zginął. Padałam na klęczki i wkładałam sobie jego fiuta do gardła na każde zawołanie, bo... Bo go kochałam, pieprzony kutafonie. Co ty w ogóle wiesz o miłości? Co dla ciebie znaczy? Tak, byłam z nim umówiona tego dnia na godzinę przed jego śmiercią.

I co dalej?

Przyszłam i strzeliłam mu w łeb? Tak myślisz, głupku?

Dlaczego? Dlaczego miałabyś to zrobić?

Kochałam go, ale on wołał ją? Nie mogłam tego ścierpieć? Miłość to za słaby powód, by zabić? Miłość mniej znaczy niż pieniądze? Miłość kłóci się z przemocą? Nie idzie z nią w parze? Czy aby na pewno?

A jeśli to naprawdę ty? Co ze mną zrobisz, jeśli odkryjesz, że zdemaskowałem twoje małe kłamstwa? Mnie też zabijesz?

Nie, nie, nie.

To nie tak.

Te chore myśli i dopowiedzenia nie mają sensu. Tylko Marta mogła wszystko wyjaśnić. A żeby zażądać wyjaśnień, musiałby się przyznać, że grzebał w jej skrzynce mailowej. Czy to większa zbrodnia niż zabójstwo? Pewnie nie. Pewnie też do wybaczenia, ale nie dla takich kobiet jak Marta.

Tu już nie byłoby czego tłumaczyć.

Zamknął laptopa, usypiając go w ten sam sposób, by Marta się nie zorientowała, że coś w nim mieszał, i siedział tak na

kiblu jeszcze z godzinę.

Szałeństwo. Chciało mu się z tego wszystkiego śmiać.

Odłożył komputer na stolik i wślizgnął się do łóżka. Marta mruknęła jak kotka i wtuliła się w niego.

Rankiem szybko się zebrali i ruszyli do Łazienek.

– Myślisz, że Kinol przyniesie dokumenty?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Za chwilę się przekonamy.

Mijając kiosk, miał ochotę kupić gazetę, ale Marta pociągnęła go za rękaw.

– W szmatławcach nie ma już niczego ciekawego.

– Też pracuję w szmatławcu, zapomniałaś?

– Już niedługo.

– To racja.

Rzucił więc tylko okiem na pierwsze strony. Rzeczywiście nic ciekawego. Żadnych nowych własnych tematów, tylko dmuchane, mało istotne teksty do zapomnienia w godzinę. Taka prasa nie ma szans z internetem. Może nie miałyby i tak, ale oddanie pola bez walki to był największy jej grzech. Żegnaj, papierze, już niedługo.

W Łazienkach było jeszcze mniej ludzi niż wczoraj.

Kinol czekał w tym samym miejscu. Tym razem nie zostali w parku. Przeszli przez bramę, a potem kilka przecznic dalej w dół Ujazdowskimi, szukając jakiejś restauracji, którą w końcu wypatrzyli po drugiej stronie ulicy.

Grubas rozglądał się niespokojnie.

Nawet kiedy już usiadł w swoich powyciąganych spodniach za stolikiem, nadal wykazywał spore zdenerwowanie. Położył ramiona na blacie i strzelał palcami, jakby chciał mieć to wszystko za sobą, pomknąć jak najdalej stąd.

– Boisz się?

Wzruszył ramionami.

– Dziwne rzeczy się dzieją – odparł. – Ten kurewski raport zniknął z naszego serwera. Znalazłem go dopiero w Backupie. – Wyjął dysk i podał Marcie. – Dwa i pół, pamiętasz?

– Dwa i pół – potwierdziła, wręczając mu kopertę.

Kinol przeliczył forsy i wstał.

– Co tak uciekasz?

– Bawcie się tym sami. Mnie takie gierki ze znikającymi plikami nie rajcują. Szczególnie jeśli w dziwnych okolicznościach ginie kolo, który zbierał dane, a po nim sam szefunio, choć jemu się należało. No i jeszcze jak mam się spotykać z kolesiem podejrzanym o wykasowanie swojej laski? Zrobiłeś to, gnojku?

Nachylił się nad oniemiałym Milikiem, któremu gęba detektywa wydała się straszliwie obleśna, wręcz odrzucająca. Wyzierały z niej najbardziej podle ludzkie instynkty. Śmierdziała jak cały on.

– Co ty bredzisz?

– Telewizji, kurwa, nie oglądasz? Twoją gębę od rana pokazują w wiadomościach. Prorocy wydali list gończy i poprosili media o pomoc. Dziennikarz zaszlachtował swoją laskę i jej brytana.

Milik nie był w stanie dobyć słowa. Nagle poczuł niebywałą suchość w gardle. Serce waliło mu jak młotem.

– Nie, ja im nie wierzę – kontynuował Kinol. – Jak mnie zapytasz, siostró, to widzę przecież, że ten goguś nikogo by nie kropnął. A już na pewno nie w takim pięknym psychostylu. No, ale mnie to wcale nie uspokaja. Ktoś to przecież musiał zrobić. A kto? Wy pewnie wiecie, ja się nie chcę dowiedzieć. Zatem, Fargo, wybacz, ja spadam. *Do swidanija*.

– Cześć. – Marta nie zatrzymywała go dłużej.

Patrzyła teraz na Milika, który poblądł jak ściana i siedział bez ruchu.

– Nic nie mów. – Próbowała go objąć, ale odruchowo się odsunął.

– Przepraszam – westchnął po chwili i potrząsnął głową. – Kurwa, nie wierzę. Jesteśmy w środku Europy, takie rzeczy się nie zdarzają. To nie film.

– Przykro mi, to przeze mnie.

– Przez ciebie?

– Przypadkiem trafiłam na jakiś trop, który wywołał cały ten ciąg niepotrzebnych śmierci.

– Niektórzy zginęli wcześniej, jak ten detektyw i jego szpicel.

– Może odpowiedź jest tutaj. – Ewa zważyła w dłoni dysk od Kinola. – Może to oni pierwsi trafili na ślad, na który nie wolno im było trafić.

– Sworowski też zginął później. Czyżby...

– Być może wcale nie zginął przez rozporek, tylko z tego powodu – znów wskazała na dysk.

Ugryził się w język, żeby nie wypalić: „Tak, dla ciebie to wygodne wytłumaczenie. Znacznie lepsze niż oskarżenie o zabicie kochanka, prawda?”. Ale nie powiedział tego. Sam przecież nie wierzył w jej winę.

– Ewa – szepnął. – Ona nikomu nie wchodziła w drogę. Jak oni mogli tak po prostu ją zabić?

– To ty miałaś być na jej miejscu. I ja – dodała, a potem wstała i ponagliła: – Chodź, idziemy do hotelu poszukać odpowiedzi.

Kelnerka, która dopiero się zbierała, by podać im kartę, zatrzymała się w pół kroku. Nie wyglądali na dobrych bywalców drogich lokali, tylko na takich, co zamawiają wodę mineralną. Woda co prawda była tu droższa niż kawa, ale czekała na innych klientów.

Marta szła pierwsza i to ona o ułamek sekundy wcześniej usłyszała pisk opon i głośny huk na zewnątrz. Zareagowała błyskawicznie, wyjmując pistolet z kabury i jednocześnie mocno popychając Milika w bok.

– Na ziemię, chowaj się gdzieś!

Podbiegła do drzwi i uchyliła je delikatnie.

Po drugiej stronie szerokiej alei stanęły dwa duże terenowe bmw. Jedno z nich chwilę wcześniej z impetem wjechało w człowieka, który odleciał na kilkanaście metrów i teraz leżał, dogorywając w drgawkach. Bez trudu, nawet z tej odległości, rozpoznała sylwetkę Kinola.

Pięciu.

Tyłu ludzi w garniturach biegło teraz w jej kierunku.

Ci sami, którzy strzelali do niej w lesie. Zapewne ci sami, którzy zamordowali Ewę i jej chłopaka, a wcześniej Zbyszka. Może odpowiedzialni też za śmierć dziesiątków innych osób: detektywów, przypadkowych świadków, może nawet Witolda.

Gdzie jest dowódca?

Wypatrzyła go w mgnieniu oka. Zajmował najodleglejszą pozycję. Dwaj pierwsi, z pistoletami w dłoniach, przebiegali już przez ulicę, zatrzymując gestami, ku zaskoczeniu oniemiałych kierowców, nadjeżdżające samochody.

Za nimi kolejnych dwóch ubezpieczało boki.

Na końcu szef.

Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, miał lekką nadwagę, krępa sylwetkę, ale szybkie ruchy. Owalną twarz skrywały kręcone ciemne włosy i gęsty zarost.

Z pewnością był groźnym przeciwnikiem.

Główny morderca. Prawdopodobnie sadystyczny, wyrachowany psychol. Tylko tacy dożywają tego wieku.

Był za daleko, by do niego mierzyć. Marta mocniej uchyliła drzwi, prawą dłoń, w której trzymała glocka, podparła lewą, wymierzyła, wstrzymała oddech i powoli, jednostajnym ruchem palca nacisnęła spust. Pierwszy huk wydał jej się strasznie głośny. Drugi zlał się z pierwszym. Kolejny z dwoma poprzednimi. Nie celowała już tak dokładnie.

Najbliższy z przeciwników rozrzucił ręce na boki i padł jak ścięty, trafiony najpierw w głowę, potem w pierś. Drugi pocisk utkwiał w kamizelce kuloodpornej, ale rana głowy była śmiertelna. Mężczyzna leżał nieruchomo na ulicy. Trzeci pocisk był przeznaczony dla drugiego z napastników, ale ten zdołał uskoczyć i teraz chował się gdzieś pośród samochodów. Dwaj zabójcy z tyłu skryli się za drzewami.

Szef stanął w rozkroku, uniósł wysoko broń, której z tej odległości nie widziała, i zaczął spokojnie do niej mierzyć. Na chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się jak dwie turniejowe szpady, szybko cofnięte przez zawodników, gotowe do zadania decydującego ciosu.

Głośny huk wystrzału wbił się w uszy dopiero wtedy, gdy pocisk wyrwał duży fragment zamka przy samej jej głowie. Dziesięć centymetrów w bok – i już by jej nie miała.

Drań celnie strzelał.

Uskoczyła, przeturlała się po ziemi i chwyciła Milika za ramię.

– Szybko, uciekamy.

Wiedziała, że tamci biegną co sił w nogach, by jak najszybciej dopaść do drzwi. Zatrzymają się na chwilę, staną po obu stronach wejścia, a potem ten, któremu przypadła niewdzięczna rola bycia na szpicy, jak taran wtargnie do środka. Uskoczysz w prawo czy w lewo? Strzelisz na oślep dwa czy trzy razy? A może wrzucisz granat?

Nie, ty już nie będziesz żył. Strzelać będzie ten następny.

Marta popchnęła Milika za bar, krzyząc:

– Pytaj o tylne wyjście i prowadź!

Sama liczyła w myślach sekundy. Osiem do dziesięciu. Tyle powinno zająć napastnikom dotarcie tutaj. Plus dwie na przygotowanie i głębszy oddech. Razem dziesięć–dwanaście. W jedenastej sekundzie będziesz przed drzwiami.

Policzyła do jedenastu i bez wahania nacisnęła dwukrotnie spust.

Nie pomyliła się. Jeden z morderców w tej samej chwili razem z drzwiami wpadł do środka. Oba pociski trafiły. Jeden w szyję, drugi w oko.

Jak na filmie.

A potem rozpętało się piekło.

Greg wchodził właśnie do siedziby ABW na Rakowieckiej, gdy zobaczył pędzących ile sił agentów.

– Co się dzieje?

– Strzelanina w pobliżu Kancelarii Premiera.

Od razu pomyślał o Miliku i Marcie. To do nich strzelano. Nie miał najmniejszej wątpliwości. Cofnął się i pobiegł do samochodu, przeklinając, że nie przyjechał motorem. Za pięć minut byłby na miejscu. A tak będzie musiał przebijać się przez korki.

Chyba szybciej by tam dotarł na własnych nogach.

Marta runęła za Milikiem, który szarpał się z kelnerką, krzycząc: – Wyjście! Jest tu drugie wyjście?

Przerażona, zszokowana kobieta nie była w stanie odpowiedzieć.

Marta chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą, do widocznych w przedsionku drzwi. Były otwarte. Z tyłu już ich ściagała palba wystrzałów.

Pierwsze drzwi, korytarz, w lewo, w prawo, drugie. Za nimi szafka z talerzami i kuchnia. Biegli w kierunku kolejnych drzwi. Wcześniej zapewne znudzony, teraz oniemiały kucharz patrzył na nich jak na kosmitów.

– Wyjście! – wrzasnął Milik, a tamten, o dziwo, wskazał im drogę.

Gdy skręcali w kolejny korytarz, pogoń wpadła do kuchni. Marta zatrzasnęła za sobą drzwi i zaczęła poganiać Bartka. Boże, dlaczego tak wolno biegniesz? Nagle coś ją zaniepokoiło. Odgłosy pościgu. Coś było nie tak.

Nagle zrozumiała.

Tylko jeden. Ścigał ich tylko jeden człowiek. Za kolejnym zakrętem nakazała Milikowi zatrzymać się i milczeć.

Cicho, jeśli ci życie miłe!

Skinął głową.

Sama zawróciła. Czekwała. Dobrze słyszała tupot ciężkich butów bandziora. Coraz bliżej. Jeden, dwa, trzy – już! Trzymany w lekko zgiętych ramionach glock wypalił raz i drugi. Celowała w głowę i ponownie trafiła. Dobrze strzelała. Mimo że jeszcze nigdy nie musiała się bronić za pomocą pistoletu, to nie zaniebdywała ćwiczeń na strzelnicy.

Nawet jeśli miało to jej uratować życie tylko jeden raz, to ten jeden raz był bezcenny.

Siła uderzenia pocisku zatrzymała bandziora, a potem rzuciła nim o ścianę. Krew bryznęła na emalię i zaczęła szybko zasychać na zaniebanej powierzchni. Nienaturalnie wygięte



ciało, ze zwisającą rozbitą głową, opadło bezwładnie w kącie.

– Wracamy – zakomunikowała Marta.

Milik był oszołomiony, ale nie zaprotestował.

Ta kobieta wiedziała, co robi. I to mu wystarczyło.

Jeszcze dwóch, zostało jeszcze dwóch.

Morderca strzelił trzykrotnie na oślep za uciekającą z głównej sali Martą, po czym wysłał za nią jednego ze swoich ludzi. Drugiemu kazał biec za sobą. Śpieszył się. Tylne wyjście było dość daleko i mógł nie zdążyć go dopaść, obiegnąwszy budynek. Pocieszał się, że Marta nie zna rozkładu korytarzy i może się pomylić, co nieco ją spowolni. Może któreś drzwi będą zamknięte i wtedy on na pewno zdąży. Biegł co sił, nie zwracając uwagi na towarzysza, który dotrzymywał mu kroku. Minutę później skrywali się już po drugiej stronie budynku, celując w drzwi, z których zaraz powinny wybiec ich ofiary. Że na pewno tak się stanie, przekonywały ich dochodzące ze środka strzały.

Policji jeszcze nie było. Nie mogła przebić się przez korki. W oddali, spod Kancelarii Premiera, słychać było coraz więcej policyjnych syren i zaniepokojonych głosów. Potężny korek, jaki utworzył się po obu stronach Alei Ujazdowskich, tamował ruch.

Marta schowała broń i objęła Bartka.

– Idziemy szybko, ale nie biegniemy – poinstruowała.

Wmieszali się w rosnący tłum gapiów, zanim na miejsce podjechał pierwszy radiowóz. Gdy Milik obejrzał się po raz drugi, przed wejściem do restauracji stały już cztery radiowozy, dwa motory, nieoznakowany samochód jakiejś służby i pojazd Biura Ochrony Rządu.

Niemal z całego miasta dochodziły odgłosy syren.

– Jesteśmy chyba bohaterami – stwierdził Milik, nie mając nawet ochoty się uśmiechnąć.

– Takiej strzelaniny w takim miejscu jeszcze w Warszawie nie było – przyznała Marta, choć zaraz pomyślała o latach dziewięćdziesiątych, kiedy mafiosi z podwarszawskich

miejsowości potrafili robić spektakularne najazdy na konkurencję. O dziwo, zwykle kończyło się bez walki. Demonstracja siły wystarczała.

Dziś większość tych bohaterów siedzi w pudle lub gryzie ziemię.

Ale nie wszyscy.

– Co teraz? – zapytał Bartek, gdy oddalili się już na tyle, by określić cel i trasę.

– Czekaj, myślę...

– Hotel?

– Nie, jeśli szuka cię policja, to odpada.

– Może powinienem się zgłosić...

– Nie, jeśli wsadzą cię do aresztu, nie przeżyjesz nocy. Chcesz mieć zawał albo powiesić się na pasku?

– Wiem!

– Oświecisz mnie?

– Znam jedno miejsce, gdzie nie powinni nas szukać.

To był prawdziwy sajon – myślał Greg, wracając do domu. Nigdy dotąd Warszawa nie była świadkiem takiej ulicznej strzelaniny i tylu trupów. Owszem, gdzieś w peryferyjnych dzielnicach zdarzały się gangsterskie porachunki, które niewiele różniły się od rzezi rodem z hollywoodzkich filmów. Kilka lat temu bandzior zastrzelił dwóch gangsterów w jednej z galerii handlowych niemal w samym centrum. Innym razem do knajpy na Żoliborzu wpadła grupa z bronią automatyczną, robiąc sito z kilku bossów podziemia. Bomby za czasów Pruszkowa, porachunki hersztów narkotykowych, pościgi i strzelaniny. No i słynna Magdalena, w której doszło do konfrontacji z mafijnymi cynglami. To wszystko nie wywoływało już nawet specjalnego zdziwienia.

Ale strzelanina tuż obok Kancelarii Premiera? W okolicy pełnej ambasad i luksusowych starych rezydencji? Dwa rozkraczone bmw na środku głównej arterii? Trzy trupy zawodowych kilerów rozsmarowane na ulicy i we wnętrzu popularnej restauracji?

Nie, czegoś takiego jeszcze nie było.

Po południu centrum stolicy wyglądało jak oblężona twierdza. Do patrolowania ulic ściągnięto kilka tysięcy policjantów z prewencji i kilkuset agentów w cywilu. Wszystkie wydziały postawiono na nogi. Tajni agenci szukali podpowiedzi u bossów podziemia. Przykrywkowcy wychodzili z nor i melin, podpytując handlarzy narkotyków i dziwki. Drogówka kontrolowała wyrywkowo pojazdy tkwiące w ogromnych korkach. Oddziały antyterrorystyczne w pełnej gotowości czekały na sygnał do ataku.

Miasto w oblężeniu. Jak na filmie.

No i media. W końcu znów mieliśmy szansę zaistnieć w głównych wiadomościach europejskich telewizji. Na pięć sekund, ale zawsze. Nawet Amerykanie coś tam puścili, kopiując wiadomości z BBC.

Pięciu mężczyzn. W pozostawionych w Alejach Ujazdowskich dwóch terenowych bmw na fałszywych papierach. Pieszy przejechany na pasach przez jedno z owych aut. W samochodach masa broni, fałszywych dokumentów i pieniędzy, karty płatnicze na różne nazwiska, podrobione papiery Agencji Wywiadu, ABW, policji, agencji detektywistycznych, nawet paszporty dyplomatyczne dwóch państw południowoamerykańskich.

Profesjonalny zespół kilerów. A jednak spieprzyli sprawę. Dokumentnie ją spierdolili.

Tyle już było wiadomo.

Naprzeciw nich agentka ABW i dziennikarz podejrzany o morderstwo dziewczyny i jej chłopaka. Po strzeleninie nikt już na szczęście tych podejrzeń nie traktował poważnie.

– To jasne, z czym mamy do czynienia – podsumował na popołudniowej naradzie polowej szef policji.

Poza nim na spotkaniu obecny był przedstawiciel rządu, szefowie ABW i Centralnego Biura Śledczego, dwudziestu śledczych oraz dowódcy jednostek antyterrorystycznych.

W tym całym towarzystwie zmieścił się także Greg. Ubabrany w pierdolonej śmietance.

Nie ma co, a to mnie zaszczyt kopnął.

– Mamy do czynienia z jedną z najgroźniejszych szajek zabójców – dodał szef ABW.

Z sali dobiegło parę żartów.

– Jeśli to Polacy, to powinniśmy być dumni?

– Pojechali na bezczela, żeby sobie urządzić strzelnicę pod samą kancelarią.

– Jakby nie wierzyli, że możemy ich złapać.

– Pokażemy draniom.

Nie przerwano poszukiwań Marty i Milika, ale ci nie byli już groźnymi bandytami, tylko raczej ofiarami. Trzeba ich znaleźć dla ochrony, a nie dla picu.

A bandziory?

Żadnych prawdziwych danych, nazwisk, poszlak wskazujących na pochodzenie. Zdjęcia niepasujące do niczego, dokumenty sfalszowane perfekcyjnie, bez śladów

prowadzących do fałszerzy, odciski palców dziewicze. Skąd oni się wzięli?

Ludzie z Agencji Wywiadu spóźnili się nieco na zebranie i nic do niego nie wnieśli.

Greg jednak patrzył na nich z zadumą.

Tacy doskonali, bezczelni kilerzy, uzbrojeni po zęby, wyposażeni w najnowszą technikę i świetne dokumenty, to nie przypadek. Szczególnie gdy pojawia się Agencja Wywiadu.

Cholerni szpiegdy, nielegaly, przykrywkowcy. Zwał, jak zwał.

Bandyci, których trzeba złapać. Nawet jeśli później pójdą na wymianę z Ruskimi czy innymi panami świata.

Marta za to dała popis wyszkolenia.

Zastrzelić trzech takich bubków to było coś. Precyzja i zimna krew uratowały jej życie. Jej i Milikowi, mojemu przyjacielowi.

Greg był pod wrażeniem, zwłaszcza pierwszych strzałów, oddanych zza drzwi w kierunku ulicy. Precyzyjne trafienie z trzydziestu–czterdziestu metrów w ruchomy cel to było coś.

Dobra jesteś.

Wydarzenia w Alejach Ujazdowskich sprawiły, że również inne ulice były zakorkowane i roilo się na nich od patroli. Warszawa wyglądała jak podczas wizyty Ojca Świętego albo w trakcie finałów Euro czy jakiegoś mitingu gospodarczego.

Jadąc w korku samochodem, przeklinał to wszystko.

Nie znosił korków.

Przed powrotem do domu wstąpił do supermarketu. W środku masa ludzi robiła zakupy. Po weekendzie nie spodziewał się takich tłumów. A mówią, że kryzys.

Gdy mijał jakąś parę z małym brzdącem, nie potrafił powstrzymać się od ukradkowych spojrzeń w ich kierunku. Ile to już czasu nie widział Tadzika! Synek w tym roku poszedł do pierwszej klasy podstawówki. Wyprowadzili się z domu razem z mamą pięć lat temu. Odkąd wyjechali do Amsterdamu, nie widział ani chłopaka, ani żony. Jedynie na zdjęciach Tadzik rósł jak na drożdżach i stawał się coraz bardziej podobny do ojca. Ta sama, trochę za krępa, silna sylwetka. Ten sam błysk w oku i lekko kpiący wyraz twarzy. Podobna krnąbrność i skłonność do chodzenia własnymi ścieżkami. A mama?

Wypiękniała. Tak bardzo chciałby odwrócić to, co się stało. Ale niektórych błędów i porażek nie da się po prostu wymazać gumką z życiorysu.

Aż zrobiło mu się słabo i musiał przysiąc na chwilę przy stoliku z napisem: TU CZEKA NA CIEBIE SUPERKREDYT.

Pani w białej koszulce i z czerwoną apaszką pojawiła się niemal natychmiast.

Uśmiechnięta, pachnąca, piękna. Była naprawdę niezła i wyraźnie przejęta, że taki gość usiadł przy jej stoliku. Bo Greg sprawiał wrażenie psa na kobiety. Oglądały się za nim i samotne, i mężatki.

Dziesięć lat temu by jej nie darował.

Miał dar uwodziciela. Dar, który go zgubił i dziś stanowił jedynie powód do wstydu. Greg wyrwał łaskę życia. Zdobył kobietę, której nie można zapomnieć.

Dziś korzystam tylko z profesjonalistek, paniusiu.

– Przepraszam – szepnęła i wstała. – Niedobrze mi się zrobiło.

– Może szklanek wody?

– Miło z pani strony.

Podawała mu wodę. Ich dłonie na chwilę się zetknęły. Miły dotyk. Uśmiechnęła się. Naprawdę była chętna. A może po prostu miła, a ja wciąż nie potrafię patrzeć na kobiety inaczej niż przez pryzmat seksu. Wciąż mnie to gubi.

– Pójdę już, przepraszam. I dziękuję.

– Na zdrowie.

Wcale go nie zatrzymywała. Zwyczajna, uprzejma kobieta. Cholera by cię, kretynie – pomyślał o swoim najważniejszym przyjacielu, który dyndał już w gotowości między nogami.

To policja mnie zepsuła. Szowinistyczna, przeklęta formacja, w której liczy się tylko władza i seks. Tylko te dwa szkiełka wkłada się w różowe okulary młodzikom, poczynając od szkoły policyjnej, poprzez dalsze szczeble kształcenia i kariery. Łaski dają dupy, a faceci je rzną. Kolega, koleżanka, żona, matka. Bez znaczenia. Wystarczy na chwilę zostawić swoją połówkę, a już najlepszy kumpel się do niej ślini. I nie widzi w tym nic złego, bo tak już jest. Wszyscy tak robią. Wszyscy dymają wszystkich. Przyjaciele, psia wasza mać.

Agatka go wyprostowała. Nie pozwalała na żadne, nawet najbardziej niewinne żarty w tym kierunku. A on okazał się takim durniem.

Fuck.

Teraz pewnie daje jakiemuś czarnuchowi. Oświetla swoim anielskim blaskiem innego kutasa. Jeśli jego właściciel nie jest durniem, będzie szczęściarzem.

Dureń, dureń, dureń.

Kupił dwie butelki wódki i paczkę papierosów. Kolejna próba walki z nałogiem wzięła właśnie w łeb. Upije się, napali, a potem marsz na dziwki. Zapłaci sto pięćdziesiąt i będzie dymał przez godzinę. Jak dobrze pójdzie, uda mu się dwa razy. Nie, po dwóch flaszki dobrze będzie, jeśli skończy chociaż raz. Wybierze Nadine albo Milenkę. Tak, Milenka na dziś będzie dobra.

Usiadł za kierownicą i zwyczajnie się rozplakał.

Beczał jak dziecko, patrząc na zdjęcie Agaty i Tadzika sprzed lat. Jakaż ona piękna! A on wspaniały.

Jak mogłeś być takim cholernym bęcwałem?

Do domu dojechał po dziewiętnastej.

Za dwie godziny upora się z wódką i pójdzie do burdelu. Tak postanowił.

Ale drzwi nie były zamknięte. Ktoś w środku rozmawiał głośno. Z tego bólu nie od razu rozpoznał głosy, dlatego wyjął i odbezpieczył broń.

Milik bez trudu odnalazł w schowku w piwnicy klucz od mieszkania Grega.

– Jesteś pewien, że się nie wścieknie? – Marta miała wątpliwości.

– Znamy się od lat, wypiliśmy morze wódki.

– Gliniarz i dziennikarz to chyba nie brzmi dobrze – szepnęła z uśmiechem.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem.

– A dziennikarz i agentka?

Mieszkanie tonęło w bałaganie. Greg żył z dnia na dzień i niespecjalnie się przejmował brudnymi naczyniami, układaniem ciuchów i tego typu nieistotnymi sprawami.

– Boże, to kawaler?

– Tak jakby.

– Tak jakby?

Milik podszedł do biurka, na którym stało oprawione w ramkę duże zdjęcie. Przedstawiało Grega z kobietą i małym chłopcem.

– To jego żona Agata i ich syn Tadzik.

– Podobny do Grega.

– Wykapany tata, również z charakteru.

– Dobrze go poznałeś?

– Byłbym chrzestnym, gdybym... nie zapił.

– Aha.

– Musisz wiedzieć, że prowadziliśmy dawniej dość luźne obyczajowo życie.

– Luźne – powtórzyła.

– Nie wiem, jak inaczej je nazwać. Dużo się piło, dużo... i w ogóle. Greg też nie wylewał za kołnierz. Ma łeb jak... no, bardzo mocny. Agatka go zmieniła. Naprowadziła na właściwe tory.

– Piękna kobieta – przyznała Marta.

– O tak, była wyjątkowa.



– Więc... co się stało? – Rozejrzała się po kawalerskim mieszkaniu.

– Greg był głupi – odparł bez wahania Milik. – Nie sposób tego nazwać inaczej. Chciał się przed wszystkimi popisać, jak to można jednocześnie być supermężem, superojcem i superkumplem.

– A nie można?

– Można. Gregowi nawet przez dłuższy czas się udawało. Wciąż utrzymywał z nami kontakty, tyle że piliśmy trochę mniej. Agatka mu nie bronila, lekko tylko naprowadzała, gdy za bardzo płynął, wpadając w cug. Ale ogólnie było okay. Zresztą on sam zaczął chętniej spędzać czas z rodziną. Od Tadzika nie można było go oderwać. I dobrze. Ja się cieszyłem. Kumpel stracony, ale za to szczęśliwy.

– No więc co się stało? Gadaj wreszcie!

– Kumple z policji – rzekł krótko. – Tam były inne zasady. Jak pijesz, to na umór. Jak wszyscy piją, to nie ma przeprosić. Jak wszyscy idą na dziwki, to wszyscy. Inaczej byłby podejrzany. Wiesz, jak jest w mundurówkach. Inni boją się, że koleś odstający od reszty się wygada albo coś. Postępujesz inaczej, nie ufają ci. Greg nigdy się nie wyłamywał.

– I Agata go złapała?

– Gorzej. Kumple z policji lubią robić głupie żarty i niszczyć życie innym. Któryś zrobił zdjęcia komórką podczas takiej imprezy z panienkami. Greg latał tam w samych majtkach z lolą o fizjonomii gwiazdy porno i w takich ciuchach. Tego było dla Agatki za wiele. Choć błagał, by mu wybaczyła, ona postawiła na swoim. Wyjechała do Londynu, a potem do Holandii. Dziś mieszka w Amsterdamie. Taki smutny koniec pięknej miłości.

– Cholera.

– Greg wie, że przejechał sobie życie. Przez wódę i dziwki.

– Nie mów tak.

– Jak?

– „Dziwki”. Nie lubię tego określenia.

Przypomniał sobie, jak którejś z wcześniejszych nocy opowiedziała mu historię swojego brata, i zrobiło mu się

głupio. Jej brat zakochał się na zabój w pewnej dziewczynie. Oboje byli studentami politechniki. Dziewczyna należała do najpiękniejszych, jakie Marta kiedykolwiek widziała. Spotkały się kilkakrotnie na wsi przy okazji różnych uroczystości rodzinnych. Brat był tak zakochany, że Marta nie miała żadnych wątpliwości, jak to się wszystko skończy. O takiej miłości czyta się w książkach. Rok później nie byli już razem. Okazało się, że dziewczyna w czasie studiów zarabiała na utrzymanie, uprawiając prostytucję. Nie miała żadnych kompleksów i skrupułów, żeby to wyjawić bratu Marty. On udawał nowoczesnego mężczyznę. Twierdził, że przeszłość dziewczyny nie ma dlań znaczenia. Jednak w środku aż się gotował i pewnego dnia doszło do awantury. Padły słowa, których nie sposób było cofnąć i które doprowadziły do rozstania. Brat Marty nigdy nie potrafił sobie tego darować i popełnił samobójstwo. Miłość go zabiła. Mógł być szczęśliwy z kobietą, którą kochał, ale wolał podsycać ogień przeszłości. Wiele lat później Marta zobaczyła dawną narzeczoną brata w teatrze. Była przekonana, że jej szczęśliwy mąż znał sekrety przeszłości i nic sobie z tego nie robił. Po prostu ją kochał. Można kochać dziwkę i o tym nie myśleć. Każdy zasługuje na miłość.

– Spoko, przepraszam. Nie mam nic do prostytutek...

– Też korzystasz z ich usług?

– Nie. – Wyczuł, że to dla niej ważne. Dlatego skłamał, ale zaraz się poprawił: – Staram się nie korzystać.

– Starasz?

– Czasem nie wychodzi, przez kolegów. Ale nie jestem typem szukającym na siłę takich wrażeń.

– Dobra, skończmy ten temat. – Odstawiła zdjęcie na biurko i wskazała stojący obok laptop. – Myślisz, że możemy skorzystać?

– Pewnie, Greg tylko gra na nim w Cywilizację. Nie ma tajemnic. To znaczy innych niż ta, którą już poznałaś. Tak na wszelki wypadek... Jak wróci, nie dopytuj go o Agatkę.

– Po to sam mi o niej powiedziałeś?

– On kochał ją ponad wszystko. Cały czas się boję, że coś

sobie przez to zrobi.

– Gliny tylko udają takich twardzieli – przyznała. – To też ludzie.

Milik otworzył notebooka Grega. Hasło miał na desce przy klawiaturze. Zresztą znał je na pamięć. Wpisał TADZIK i komputer przywitał ich niebieskim ekranem starego dobrego XP.

– Nie jest to sprzęt najnowszej generacji, ale działa.

– Wystarczy.

Marta otworzyła czytnik dysków i włożyła DVD od Kinola.

– Mam nadzieję, że zapłaciliśmy za właściwy raport. Szkoda by było tych dwóch i pół tysiąca.

– I życia Kinola – dodał Milik.

– I Kinola.

Raport był jednym dokumentem pdf. Zawierał kilka stron opisu i zeskanowane zdjęcia w porządku chronologicznym.

– O to chodziło – ucieszyła się Marta.

Przeczytała uważnie cały tekst, ale nic tam nie znalazła. Szczegółowy opis śledzenia Zuzanny „Suzi” Szarawarskiej przez detektywa. Żadnych kochanków, podejrzanych spotkań, nic. Uważnie obejrzała wszystkie załączone zdjęcia. Też nic.

– Kurwa, o co chodzi? Dlaczego to, co znaleźli, było tak ważne, że musiało kosztować życie tylu osób?

– Obejrzyjmy te zdjęcia razem. Może zaczniemy od tego, którego brakowało na dysku Szarawarskiego? Pamiętasz... Suzi siedzi na ławce w parku, a dalszego ciągu nie ma.

– Też od tego zaczęłam, ale znalazłam tylko kilka jeszcze bardziej niewinnych. – Marta wzruszyła ramionami i przewinęła dokument do zdjęcia na ławce, a potem do następnego, którego nie było u ministra. I do kolejnego z serii.  
– Sam zobacz.

Pierwsza fotografia była niemal powtórzeniem wcześniejszej. Suzi Szarawarska siedziała sobie na ławce, w płaszczyku i ciemnych okularach. Wyglądała jak aktorka na filmie. Kolejne zdjęcie przedstawiało ją oddalającą się od ławki. Na następnym była tylko maleńką figurką w oddali. Szła obok jakiejś innej kobiety, zgrabnej szatynki w rybaczkach i koszulce na

ramiączkach. Mijały staruszkę i zaczytanego chudzielca w okularach. Na ławce siedział już ktoś inny. Mężczyzna o zarośniętej twarzy i nieco rozmazanych rysach, gdyż fotograf zogniskował obiektyw na odległej postaci Suzi.

– No i co, geniuszu? Znasz odpowiedź?

Westchnął głośno. Nie, nie znał.

Przejrzał wszystkie fotografie jeszcze raz, a potem wrócił do zdjęć z parku.

I nagle doznał olśnienia. Patrzył na siedzącą kobietę, a potem na jej oddalającą się sylwetkę i w końcu na mężczyznę, który przysiadł na ławce. Może to on jest odpowiedzią.

– Ten facet – powiedział.

– Co z nim?

– A jeśli to jego nie powinno być na tych zdjęciach?

– Nie wygląda na kochanka.

Marta powiększyła twarz mężczyzny. Misiowaty, ułożony typ. Mimo nie najlepszej ostrości był do rozpoznania. Jeśli ktoś z jakiegoś powodu chciał go chronić, mógł uznać to zdjęcie za zagrożenie.

Odchyliła się i spojrzała z większej odległości.

Misiowaty, ale też miał coś w sobie. Może więc jednak... Ale co mogłoby go łączyć z Witoldem? Dlaczego musiał zginąć prezes giełdy? No, chyba że te sprawy się nie łączą.

Misiowaty i w typie starego wygi od... właśnie. Typ urzędnika, powiernika. Nie prawnik, nie finansista, a jednak z tego samego poziomu władzy.

Cholera, czyżby...?

Zacząła intensywnie przeszukiwać dawne obrazki. Kiedyś mieli szkolenie z kojarzenia twarzy. Pracowali na prawdziwych zdjęciach. Bandytów, ministrów, aktorów, zwykłych ludzi. I szpiegów. Baza ABW zawierała kilka tysięcy zdjęć pracowników ambasad, konsulatów, izb handlowych, międzynarodowych towarzystw inwestycyjnych, wszelkiej maści wylegarni szpiegów.

Był tam. Gdzieś już na zdjęciach widziała tę twarz. Na pewno. Nie mogła się mylić.

– Cholera... to szpieg.

– Szpieg? – zdziwił się Milik, ale od razu wydało mu się to dość logiczne. Żona ministra siada na ławce, spotyka się na krótką chwilę ze szpiegiem, wymieniają się dokumentami, poleceniami, czym tam jeszcze. Szpieg zostaje, Suzi idzie, detektyw podąża za nią, nie zwracając za bardzo uwagi na gościa. Ale ten ma dobre oczy. Widzi mężczyznę z aparatem, może też mu robi zdjęcie. Mocodawcy szpiega ustalają, że to pracownik agencji detektywistycznej. Mordują szpicla i jego szefa, pozorując zawał. Z kompa Szarawarskiego wykradają zdjęcia, na których można by rozpoznać kontakt. Wszystko gra. Jak na filmie szpiegowskim. Dobra historia.

– Każdy element pasuje – oznajmiła Marta. – Poza Witoldem. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Witold?

– No, tego nie wiemy, ale i tak jesteśmy chyba znacznie bliżej rozwiązania.

– Jeśli ten misiowaty facet nie jest zwykłym facetem.

– Wygląda na szpiega.

– Wygląda – przyznała.

– Poza tym rozpoznałaś go.

– Mogę się mylić. Ludzie są do siebie podobni.

– To Rusek?

– Aż tak dobrej pamięci nie mam...

– Rusek. Widać, że Rusek.

Marta roześmiała się głośno.

– Witold... – Nagle zorientowała się, że to, co chciała powiedzieć, może być nie na miejscu, i zamilkła. Śmiech zamarł jej gdzieś w krtani.

Milik patrzył na nią w napięciu.

– No, powiedz – zachęcił.

– Nie, to nieważne.

– Skąd wiesz? – odparł beznamiętnie. – Może dla ciebie nieważne, bo... kochałaś Witolda i nie jesteś obiektywna. A może to właśnie ma znaczenie? Powiedz.

– Jak chcesz – mruknęła. – Witold lubił się bawić w różnego rodzaju analizy współczesnych emocji ekonomicznych, patriotyzmu gospodarczego i tego typu bzdur. No i często mówił o Rosji. O tym, jak bardzo się boimy. Z jednej strony

chcemy się otwierać na tamtejszy rynek, jego oczekiwania i trendy, z drugiej nie rozumiemy rosyjskiego kapitału, jakbyśmy byli na niego uczuleni.

– Dziwisz się? Trochę lat ten... kapitał nas wykorzystywał, a nawet można powiedzieć... niewolił. Nie mówiąc już o tym, że ta jego część, która wychodzi poza granice kraju, w większości jest zwyczajnie brudna. Oligarchowie rąbią radzieckiego człowieka, a potem wyprowadzają kasę na Cypr. Ten kupuje za nią obligacje innych państw, a Ruscy dostają procenty i obracają kasą, wkładając ją w różne bezpieczne inwestycje. Nie powinniśmy chcieć takich pieniędzy. To brudna kasa.

– Nie, nie dziwię się, Witold też się nie dziwił. Ale zauważał, że nie potrafimy do tego tematu podejść profesjonalnie, jak Angole czy Amerykanie. Zawsze to było dla nas zgniłe jajo.

– A pieniądź niby nie śmierdzi, czy tak?

– Nie o to chodzi. Pieniądź to narzędzie władzy, jak wiele innych. Współczesny świat potrafi z niego tak właśnie korzystać. Ale my, Polacy, nie dostrzegamy tej możliwości. Wkładamy w to emocje, a tam, gdzie pojawiają się emocje, nie ma narzędzi władzy, tylko krew i łzy. Zamiast pokazywać siłę i ją wykorzystywać, wywołujemy wojny.

– To teoria Witolda?

– Także moja.

Milik popadł w zadumę. Może to był jakiś trop wiodący do rozwiązania zagadki.

– Myślisz, że ta otwartość Witolda uczyniła go podatnym na zabiegi rosyjskiego wywiadu? Dlatego zginął? Może... kurwa, mam! – wykrzyknął nagle. – Pamiętasz, co mówił Klejn? Przecież to się wszystko składa. Szarawarska jest ruską agentką, dostaje od misia z ławki polecenie nawiązania kontaktu z Witoldem, żeby go przekabacić i przekonać, że ruski szmal jest git, czyściutki i pachnący. Suzi umawia się z nim w hotelu i następują... negocjacje. Potem przekazuje wyniki misiewi z ławeczki. Wszystko pasuje jak klocki lego. Nie przewidzieli tylko, że minister będzie kręcił w tym czasie swoje lody i nakryje ich samochodziki przed hotelem, zapała płomiennym gniewem i słuszną zazdrością, a potem wynajmie

detektywów, żeby śledzili Suzi. Tych ostatnich trzeba więc było uśpić...

– A Witolda?

– Może okazał się patriotą albo po prostu porządnym gościem i ostatecznie nie zgodził się na wprowadzenie na polską giełdę brudnej ruskiej kasy. Może ktoś inny musiał go zastąpić. Tego nie wiemy...

Marta wzruszyła ramionami.

– Niezła historyjka. Bez dowodów możemy sobie tak fantazjować do woli.

– Lepiej fantazjować niż siedzieć z założonymi rękami i czekać na... umorzenie. – Milik otworzył jedno ze zdjęć Szarawarskiej. – Naprawdę niezła, ale wiesz co? Jeśli moja teoria jest prawdziwa, to może oznaczać, że Szarawarska wcale nie dymała się z Witoldem tam w hotelu. Może spotkali się tylko po to, żeby negocjować.

– Albo dymać się i negocjować. Jedno przy okazji drugiego. To znowu fantastyka. Niczego się nie dowiemy bez...

– ...przyciśnięcia Suzi i tego buca.

– Właśnie.

Marta rozparła się wygodnie w fotelu i myślała nad słowami Milika. Może z tej ostrożności i przywiązania do faktów oraz dowodów dała się uśpić. Może potrzeba było właśnie takiej dziennikarskiej fantazji, by otworzyć jej oczy. Kiedy Witold zaczął się przekonywać do tych cholernych Rosjan i Chińczyków? Może właśnie pod wpływem Suzi...

– Witold nie bał się rozmawiać z ludźmi z różnych kręgów – powiedziała, powoli cedząc słowa. – Niewykluczone więc, że podjął jakieś rozmowy z kapitałem rosyjskim, bo traktował go identycznie jak francuski czy brytyjski. Jedyne tyle. Zwyczajnie nie widział w tym nic złego.

Nie dziwił się, że wciąż go broniła. W końcu po mailach, które przeczytał, czego mógł oczekiwać? Lepiej być fanem teorii spiskowych niż kłamczuchem. Zresztą o czym my mówimy? Jakich teorii spiskowych? Przed chwilą byliśmy uczestnikami strzelaniny jak na westernie, więc gdzie tu teoria?

– A ty? Też nie widzisz nic złego? – zapytał.

– Myślę, że robił błąd, bo mógł się tym narazić na niesłuszne oskarżenia albo... takie fantazje jak twoja. To, że z kimś rozmawiał, nie oznacza, że sprzedał Polskę lub że nie był patriotą. Dostrzegał różnicę w pochodzeniu kapitału, jednak nie zamykał się w polityczno-społecznych uprzedzeniach. Czasem kapitał rosyjski może być czystszy niż zachodni.

– Powiedz to Putinowi, dostaniesz medal. Marta Depardieu? Nieźle brzmi.

– Depardieu to tłusta... – szukała odpowiedniego słowa.

– ...świnia?

– Uwielbiam go jako aktora. Myślałam o czymś delikatniejszym...

– Nie lubisz Rosjan?

– Rosjan lubię bardzo. Ale nie dam się robić w bambuko. Rosyjscy oligarchowie to aparatczycy władzy, niepokorni siedzą w więzieniach, a pozostali grają razem z KGB.

– FSB. Tak to się teraz nazywa. I z mafią. Fakt, to brudna kasa.

– A kasa z Zachodu nie jest brudna? Myślisz, że nie jest robiona na narkotykach, wykorzystywaniu wietnamskich dzieci, handlu żywym towarem, pornografii dziecięcej czy innych obrzydliwych praktykach? Amerykanie całą produkcję przenieśli do Chin i dziwią się, że z pustych pieniędzy obracanych przez handlarzy marzeniami mają kryzys finansowy. Myślisz, że ten pieniądz jest lepszy, ładniej pachnie? Zobacz, co się dzieje w spółkach z kapitałem dajmy na to francuskim czy włoskim, a pewnie też hiszpańskim i brytyjskim.

– Co się dzieje?

– Pieniądze są transferowane na różne nie do końca uczciwe sposoby. Nasze spółki bez sensu kupują jakieś usługi, możliwość korzystania z marki czy loga, płacąc często ogromne pieniądze. W żaden sposób nie wpływa to na ich biznes, nie jest potrzebne, ale płacić muszą. Kupują know-how, cokolwiek to znaczy. Inwestorzy mniejszościowi się wkurzają, bo oni też są właścicielami tych spółek. Nie chcą, by zarządy działały na ich szkodę. Gdzie jest komisja nadzoru, gdzie są nasze służby, żeby



nie pozwolić na takie działania?

– No tak...

– A kto daje największe łapówki? Przejrzyj sobie raporty roczne dużych korporacji amerykańskich. Ile jest tam wielomilionowych kar za nieetyczne działania i obchodzenie lub łamanie prawa. A nas traktują jak dzikie ziemie, które można jeszcze ograbić, bo nie mamy żadnej ochrony. No więc rąbią te byłe demoludy na każdym kroku, a gdy przezio takiej złodziejskiej korporacji przyjeżdża do Polski, jest przyjmowany przez rządowych dygnitarzy na salonach niczym jakiś guru. A zaraz za nim idą goście z kalkulatorami i przeliczają, ile milionów dzięki pozornym inwestycjom uda im się rąbnąć z budżetu.

– Tutaj się nie zgadzam. Chciałabyś zamknąć rynek dla zagranicznych inwestorów?

– Przeciwnie, chciałabym go jeszcze bardziej otworzyć, ale rozmawiać z partnerami, a nie grabieżcami. Weź dla przykładu inwestycje w Irlandii i w Polsce oraz ich efekty. Nie ma porównania, jeśli chodzi o skalę i formę. Każdy inwestor zasługuje na szacunek, ale musi widzieć w nas partnera, a nie frajera do oskubania. To naprawdę jest możliwe, tyle że trzeba fachowców i zainteresowania rządu, który powinien skupić się na gospodarce, a nie przeczekaniu czterech lat do kolejnych wyborów. Bo jeśli inwestor po drugiej stronie ma łapówkarzy i złodziei, to też nie będzie nikogo nawracał. Biznes jest prosty jak drut: chcą pięć procent w zamian za kontrakt, to dostaną te pięć procent zamiast porządnej partnerskiej umowy korzystnej dla kraju.

– Może powinnaś się wziąć za politykę? – zażartował, dając znać, że w pokoju zrobiło się już za ciężko od narzekania.

– Myślisz, że byłabym dobrą ministram? – odparła, uśmiechając się drwiąco, a potem spoważniała. – Wiesz co, od dawna miałam na wszystkie te sprawy własny pogląd, ale rozmowy z Witoldem dużo mi dały, bo on stał poniekąd po drugiej stronie. Był jednocześnie urzędnikiem państwowym i kapitalistą reprezentującym spółkę. Dobrze czuł te wszystkie niuanse. Politycy powinni więcej korzystać z doświadczeń

takich ludzi, a nie traktować ich przedmiotowo jako wykonawców poleceń o wątpliwym ładunku etycznym.

– To znaczy?

– A jak myślisz? Państwu spółki służą tylko do korupcji politycznej, wyciągania kasy i przewalów. Naprawdę całe to pierdolenie o strategicznym znaczeniu można o kant dupy potłuc. To też wina całego kapitalizmu i tego, w jakim kierunku idzie. Nie jest dobrze, że władzę przejmują cwaniacy i handlarze. Inżynierowie, badacze, twórcy, producenci, ludzie o znacznie wyższym poziomie intelektualnym i większej wiedzy przestają się liczyć, bo na świeczniku są cwaniacy od miraży. Sprzedają nam kłamstwa, kompletnie nie interesując się tym, co będzie dalej, efektami swoich pokrętnych kontraktów. To droga prosto w przepaść. Skończy się tragedią i obecny kryzys jest tylko tego przedsmakiem. No, ale to trend światowy, którego nie pokonamy. Musimy się dostosować, ukryć gdzieś w tym oszukańczym nurcie i wykorzystać co się da, bo inaczej wypadniemy na pobocze, a przy okazji opracowywać swoje modele w tym globalnym burdelu. Ale wszystko po kolei. Najpierw władza, a do władzy potrzebne są pieniądze.

Pokiwał głową. Miała rację. Dużo racji. Może nie potrafimy wykorzystywać pieniędzy tak jak inne nacje. Może w tym tkwi nasza słabość. A może siła?

– Mimo tego podejścia Witold zginął – przypomniał.

– Dlatego właśnie twierdzę, że to nie była żadna gra wywiadów, próba manipulacji czy inny szwindel... Gdzieś pojawiły się emocje i to one go zabiły.

– Może więc Suzi była zwyczajnie jego kochanką, a tylko przy okazji szpiegiem – ironizował. – Bzykała się z nim, bo miał fajnego koguta, a z ruskim misiem rozmawiała o radzieckiej kinematografii. Wiesz, że Stalin nakazał, by na filmach Armia Czerwona zawsze atakowała z lewej strony?

Marta popatrzyła nań z politowaniem. Mów sobie, co chcesz.

– Bardziej bym się skłaniała do tego, że Szarawarski nie uwierzył detektywom i postanowił zabić Witolda – odpowiedziała, jakby w ogóle nie dosłyszała jego szyderczej teorii. – Ale co dokładnie go do tego skłoniło...

Milik myślał już o czymś innym. O nocnym wertowaniu komputera, mailach, o tym, co w nich wyczytał i jakie to ma znaczenie. Witold zawsze będzie gdzieś w niej. Nigdy jej nie zostawi. Może tak jest z każdą miłością. Przynajmniej z taką, o jakiej czyta się w powieściach. Czy miłość jego i Ewy kiedykolwiek taka była? Czy tylko byli złodziejami, którzy ukradli sobie to, co najcenniejsze. Czas. Nic nie jest warte więcej niż czas. No, chyba że miłość.

– Był dobrym kochankiem?

– Co to za pytanie! – obruszyła się.

– Zwyczajne – odparł słabo, zdając sobie sprawę, że wszedł na teren pełen min.

Patrzyła badawczo. Potrafiła tym spojrzeniem zbić z tropu. Naprawdę potrafiła.

– Dobrym.

– Lepszym ode mnie?

Roześmiała się. Ani na chwilę nie odwracała wzroku, nie uciekała spojrzeniem, nawet nie mrugała powiekami.

– To niebezpieczna gra...

– Lubię niebezpieczne pytania. Był lepszy od Zbyszka?

Miał wrażenie, że zaraz dostanie w pysk. Może żeby opanować tę pokusę, skrzyżowała ręce na piersi i oświadczyła spokojnym głosem:

– Był najlepszym kochankiem, jakiego miałam. Kochałam go. To chciałeś usłyszeć?

– A mnie? Czy mnie też kochasz?

– Nie znam odpowiedzi.

Czy tylko wykorzystujesz...

Nie zdążył zadać tego pytania.

Ktoś głośno zapukał w drzwi pokoju, przerywając narastające napięcie. Poderwali się z miejsc.

W progu stał Greg i patrzył na nich. Nie wydawał się zaskoczony. W jednej ręce trzymał siatkę z wódką i papierosami, w drugiej sig-sauera P229.

– Chyba wpadłem w samą porę – szepnął.

– By nas upić, wykorzystać, a potem zastrzelić? – Milik wstał i podszedł do niego.

– Byście nie pozabijali się nawzajem.

Objęli się i mocno uściskali.

Marta patrzyła na nich z pogodnym wyrazem twarzy. Potem posmutniała, choć maskowała rozterkę uśmiechem. Długo tej nocy myślała o miłości, przyjaźni i śmierci.

Pod koniec drugiej butelki nastąpiło wyraźne rozprężenie. Nawet Marta, która nie piła, zaczęła się z nich śmiać.

– Wariaci.

Milik tańczył zdecydowanie lepiej, za to Greg rozbawił ją niezwykleymi figurami i wariackimi pomysłami. Był wulkanem energii. Centrum tego kuglarskiego spektaklu. Gdy zaczął podskakiwać na rękach, stojąc na głowie i przy każdej figurze klaszcząc, zaczęła się obawiać, czy dla któregoś nie skończy się to poważną kontuzją. Milik nie skakał, wyraźnie ustępując przyjacielowi w ekwilibrystyce i nadrabiając subtelną ironią, z jaką komentował jego wyczyny. W każdym razie świetnie się uzupełniali. Trup wokół ścielił się gęsto, a jej dwaj mężczyźni tańczyli nad grobami jak w bałkańskiej przypowieści o wyższości uśmiechu, którym można okpić samą śmierć i niczego niepojmujące trybunały ONZ. Potem się ściskali, następnie znów pili. Kiedy zaczęli śpiewać stare piosenki, w przerwach ściskając się i całując, pękła i wypięła pierwszy kieliszek.

– Jeśli mamy zrobić tu jakąś orgietkę, to na trzeźwo się nie da – zaryczał Greg.

– Nie będzie żadnej orgietki – roześmiała się Marta.

– Nie mówiłeś jej, Milek? – zdziwił się Greg, udając, że mówi tylko do Milika. – Nasze imprezy zawsze kończą się orgią. Taka tradycja. No dobra, tym razem możemy ci darować. Ale chociaż zatańcz dla nas. Nago. No, niech będzie w ubraniu. Jak nie orgia, to może jakieś małe bzykanko jeden na jednego? Mam dużego, większego niż ten pismak...

Był już nieźle wcięty, a Milik jeszcze bardziej. Ledwie się trzymał, siedząc przy stole. Głowa strasznie mu ciążyła.

– Ech, chłopaki, ale będziecie rano mieć kaca. A ja dziś śpię sama.

Jak zapowiedziała, tak zrobiła. Gdy w nocy Milik próbował wślizgnąć się do jej pokoju, zobaczył przed nosem lufę glocka.

Śmierdziała prochem po strzelaninie, gdyż Marta nie zdążyła wyczyścić broni. Uśmiechnęła się, ale nie pozwoliła mu zostać.

- Przyjdź, jak wytrzeźwiejesz.
- Jestem trzeźwy.
- Akurat.

Przebudził się w objęciach Grega, który miał mocno owłosioną klatkę piersiową i głośno chrapał. O oddechu lepiej nie wspominać. Milik przynajmniej zdołał umyć zęby. Nigdy o tym nie zapomniał. Greg miał to w dupie. Wstał jednak w znacznie lepszej formie. Nie bolała go głowa. Przeciągnął się tylko, pierdnął i wtedy zobaczył Martę.

– O kurwa, przepraszam. Więc to nie był sen. – Mrugnął do Milika. – Doszło do czegoś, kochani?

– Umyj się – doradziła Marta. – Straszliwie cuchniecie, obaj.  
– Najpierw lekarstwo. – Podszedł do lodówki i wyjął puszkę piwa. – Chcesz?

Podał drugą puszkę Milikowi.

– Nie idziesz dziś do pracy? – zdziwiła się Marta.

– Jedno piwo nie zaszkodzi.

– Greg, obawiam się, że nie przynosisz chluby policji.

– Chcesz porozmawiać o tych wszystkich wałach, łapówkarzach i cwaniakach w Komendzie Głównej? Jestem od nich gorszy, że wypiję jedno piwo na kaca?

– Łamiesz prawo – powiedziała surowo Marta.

– No dobra – złamał się Greg. – To dziś zostanę. Zresztą praca przyszła do mnie do domu, co nie? Może mi wytłumaczycie, jak do tego wszystkiego doszło.

– Wczoraj Milik ci tłumaczył.

– Po pijaku się nie liczy.

Przy śniadaniu opowiedzieli mu o wszystkich ustaleniach śledztwa, odkryciu zlecenia Szarawarskiego na szpiegowanie żony, rozmowie z Klejnym, hipotezach Milika co do romansu Suzi z Witoldem, a także jego sensacyjno-szpiegowskiego charakteru, śmierci dwóch detektywów, którzy prowadzili tę sprawę, brakach w materiale zdjęciowym na kompie ministra i uzupełnieniu ich przez informatora Marty z agencji detektywistycznej.

– Podejrzewacie, jak na was trafili ci kilerzy?  
– Pewnie mieli jakąś wtyczkę w agencji Wojtkowskiego albo jej pilnowali. Kto wie, może Kinol był zbyt nieostrożny. Śledzili go i kropnęli pierwszego. Potem próbowali dopaść nas.

Greg wskazał na dysk.

– I wszystko dla tego raportu? Nie chce mi się wierzyć.

– Mamy jakąś tam teorię – powiedział nieśmiało Milik.

– „Jakąś tam” – podkreślił Greg. – Niezbyt zachęcająco brzmi.

– Lepsza taka niż żadna. Nie mówiąc o hipotezie, że Sworowski popełnił samobójstwo.

– No, owszem, lepsza – przyznał Greg.

Marta i Bartek na przemian mówili o raporcie, przeglądaniu zdjęć i wnioskach, jakie z tego wysnuli.

– Podejrzewamy, że ona spotkała się na ławeczce z tym gościem, a on pracuje dla obcego wywiadu – zakończył Milik. – Dlatego ich spotkanie nie mogło wyjść na światło dzienne.

– Użyliście mojego kompa bez pozwolenia? – obruszył się teatralnie Greg. – I od razu znaleźliście szpiega, nieźle. Sądzicie, że Suzi pracuje dla jakiegoś wywiadu?

– Jakiegoś? – Milik roześmiał się głośno.

– Was też dręczy ta ruska fobia? Ja tam do nich nic nie mam.

– Bo się od nich wywodzisz. Może też jesteś, jak to oni mówią, śpioch?

– Suzi albo została zwerbowana – zakończyła Marta – albo jest szantażowana przez obcy wywiad i przekazuje mu informacje uzyskane od Szarawarskiego.

– Albo jest podstawioną Rosjanką, nielegałem – wtrącił Milik. – Wiesz, ilu takich agentów krąży po świecie.

– To prawda, może tak być. Szarawarski jest ministrem skarbu, uczestniczy w posiedzeniach rządu, ma dostęp do tajnych akt, a zatem, jak mawiają, to sprawa bezpieczeństwa państwa.

– Jeśli macie rację – podkreślił Greg.

– Nieważne, czy mamy rację – obruszyła się Marta. – Umarło lub zginęło parę osób, w tym prezes dużej spółki i rynku kapitałowego, który stanowi kluczową wartość dla

gospodarki. Już to sprawia, że to kwestia najwyższej wagi. Namierzamy jakieś dziwaczne akcje ze śledzeniem żony ministra, ktoś nasyła na nas szajkę kilerów, którzy nie wahają się zrobić rozpierduchy tuż pod Kancelarią Premiera, a ty mówisz: „jeśli macie rację”? W każdym normalnym państwie kontrwywiad zamknąłby całe to miasto i przesyłał przez sito, a co robią nasi?

– Jak znam życie, chorują albo szukają możliwości przeczekania gdzieś w Egipcie.

– Właśnie. Coś jest nie tak z państwem, gdzie się dzieją takie rzeczy. Gdzie robi się ustawki z gazetami, żeby pod byle pretekstem trzepnąć ministra, szefa służb czy prezesa ważnej dla gospodarki spółki. Gdzie szpiedzy umawiają się w parku z żonami ministrów i gdzie nie wiadomo, czy terenowym bmw z przyciemnianymi szybami jedzie borowik czy morderca.

– Uff, zabrzmiało to jak poważna krytyka społeczna.

– Bo to jest krytyka społeczna – zagrzmiała.

– To ja wysiadam. – Greg przeczesał obiema dłońmi włosy. – Ja jestem zwykły glina, który się babra w tym syfie od dwudziestu lat. Mogę już być emerytem, wiesz? Młody, prężny emeryt z wciąż twardo stojącym kutasem, czyż to nie rarytas? Zresztą wolę patrzeć na gładkie gęby panów generałów, którzy robią dobrą minę do złej gry.

– Mimo wszystko stoisz po dobrej stronie mocy. Zapewniaś równowagę.

– Jak wielu prostych gliniarzy. To nie jest tak, że wszystkim nam zwisa, czy w tym kraju jest Dzikie Wschód, czy Europa. Nie, nie zwisa.

Milik uniósł obie dłonie i westchnął.

– Dobra, lepiej pomyślmy, co dalej.

– Jak to co? Trzeba wparować do tej twojej firmy – popatrzył wymownie na Martę – i zrobić raban. Niech chłopaki przestaną namawiać profesorów z uniwersytetów do hobbyistycznego detonowania bomb i zajmą się prawdziwymi szumowinami. To, co mamy, wystarczy, żeby założyć siodło na grzbiet samego szefa Abwery.

– Wiesz, jak to się skończy?



– Nie, nie, kochana. Pojedziesz z obstawą. Cały mój wydział może się zwalić na łeb tym frajerom w czarnych okularach. Gliny nigdy ich nie lubiły. Co innego z babkami. Żaden gliniarz nie powie złego słowa o dziewczynach z ABW.

– Wątpię, żeby nam pozwolili na cokolwiek.

Greg przeciągnął się, spojrział łakomie na piwo, w końcu wstał i je z powrotem do lodówki.

– Żeby nie kusiło. Dobra, co wiemy o tej Suzi?

– Niewiele – odparła Marta. – Wygooglowaliśmy ją na różne sposoby. W sieci praktycznie nie ma żadnych informacji.

– Pocieszające, że we współczesnym świecie można być jeszcze anonimowym. Portale plotkarskie jej odpuściły?

– Rzadko chodzi na imprezy, nie fotografuje się na tak zwanych ściankach, mężowi towarzyszy właściwie tylko na oficjalnych przyjęciach, kolacjach u prezydenta i tego typu wydarzeniach. Nawet na balu charytatywnym dziennikarzy minister był sam. Musiała się wymówić bólem głowy czy inną chorobą.

– Nietypowe jak na szpiega – mruknął pod nosem Greg. – Gdyby była śpiochem, raczej chciałaby poznawać ludzi z establishmentu. Może starałaby się nie rzucić w oczy, ale na imprezach powinna bywać.

– Chyba że jej zadanie jest na tyle ważne, że Rosjanie nie chcą ryzykować wpadki. – Marta bawiła się kosmykiem włosów. Milik zauważył, że robiła tak w chwili, gdy intensywnie myślała albo coś ją wkurzało. – Może uznali, że osiągnęła zadowolający poziom dostępu do ważnych źródeł i że nie warto ryzykować. A może innych notabli już... hm... obsługują inni szpiedzy.

– Mimo wszystko dziwne, że portale plotkarskie ją zostawiły – dodał Milik. – Zwykle jak stary kutafon zostawia żonę z dziećmi dla dwa razy młodszej cizi, kończy się to zmasowanym atakiem kolorowych pisemek. W naszym pięknym kraju to jedna z trzech dróg stania się celebrytą.

– Jakie są dwie inne?

– Zamordować kogoś lub zrobić przekręt na grubą kasę. Jak ktoś robi dobre rzeczy, fotografowie za nim nie ganiają.

– Wróćmy do cizi. – Gregowi zaświeciły się oczy. Spojrzał na Martę. – Sprawdzałaś ją w firmie?

– Niby jak? – odparła.

– No tak, ABW nie udostępnia swoich systemów on line. Ale od czego mamy stare dobre policyjne metody...

Wszedł do internetu i zalogował się w systemie policyjnym, kilkakrotnie przeklinając i tłumacząc, że chrzanią mu się hasła z loginami.

„Można tak wejść do systemu z internetu?” – zapytał kiedyś dziennikarz, gdy Greg pokazywał mu to pierwszy raz.

„Ten baran informatyk, co go zgarnęli za łapówki, zrobił dla siebie furtkę, a nowi jej na razie nie zlikwidowali. Wtajemniczeni korzystają” – wyjaśnił Greg.

Zadziwiająco sprawnie klepie w klawiaturę – pomyślał teraz Milik. Widać, że zamiast grać w Cywilizację, czasem też zajmuje się w domu robotą.

– O, mam – powiedział Greg.

Ekran zamigotał i wyświetlił stronę systemu informacyjnego policji. Strona była dość toporna, wyglądała, jakby projektowano ją z dziesięć lat temu. A przecież całkiem niedawno policja wydała setki milionów na swoje systemy. Marta popatrzyła zdziwiona: też korzystała z tego systemu, ale na jej komputerze wyglądał on inaczej.

– Nie patrz tak. To stara wersja. Nowa jest kolorowa jak Pudelek, ale za to działa trzy razy wolniej. My wolimy tę.

Z tego, co kiedyś tłumaczył Milikowi, w bazie były praktycznie wszystkie informacje o każdej osobie w Polsce i wielu obcokrajowcach. System zasysał dane z baz PESEL, systemów gospodarczych, Straży Granicznej, z czego tylko się dało. Podłączono do niego moduły śledcze, dzięki czemu dochodzeniówka miała wszystko w jednym miejscu, z obsługą laborantów, techników, biegłych i innych służb pomocniczych włącznie. Greg twierdził, że nawet jeśli nie masz styczności z policją, to coś o tobie zawsze się znajdzie. A to mandat za złe parkowanie od Straży Miejskiej, a to zmiana meldunku, wnioski paszportowe, zagubione dokumenty i karty kredytowe, stłuczki, zakupy i sprzedaż samochodów, skargi zagraniczne,

przekraczanie granic, donosy i raporty informatorów policji. Technika nas osaczała.

Milik, choć był przekonany, że nic tam na niego nie będzie, bardzo się zdziwił, gdy poprzednim razem system wyrzucił cały ekran informacji na jego temat.

„O proszę, legitymowali cię na Starówce w dziewięćdziesiątym piątym. A tutaj masz wynik badania alkomatem na demonstracji republikańskiej. Zatrzymanie po koncercie Aerosmith”.

„Kurwa, przecież tylko przewieźli mnie po Żwirki i Wigury i wypuścili”.

„Ślad w systemie został”.

„Dobra, dawaj Ewę. Ciekawe, co na nią macie”.

Ale przyjaciel nie zgodził się na wyszukanie informacji o dziewczynie Milika, mętnie tłumacząc, że tego mu nie wolno, a poza tym takie zaglądnienie w przeszłość przyjaciół jest nie fair.

„To mnie możesz sprawdzać, a jej nie?”

„Z tobą piję wódkę. Nie i koniec”.

Teraz Milik przypomniał sobie tę rozmowę i na wspomnienie Ewy zrobiło mu się strasznie przykro. Gdyby wyniósł się, jak przystało na mężczyznę, nic by się jej nie stało. Tak, wiem, tato – odgonił w myślach dobijającego się ojca – nic nie mów, cholerny TW.

– Zuzanna Szarawarska, z domu Wolska – mruczał Greg, wpisując dane do wyszukiwarki. – No i jest.

Na ekranie powoli pojawiały się kolejne pobierane informacje. Greg wcisnął jedną z ikonek i powiększył skan dowodu osobistego.

– Mamy tu wszystko. Proszę bardzo, jest nawet wywiad środowiskowy dzielnicowego, zrobiony na sprawę rozwodową jej mamy i... ojczyma.

– Ojczyma?

– Czekał... zdaje się, że nie znała ojca. Mama nazywała się Bielecka, była nauczycielką rosyjskiego. Ho, ho, to by nawet pasowało do waszej szpiegowskiej teorii. Żadnych informacji o ojcu, a z urody wygląda na córkę jakiegoś Kazacha, Ormianina albo Czeczena. Cholera, że też ABW tego nie sprawdziła! Jak to

jest, pani major, nie powinniście sprawdzać takich rzeczy?

– Sprawdzamy – powiedziała słabo Marta.

– To może jest podwójnym szpiclem? Lećmy dalej. Gdy mała miała pięć lat, mama wyszła za Wolskiego, ona i córka przyjęły jego nazwisko. Małżeństwo trwało dziesięć lat. Akt ze sprawy rozwodowej nie ma, ale są paragrafy. Kurwa, wiecie, jaki był powód rozwodu?

– Molestowanie?

– Kutas dobierał się do pasierbicy, przynajmniej tak twierdziła matka. Córka nie chciała zeznawać. Nie było też wniosku do prokuratury. Ojczym po rozwodzie rzucił pracę w szkole... à propos, uczył zajęć technicznych i przepisów bhp... wyniósł się z miasta i podjął pracę we wsi Stryjewe. – Greg otworzył kolejne okienko wyszukiwarki i szybko zassał dane odnoszące się do Wolskiego. – No i teraz uważajcie. Dwa lata temu mu się zmarło, zszedł na zawał serca.

– Jeśli każdy zawał będziemy traktować jako robotę ruskich służb, to w końcu wywołamy wojnę – uspokoiła go Marta.

– Hm, nie było śledztwa, ale mam tu donos sąsiadów, którzy znaleźli Wolskiego martwego. Twierdzą, że poszli do sąsiada podpytać o gościa, który kilka godzin wcześniej go odwiedził. Podjechał luksusowym samochodem, bmw czy coś takiego, i wyglądał też trochę niepolsko. Mówi ci coś ten opis?

Gość z terenówki w Ujazdowskich. Cholera, to rzeczywiście wyglądało na jakąś dobrze zorganizowaną akcję szpiegowską. Powinni chyba jak najszybciej zgłosić to do kontrwywiadu ABW.

– Jeszcze jakieś rewelacje?

– A owszem. Nasza bohaterka studiowała na AGH, na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Robotyki. Mało kobiece, za to bardzo fajne przygotowanie merytoryczne dla szpiega.

– Szowinista – mruknął Milik, żeby coś powiedzieć.

– Studiowała w Krakowie? – zdziwiła się Marta. Coś ją tknęło, pewne wspomnienie i myśl, która nagle mogła rozjaśnić wszystko.

– Owszem, mieszkała w akademiku Babilon – potwierdził Greg. – Dość słynnym z różnych szokujących imprez. No i

kiedyś zatrzymano ją za jakieś ekscesy pod uczelnią czy klubem studenckim, to jest trochę niejasno opisane. Tak czy inaczej doszło do zatrzymania i przewiezienia do jednego z komisariatów, a tam... została zgwałcona przez trzech chłopaków z prewencji.

– Boże!

Marta zacisnęła pięść. To nie był odosobniony przypadek przemocy seksualnej w komisariacie. Dość często powtarzały się doniesienia o gwałtach na prostytutkach, narkomankach, ale także na zwykłych dziewczynach. A ile takich spraw nie zgłoszono...

– Nie patrz tak na mnie – warknął Greg.

– Jak?

– Jakbym to ja ją zgwałcił. Nigdy nie używałem przemocy wobec kobiet. Chyba że tego chciały – dodał zaczepnie.

– Głupi żart – warknęła Marta. – Po czymś takim dziewczyna ma pewnie traumę na całe życie. Nie dziwię się, że wyszła za Szarawarskiego.

– Że niby jej nie puka? To jak wyjaśnisz jej schadzki po hotelach z Witoldem?

– Nie wiemy, czy to prawda.

– Prawda jest tu rzeczywiście istotna. Ale czasem nie chcemy dopuścić jej do głosu – odgryzł się Greg. – Najlepiej, jak leży sobie pomiędzy czystymi ręcznikami w szafie, co nie? Uważaj, bo w końcu wyskoczy i cię ugryzie.

Marta wstała, chwyciła paczkę papierosów z biurka i poszła do kuchni. Usłyszeli, jak przypała, i poczuli zapach dymu. I tak walka z nałogiem poszła na spacer.

Milik z Gregiem też zapalili.

– No co? – odezwał się policjant na zaczepne spojrzenie przyjaciela.

– Dyplomata z ciebie, kurwa.

– Srata, dyplomata – warknął. – Poczekaj, mam pomysł. Znam kogoś z tego komisariatu.

Szukał przez chwilę w kontaktach, a następnie przyłożył komórkę do ucha i zarechotał, słysząc głos jakiegoś starego kumpla. Odszedł na bok, Milik przysiadł przy komputerze i

przeczytał jeszcze raz informacje o Szarawarskiej, córce nieznanego ojca, molestowanej w młodości przez ojczyma i zgwałconej przez policjantów. Żonie ministra i ruskiej agentce. Cholera, po takich przejściach kobieta kończy w rynsztoku albo staje się niedostępną zdziurą, a ta robi karierę. Coś w tym wszystkim nie grało, jak w całej sprawie. Miał wrażenie, że zamiast zbliżyć się do wykrycia zabójcy Witolda i motywów, które nim kierowały, coraz bardziej oddalają się od rozwiązania, popadając w różnego rodzaju fantastyczne teorie. To się zwyczajnie nie trzymało kupy.

Greg rozmawiał z przyjacielem dobre pół godziny. Raz po raz zadawał mu jakieś pytanie, po czym długo się nie odzywał, czasami tylko potakując: „aha”, „uhm”, „no nieźle”, „tak podejrzewałem”. W końcu pożegnał się i spojrzął na Milika i Martę, która stanęła w drzwiach.

– Zdaje się, że niepotrzebnie jej żałowałaś – powiedział. – Mój kumpel twierdzi, że w Krakowie była to swego czasu dość głośna sprawa. Dziewczyna twierdziła, że po zatrzymaniu została zgwałcona, złożyła zeznania, a potem je wycofała. Gliniarze posądzeni o gwałt pracują nadal i radzą sobie całkiem nieźle.

– Jak to „pracują”? „Posądzeni”? Co to, kurwa, ma być? Pieprzeni gwałciciele.

Greg uspokajająco wyciągnął przed siebie dłonie. Poczekaj, dziewczyno, wysłuchaj do końca.

– Ona wszystko odwołała i stwierdziła, że odbyło się to za jej zgodą. Nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego złożyła fałszywe zeznania.

– I ty w to wierzysz? Zastraszili ją, skurwysyny, a te łajzy z Krakowa wszystko zatuszowały.

Greg pokręcił głową.

– Możesz nienawidzić facetów, ale zanim wydasz wyrok, wysłuchaj oskarżonego – pouczył. – Mój kumpel mówi, że ta dziewczyna zrobiła to dla kasy. Chłopaki zapierali się, że ona sama rozłożyła przed nimi nogi i miała z tego wielką radochę, a potem ich oskarżyła i zażądała za wycofanie zeznań po dziesięć tysiąt od łepka. Całkiem niezły zarobek dla kurwy.

– Nie była kurwą, tylko studentką.

– Tego nie wiemy. Zadzwoń sobie do jakiegoś escort girls i zapytaj pierwszą lepszą dziewczynę, co studiuje, to będziesz wiedziała. Trzydzieści tysięcy za godzinę pukania z trzema napalonymi młodzieńcami. Wiesz, co myślę? To ona zniszczyła im psyche, a nie oni jej.

– Gówno wiesz.

– Ty też.

Milik wszedł pomiędzy nich.

– Przestańcie. Jest tylko jeden sposób, żeby to zweryfikować. Klótnie teraz nie mają żadnego sensu.

– Co racja, to racja – odparł Greg. – Trzeba koniecznie pogadać z kutasem ministrem i tą zdzirą.

Marta tylko wzruszyła ramionami, choć miała ochotę zdzielić go w pysk.

Milik nagle pstryknął palcami, zwracając na siebie uwagę, i włączył głos w telewizorze, który wcześniej wyciszyli, gdyż wiadomości niemal się powtarzały i ogólnie były dość mocno zmanipulowane, prawdopodobnie przez policję. Na szczęście nikt już nie szukał Milika jako mordercy swojej dziewczyny. Choć wciąż pokazywano jego zdjęcie, to informowano, że w sprawę zamieszany jest znany dziennikarz, a nie podejrzany o zabójstwo. „Znany dziennikarz” całkiem Milikowi odpowiadało, a nawet wręcz imponowało.

Zostałem gwiazdą.

Teraz jednak w programie pokazywano zdjęcia Szarawarskiego oraz przebitki z Ministerstwa Skarbu i giełdy.

„...Szarawarski zwołał konferencję w trybie pilnym, gdyż po zarzutach o kreatywną księgowość związaną z inwestycjami w złoża łupków akcje koncernu energetycznego taniały dziś rano w rekordowym tempie. Sprawą zajmuje się już ABW i inne służby, w tym nadzór finansowy. Notowania giełdowe spółki zawieszono”.

– O czym oni mówią, u licha?

– Znowu przekręt na giełdzie – rzekł Milik. – Zdaje się, że jakaś spółka energetyczna próbowała ukryć prawdziwe koszty wydobycia łupków. Wiedziałem, że to chory biznes.

– Dla nas ważne, że Szarawarski będzie się tłumaczył – powiedziała Marta, zerkając na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści. Konferencja została zaplanowana na dwunastą. – Trzeba się śpieszyć.

– Chcecie jechać na konferencję ministra? – Greg z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Odbędzie się na giełdzie. – Marta mówiła jakby do siebie. – Warto zadać mu publicznie parę pytań.

Milik podszedł do okna i pomyślał o Ewie. Przez chwilę wydawało mu się, że obok swojego odbicia w szybie widzi jej twarz. Pomyślał o Witoldzie Sworowskim. Wciąż nie mógł się do niego przekonać. Wciąż bardziej widział w nim wroga.

– Zaczęło się na giełdzie i tam powinno się skończyć.



Przekłeta suka. Trzech najlepszych ludzi. Szkolił ich prawie siedem lat. Wciąż nie byli tak dobrzy jak Stiopa i reszta chłopaków. Jego pierwsi towarzysze broni, których dawno temu skasowali Afgańczycy, nie mieli sobie równych. Ale jeszcze parę miesięcy, może rok, dwa i miałby najlepszą ekipę na świecie.

Zabiła trzech najlepszych.

Farciara.

Po prostu wymierzyła z pistoletu, ze zwykłego, kurwa, seryjnego glocka, który nie odznaczał się wcale ani celnością, ani precyzją. Wymierzyła, nacisnęła spust i... trafiła. Trzy razy. Nie pomogły kamizelki, bo strzelała w głowę.

Tak jak i on uczył chłopaków.

Trafienie w głowę jest trudniejsze i niepewne, lecz zwykle nie trzeba go poprawiać. Prawie zawsze jest ostateczne.

Na nic zdał się profesjonalizm, szybkość i przygotowanie akcji. Farciara z byle glockiem trafiła z pięćdziesięciu metrów w głowę, a potem radziła sobie jeszcze lepiej.

A miało być zupełnie inaczej. Po przejechaniu detektywa mieli szybko zastrzelić agentkę i pismaka, a następnie uciec wąskimi drózkami Mokotowa. Błyskawiczna i efektowna akcja. Dziesięć minut, tyle to powinno trwać. Góra kwadrans.

Może to znak.

Morderca wierzył w znaki.

Ilekcroć drogę przebiegł mu czarny kot, bał się o wynik operacji. Jeśli było jeszcze dość czasu, potrafił zawrócić i wybrać inną drogę, żeby nie wyzywać pecha.

Tym razem nie było żadnego znaku. Po prostu tak wyszło.

Na dodatek go przechytryła.

Myślała, była przebiegła i wyrachowana. Nie panikowała.

Godna przeciwniczka. Dawno nie walczył z godnym przeciwnikiem.

Zaraz gdy uciekli z obławy w Ujazdowskich, kazał Pietii

zabrać rzeczy i jechać pociągiem do Krakowa, a stamtąd do domu, do Krasnojarska. Nie stać go było na stratę kolejnego człowieka.

Musi uporać się z problemem sam.

Problem nazywa się agentka i dziennikarz. I dziś zostanie rozwiązany. On albo oni. Czyli oni. Nikt nie pokonał Szakala, jak go nazywano, ponieważ dorównywał słynnemu terrorystyście i zabójcy. Dostał zasłużenie ów nieszczęsny przydomek, którego wcale nie lubił. Był najlepszy w tej części Europy.

Może nawet na świecie.

W łazience umył się dokładnie, ogolił twarz i założył szkła kontaktowe. Po chwili wahania zgolił też włosy, używając maszynki, a potem kremu i brzytwy.

Brzytwa miała kościaną rękojeść, zdobienia ze szczerego złota i herb klanu jego prapradziada. Dostał ją w prezencie od innego prawdziwego wojownika ze stepów Kazachstanu. Gdy ten jeszcze żył, lubił go odwiedzać i zawsze tradycyjnie wymieniali się podarunkami.

Nigdy jeszcze nie golił się tą brzytwą, ale dwa razy wykorzystał ją na kobietach. Przestał, gdy okazało się, że ból jest mniejszy niż przy użyciu noża. Skalpel i brzytwa nie były dobrymi narzędziami tortur. Owszem, do zabijania się nadawały, ale to akurat wolał robić gołymi rękami. Wtedy odczuwał największą radość.

„Radość zabijania” – brzmi jak majaki dewianta. W pełni to sobie uświadamiał. Wiedział, kim jest. W świecie szaleństwa dobrze jest być zwyrodniałym psychopata. Lepiej rozumie się rzeczywistość.

Z lustra patrzyła na niego całkiem łysa, okrągła głowa o niezbyt właściwych proporcjach i głęboko osadzonych oczach. Duży, masywny nos jakby teraz zniknął, stracił na znaczeniu, przestał się wybijać. Złał się w jedno z owalem oblicza, podobnie jak zmarszczki pod oczami i cienie przy kościach policzkowych. Nie było ich widać. Żadnych znaków szczególnych. Podciął jeszcze szerokie, charakterystyczne brwi i uśmiechnął się zadowolony. Tylko ten uśmiech był nie na miejscu. Jakby zupełnie nie pasował do pozbawionej cech

szczególnych twarzy.

Dziwnie wyglądał.

Już był nie do poznania, a to jeszcze nie koniec.

Ta suka dokładnie go widziała w dziennym świetle. Patrzyła mu w oczy. Gdyby się nie zmienił, z pewnością by go rozpoznała. Tak jak on rozpozna wszędzie ją. A może i to nie wystarczy. Może gdy skrzyżują się ich spojrzenia, i tak wyciągnie broń i strzeli pierwsza.

Szakał pokonany przez kobietę?

Była dziewiąta trzydzieści. Miał jeszcze trochę czasu do wyjścia. Konferencja Szarawarskiego rozpoczynała się dopiero o dwunastej. Dobrze, że jego klientowi udało się to zorganizować. Przysługa za przysługę. Kiedyś on coś zrobił dla niego, teraz tamten się odwdzieczył. Dobrze, że tak to działa. Ludzie na pewnym poziomie się nie oszukują. Chyba że pomiędzy nimi staje walizka z kasą.

Wtedy nigdy nie wiadomo.

Tak samo jak z kobietami. One są nieprzewidywalne. Z lwami i kobietami lepiej nie zawiązywać sojuszków. Zawsze może im się coś nie spodobać.

Kiedyś miał taką zasadę.

A jednak ją złamał.

Popatrzył na ekran telewizora. Prezentowano właśnie sylwetkę ministra. Na czerwonym tle przebiegała informacja:

„PILNE. Szarawarski zwołuje konferencję w związku z wydarzeniami na giełdzie”.

PILNE.

Dobre sobie. Wystarczy jeden telefon, a minister tańczy, jak mu zagrają. Jest zwykłym słupem, nikim więcej. Wykonuje polecenia i liczy na ochłapy. Nie ma tak naprawdę żadnej władzy, chyba że ktoś pozwoli mu się nią przez chwilę nacieszyć. Jak w przypadku tego pieprzonego prezesa giełdy. I czym się to skończyło? Wiadomo, bałaganem.

A może wcale nie jest słupem, tylko szpiegiem. Z gęby pasuje na TW. Przecież najlepsze wywiady na świecie potrafiły kupić nawet premierów, i to w pozornie cywilizowanych krajach.

Tak czy inaczej gra po naszej stronie. Miała być konferencja i

jest. Tak jak sobie życzył. Spojrzał na telefon na kartę, który uruchomił po raz pierwszy dziś rano. O konferencji ministra powiadomiono go SMS-em znacznie wcześniej, niż info podała telewizja. Jednocześnie dostał drugą wiadomość. Jednoznaczna. To ostatnia szansa. Trzeba zwinąć biznes. Inaczej ktoś w końcu się domyśli, wpadnie na ich trop.

Jego i zleceniodawcy.

Nie stać go było na odpuszczenie tej sprawy. Mimo dobrych zarobków miał duże koszty. Tutaj sporo już zainwestował. Do tego jeszcze te nieoczekiwane problemy w Ujazdowskich. Utrata dokumentów, broni i dwóch drogich pojazdów była dotkliwym ciosem. Nie tak miało być. Nie tak to zaplanowali.

A wszystko przez tę sukę i jej precyzyjne oko.

Nie do wiary!

Zacisnął mocno pięści.

Nie może zawieść. Nie po tym, co dotąd zaszło. Z gorszych tarapatów wychodził obronną ręką. Tym razem musi zagrać *va banque*.

Dziś wszystko się wyjaśni.

Na giełdzie?

Nie. Tam, gdzie się zaczęło.

Gdy rzecznik powitał przybyłych na konferencję, notowania NPKE – Nowego Polskiego Koncernu Energetycznego – już odwieszono i moloch powoli odrabiał straty. Tak gigantyczna spółka miała ogromne znaczenie dla całego rynku, nic więc dziwnego, że pociągnęła w dół wszystkie indeksy. Efekt śnieżnej kuli. Jedna zła informacja o odpowiednim znaczeniu była jak sygnał do zejścia lawiny. Pistolet sygnalizacyjny, po którym nastąpił ogłuszający, narastający huk spadających ton śniegu, porywających ze sobą drzewa, kamienie, skały. Dzięki reakcji ministerstwa panika trwała krótko. Potem do sprawy włączyli się spekulanci, grając na spadki i wzrosty.

Norma.

Po odwieszeniu notowaniom NPKE pomógł także oficjalny komunikat, w którym zarząd koncernu uspokajał, że straty są typowo księgowo i należy je traktować jako zdarzenie jednorazowe, a sam sektor wydobywania łąpków jest perspektywiczny i potencjalnie może przynieść duże zyski. Poważni inwestorzy nie powinni kierować się w decyzjach pomijalnymi przez strategów one-offami.

Gówno prawda. Łupki nas zniszczą – pomyślała Marta.

Witold poświęcił dużo czasu temu tematowi. Analizował dość dokładnie możliwe korzyści, koszty wydobywania, skutki geologiczne, społeczne i tym podobne kwestie. Kiedyś zastała go nad toną raportów i badań. Myślała, że zaproponowano mu pracę w tym sektorze, może prezesurę jakiejś spółki wydobywczej, ale nie. Robił to po prostu z ciekawości. „Sądzę, że to jeden wielki fake” – odpowiedział na jej pytania, wykorzystując modne w internecie określenie. Zdaje się, że trafił w sedno.

NPKE powołano właśnie głównie z powodu łąpków. Koncern miał skupić wszystkie państwowe zasoby związane z energią odnawialną, poszukiwaniami złóż w różnych rejonach świata, a przede wszystkim złóż łąpków na Pomorzu. Skończyło się

katastrofalnymi stratami, a to był dopiero początek. Co będzie, gdy zaczniemy realizować imperialistyczne ambicje w wydobywaniu ropy z przynależnych nam po RWPG obszarów? Albo ponownie wybierzemy się na podbój gospodarczy Konga czy Kazachstanu?

Nagle ją olśniło.

A jeśli to była przyczyna? Jeśli jego podejście komuś przeszkadzało i dlatego musiał zginąć? Duża kasa nie znosi malkontentów. Musisz być optymistą, bo inaczej zostajesz odstawiony na bok. Albo idziesz na dno. A gdy dodatkowo zaczynasz za głośno wypowiadać swoje zdanie, kończy się jakimś małym ostrzeżeniem. Może aferką z nieetycznym postępowaniem. Jeżeli mimo to nie milkniesz... cóż, wtedy wylatujesz. Sam minister powie o tobie: „Haniebne zachowanie prezesa zmusza nas do podjęcia odpowiednich kroków na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy”. Minister to twój szef. Nie, ja nie mam szefa. Ja jestem szefem i dlatego odpowiadam za spółkę. Odpowiadam przed akcjonariuszami, w tym ministrem, ale nie tylko. Jest jeszcze wielu innych, mniejszych inwestorów, którzy mają prawo wiedzieć, co w trawie piszczy. Których także jestem... reprezentantem. Pracuję dla nich, a nie tylko dla ministra. Minister przychodzi i odchodzi. Jeśli jest mądrym człowiekiem, zostawia po sobie dużo dobrego. Jeśli głupim, można tylko minimalizować straty.

Szarawarski jest głupi?

A może wcale nie jest głupi, tylko działa celowo na naszą niekorzyść?

Może po prostu jest psujem.

Marta siedziała pomiędzy dziennikarzami w sali notowań warszawskiej giełdy, w której za chwilę powinna się rozpocząć konferencja Szarawarskiego. Włosy miała obcięte tuż za ucho, rozwichrzone na wszystkie strony za pomocą lakieru i ufarbowane na kruczoczarno.

Jako brunetka czy szatynka wyglądała zupełnie inaczej. Dodatkowo okulary i mocny makijaż czyniły ją właściwie nie do rozpoznania.

– Cholera, wyglądasz jak Szczuka. Nigdy bym się za tobą nie

obejrzał – mruknął Milik pod nosem.

Greg przekrzywił głowę.

– E tam, pierdolisz. Ja bym chętnie skorzystał...

– Masz kaca, a tobie na kacu wszystko się podoba.

– Co się rusza i na drzewo nie ucieka.

Greg żartował, ale w oczach miał jakiś taki ponury smutek. Wciąż po głowie chodzi mu Agata – pomyślał Milik. Przyjaciel od dawna nie cieszył się seksem. Seks bez miłości nie miał sensu? Nawet dobry seks? A czy jego seks z Martą miał jakiś sens? W każdym razie był radosny i na pewno go cieszył.

– Fajnie ci z nią? – zapytał Greg. – Dobra jest?

Bartek nie odpowiedział.

Kiedyś zawarli taką umowę: jeśli coś jest nie do obgadania, po prostu się o tym nie mówi. Nie opowiadali sobie o ważnych dla nich kobietach.

– No, nie mów. – Greg pokręcił głową. – Aż tak? Zabujales się?

– Nie wiem.

Milik nie ucharakteryzował się w żaden sposób i wzbudzał sporą sensację. Był tym samym młodym, niepokornym, wyglądającym na lekkiego luja dziennikarzem, którego wszyscy już widzieli w telewizji jako oskarżonego o zabójstwo dziewczyny i jej kochanka.

Trudno o lepszą reklamę.

Czasem ktoś do niego podchodził i witał się z uśmiechem.

– Cześć, Milik, wypuścili cię już?

– Jeszcze nie złapali – mruknął Greg.

Każdego podchodzącego do Milika dziennikarza odprowadzał wzrokiem ostrym jak brzytwa. Rzucił wyzywające spojrzenia jak samiec prowokujący konkurentów. Uwaga, jestem tu i mam ochotę komuś zrobić krzywdę. Zdjął kurtkę, a pod spodem miał tylko bawełniany T-shirt. Opięta koszulka z krótkimi rękawkami odsłaniała pokaźny, twardy jak skała biceps z odważnym tatuażem, który pismaków o miękkich tyłkach nie zachęcał do sprawdzenia, czy to tylko pozory, czy też z Grega bije zabójcza i uzasadniona pewność siebie.

Kwadrans po dwunastej ministra Szarawarskiego wciąż jeszcze nie było w sali notowań, za to pomieszczenie, wypełnione po brzegi, pękało w szwach. Minutę później przy drzwiach zrobił się rumor i do sali wparowało naraz kilka ekip telewizyjnych, których wcale nie powinno tu być. Stacje informacyjne i rozgłośnie rozlokowały się znacznie wcześniej, ustawiając sprzęt na mównicy, na której za chwilę powinien pojawić się minister.

Spóźnieni reporterzy kompletnie nie byli zainteresowani mającym nadejść ministrem. Umieścili sprzęt naprzeciwko Milika i bez skrupowania zaczęli go filmować.

– Zaraz, ja nie jestem żadnym celebrytą – zaprotestował Milik.

– Wyluzuj, stary. – Jeden z reporterów, którego Milik poznał kiedyś na imprezie i nawet polubił, przysiadł przy nim i modulując głos, rzekł do mikrofonu: – Poszukiwany przez całą stołeczną policję dziennikarz Bartosz Milik spokojnie przybywa na konferencję ministra Szarawarskiego. Bartek, jak skomentujesz ten fakt dla naszych widzów?

– Jaki fakt?

– Gliny wszędzie cię szukają, a ty zjawiasz się na konferencji jakby nigdy nic, wchodzisz do niby dobrze strzeżonego budynku giełdy, grasz wszystkim na nosie. Nie najlepiej to świadczy o naszych służbach specjalnych...

– To nieporozumienie – odparł z uśmiechem Milik. – Jestem tutaj pod eskortą policji.

– Tak, a niby gdzie ta policja?

– A tu! – Klepnął w plecy Grega. – Powie pan coś dla telewizji, panie komisarzu?

Greg zakrztusił się własnym oddechem, choć myślał, że to niemożliwe.

– Eee...

Bartek nachylił się do jego ucha i szepnął:

– Zawsze chciałeś być gwiazdą, no to masz swoje pięć minut.

– To wcale nie jest śmieszne.

Greg był porządnie wkurzony. Nie po to skupiał się na obserwacji całej sali, by teraz rozpraszano jego uwagę. Mógł



przez to nie dostrzec w porę niebezpieczeństwa. Mówił przecież durniowi, że zabójca może przyjść na konferencję. A jeśli się pojawi, to w przebraniu. Trudno będzie go rozpoznać. Potrzeba najwyższego skupienia, żeby nie dać się okpić.

W tym momencie wydarzyły się trzy rzeczy. Do sali wszedł jakiś łysy mężczyzna średniego wzrostu, zupełnie niewyglądający na dziennikarza. Włożył rękę do kieszeni marynarki, jakby sięgał po broń, i szedł prosto na nich. Chwilę później w wejściu zaroilo się od antyterrorystów. Łysol był coraz bliżej i wyraźnie miał sprawę do załatwienia. Greg rozpoznał go w ostatniej chwili. Wstał i... zasalutował.

– Generał Sońko. – Łysy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni legitymację i mignął im przed oczami, wyraźnie kierując ów gest do Milika. – Chciałbym, żebyście poszli ze mną.

Rozejrzał się po sali, ale nie znalazł tam osoby, której szukał.

– Bylibyście uprzejmi poprosić panią Martę, by nam towarzyszyła?

Milik miał ochotę warknąć i się sprzeciwić, ale tylko zapytał spokojnie: – A nie możemy po konferencji? Chcemy zadać panu ministrowi Szarawarskiemu parę ważnych pytań.

Łysy spojrział w kierunku mównicy. W tym momencie do sali wszedł sfrustrowany i wyraźnie zdenerwowany rzecznik resortu w towarzystwie roztrzęsionego podsekretarza stanu do spraw spółek strategicznych.

– Przepraszam państwa – powiedział rzecznik. – Z przyczyn od nas niezależnych dzisiejszą konferencję poprowadzi wiceminister...

O co tu, u licha, chodzi? Czy to jakaś pułapka?

Milik spojrział na Grega, który także wydawał się mocno zaskoczony.

– Nie czas na pytania – powiedział łysy. – Proszę za mną.

Marta przedarła się do nich ze swojego miejsca.

Dopiero gdy wsiadali do podstawionego pod same drzwi opancerzonego radiowozu, generał krótko wyjaśnił: – Szarawarski nie może złożyć nikomu wyjaśnień, bo właśnie został porwany.

Zabójca nie krył rozbawienia. W lesie wymienili samochód, gdyż istniało ryzyko, że ktoś mógł zapamiętać markę pojazdu lub numery rejestracyjne.

Porwanie ministra okazało się dziecinnie proste.

Zatrzymał jego limuzynę tuż przed bramą willi, wysoko uniósłszy podrobioną legitymację BOR. Miał elegancki garnitur i wyglądał jak trzeba. Także limuzyna była identyczna z tymi, których używali borowiki. Kierowca ministra był wprawdzie żołnierzem BOR, ale swymi umiejętnościami nie przekraczał nawet pięciu procent zdolności Szakala. Unieszkodliwienie chłopaka zajęło niespełna trzy sekundy. W ciągu pięciu następnych złamał biedakowi kark.

Minister zdążył wysiąść w chwili, gdy napastnik z odbezpieczonym desert eagle'em podchodził do rządowej limuzyny. Dziwny to kraj, w którym ministrowie mają tak słabą ochronę, na dodatek kompletnie nieoczekującą ataku. Jakby nikt nie wierzył, że kiedyś i tu pojawi się jakiś wariat albo fanatyk z misyjnym przywiązaniem do tradycji.

Szarawarski za to zachował się jak rasowy polityk, którego nauczono, że lepiej zdać się na los niż na własne umiejętności, szczególnie gdy jesteśmy świadomi ich braku. Los wszystko za nas załatwi. Autostrady, kontrakty gazowe i lądowania samolotów.

Uda się albo się nie uda. Nie nasza wina, tylko przeznaczenia.

– Jeśli nie chcesz mieć w głowie dziury wielkości orzecha, pójdziesz ze mną.

Poszedł.

Był grzeczny. Nie stawiał oporu. Nie miał pojęcia, kim może być napastnik, nie czuł jednak strachu. Może to tylko jakieś ćwiczenia. Porywacz przypominał borowika. Nie budził w nim odrazy. Nie był nawet czarny czy beżowy, jak Szarawarski nazywał Arabów.

Nie, to jakaś ściema.

Po co ktoś miałby porywać tak nieistotnego ministra jak on? Z przyjaciółmi od wziętek też przecież się nie poróżnił. Realizował wszystkie ustalenia i strategię.

Wykonywał więc polecenia bez protestu. Gdy odjechali kawałek od miejsca napadu, porywacz skręcił w las i tam kazał mu się przesiąść do innego samochodu, zwyczajnego, nierzucającego się w oczy forda kombi.

– Załóż worek na głowę i kładź się na podłogę – rozkazał.

Minister zaprotestował nieśmiało: – Mam zaraz konferencję. Bardzo ważną, wie pan...

– Wiceminister pana zastąpi.

– No tak, ale rynki finansowe są dość wrażliwe. W obecnej sytuacji może to wywołać dodatkowy niepokój, a dodatkowy niepokój kosztuje. To może być bardzo droga... prowokacja.

– Prowokacja?

– Albo ćwiczenie.

Morderca zarepetował broń i wymierzył w głowę ministra.

– To nie jest ćwiczenie. Worek na łeb i na ziemię, palancie!

Limuzynę i ciało borowika znaleziono, gdy dojeżdżali już do miejsca przeznaczenia. Długo szukał tej leśniczówki. Idealnej do jego celów, zagubionej w środku puszczy, ale z dość dobrym dojazdem. Nie obawiał się, że go znajdą. Nawet tu nie zajrzą. Najbliższe zabudowania oddalone o ponad kilometr i też rzadko uczęszczane. W pobliżu jak spod ziemi wyrastało zakole wału wiślanego. Zagrożenie powodzią sprawiało, że nie było innych chętnych do budowy. Złodzieje nie rozkradali leśniczówki, gdyż miała wywieszkę lokalnej agencji ochrony. Kiedyś trafili się odważni i znaleziono ich potem z połamanymi nogami. Upierali się, że nie widzieli napastników, nie wiedzą, kim byli. Dostali za swoje i przyjęli to z honorem. Lepiej nie zadzierać z bandytami większymi niż my. Od tego czasu leśniczówka była całkowicie bezpieczna. Przyjezdni złodzieje nie mieli pojęcia o jej istnieniu lub dowiadywali się, że nie warto ryzykować. Miejscowi zrozumieli nauczkę, jaką otrzymali nieszczęśnicy, którym połamano nogi.

Szakał zatrzymał forda przed wjazdem do garażu, wysiadł, poszukał klucza, który zostawił pod schodami, otworzył garaż i

wjechał do środka.

Garaż mógł pomieścić bez trudu dwa pojazdy, morderca miał więc dużo miejsca.

Otworzył tylne drzwi i poszedł zapalić światło.

– Wysiadaj! – rzucił za siebie.

Minister powoli wygrzebał się z pojazdu.

– Mogę zdjąć worek?

– Zdejmuj.

Szakał włączył światło. Oślepiło Szarawarskiego, który przymknął oczy i przysłonił je dłonią.

– Więc to nie jest żart?

– Nie.

– Co zamierzasz ze mną zrobić?

Szakał wzruszył ramionami.

– Chodźmy na górę – powiedział.

Poszedł pierwszy schodami. Chwilę zajęło mu dobranie klucza, otworzył drzwi i zniknął. Minister zawahał się. Był nieco zaskoczony, że porywacz prawie go nie pilnuje, nie popędza bronią. Spojrzał na drzwi garażu. Wystarczyło je uchylić i wymknąć się na zewnątrz. Co go tam czekało? Wspólnicy? Nie, napastnik nie miał wspólników. Więc czemu zostawił go samego?

Zrobił krok w kierunku schodów i zrozumiał.

Mimo tenisa, spacerów, a czasem nawet partyjki squasha, nie nadawał się na uciekiniera. Dostałby zadyszki po stu metrach szybkiego biegu. Czteryście metrów dalej by upadł, a potem przycołgał się z powrotem, prosząc o ratunek. „Serce. Mam słabe serce”. Tak by pewnie szeptał. „Ratuj mnie”. Nawet w seksie czasem musiał prosić o pomoc. Przy takiej kobiecie jak Suzi nie było o to trudno. Wymagająca kochanka wiedziała, czego chce. Nie mógł jej zawieść. Udawał, starał się, robił co w jego mocy, ale daleko mu było do tych wszystkich młodych byczków, które tylko czyhały na jeden jego błąd, na spuszczenie jej z oczu. Zazdrość to coś, co cię kiedyś zgubi – szeptał zły duch w jego duszy. Tak, miał rację.

Może właśnie to się działo.

Powoli wszedł na schody i zaczął pokonywać kolejne stopnie.

Uważnie oglądał każdy szczegół domu. To była leśniczówka w stylu góralskim, solidna konstrukcja z drewnianych bali i ciosanych kamieni. W środku dużo wykończeń z buku i dębu, odrobina sosny, zapach gór i przyrody. Wspaniały dom. Korytarz prowadził do szerokiego przedsionka, dwóch pomieszczeń technicznych, a z tyłu do schodów na górę. Przeszedł do przedsionka. Szeroki prześwit zapraszał do salonu, bogato urządzonego w stylu myśliwskim.

Na ścianach różne trofea, skóry i obrazy. Przy kominku stos drewna, stojak na broń i tego typu gadzety. Podpórka na siekiery i toporki. Pogrzebacz, przybory do czyszczenia palenisk.

Porywacz stał przy barku, odwrócony plecami, i szykował sobie drinka. Wystarczyłoby chwycić jedną z siekier, podejść cicho i uderzyć. Jeden raz. Z góry na dół, w głowę.

– Co mam robić? – zapytał Szarawarski.

Tamten wzruszył ramionami.

– Co chcesz. Posadź dupę na kanapie i bądź cicho.

– Wiesz, kim jestem?

Porywacz odwrócił się gwałtownie i Szarawarski zobaczył w jego oczach coś, czego nie chciał oglądać już nigdy więcej. Nieznajomy podchodził wolno, kocimi krokami. Jak drapieżnik zbliżający się do porzuconej wcześniej ofiary. Nie polował. Po prostu wracał po pozostawiony łup. Porwany zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby miał siekiere czy wręcz strzelbę, a tamten tylko gołe ręce, i tak nie dałby mu rady.

– Czekamy na kogoś – syknął porywacz. – Gdy przyjedzie, dowiesz się, co dalej. Do tego czasu rób, co chcesz. Jeśli spróbujesz uciec, przestrzelę ci kolano. Nie podskakuj, to może nic ci się nie stanie.

– Nie będę.

Jestem ministrem, do cholery! Wystarczy przeczekać, a za chwilę zaroi się tu od jednostek specjalnych. Wizytował kiedyś GROM, widział, co potrafią te chłopaki. Drań mógł im nafiukać. Przyjadą i zrobią z ciebie... nie znajdował właściwego porównania. Sito? Pasztet? Gnoj? Rozwałą cię na kawałeczki.

Do diabła z nim! Na pewno zaraz wszystko się skończy.

– Siadaj i czekaj!

Morderca zastanawiał się, do czego zmierza zleceniodawca. Nagły rozkaz porwania ministra początkowo wzbudził w nim niepokój, ale uzasadnienie było logiczne. Należało raz na zawsze zamknąć tę sprawę. Przez tego frustrata wymknęła się spod kontroli i zaszła za daleko. Gdyby zdołał zabić tamtych dwoje, może jeszcze dałoby się wszystko uratować. Ale teraz było za późno. Za dużo się wydarzyło.

Spojrzał na ministra. Zaraz będzie trupem. Nie tylko on.

Patrzył przez okno na zaśnieżoną puszcę i myślał: jak tu pięknie. Piękniej niż we Francji, w lasach Amazonii, na pustyniach Afryki i bezdrożach Mali. Egzotyczne, nawet najbardziej pachnące i orientalne czary nie działały na jego serce. Zawsze gdy wracał do Polski, miał poczucie, że wraca do domu. Kochał ten kraj.

A jednak działał przeciwko swojej ojczyźnie i nie czuł wyrzutów sumienia.

– Gość ma za sobą dwadzieścia lat służby w najbardziej elitarnych jednostkach najemników. Zaczynał w Legii Cudzoziemskiej, mając zaledwie siedemnaście lat. Przeszedł najcięższe szkolenia w obozach na Korsyce i w Orange na południu Francji. Służył w Kambodży, Kenii, na Bałkanach, w Iraku i Kongu. Zwolniono go po dziesięciu latach służby, podobno za morderstwo i gwałt. Najmował się potem do różnych brygad, aż wreszcie skumał się z kilkoma chłopakami i stworzyli własny oddział, jak w *Psach wojny*. Kilku z nich zginęło na głupiej minie w Afganistanie. Według Interpolu odbudował oddział, ale skończył z wojnami i skierował swoją ofertę do biznesu. Był czas, że korporacje potrzebowały ochrony i... zabójców. Ulubiona metoda zabijania: pozorowanie zawałów serca, ale wdał się też w kilka głośnych strzelanin. Potrafi walczyć wręcz, zabija gołymi rękami. We Włoszech podejrzewano go o zabójstwo kobiety, ale nie wysłano za nim listu gończego. Nie wiemy dlaczego. Ponoć ktoś z rządu też był w to zamieszany, a zabójstwa dokonano ze szczególnym okrucieństwem. Nikt nie chciał tego nagłaśniać, bo i po co? Ofiara była imigrantką. Zdaje się, że wie, kogo można zabić bezkarnie. W polskich bazach danych praktycznie nie figuruje. Żadnych informacji o rodzinie, prawdziwym nazwisku, nic. Może sierota, a może nie. Nie wiemy.

Facet, który opowiadał im o mordercy, wyglądał jak komputerowy maniak. Niski, chudy, o rozbieganych oczkach za grubymi szklami i przetłuszczonych włosach. Stukał w klawiaturę, jakby się onanizował. Straszliwie szybko.

– Foty też kiepskiej jakości. Poznacie?

Zerknęli na wyświetlone na monitorze zdjęcie mężczyzny z brodą i kręconymi włosami. Połowa gości w tym kraju i trzy czwarte na południe od nas mogło do niego pasować.

– Typ bałkański – mruknęła Marta.

– Taki Cygan. Ponoć nawet podobną ksywkę miał w Legii.

Nazywano go Tricher. Potem był znany jako Falcon, ale ostatnio mówią na niego Szakal.

– Każdy morderca musi być Szakalem? – prychnął Greg.

Zwał, jak zwał. I tak cię zabiję. Lubilem Ewę, choć ona mnie nie znosiła i puściła kantem Milika.

– Jemu też się to nie podobało. Wolał być Falconem, czyli Sokołem. Ale przyłgnęło Szakal i co miał zrobić?

– Pozabijać wszystkich.

Łysy generał milczał. Przymknął oczy, jakby zasnął. Dopiero gdy skończyła się opowieść komputerowca o Szakalu vel Falconie czy innym Tricherze, ziewnął, zasłaniając usta, i włączył się do rozmowy. Mówił krótkimi zdaniami, rzeczowo i wyraźnie.

– Szakal porwał Szarawarskiego. Wypuści go, ale ma jakieś żądania. Chce negocjatora i chce, żebyś to ty nim była. – Spojrzał na Martę, a następnie na Milika. – Domaga się też, żebyś ty, chłopcze, jej towarzyszył.

– Niby po co?

– Żeby opisać całą sprawę. Porywacz ufa tylko wam. Wierzy, że dzięki temu media właściwie przedstawią okoliczności... zdarzenia.

– O co, kurwa, chodzi? – warknął Greg.

Znał się trochę na porwaniach i podejście generała Sońki zupełnie mu nie pasowało. To było postępowanie wbrew sztuce, choć jednocześnie sytuacja – porwanie ministra – też była wyjątkowa. Czy gdziekolwiek w cywilizowanym świecie doszło do czegoś podobnego? Może więc potrzebne są nadzwyczajne środki i spełnienie pewnych obietnic porywacza, jeśli to może przybliżyć rozwiązanie. Nie, gówno prawda. Coś tu nie grało.

Generał spojrział na niego z naganą. Chyba nie życzył sobie przekleństw.

– Większej bzdury nie mógł wymyślić? – nie ustępował Greg.

– Niekoniecznie.

– Co niekoniecznie?

– Niekoniecznie to musi być bzdura. Porywacz ma pewien... motyw.



- Niby jaki?
- Cóż, to dość drażliwa kwestia...
- Co pan... plecie? – syknął Greg, myśląc dosadniej: telewizja popierdoliła ci w głowie?

Sońko był znany z występów w telewizji. Miał parcie na szkło i wszędzie opowiadał, jakim to profesjonalizmem odznaczają się polscy żołnierze i polskie służby. Oto jakim. Daliśmy sobie porwać ministra. I zrobił to zwykły cwaniak zabójca, a nie zorganizowana grupa uzbrojonych po zęby terrorystów. Słynny generał zaś chce wysłać negocjatorów bez żadnego przygotowania, w tym dziennikarza. To ma być superstrategia?

Marta i Bartek przysłuchiwali się tej dyskusji kompletnie skołowani. Rozumieli, do czego zmierza generał, ale i dla nich jego słowa były zaskakujące.

– Wkraczamy na delikatne pole bezpieczeństwa państwa – westchnął generał. – Dlatego niezręcznie mi o tym mówić w zbyt szerokim gronie. Wyjaśnię wam w swoim gabinecie. Wtedy podejmiecie decyzję.

Ostatnie dwa zdania skierował wyraźnie do Milika i Marty, pomijając Grega.

– O, co to, to nie – zaprotestował policjant. – Tak łatwo pan się mnie nie pozbędzie. To moi przyjaciele.

– Przyjaciele? Pan jest policjantem, prawda?

– Jestem gliną – przyznał.

Generał otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś idiotycznego o rozkazach i posłuszeństwie, przełknął jednak ślinę, zacisnął mocno szczękę, a potem wycedził:

– Dobrze, może pan iść z nimi.

Radiowóz nagle znacząco zwolnił, potem przechylił się i jakąś serpentyną zaczął zjeżdżać w dół. Po chwili zatrzymali się i jeden z antyterrorystów przesunął drzwi.

– Chodźmy, proszę za mną – powiedział Sońko.

Szedł sprężystym krokiem, stawiając stopy nienaturalnie blisko siebie, jakby spędził upojną noc z kochankiem. Nie oglądał się na nich. Greg wymienił spojrzenie z Milikiem, Marta raczej rozglądała się wokół.

– Zaspokoję państwa ciekawość – rzucił za siebie generał

Sońko. Łysa głowa lśniła i czasem mieli wrażenie, że odbija promienie światła z żarówek, jakby była lustrem. – Jesteśmy w nowym ośrodku rządowego centrum antyterrorystycznego. Nieźle, co nie? Z unijnej kasy. Najdroższe centrum antyterrorystyczne w Europie. Mamy się czym chwalić.

Centrum jest w ABW i wygląda zupełnie inaczej – chciała zaproponować Marta, ale generał szybko podjął wątek.

– Wiem, wiem, zaraz zaprzeczycie, że centrum wygląda inaczej, ale przecież podkreśliłem, że to nowy ośrodek. Wciąż jest doposażany i formalnie jeszcze nieczynny. Oficjalne otwarcie szykujemy na Święto Niepodległości. Ponieważ jest już prawie sprawny, od pół roku wykorzystujemy go przy operacjach szczególnych. Obecna sytuacja, cóż, jest chyba jedyną w swoim rodzaju, więc testowanie tego supersprzętu kupionego za setki milionów możemy uznać za usprawiedliwione.

Otworzył drzwi i znaleźli się w centrum dowodzenia.

Było wypełnione komputerami, ludźmi, sprzętem nagłaśniającym i wielkimi monitorami prezentującymi obrazy z kamer miejskich i specjalnych przewoźnych jednostek monitoringu. Kamery obserwowały różne miejsca, ale tylko willa Szarawarskiego wydała się Marcie znajoma. Greg także szybko zorientował się w temacie, gdyż policja wykorzystywała podobne centra dowodzenia, w tym jedno usytuowane w ratuszu miejskim. Podczas dużych i skomplikowanych logistycznie operacji, jak zapewnienie bezpieczeństwa demonstracjom czy obchodom świąt, sprawdzały się doskonale. Jedynie Milik miał wrażenie, że jest w kosmosie. Nie mógł się przestawić na tę skalę.

– Szybciej, nie mamy czasu – ponaglił generał. – Tędy.

Przeszli przez centrum do długiego korytarza, który zaprowadził ich do holu z klatką schodową, windami i szeregami drzwi.

– Tutaj. – Sońko wszedł do ostatniego pomieszczenia.

Powitała ich asystentka. Była młoda, ładna i bardzo zgrabna. Uśmiechnęła się promiennie do Grega, który sprawiał wrażenie oszołomionego, przez co wyglądał naprawdę pociągająco.

General uchylił obite skórą drzwi i zaprosił ich do środka. Jego gabinet miał kilkanaście metrów długości i przynajmniej sześć szerokości. Bardziej przypominał mieszkanie lub pokój hotelowy niż gabinet urzędnika i oficera służb wysokiego szczebla. Wygodne kanapy, czterdziestocalowy telewizor plazmowy na ścianie, chyba nigdy niewyłączany i ustawiony na Fashion TV, niżej wideo i hi-fi, po bokach wysokie wieże kolumn głośnikowych, trochę dalej, przy wyjściu na taras, barek z alkoholami i pudełkami cygar.

– Lubicie cygara?

Greg nabrał powietrza i wydmuchnął je z głośnym sykiem.

– Co to ma znaczyć?

– Wyposażenie pochodzi z gabinetu byłego dyrektora policyjnego Centrum Zarządzania Projektami, tego złapanego na łapówkach, kojarzycie?

Marta westchnęła, jakby chciała powiedzieć: a jakie to ma znaczenie? Greg obliział wargi na widok flaszek prezentujących się na barku. Milik chyba jako jedyny był zainteresowany wyjaśnieniami.

Dobrze znał sprawę tego policyjnego dyrektora. Centralne Biuro Antykorupcyjne zatrzymało go kilka lat temu za przyjmowanie łapówek od wielkich koncernów informatycznych. Koleś wziął parę milionów złotych w gotówce, masę drogiego sprzętu, przyjmował wycieczki na Malediwy, samochody, motocykle i mnóstwo innych rzeczy. Żeby z nim pogadać, trzeba było przynieść ze sobą cygara po cztery tysiące za paczkę. Miałeś tyle czasu na rozmowę, ile dyrektorowi zajmowało wypalenie cygara. Jak w parodii filmów gangsterskich. Nikt by nie uwierzył, że to prawda. A jednak Polska korupcja wyglądała dokładnie tak jak w parodii. Co było najzabawniejsze, gość był członkiem rządowego Zespołu do spraw Przeciwdziałania Korupcji. Generalnie robił sobie jaja ze służb przez wiele lat, a na koniec przyznał się do wszystkiego, został świadkiem koronnym i uniknął dotkliwej kary.

Cała ta sprawa była wielką kompromitacją Polski i polskich służb.

– Facet brał ogromne łapówki, a wyjście go na koniec uwolnili od zarzutów, bo opowiedział wszystko, jak było. Dość dziwny sposób na zatuszowanie afery, przez którą straciliśmy setki milionów złotych.

– Sądy to nie moja sprawa. Za to wyposażenie gabinetu mi się przyda. Wiecie państwo, u dyrektora mogło to szokować. Przyszły szef centrum antyterrorystycznego czasem musi udawać szpiega i spotykać się ze szpiegami. Myślę, że szefowie CIA czy MI6 też mają podobne. W FSB dodatkowo siedzi laska w mini i szpilkach, podająca drinki. Byłem na szkoleniu w Moskwie, to wiem.

– Za dużo ogląda pan Bondów – szepnęła Marta.

– Szkoda czasu na tłumaczenia. Usiądźmy – zaproponował Sońko, stawiając na stoliku flaszkę wódki i cztery kieliszki.

Gregowi ten generał zaczął się podobać.

– No więc sytuacja jest następująca: porywacz twierdzi, że minister Szarawarski jest zamieszany w zabójstwo prezesa giełdy Witolda Sworowskiego, którego sprawę podobno badacie. Zamieszany, czytaj: jest zabójcą prezesa. Niezły burdel. Minister zabija prezesa jednej z najważniejszych spółek państwowych. Jeśli to prawda, oczywiście. No więc nasz porywacz uważa, że jeśli nie nagłośni sprawy, to zostanie ona zamieciona pod dywan jak... – generał popatrzył na swój gabinet – jak wiele innych spraw. Cóż, trudno mu odmówić racjonalnego myślenia.

– I dlatego zwrócił się do pana? – zapytał z przekąsem Greg.

– Zadzwoił do ABW i w ten sposób trafił do mnie.

– Pan z nim rozmawiał?

– Tak.

– Namierzyliście, skąd dzwonił?

– Korzystał ze Skype'a, szyfrował i płatał połączenia. Nie mogliśmy go namierzyć przy tak krótkim czasie rozmowy.

– I zażyczył sobie, żeby sprawę negocjowała Marta?

Sońko skinął głową.

– Pani Marta i pan Milik. Chce, żeby to oni przejęli pana Szarawarskiego wraz z dowodami świadczącymi o tym, że jest zabójcą prezesa giełdy.

– Jak to przejęli? Mają jechać do dziupli, w której przetrzymują ministra?

– Dokładnie.

– Przecież to pieprzony kit. Pułapka. Nie rozumie pan, generale?

– Nie mnie to oceniać. Zagrożone jest życie członka rządu. Nawet jeśli to istotnie zabójca, moim zadaniem jest go uwolnić. Porywacz nie chce negocjować z nikim poza oficerem ABW, panią major, która z pewnością zgodzi się na udział w operacji odbicia ministra, prawda, pani major?

Marta potaknęła. Miała inne wyjście? Poza tym to była jej sprawa. Bez względu na skalę ryzyka chciała dopaść Szarawarskiego i tego, kto go przetrzymuje.

Bardzo chciała.

Milik za to nagle poczuł, że ma dwa wyjścia: okazać się albo tchórzem, albo bohaterem. Jednak nawet ojciec nie chciał mu pomóc w wyborze drogi. Siedział w ciemnościach otumanionego umysłu i nie wychylał głowy. Tchórzem byłem przez całe życie – pomyślał Bartek. Bohaterem mogę być bardzo krótko. Ale może warto się przekonać? Możliwość zrobienia supermateriału dziennikarskiego na każdego pismaka powinna działać motywująco. W końcu dlaczego jeżdżą na te wszystkie wojny?

Tyle że ja się nie pchałem na żadną wojnę. Jestem dziennikarzem ekonomicznym, a nie korespondentem wojennym.

Sońko jakby wyczytał te myśli z jego oczu.

– Problemem jest drugie żądanie porywacza – rzekł – bo nie mogę nakazać panu Milikowi wzięcia udziału w naszej akcji i w zasadzie powinienem się temu sprzeciwić. Jest pan cywilem, panie Milik, prawda?

Milik zadrżał. No, panie bohaterze, decyzja przed panem.

– Powiedział pan „w zasadzie”?

– W końcu jest pan dziennikarzem, a czasem zezwalamy dziennikarzom na udział w akcjach, więc możemy tu zrobić wyjątek. Co wy na to?

– Przecież mówię wam wszystkim, że to pułapka! – wrzasnął

Greg, waląc pięścią w stół.

– Być może – odparł spokojnie Sońko. – Ale musimy spróbować ciągnąć tę grę. Będziecie cały czas pod obserwacją.

Porywacz, o dziwo, nie miał nic przeciwko obecności Grega przy Marcie i Miliku. Poleciał, by wsiedli do taksówki i pojechali Wisłostradą w kierunku wyjazdu na Gdańsk. Porozumiewali się przez komórkę, którą dostali od Sońki.

Dziesięć minut później przyszedł SMS. Nadawca nakazywał zapłacić za taksówkę i wysiąść. Zostali na ulicy, rozglądając się za śledzącymi ich agentami, ale nikogo nie zobaczyli. Wkrótce zatrzymała się przy nich inna taksówka. Młody wesoły kierowca krzyknął przez otwartą szybę: – To wy zamawialiście kurs do Gdańska?!

Gdy wsiedli, pogłodził dudniącą muzę i oznajmił: – Trzeba mieć fantazję, by tak nagle wymyślić sobie wyjazd nad morze, i to taksówką. Macie kasę?

Nie odpowiedzieli, więc szybko stracił animusz.

Greg chrząknął, wyjął legitymację i szepnął:

– Nie gadaj za dużo, tylko rób, co mówimy. Bierzesz udział w akcji specjalnej, kolego.

Polacy nauczyli się już, że papier, dokument czy inna ściema gównem może im zrobić.

– W dupie mam... – zaczął taksjarski, pokazując im drzwi.

Nie dokończył, bo miejsce legitymacji zajął sig-sauer.

– Nie chcę ci go przystawiać do głowy, chłopcze. Zachowujmy się w sposób cywilizowany.

Kilka kilometrów dalej sytuacja ze zmianą taksówki się powtórzyła. Tym razem jednak porywacz kazał im zostawić wszystkie telefony w opuszczanej taksówce.

– A pierdol się! – powiedział Greg i nie chciał oddać telefonu.

– Na razie wykonujemy polecenia – upomniała go Marta. – Nie martw się, chłopaki Sońki odbiorą nasze rzeczy i nas nie zgubią.

Greg rozejrzał się niespokojnie.

– Nie byłbym taki pewny. Dlaczego nigdzie ich nie widać?

Marta odpowiedziała drwiącym uśmiechem.

– Na tym to polega, by nie było ich widać. Nie martw się.  
Jednak, prawdę mówiąc, i ona była zaniepokojona. Coś tu nie grało.

W kolejnej taksówce na tylnym siedzeniu czekała teczka.

– Jakaś babka kazała mi wam ją oddać.

W środku był tablet z uruchomionym komunikatorem. Był to jakiś dziwny program, prawdopodobnie zaszyfrowany i nie do namierzenia.

<Cześć, słuchajcie mnie, a wszystko będzie dobrze> – napisał porywacz.

<Dokąd jedziemy?>

<Zobaczycie. Nie próbujcie żadnych numerów, bo z umowy nici i nigdy nie dowiecie się prawdy. Zabiję Szarawarskiego i zniknę.> – To zabij – mruknął Milik.

Ale i on był ciekaw rozwiązania. Bandzior całkiem nieźle to wszystko sobie wymyślił. Tylko jak chce się pozbyć agentów ABW, którzy – jak obiecywał Sońko – na pewno ich śledzili? Nie mogli się urwać. Nie było na to sposobu. Na dobrą sprawę pewnie gdzieś z powietrza śledzi ich śmigłowiec albo inny sprzęt latający. Może jakieś drony. Czy ABW ma drony szpiegowskie, takie jakich CBA używała do śledzenia biznesmenów i ministrów zamieszanych w aferę gruntową?

Taksówka wyjechała z terenów zabudowanych i nagle skręciła w lewo, na pola prowadzące do lasu. Nikt nie skręcił za nimi. Nie widzieli żadnego helikoptera ani samolotu.

– Macie jakieś bezzałogowe gówna od Amerykanów? – zapytał Milik. – A może pożyczyciście satelitę na czas operacji.

– Nie wiem, co jest grane – mruknęła tylko Marta.

Taksiarz sprawdził na GPS, że dotarł do celu, i wysadził ich w środku lasu.

<Ładnie, prawda?>

Nie odpowiedzieli.

<Zaraz po was podjadę. Upewnię się tylko, czy Sońko nie jest pieprzonym kłamcą.> „Zaraz” trwało na tyle długo, że zdążyli nieźle zmarznąć. Gdy już zaczęli na poważnie myśleć, że nieźle z nich zakpiono, usłyszeli warkot potężnego silnika i z leśnej drogi wyłoniła się wielka terenowa limuzyna.



– To hummer. Nie miał niczego mniej rzucającego się w oczy? – odezwał się Greg.

Hummer stanął koło nich, drzwi otworzył niewysoki, gruby mężczyzna. Miał na głowie futrzaną czapę na rosyjską modłę, czerwone, równie rosyjskie policzki, szpeciniasty siwy zarost, który czynił zeń pół człowieka, pół niedźwiedzia (a może raczej bobra), i w ogóle był bardzo rosyjski.

– *Zachodit'e, riebiata!* – krzyknął wesoło, zupełnie jakby byli w jakimś reality show, a nie w trakcie poważnej sprawy, w której już parę osób straciło życie.

Gdy wsiedli, poczciwa twarz Rosjanina wciąż utrzymywała przyjazne pozory, ale w jego rękach pojawił się niewielki pistolet.

– Tylko bez głupstw, kochani.

Obok siedział pomnikowy milczący ochroniarz ze znacznie większym pistoletem maszynowym w dłoni.

Zajmowali miejsca po jednej stronie, misiowaty z ochroniarzem po drugiej. Część pasażerską oddzielała od kierowcy i drugiego ochroniarza szyba pancerna. W środku, pomiędzy siedzeniami, wyrósł nagle podróżny stolik, a na nim zmrożona butelka rosyjskiej wódki.

– Takie spotkanie należy opić.

Marta odsunęła kieliszek, który jej podał.

– Więc to wy stoicie za tym wszystkim?

– My? – zdziwił się Rosjanin. – My robimy wszystko, żeby uchronić się od podobnych podejrzeń, co, mam nadzieję, szybko sobie wyjaśnimy. Niech pani nie będzie niegrzeczna, proszę się napić.

– Pan pierwszy.

– Niech będzie. – Wypił, napełnił drugi kieliszek i podał go Marcie. – Dobra wódka, proszę wierzyć.

Wypiła. Gospodarz nalał wódki Milikowi, a potem Gregowi, który jako jedyny uprzejmie docenił jakoś trunku, kiwając z uznaniem głową.

– Na wstępie może coś wyjaśnię – podjął Ruski. – Żebyście nie bali się o swoich współpracowników, którzy niby mieli się wami opiekować i ubezpieczać. Umówiliśmy się z panem

generałem Sońką, że nie będzie żadnych niespodzianek i nikomu nic się nie stanie, więc grupy operacyjne są tu zbędne. Pan Sońko przyznał mi rację i tak jesteśmy tu, w lesie, tylko my. Ja i wy. Nie oczekujcie... odsiecz.

Dlaczego nie jestem zdziwiona? – pomyślała Marta. Jej towarzysze także nie wyglądali na zaskoczonych. Greg popatrzył na nich z dumą: mówiłem, że to pułapka. A więc dlatego nie widzieli żadnych agentów w pobliżu. Nie było ich od początku. Niezła ściema. Tylko po co całe to udawanie?

– Dla pozorów trzeba było pokłuczyć – wyjaśnił szybko Rosjanin. – Żebyście za wcześnie nie nabrali podejrzeń. No, ale teraz wyjaśnienia wam się należą. Zdaje się, że to będzie dzień oświecenia...

– Oby – mruknął Milik.

– Na imię mi Alosza. Dziwne imię jak na szpiega, prawda?

– Dziwne – przyznała Marta.

– Takie mi dano i takie mam. Wcześniej na placówce był Władimir, potem Wołodia, wreszcie Giennadij. To były dobre imiona dla szpiegów, ale Alosza? Jakie czasy, tacy szpiedzy. Dziś wiele się zmieniło. Wszyscy porządni szpiedzy wyładowali w biznesie, na placówkach zostały tylko takie niedobitki jak ja. Nie będę się przed wami kreował na Bóg wie kogo. Z każdej porządnej roboty wywalano mnie za picie, aż w końcu wyładowałem w Warszawie. A był czas, że przechadzałem się jak król po słonecznym Madrycie. Ech, było, minęło.

– Jaką fuchę panu dano?

– Alosza – przypomniał. – Proszę mi mówić po imieniu, miło będzie. Jestem niby attaché handlowym, ha! Niezła fucha. Niby dużo handlujemy, ale biznes teraz lepiej sam sobie radzi, bez pośrednictwa ambasad, bo to jest potrzebne tylko wtedy, gdy pojawia się problem...

Alosza wyraźnie zamierzał się rozkręcić, a Milika zżerała innego rodzaju ciekawość.

– Dobrze, wyjaśni nam pan swoją rolę w tym...

– ...burdelu? Takiego słowa zamierzał pan użyć? Jeśli tak, to chyba jest właściwe określenie. Niezły burdel nam zrobił ten wasz minister.

– „Nasz minister” – powtórzył Milik. – A co pan tu robi? Porwanie chyba się nie mieści w działaniach dyplomatycznych?

– Moja rola? Myślicie, że maczałem palce w tym porwaniu? O nie, kochani, ja tu tylko sprzątam. Można powiedzieć, że chwilowo przyjąłem rolę fałszywego porywacza, żeby doprowadzić was do prawdziwego. Ale zanim wszystko wyjaśnię, poproszę o waszą broń. Tak na wszelki wypadek, żeby nie doszło do incydentu o skutkach międzynarodowych. Popiję się dwóch sąsiadów, pobije, a potem narody wszczynają wojny, głupota...

Ochroniarz mocniej ścisnął automat. Greg niechętnie oddał sig-sauera, a Marta glocka.

– To z tej zabawki zrobiła pani porządek z ludźmi Szakala? Nieźle. A pan? – zwrócił się do Milika.

– Ja jestem dziennikarzem.

– I nie nosisz broni, chłopcze? Oj, w Moskwie to ty byś długo nie pożył, nie pożył.

– Była tragedia, jest komedia – mruknął Milik. – Niech pan w końcu powie, o co chodzi, bo to przestaje być zabawne.

– Dla nas nie jest zabawne od dawna.

Szakał znużył się wypatrywaniem zleceniodawcy przez okno i usiadł naprzeciwko Szarawarskiego, mrużąc oczy.

Widzisz, staruszk, myślenie kutasem do niczego dobrego nie prowadzi – skonstatował, patrząc na wystraszonego ministra. Z miłości wszystko się popierdoli. Jak to mówią w pełnym pokrętnych gierkach światku finansjery: przestaje się dostrzegać formacje trójkątów zwiastujące bessę. A warto zwracać uwagę na trójkąty...

Szarawarski siedział na fotelu, tak jak porywacz mu rozkazał. Milczał. Był posłuszny i śmiertelnie błądny.

Jeszcze gotów wykitować na zawał. No, nie bądź takim sztywniakiem, powiedz coś, zażartuj, uśmiechnij się.

Nie chcesz?

Mógłbym cię rozbawić, gdybym chciał. Czym? Choćby opowieścią o trójkątach i ich formacjach, w której zapewne byś się rozpoznał. Po której zrozumiałbyś, jakim byłeś beznadziejnie bezmyślnym baranem.

O tak, mógłbym ci opowiedzieć ciekawą historię, a może nawet dwie.

Nie wierzysz? Posłuchaj zatem historyjki o głupku, który myślał, że jest na szczycie i kąpie się w szczęściu. O facecie nie tylko niewidzącym trójkątów, ale też niepamiętającym nawet o efekcie motyla ani o starych, dobrych rozważaniach kabalistów na temat równowagi. Jesteś kabalistą, prawda? Przekonali cię do założenia na przegub dłoni czerwonej nitki, tajemnego znaku sekciarzy, których ty uważasz za filozofów. Może nawet słusznie, bo przecież są całkiem niegłupi. Ale w tym katolickim kraju oddanych zakłamanemu hipokrytów takie akcje nie przechodzą. Trzeba się ukrywać.

Głupiec, o którym myślę, też był kabalistą. Cóż za przypadek...

Sięgnął po wyciągniętą przyjaźnie dłoń, która miała wprowadzić go na szczyt.

Oddał im się całkowicie, jak Judasz za parę srebrników. Sprzedał ciało i duszę. Piął się za ich pieniądze po szczeblach kariery, aż dotarł na ten pozorny wierzchołek, skąd już nie dostrzega się nizin, gdzie przecież wszystko ma początek. Tak, to wielki błąd nie widzieć kielkujących ziaren, o które trzeba dbać, bo inaczej nie wyrosną.

Jego już to nie obchodziło. Uznał, że skoro nim zajęli się inni, to o resztę też zadbają. Stał się cholernym władcą obłaskawianym przez samego premiera, zapraszany do łoża VIP-ów, ściskanym przez wylewnych polityków i pozornych nadzorców. Szpicą establishmentu.

Ale to wszystko było kłamstwem.

Tak naprawdę pozostał jedynie zwykłym słupem. Podstawionym gogusiem, który nic nie znaczy. Odbierającym telefony o każdej porze dnia i nocy, gotowym wypełnić nawet najpodlejsze polecenia swoich mocodawców. Ile Polski w ten sposób sprzedał? Nie czuł obrzydzenia do samego siebie? Mógł spać z takim ciężarem na sumieniu?

Pewnie.

Jego to wszystko przecież nie ruszało. W kraju złodziei, oszustów i cwaniaków także na górze muszą być sami cwaniacy. Tak sobie myślał? Tak to tłumaczył?

A może zrzucał to wszystko na nią. Na jej zepsucie. Na zapatrzenie, chuć, miłość.

To dla niej chciał zdobyć świat, bo widział, jak imponuje jej przepych ministerialnych salonów, blichtr proszonych kolacji i prywatnych koncertów, zakupy w Paryżu czy wakacje na Florydzie.

Wciągnęła go formacja trójkąta. Zawładnęła jego pustą duszą. Pod tym względem nie różnił się od wielu innych staruchów z wypchanym portfelem, którzy dają się złowić takim cipkom, czasem zwykłym kurewkom, pijawkom, a czasem czarnym pumom, kusząco pięknym, skradającym się ku upatrzonej zdobyczy.

Tak, tacy jak on nie myśleli, że mogą paść ofiarą.

Dla niej zostawił starą żonę i dzieci. Dał się porwać spóźnionej miłości. Omamić młodzieńczej urodzie i pasji

drzemiącej w gibkim, kocim ciele. A ona? Oszukiwała go od początku, jak przystało na takiego polującego drapieżnika. Nawet nie była specjalnie ostrożna, bo i po co? Bawiła się jego zazdrością i podejrzliwością. Darzyła go szczerym uczuciem... nienawiści.

Tak, nienawidziła go za to wszystko, a najbardziej za swoje odbicie w jego oczach. Widziała w nim kogoś zupełnie innego, niż była. Przynajmniej kiedyś.

Biedny głupiec nie wierzył własnym zmysłom, gdy zobaczył jej samochód na hotelowym parkingu obok wozu Witolda. Nie widział jeszcze tworzącej się nowej formacji trójkąta.

Jakby chcieli dać mu sygnał. Pokazać, gdzie jego miejsce. Wyszepać pełnym jadu głosem: oto kim jesteś, głupcze, pieprzony rogaczu. Jesteś tylko jeleniem, którego wykorzystaliśmy po drodze, i na zawsze nim pozostaniesz.

Jego piękna, młoda żona miała być w zupełnie innym miejscu, gdzieś na drugim końcu kraju. Uczestniczyć w akcji organizowanej przez pewną fundację, zbierając datki na biedne dzieci. A tymczasem, drwiąc z niego, była tu, za jednym z tych okien zatopionych w kamiennych ścianach mazurskiego hotelu. W chłodnej pościeli ścisnęła ciało... wroga. Jakby jeszcze bardziej chciała go upokorzyć, wybrała kogoś, kogo i tak nienawidził. Jak mogła? Gryząc poduszkę, łkała namiętnie, a potem śmiała się ze starego rogacza, który uwierzył w swoje szczęście.

Datki na dzieci.

On też zbierał datki, tyle że nie na biedne dzieci i nie od zwykłych ludzi.

Cóż za przeklęty przypadek, że trafili do tego samego hotelu! Cóż za niezrozumiała przewrotność losu! Ironia chłuszcząca próżność.

Szakał widział wtedy tego żalosego biedaka.

Dobrze znał takich jak on. Wiele razy musiał przeprowadzić z nimi ostatnią rozmowę, gdy wymykali się spod kontroli, chcieli się usamodzielnąć, bo uważali, że spłacili dług, że już nic nie muszą robić, nikomu nie są nic winni. Tkwiąc w złudnym przekonaniu, że ich rola jest znacznie poważniejsza, nagle

dostawali szajby i wyprowadzali z równowagi prawdziwych władców świata. A ci sięgali po telefon i wzywali Szakala lub jemu podobnych.

Teraz stał tu, wynajęty przez jednego ze swoich mocodawców, i czuł myśli rogarza, jego niepokój, przeпоcony podkoszulek i stan przedzawałowy. Staruch nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o młodej żonie pieprzącej się z kochankiem. Na dodatek z NIM. Z człowiekiem, którego nie darzył ani sympatią, ani szacunkiem. Kretem, szpiegiem, wiecznie knującym spiskowcem. Znał sławę tego żałosnego koguta. Wiedział, że nie przepuszcza żadnej ładnej dziewczynie. Gdzieś w umyśle ministra rodziły się różne teorie spiskowe. Może jego wróg zrobił to specjalnie. Może celowo chciał go upokorzyć.

Mężczyzna zawsze myśli stereotypami. Nie jest w stanie uciec od samczych instynktów.

Zamiast więc skupić się na negocjacji porządnej wziętki, potakiwał trzem grubasom rozkradającym na jego oczach państwowy majątek, jednocześnie knując już przeciwko własnej żonie i pieprzonemu Sworowskiemu, który śmiał mu rzucić rękawicę.

Nie przewidział, że właśnie wpada w pułapkę.

Po kolacji zamówił do pokoju prostytutkę i robił jej wszystko to, co chciał zrobić żonie. Co obiecał jej zrobić, jak tylko będzie miał okazję. Samochody już zniknęły, co trochę go uspokoiło. Byłoby to doprawdy perwersyjne, gdyby pieprzył prostytutkę w tym samym hotelu i w tej samej chwili, gdy żona zdradza go z – jakkolwiek by na to patrzeć – partnerem biznesowym i poniekąd podwładnym.

Potem, nad ranem, gdy był już sam, dopadł go równie znany mechanizm samooskarżenia powiązany z oczyszczeniem.

A jeśli to przypadek?

Co oznaczają dwa stojące obok siebie samochody?

Przecież samochody nie pieprzą się ze sobą.

Ileż to razy niesłusznie posądzal kogoś o coś, czego ten nie zrobił?

Dalej poszło z górki. Samonakręcająca się maszynka do

psychodramy wynajęła detektywów, którzy zamiast wypełnić zadanie, oszukali go i okłamali. „Twoja żona jest wierna, nic nie znaleźliśmy”. Za to zaczęli szantażować nie tych co należy i dziś gryzą piach. Kostka domina została poruszona. Chwiała się przez chwilę, po czym opadła i wywołała niepowstrzymaną reakcję.

Wszystko ma przyczynę, z czegoś wynika. Dobrze o tym wiesz.

Za oknem zaczął lekko prószyć śnieg, dlatego Szakał zobaczył samochód dopiero przy podjeździe. Osoba, na którą czekał, wjechała na teren posesji, zamknęła bramę i pobiegła do domu. Wszystko, jak kazał. Grzeczna dziewczynka.

Upewnił się, czy Szarawarski siedzi, jak mu nakazał.

Usłyszał stukot butów na ganku, uchylił mocniej drzwi przedsionka, a potem otworzył wejściowe, zanim ona zdążyła to zrobić.

Uśmiechnęła się do niego.

Była bardzo piękna.

Za każdym razem wywoływała u niego tę reakcję.

Doprawdy rzadko się zdarza osoba tak piękna i tak zła.

Czysta przyjemność.

Otrzeпаła śnieg z płaszcza, zdjęła okrycie i pogłaskała go po policzku.

– W porządku?

– Tak jak chciałaś.

– Świetnie.



– Układ jest taki. Dostaniecie wszystko na tacy, całą historię i miejsce pobytu Szarawarskiego, Szakala i innych... porywaczy. Warunek: pan Milik zapomni o naszej roli w tej sprawie. Nigdzie w pańskich artykułach nie pojawi się rosyjski wywiad ani żadne bzdurne podejrzenia lub oszczerstwa, które mogą panu przyjść do głowy, rozumie pan?

Samochód przystanął na skraju lasu. Z okna po prawej widzieli tylko gęstą ścianę lasu, przerzedzającą się dopiero u stóp niewielkiego wzniesienia, na którym się zatrzymali. Z lewej była stara, od dawna nieużywana żwirownia, stosy wykopanych gładów, fałdy piachu oraz ośnieżone karłowate krzewy. Za żwirownią, na kolejnym pagórku, tuż przy lesie, widniały jakieś zabudowania. Z tej odległości Milik widział tylko, że to jakaś willa, może mały pałacyk współczesnego władcy świata, jednego z tych biznesmenów bez skrupułów i poczucia wstydu, jakich wielokrotnie opisywał.

– Nie – powiedział krótko.

– Jak to nie?

– Nie będzie żadnego układu.

Rosjanin nie bardzo się przejął. Rozłożył ręce i rzekł:

– No to nie będzie dealu.

Mówił po polsku prawie bez akcentu. Marta pomyślała, że zdradzają go tylko niektóre słowa. Od biedy mógłby udawać Polaka ze wschodu, choć to nie byłoby łatwe. Ale po co miałyby udawać? To nie był przecież żaden przykrywkowiec, tylko oficjalny, akceptowany agent. Oficjalny szpieg, rezydent.

– To nie będzie. – Udawanie twardziela wychodziło teraz Milikowi naprawdę nieźle. Marta i Greg spojrzeli po sobie. Czyżby przechodzili na stronę przeciwnika? Dodał więc szybko: – Sorry, ale rosyjski szpieg nie będzie mi pisał artykułów. Ja wysiadam, wy możecie się dogadywać. Bez urazy, panie... Alosza.

– Ależ ja nie chcę panu pisać artykułów.

– To czego pan chce?

– Proszę tylko, żeby pominął pan zupełnie nieistotny dla sprawy, wręcz nieprawdziwy wątek. Jedynie tyle. Jeśli pan go opisze, spowoduje kolejne napięcie pomiędzy naszymi narodami. Za pomocą kłamstwa.

– O narody niech się pan nie martwi. Całkiem dobrze sobie radzą.

– Czyżby? Nie wydaje mi się. Nienawiść po obu stronach rośnie. Bójka w Warszawie, w której ucierpieli nasi obywatele, szybko poskutkowała rewanzem ze strony rosyjskich nacjonalistów. Śmierć rodzi śmierć, gwałt gwałt. Cios za cios. Takimi jesteśmy braćmi.

– Miałem kiedyś przyjaciela pioniera. Do dziś wymieniamy maile. Cóż, ja wysiadam, a wy się dogadujecie – rzucił do Grega.

Słońce wychynęło na sekundę zza grubej warstwy chmur, mrugnęło nieśmiało okiem, oświetliło cień siedzącego na sośnie myszołowa i zgasło. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, zatoneło w szarudze, jakby dawało im jakiś znak.

– Prasa zawsze stwarzała problemy – westchnął Alosza. – Jeśli nie będzie umowy z panem, nie będzie też z nimi. Wasz minister *pogibiot*, a wy nigdy się nie dowiecie, o co w tym wszystkim chodziło. Pan zaś, panie Milik, napisze pewnie reportaż, który w połowie będzie stekiem bzdur.

Draniowi zależało. Zależało mu bardziej niż im.

Milik wyczuł szansę i zaatakował.

– Próbowaliście zwerbować bardzo wysokiego urzędnika państwowego albo robiliście z nim inny ciemny szwindel, a teraz chcecie zamieść tę sprawę pod dywan i myślicie, że ja to kupię? Tu nie Rosja, nie zabija się dziennikarzy i nie kasuje tekstów w gazetach. Rączki pana Putina są za krótkie.

– Putin ma to w dupie. W ogóle ma w dupie Polskę, nie zauważył pan, Milik?

– To dlaczego tak panu zależy?

– Przez pięć lat, jak tu u was pracuję, nic się nie działo. Święty spokój i w miarę normalne stosunki. Owszem, zdarzały się kryzysy. A to ktoś kogoś po pijaku wyzwał, a to ktoś kogoś ukatrupił. Wy wywaliliście paru naszych agentów, my paru

waszych. Kilka drobnych incydentów na granicach, kilka innych gdzieś na terenie. Wszystko zaczęło się normalizować i działać jak trzeba. A pan chce to, jak wy to mówicie... rozpiżdzić.

– Niczego nie chcę... rozpiżdzić. Chcę tylko pisać prawdę. Bez wkrętek...

– To niech pan pozna prawdę.

– Chętnie. Proszę ją opowiedzieć.

Alosza wypuścił głośno powietrze i sięgnął po flaszkę. Nalał do kieliszka, wypił sam. Potem nalał każdemu z nich. Na końcu Milikowi.

– A jak pozna pan prawdę i nie będzie tam miejsca dla nas?

– Wtedy się nie pojawicie.

– Obiecuję pan?

– Obiecuję.

– No dobra, niech stracę.

Alosza ponownie napełnił kieliszek. Milik tym razem odmówił, podobnie jak Marta. Za to Greg wyraźnie się rozkręcał. W końcu Alosza strzelił palcami i zaczął opowiadać:

– Dobra, to może zacznę od początku, kiedy pojawiliśmy się w tej historii, czyli od wakacji ubiegłego roku. Początek, jak to bywa, był zupełnie zwyczajny i przypadkowy. Pewnego słonecznego lipcowego czy też sierpniowego poranka odebrałem telefon. Mój rozmówca twierdził, że dysponuje dokumentami, które powinny mnie zainteresować. Rzecz jasna, zapytałem, dlaczego akurat mnie, a on mi to szybko wyjaśnił. I muszę przyznać, że miał rację. Właściwie trafił. Spotkałem się z owym panem i kupiłem to, co oferował. Możecie się już pewnie domyślić, że chodziło o raport szanownego pana detektywa Wojtkowskiego. Wysłał do mnie swojego pracownika, którego nazywał Mały i który, jak na ksywkę przystało, miał wybadać, czy to, co posiadają, jest warte tyle, ile im się wydaje. Zażądali niezbyt wiele, zaledwie sto tysięcy w tej waszej nieszczęsnej walucie, więc zapłaciłem. Po tygodniu odezwał się więc pan Wojtkowski, już bezpośrednio, całkowicie przekonany, że wartość posiadanych dokumentów jest znacznie wyższa i sięga dziesięciu milionów. Dolarów. Nie

wiem, co oczami marzeń widział pan Wojtkowski. Może chciał kupić willę w Malibu, może nakręcić film... pewnie wiecie, że był wielkim kinomanem... a może po prostu wydać na prostytutki, z których usług nader często korzystał. Przedstawił mi teorię, dlaczego miałbym tyle zapłacić, i przyznając, że gdyby ta teoria była prawdziwa, to dziesięć milionów dolarów za utrzymanie jej w tajemnicy wcale nie byłoby kwotą wygórowaną. Coś, co jest warte dziesięć milionów, może być równie dobrze warte i sto. Może też być warte życie. Jesteście ciekawi, jaka była teoria owych niewydarzonych detektywów?

Alosza przerwał i znów polał. Ponownie wypił z nim tylko Greg.

– Możemy się domyślić – szepnęła Marta. – Wojtkowski dowiedział się, że Suzi spotkała się z waszym agentem na ławce w parku i przekazała mu jakieś materiały. Może go śledził, a może zadziałało coś innego, w każdym razie szybko wydedukował, że skoro żona ministra skarbu kontaktuje się z kimś z rosyjskiej ambasady, to pewnie jest szpiegiem, kurierem albo jakimś śpiochem...

– No, przyznacie, taka informacja byłaby warta miliony...

– Albo życie – Milik przypomniał Aloszy jego własne słowa.

– Gdyby była prawdziwa...

– A nie była?

Alosza westchnął głośno.

– Ech, dziecinada... Gość z ławki w parku, co zajął miejsce pani Szarawarskiej, był jedynie trochę podobny do pracownika ambasady, którego zdjęcie można znaleźć bez trudu na naszej stronie. – Alosza pogmerał w kieszeni i wyciągnął dwie kartki ze zrzutami stron. Jedna przedstawiała nieco nawet podobnego do Aloszy faceta z brodą, druga odrobinę podobnego do nich obu gościa z ławki. Dodatkowo druga fotka była rozmazana jak w raporcie, który oglądali, co dawało złudne wrażenie podobieństwa do każdego gościa z brodą. – Ten pierwszy facet to attaché kulturalny naszej ambasady. Na stronie głównej zapraszał wówczas Polaków do uczestnictwa w roku kultury rosyjskiej i różnych wydarzeniach z tym związanych. Nie ma nic wspólnego z wywiadem. Nie jest żadnym szpiegiem.

– A ten drugi gość? – zapytał Milik.

– Skąd mam wiedzieć? Po prostu przechodzień, który postanowił usiąść na miejscu zagrzanym przez piękny tyłek... jak ją nazywacie? Suzi? Przez piękny tyłek Suzi Szarawarskiej, żony pieprzonego ministra. To zupełny przypadek, że ten facet był podobny do Fiodora, naszego specjalisty od kultury. Zresztą podobieństwo było dyskusyjne, no ale tam, gdzie pojawiają się jakieś luki w logice, diabeł zawsze potrafi wcisnąć swoje trzy grosze. Wojtkowski się tak zapalił, że nie chciał słyszeć o jakiegokolwiek pomyłce. Zaczął wykrzykiwać, że się napracowali i narazili na niebezpieczeństwo, nie informując o swoim sensacyjnym odkryciu ważnego klienta, jakim przecież był minister skarbu. Mało tego, zaryzykowali wręcz zdradę kraju, który swoją drogą prawdopodobnie mieli głęboko gdzieś. Właściwie więc wycenili informację.

– Co pan zrobił?

– Posłałem go do diabła.

– Obaj zginęli – zaskrzeczał przez zaschnięte już gardło Greg.  
– Wojtkowski i ten drugi.

– Z tego, co słyszałem, zmarli na zawał – powiedział spokojnie Alosza.

– Okazało się, że informacja jest warta więcej niż miliony dolarów – dodał z przekąsem Milik. – Była warta ich życie. Osobiście pan to wykonał, a może ten tutaj? Czy też komuś zleciliście?

– Panie Milik, nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Zawał serca to choroba. Nic nie poradzimy, że zdarza się również u osób, z którymi miewamy kontakty.

– Dobra, dobra, panie szpiegu...

– To się odbywa tak – przerwał Alosza. – Ja negocjuję, rozmawiam, przekonuję i przekazuję z tego wszystkiego raporty. Nie jestem odpowiedzialny za wynik negocjacji. Rekomenduję różne rozwiązania i na tym moja rola się kończy. W tym wypadku, proszę mi wierzyć, rekomendowałem, żeby całkowicie sobie odpuścić. Nie mieliśmy żadnego związku z tą sprawą. Pan Wojtkowski mógł ją sobie sprzedawać, komu chciał. Gazetom, waszemu wywiadowi. Mieliśmy to gdzieś.

– Ale...

– Ale nie ja podejmuję wszystkie decyzje. Nie wiem, czy ktoś interesował się dalszymi losami raportu i samego detektywa Wojtkowskiego. Chłop zmarł, niech spoczywa w pokoju.

– Obaj wiemy, że go kropnęliście. – Greg oblizał usta. – To był kutas, wcale go nie żałuję Alosza wzruszył ramionami.

– Pana opinia, wolna wola. Mnie nic na ten temat nie wiadomo. Sprawę uznałem za zamkniętą, aż do dnia... – Spojrzał na zegarek z datownikiem. – Aż do dnia, gdy dostałem informację, że temat tego nieszczęsnego przypadku i błędnej identyfikacji Bogu ducha winnego gościa jako agenta wraca rykoszetem. Jak to mówią: jeśli czegoś nie skończysz, nie spalisz, nie zakopiesz, to zawsze wyjdzie. Takie, bładź, zombi...

– Nie może pan ode mnie żądać, żebym to całkowicie pominął – szepnął Milik, zdając sobie sprawę, że szczerłość w rozmowie ze szpiegiem nie musi być oplącalna.

– Uff, a pan swoje! Dobrze, zrobi pan, jak zechce. Ja zrobię, co do mnie należy.

– Czyli? – wtrąciła Marta.

– Napiszę raport, a co innego mogę?

– A pana koledzy wywołają kolejny zawal?

– Proszę zrozumieć. To, co się dzieje dalej, nie zależy ode mnie. Nie mam na to wpływu. Mogę więc was tylko przekonywać, że znacznie ciekawsze dla prasy może być to, co tak naprawdę wynika z tego zdjęcia. – Ponownie pokazał skan z rozmazanym facetem podobnym do rosyjskiego attaché kulturalnego i żoną ministra oddalającą się szybkim krokiem w kierunku wyjścia z parku.

– Proszę więc nam to wyjaśnić – ponaglił Milik.

– Dobry kontrakt powinien polegać na tym, że ja wam coś daję, a wy dajecie mi coś w zamian. Tymczasem ja oferuję wam rozwiązanie zagadki, wy zaś odpowiadacie: poprosimy, ale w zamian nie mamy nic do zaoferowania. To nie jest dobra postawa w negocjacjach. Raczej argument do ich zerwania.

– Przecież obiecałem, że jeśli powie mi pan prawdę, zastanowię się, jak skonstruować artykuł, żeby was nie dotknął.

– A przed chwilą mówił pan, że nie może pominąć naszej

roli.

– Zobaczmy. Niech pan w końcu powie, co ma do powiedzenia, a potem ponegociujemy. W końcu i tak macie przewagę. – Milik wskazał na uzbrojonego i cały czas milczącego ochroniarza.

– Co racja, to racja. Ale może najpierw... – Skinął butelką w kierunku Grega i nalał mu wódki do kieliszka. Potem polał sobie. – Picie z jednego kielonka zbliża ludzi. Piękny zwyczaj z krajów, w których męska przyjaźń znaczy więcej niż przywiązanie do higienicznych bzdur. Za Solidarności też podobno pito z jednego kieliszka, a teraz...

– Teraz wielu ludzi z Solidarności nawet nie chce usiąść ze sobą do stołu, a co dopiero pić z jednego kieliszka!

– Ot, kłótniwy z was naród.

– Niech pan wreszcie wyjawi, co wie – ponaglił Milik.

Rosjanin uśmiechnął się szeroko, wionąc dość obrzydliwym oddechem prosto w twarz dziennikarza. Następnie ponownie pokazał zdjęcie z parku, które tak dogłębnie analizowali na monitorze i tyle już razy oglądali dzisiaj.

– Tu tkwi rozwiązanie waszej zagadki. – Sięgnął po cienki marker i zakreślił okrąg pośrodku fotografii. – O, dokładnie tutaj.

Podłoga w holu skrzypnęła i kobieta weszła do środka. Szarawarski z początku jej nie poznał. Był zmęczony. Nigdy zresztą nie miał pamięci do twarzy, choć tę powinien zapamiętać ze względu na urodę, dość częste niegdyś spotkania, a także podle insynuacje, rozpuszczane przez wrogów i nieprzychylnych mu spiskowców, jakoby miał tę piękność podrywać. Odkąd poznał Suzi, nigdy żadnej nie podrywał.

Stała na środku pokoju i roześmiała się głośno.

– Ale masz minę – powiedziała, po czym podeszła i ucałowała go w policzek. – Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu, Tadeuszu. Nie mieliśmy okazji do spotkania już... całe miesiące.

– Co ty... tu robisz?

Spoważniała.

– A jak myślisz?

Zanim Szarawarski odpowiedział, do salonu wszedł Szakal. Uśmiechnął się ponuro. Dawno go tak nie cieszył widok kobiety. Szczególnie tej, która zgłębiła część jego mrocznej duszy. Jedyne ona, nie licząc prostytutek, poznała niemal każdy najczarniejszy sekret jego niezwykłych pragnień i nie uciekła, nie spłonęła z obrzydzenia, tylko zagłębiła się w tej chorobie, czerpała z niej i żywiła potwora. Okiełznała go, ujarzmiła, zawładnęła nim.

Był teraz jej poddanym. Służył jej.

Może dlatego wspomnienia pozostały tak dobre, że nigdy nie narzucała mu swojego zdania i nie próbowała go zdominować. Uprawiali seks i robili ze sobą interesy. Nic wielkiego. Za to seks był naprawdę dobry. Poznała jego upodobania i potrafiła je spełnić. Też to lubiła, nawet gdy był nieco za ostry i potem, w nocy, budziła się z bólu. Rany długo się goiły, a ona i tak nie okazywała nienawiści. Kochała go? Może. A może wykorzystywała?



To także przemknęło mu przez myśl, gdy kilka miesięcy temu zaproponowała deal. Nie, to w zasadzie on jej zaproponował. Mimo że nazywał ją zleceniodawcą, to jednak pomysł wyszedł od niego. To on nadał impuls, zainspirował jej wyobraźnię, a dalej... samo wyszło. No i zgodził się działać na kredyt, w imię przyszłych zysków.

Ależ jest wspaniała – pomyślał, patrząc na nią. Kobieta idealna. Jeśli miałyby się zakochać, to tylko w niej. Nawet ta druga, choć pewnie piękniejsza, tak go nie pociągała. Bo to zepsute serce i sponiewierana dusza czyniły z niej jedyną.

Miłość? Może jednak istnieje, porywa każdego, nawet takiego zatwardziałego, zbrukanego, wyzutego z uczuć drania jak on. Może narodziła się już tam, w hotelu, gdy po raz pierwszy się spotkali. Gdy zostawił na chwilę klienta i poszedł do baru na drinka, mając nadzieję na znalezienie prostytutki gotowej za odpowiednią zapłatę spełnić jego specyficzne oczekiwania. Szukał dziwki, a znalazł kobietę życia.

Ona też zauważyła go od razu. A potem prowokowała na tyle skutecznie, że zapomniał o swoich zasadach. Nie szukaj niebezpiecznych związków. Zwracaj uwagę na formację trójkąta. Kobiety są jak przepowiednia upadku. Po co zastępować przyjemność strachem? Jedna noc płatna z góry dostarcza ci wszystkiego, czego potrzebujesz. Miłość nie istnieje. Nie ma jej dla takich jak ty.

Jak bardzo jego analityczny umysł się mylił! Jak bardzo nie rozumiał własnych potrzeb! Znacznie później, po piątym czy szóstym razie, gdy cali obolali, zaspokojeni i szczęśliwi dyszeli z rozkoszy i zmęczenia, wpadł na ten pomysł. Jeden duży deal, jeden skok i koniec z tym wszystkim. Koniec z zabijaniem, nieustanną ucieczką. A potem odlot daleko, poza granice czasu. Gdzieś, gdzie nikt nie będzie znał ich przeszłości.

Czy na pewno tego potrzebował?

Patrzył na nią i nie był pewien odpowiedzi. Nie był nawet pewien, czy wszystko to nie jest jednym wielkim oszustwem jego chorej wyobraźni. Może zrobiono mu kawał? Może od początku go urabiała? Nie, kochała go tą specyficzną miłością dwóch sponiewieranых dusz. Była taka jak on, tak samo się

różniła od całego wrogiego otoczenia. Oboje nie mieli skrupułów, nie mogli żałować świata, który tak ich skrzywdził.

Poczuł się nagle lekko i dobrze. Był szczęśliwy. Nie przejmował się nawet tym, że nie wszystko poszło jak trzeba. Nie żałował swoich żołnierzy, utraconych korzyści, błędów – niczego. Ona mu to wynagradzała. Jej widok teraz i świadomość, że już na zawsze będą razem. Zbrodnia ich połączyła i tylko śmierć może rozłączyć. Jedyne ona ma moc oczyszczającą.

– Cześć, co tak długo? – objął ją i pocałował w policzek.

Zapach jej włosów. Wspaniałe zapach.

Poczuł wzwód i zapragnął ją wziąć.

Tu, przy tym cholernym ministrze. Pokazać mu, jak się pieprzy kobietę. Pokazać, w czym tkwi jego problem. Nie umiesz pierdolić swojej żony, więc ona musiała się postarać o lepszy seks. W głębi duszy wiedziałeś, że wcześniej czy później to zrobi. Ale ona cię przechytrzyła. Nie dała się złapać. Nie potrafiłeś też szukać. Kobieta nie musi zdradzać z mężczyzną. Zapomniałeś o tym drobnym szczególe? A może to by ci nie przeszkadzało? Chciałbyś mieć takie gorące kotki w łóżku. Tylko po co ci dwie, jeśli nie potrafisz zaspokoić jednej, żalony bucu? A muszę ci powiedzieć, że to niezwykle przeżycie. One dwie i ty jeden. Niewyżyte, seksualnie zboczone, napalone jak kotki w rui. Wspaniałe. Ale ty nigdy nie będziesz o tym wiedział.

– Grzeczny był? – zapytała.

– Grzeczny. Potrzebujemy go jeszcze?

– Nie, ale musimy to zakończyć mądrze, żeby nikt się nie zorientował.

– Łatwo nie będzie – skrzywił się. – Moim zdaniem trzeba zabierać zabawki i się zmywać.

– I zostawić wszystko?

Wzruszył ramionami.

– W sztuce wojennej jest takie powiedzenie: jeśli nie potrafisz zostawić tego, co masz, to już jesteś trupem. Skoro i tak nie możemy wszystkiego zachować, trzeba się zmyć z tym, co damy radę zabrać. Jest tego całkiem dużo, prawda?

Spojrzała na niego groźnie.

– To twoje pieniądze – uspokoił ją. – Moją część już zapłaciłaś.

– Nie pracujesz dla pieniędzy, prawda? Nie jesteś tu dla pieniędzy?

– Nie – przyznał.

– Ktoś mnie kiedyś uczył: strzeż się ludzi trudniących się niebezpiecznymi zawodami i niepracujących dla pieniędzy – powiedziała, naśladując jego belferski ton.

– To psychopaci – przyznał z uśmiechem.

Usłyszeli delikatne chrząknięcie. Szarawarski przysłuchiwał się ich rozmowie z rosnącym zdumieniem i w końcu nie wytrzymał.

– Nie traktujcie mnie jak powietrze! – wrzasnął.

– A kim ty jesteś? – Kobieta poszarzała na twarzy. – Jesteś tylko powietrzem, a za chwilę i tak cię nie będzie. Znikniesz, ot tak. – Potarła palec serdeczny o kciuk i pstryknęła, jakby rozbijała mydlaną bańkę.

– Co zamierzacie ze mną zrobić?

– O tym... zdecyduje ktoś inny. O, właśnie nadjeżdża.

Na podjeździe parkowała niewielka terenowa toyota, dobrze znana Szarawarskiemu. Już zrozumiał, w jakiej mgłę się poruszał. Choć to przechodziło jego wyobrażenia.

Mimo wszystko na twarzy wykwitł mu wyraz zaciętego protestu. I tak wam nie uwierzę. Jedno wielkie kłamstwo. Nie wierzę. Nie wierzę.

Nowo przybyła miała na sobie dzinsy i krótką kurteczkę z kapturem obszytym ozdobnym sztucznym futerkiem. Była tak samo zjawiskowa jak zawsze, jednak w całej postaci i twarzy coś się zmieniło. Ledwie poczęstowała go ochłapem spojrzenia, machnęła ręką i rzuciła:

– Cześć, kochanie.

Jakby nic się nie wydarzyło. Jakby właśnie wróciła z zakupów.

A potem objęła dłońmi szyję drugiej kobiety. Przyjaciółki. Kochanki.

Pocałunek, którym cieszyły się przez dobre pół minuty,

zdecydowanie nie należał do przyjacielskich. Nawet Szakal był trochę zażenowany. Choć patrzył na scenę głodnym wzrokiem sprovokowanego samca.

Alosza roześmiał się głośno i jeszcze raz stuknął markerem w fotografię.

– Wpadliśmy na to przypadkiem, wynik zwykłej skrupulatności. Skoro detektyw robi zdjęcie z tej odległości, to chyba nie po to, żeby sfotografować plecy dziewczyny. Nie, on chciał uwiecznić drugą kobietę, która podeszła z boku do Szarawarskiej. Żona ministra siedziała na tej przeklętej ławce, bo czekała na znajomą. Gdy ją zobaczyła, ruszyła na spotkanie. Detektyw zaś cyknął fotkę. Niestety, trochę za późno, bo obie były już odwrócone plecami. Za to sfotografował na ławce faceta wyglądającego jak milion innych brodaczy, w tym ja czy nasz attaché kulturalny. Szpicel szedł potem za nimi, aż wstąpiły do kawiarni, a następnie poszły do wynajętego pokoju w hotelu. Jedna wzięła klucz, druga ruszyła prosto do pokoju. Po co dwie kobiety idą do hotelu na godziny?

– Dlaczego nie było tego w raporcie detektywa? – zapytał Milik. – Skąd o tym wiecie?

– *Wot* taka etyka w tym biznesie, nie możesz nikomu wierzyć – odparł Alosza. – Detektywi uznali, że mogą znacznie więcej zarobić na ukryciu tej informacji niż na jej sprzedaniu zleceniodawcy. Z nimi jest tak, że rzadko bywają uczciwi, szczególnie jeśli wyczują grubą kasę. Zanim nieszczęsny szpicel się utopił, tam w Egipcie, powiedział naszemu agentowi, że te dwie dziewczyny poszły do hotelu i prawdopodobnie uprawiały seks. Sądzę, że nie kłamał. Nie miał powodu, by kłamać.

– Czyżby przyznawał pan, że maczaliście w tym palce?

– W czym?

– W utonięciu Małego. Tego detektywa.

– Mógł nie pływać. Jak ktoś pływa, musi zdawać sobie sprawę z ryzyka, że może się utopić.

– Wtedy by dostał zawału?

– Wypadki chodzą po ludziach.

– A co z Wojtkowskim?

– Wojtkowski to była wyjątkowa gnida. Jak wspomniałem, uznał, że lepiej zarobi, przekonując Szarawarskiego o niewinności żony, a potem ją szantażując. Może dodatkowo mu się spodobała i chciał ją przelecieć? Ale gdy przeanalizowali zdjęcia i zobaczyli osobnika, którego skojarzyli z człowiekiem z naszej ambasady... o, tutaj dopiero wyczuli wielką kasę. Wyszło im więc, że Szarawarska jest szpiegiem, agentem obcego wywiadu, kontaktującym się w parku z naszymi szpionami. Wedle tej teorii minister miałby być albo jej współnikiem, albo oszukiwanym obiektem inwigilacji. Obie opcje umożliwiały szantaż. Ot, głupie myślenie spowodowane zbyt dużą ilością obejrzanych filmów. Nie stosujemy takich metod już od dawna. No, ale oni mieli, co chcieli. Afera szpiegowska w rządzie. Żona ministra skarbu siada na tej samej ławce co pracownik ambasady rosyjskiej. Przypadek? Kto uwierzy w taki przypadek?

– Nikt – przyznał Milik. – Tak jak nikt nie wierzy w utonięcia i zawały...

Alosza nie zareagował na uwagę.

– Nikt by tego dalej nie analizował – ciągnął. – Byłby skandal i ogólne pogorszenie atmosfery, jak już kilkakrotnie się zdarzało. Minister musiałby odejść, jego żona pewnie w ogóle nie miałaby gdzie się ukryć. To materiał, na którym można naprawdę nieźle zarobić. I zarobiliby, gdyby nie byli tak pazerni. Ale dziesięć milionów dolarów za nic niewarte fotki? Za przypadek. Tyle nie zapłaciliby żaden wywiad na świecie, chyba że sam mógłby je wykorzystać. My nie byliśmy zainteresowani i wiedzieliśmy, że nie ma na to szans.

– Nie wierzę, że tak to po prostu zostawiliście – wtrąciła Marta.

– No, tak po prostu nie zostawiliśmy. – Alosza zakaszłał, tłumiąc głośny napad śmiechu. – Postanowiliśmy dokładnie zbadać sprawę, bo... kto wie... może coś się trafi. Mieć haka na ministra skarbu lub jego żonę, zwłaszcza w obecnej, bądź co bądź ciągle napiętej sytuacji pomiędzy naszymi krajami, to dość obiecująca perspektywa. Pod warunkiem, że będziemy mogli przewidzieć skutki. Niestety, w tym wypadku emocje

wykluczyły możliwości wywiadowcze. Dość szybko udało nam się ustalić, kto jest kochanką żony Szarawarskiego, i odkryć przyczyny tej zażyłości, sięgające wielu lat wstecz, do czasów studenckich w Krakowie. Życie jednak pisze najlepsze scenariusze. Kto by pomyślał, że żona ministra skarbu i narieczona prezesa giełdy mieszkały kiedyś w jednym pokoju w akademiku i tak to się zaczęło...

Milik trawił w myślach słowa Rosjanina. Czy dobrze rozumiał? Anka, narieczona zamordowanego prezesa giełdy, była kochanką Suzi, żony ministra Szarawarskiego? Obie mają związek z wynajęciem Szakala i porwaniem ministra? A źródeł całej historii należy szukać gdzieś w przeszłości, w Krakowie?

– Ale w końcu kto zabił Sworowskiego? – zapytał.

Rosjanin przez dłuższy czas się w niego wpatrywał, tak że Bartek wyczytał z jego oczu odpowiedź, zanim padły słowa.

– Tego, niestety, nie wiem – rzekł spokojnie Alosza. – Krąg podejrzanych zawęził się wam znacząco. Co się mogło wydarzyć? Narieczona broniła się przed zarzutami? Kochanka narzeczonej była zazdrosna? Minister uznał, że żona zdradza go z prezesem? Wkrótce powinniście się dowiedzieć. Ja stawiam jak zwykle na starą rzymską zasadę: ten zabił, kto odniósł korzyść.

Mówił jeszcze przez chwilę, a potem urwał tak nagle, że cisza, która wówczas zapadła, wydawała się kłuć ich w uszy.

– No to rozchodniaczka i w drogę – zaproponował w końcu, uderzając mocno dłońmi w uda i sięgając po butelkę. – Zawiozę was teraz do porywaczy, bo tak się składa, że wiem, gdzie są. Ale proszę, nie wspominajcie nikomu o mojej roli. *Na zdrowie!*

Jechali około dwudziestu minut, zanim dotarli na miejsce. Alosza kazał zaparkować hummera na tyle daleko, by mieszkańcy leśniczówki nie mogli ich zobaczyć i usłyszeć.

– Jest za tym zakolem – wskazał na niknącą w lesie ścieżkę. – Podejście od tej strony można uważać za bezpieczne, bo wygodniejszy dojazd jest stamtąd – tym razem wskazał na zachód. – Nikt nie powinien was zobaczyć.

– Skąd pewność, że to tu? – zapytał Milik.

– Szakał był dość mocno nieostrożny – odparł Alosza. – Zapłacił kaucję osobiście i dał zeskanować fałszywy dokument na znane nam nazwisko. Wynajął dom w agencji nieruchomości, z której usług my też korzystamy i której właściciel od lat przekazuje nam dane klientów. Wie pan, jak to jest z tymi danymi. Nawet jeśli się generalnie nie przydają, lepiej je mieć niż ich nie mieć.

– Może ma kilka, jak wy to nazywacie, dziupli...

– Osobiście wolę inne określenia. Owszem, ma kilka takich miejsc, ale to powinno mu najbardziej odpowiadać. Proszę mi wierzyć, nie mylimy się.

– To prawda. – Greg w zasadzie już wytrzeźwiał. Nie widać było po nim śladu wypitego z Aloszą alkoholu. Milik zawsze mu tego zazdrościł. Przyjaciel mógł pić przez całą noc, a rano wydawał się jak nowo narodzony. Pod warunkiem, że w lodówce czekało piwo na porannego klina lub litrowy kefir. – Idealna meta dla naszych gagatków.

– Staraliśmy się mieć na oku tego waszego Szakała. Nie był na tyle głupi, żeby z nami zadzierać, ale tacy jak on najemnicy są nieprzewidywalni. Kto wie, kiedy stracą rozum. Wolimy więc trzymać rękę na pulsie. Szkoda, że wasz wywiad nie robi tego samego. Dziś nie byłoby problemu...

Marta sprawdziła glocka, a Greg sig-sauera.

– Jesteście pewni, że nie chcecie poczekać na grupę uderzeniową? – zapytał Alosza. – Ja bym nie ryzykował, Szakał potrafi się bronić.

– Jak wezwiemy antyterrorystów, to akcja potrwa ze trzy dni i jeszcze ktoś się wymknie. Nie mamy z tym zbyt dobrych doświadczeń.

– Słyszałem, słyszałem – zakpił, jakby w Rosji takie akcje świeciły przykładem. No tak, oni wpuszczali gaz, zabijając terrorystów i zakładników, a potem udawali, że nic wielkiego się nie stało. Ot, parę setek ofiar, jak to na wojnie. – No nic, to radźcie sobie dalej sami.

– Dzięki, Loszka. – Greg mrugnął do niego. – Nie jedź po pijaku. Nie chciałbym cię aresztować.



– Oj, byłaby to długa noc w areszcie. Nie martw się, zawsze jeżdżę z kierowcą, taki przywilej.

– Wysiadamy.

Milik wyszedł na końcu.

Alosza chwycił go jeszcze za ramię.

– No więc jak, mam pana słowo?

– Postaram się.

– Tak czy nie?

– Nie wiem, do diabła. Zobaczymy, co będzie dalej.

– Nic nie będzie, zastrzelicie Szakala albo... on zastrzeli was.

– To nie powinien się pan martwić.

– A jednak się martwię. Taka praca.

– Postaram się ograniczyć do minimum waszą rolę w tej sprawie.

– Istotnie jest minimalna – uśmiechnął się Alosza. – To wewnętrzny, typowo polski problem, do którego nam, Rosjanom, mieszać się po prostu niezręcznie. Jeszcze ktoś by pomyślał, że folgujemy naszym imperialistycznym roszczeniom z dawnych lat...

– Jednego tylko nie rozumiem – szepnęła Milik.

– Proszę pytać.

– Skoro nie maczaliście w tym palców, skąd Szakal tak szybko się dowiedział, że Kinol wykradł raport z serwera backupowego, i przyjechał go zabić?

Alosza zamarł na parę sekund. Zdenerwował się, cholera. A to znaczyło, że Milik zadał dobre pytanie. Rosjanin też już wiedział, że się zdradził. Tylko czy to nie było oszustwo? Cholerny świat szpiegów, nigdy nie wiesz, co jest prawdą, a co ściemną. Wszystko już się niby ułożyło, a tu jakiś chochlik wykreśla na tablicy nowy znak zapytania. A jeśli Ruski zwyczajnie kłamał? A może kłamał ciągle? Może cała jego opowieść nie jest warta więcej niż sen alkoholika.

– Ale mamy umowę? – powtórzył wcześniejsze pytanie.

– Mamy, mamy. Niech pan w końcu powie, jak było.

– Cóż, nie da się ukryć, że z Szakalem czasem było nam po drodze. Mieliśmy z nim kontakt. Kiedy więc pojawił się problem w postaci możliwości upowszechnienia tego

nieszczęsnego kłamliwego raportu, uznaliśmy, że najlepiej będzie poinformować o tym Szakala i załatwić sprawę jego rękami. Upiekliśmy, jak to się mówi, dwie pieczenie przy jednym ogniu, nie dość, że nie płacąc Szakalowi za wykonanie roboty, to jeszcze stając się poniekąd jego wierzycielami. W tym świecie zabójcy traktują takie honorowe zobowiązania bardzo poważnie, jeśli więc nie zginie, a nuż kiedyś nam się zrewanżuje. Nawet w więzieniu może się przydać.

– W piekle raczej nie.

– Kto wie, panie Milik, kto wie...

Dziennikarz pokiwał głową. W sumie mógł się spodziewać podobnej odpowiedzi. Może więc Rusek nie kłamał?

– Mogliśmy przez was zginąć – szepnął.

Alosza roześmiał się głośno, po czym błyskawicznie spowaźniał.

– Panie Milik, to nie jest zabawa dla grzecznych dzieci. Wiedzieliście, że ryzykujecie, nikt was nie mamił, że będzie łatwo i przyjemnie. Ale to wy wygraliście.

– To się okaże.

– Racja. Okaże się.

– A jeśli Szakal ucieknie? – Milik układał sobie w myślach pytanie. – Wciąż będziecie partnerami?

– Jak ucieknie, to się zobaczy. Ja bym nasze relacje określił inaczej. Jesteśmy kontrahentami. Raz podpisujemy umowę i zakładamy konsorcjum, innym razem rywalizujemy. To nic osobistego. Tylko biznes, jak na amerykańskim filmie. Po rozdarciu żelaznej kurtyny możemy bez problemu mówić, że podobają nam się amerykańskie filmy.

Milik wysiadł i wzdygnął się z zimna. Przypomniał sobie słowa Aloszy o początku tej historii i popadł w zadumę. Tylko biznes? Czyżby? Dla Szakala chyba jednak nie. A dla nich? Kto by pomyślał, że żona ministra skarbu jest kochanką narzeczonej prezesa giełdy i obie realizują jakiś chytry plan, żeby wykołegować tych... biznesmenów.

– Dziwne macie kobiety w tej Polsce, bardzo dziwne – podsumował nadzwyczaj trafnie (przynajmniej dla Milika) Rosjanin – Bez urazy, pani Marto.

Hummer ruszył. Wolno przejechał wąską leśną ścieżką, by zdecydowanie przyspieszyć na szerszym szlaku biegnącym obok ściany lasu.

– Nie lubię Ruskich – splunął Greg. – Ale wódkę robią dobrą.

– Wyglądaliście tam w środku jak bracia – roześmiała się Marta. – Albo kochankowie.

– Tfu. Nie mów tak...

– Dwa niedźwiadki. Nie lubisz gejów?

– Dopóki trzymają się z daleka, nic do nich nie mam.

– Powinni siedzieć gdzieś za murem?

– Czego się czepiasz? Ja jestem normalny facet. Lubię wódkę i kobiety. Teatr i geje to nie mój temat. Idziemy po tego Szakala?

– Idziemy.

Na podjeździe przed domem stały dwa samochody. Terenowa toyota nieco skryta pod sosną oraz potężniejsze volvo.

Marta poszarzała na twarzy.

– Samochód Anki – wskazała volvo. – Rusek się nie mylił.

– Ten drugi pewnie należy do Szarawarskiej. W garażu może być wóz Szakala. Jaki mamy plan? – zapytał Milik.

– Ty zostajesz tutaj, my z Gregiem wchodzimy do środka. Gdyby coś nam się stało, uciekasz i dzwonisz po pomoc. Masz komórkę Aloszy?

– Tak. – Milik pokazał telefon. Ale i tak nie było tu zasięgu.

– Trzymaj, to ci raczej nie pomoże, ale zawsze lepszy rydz niż nic. – Greg wręczył mu pojemnik z gazem paraliżującym. Chwytał Bartka za głowę i mocno przycisnął ją do swojej. – Marta ma rację, nie strugaj bohatera. Bardziej nam pomożesz, uciekając niż dając się złapać. Mówię tak na wszelki wypadek, bo nie wierzę, żeby ten gość sobie z nami poradził, prawda, pani major?

Marta uśmiechnęła się szeroko.

Milik patrzył, jak przeskakują przez płot i podbiegają do tylnej ściany domu. Przykleili się do niej, wymienili krótkie rozkazy i zniknęli za rogiem.

Zadrzał. Poczul się nagle jak dziecko zostawione bez opieki.

Marta tymczasem nie pozwoliła Gregowi pierwszemu dopaść do drzwi. Większość okien była wciąż zabezpieczona na zimę drewnianymi okiennicami. Także drzwi tarasu zostały szczelnie zakryte zewnętrznymi roletami. Za to od frontu mogli już zajrzeć przez okna i lufciki. Niczego jednak nie udało im się dostrzec.

Delikatnie nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Uchyliła je i wślizgnęła się do środka. Czowała za plecami śmierzący wódką oddech Grega. Alkoholik nie jest zbyt

dobrym ubezpieczeniem. Wręcz przeciwnie. Przez chwilę przemknęło jej przez myśl, żeby go na początku unieszkodliwić. Inaczej będzie przeszkadzał. Szybkie irimi i krótkie nikkyo-osae powinny załatwić sprawę. W oczach Grega zobaczyła jednak czujność i pewność sprzęzonego do ataku drapieżcy. Alkohol nie ograniczył możliwości policjanta. Mogła na niego liczyć.

– Wchodzimy – szepnęła.

Mocno ujęła rękojęść glocka i podtrzymując kopytko magazynku drugą dłonią, weszła do przedsionka, a potem do holu przechodzącego w salon z kominkiem. Najpierw broń zakreślająca wystudiowane krótkie łuki. Potem ona. Lewo, prawo, poruszenie palcami, by nie zdrętwiały w najważniejszej chwili, gdy trzeba będzie nacisnąć spust. A wiedziała, że tego nie uniknie. Nie zamierzała wahać się ani chwili.

Minęła schody, działała jak automat. Wszystko ucichło. Nie myślała już o Gregu, czekającym na zewnątrz Miliku, o zdradzieckim Sońce, przebiegłym Aloszy. W jakieś małej, zagubionej w ciemności niszy umysłu pojawiły się tylko dwie twarze dopingujące ją do działania. Witold i Zbyszek. Ludzie, których kochała i cenila, a którzy zginęli za sprawą przebywających w tym domu osób. Szakala i dwóch zepsutych kobiet. Może kogoś jeszcze.

Nie była pewna, czy Szakal jest sam, czy z pomocnikami. Teraz nie znaczyło to zbyt wiele. Jeden strzał mniej, jeden więcej. Pokona ich. Dla Zbyszka i Witolda. Pokona.

Słyszała już głosy, a po chwili ich zobaczyła. Dwie kobiety, dwóch mężczyzn. Jeden, starszy, siedział na fotelu. Minister. Kobiety obok siebie. Po drugiej stronie stołu człowiek, którego twarz dostrzegła podczas strzelaniny w Ujazdowskich. Odmieniona, ogolona głowa, ale nie na tyle, by ją zwieść. Nawet za ciemnymi okularami rozpoznałaby te oczy.

Dobrze je zapamiętała.

Bez wahania wycelowała i pociągnęła za spust.

Ludziom takim jak Szakal nie daje się szansy. Nie zasługują ani na litość, ani na honor uczciwego pojedynku. I pewnie Szakal zginąłby na miejscu, z jednym lub dwoma pociskami w głowie i kilkoma innymi w ciele, gdyby nie coś, co wcześniej jej

się nie zdarzyło. Strzelała od wielu lat, korzystając często z bardziej zawodnych niż glock modeli. A jednak broń na strzelnicy jej nie zawiodła. Nigdy jeszcze się nie zacięła. Aż do dziś.

Zawsze jest ten pierwszy raz i zawsze nadchodzi w najmniej odpowiedniej chwili.

Naciśnięciu spustu towarzyszył jedynie suchy trzask. Uderzenie iglicy o spłonkę nie dało żadnego efektu. Błyskawicznie przeładowała pistolet, ale było już za późno. Szakal padł na ziemię i na czworakach uciekł do kuchni.

Wtedy huknął sig-sauer Grega, ogłuszając ją na kilka sekund. Jak przez senną barierę słyszała jego nawoływania, przekleństwa i rozkazy.

– Na ziemię! Obie! Suki! Kurwa! Na ziemię! Bo zastrzelę...

Greg schował się za kanapą i krzyknął do ministra:

– Ty też, kurwa! Szybko. Na ziemię!

Obejrzał się na nią. Jego oczy błyszczały wściekłością i niewypowiedzianymi pytaniami. Dlaczego, kurwa, strzelałaś, zamiast go szachować? Dlaczego dałaś mu uciec? Dlaczego popełniłaś taki głupi, kurewsko głupi błąd?

To był niewypał, do cholery. Gdyby nie to, już by nie żył. Nie byłoby problemu.

Czyżby? Zastrzelenie podejrzanego bez ostrzeżenia nie byłoby problemem? Egzekucja nie jest zbrodnią? Co on, głupi policjant, miałby zrobić z taką zimną, mściwą suką? Stać po jej stronie i złożyć fałszywe zeznania? Co miałby, kurwa, zrobić?

Jego oczy złagodniały. Może wiedział, że na jej miejscu postąpiłby tak samo, a ona by go kryła.

Gdyby Szakal przyszedł do twojego domu, zabrał Agatkę i Tadzika, co byś uczynił, Greg? Aresztowałbyś sukainsyna czy zrobił to co ja?

Pierdolony niewypał.

Otrząsnęła się w chwili, gdy Szakal przeskoczył przez drzwi, oddając dwa strzały w kierunku Grega, który odpowiedział ogniem. Strzał za strzał. Huk zlewający się w jedno. Oddająca drgania podłoga i falujące w mirażach ściany. Oszalałe ze

strachu i adrenaliny umysły.

Żaden nie trafił.

Po cichu wycofała się z salonu, była w holu. Znała takie domy, do każdego ważniejszego pomieszczenia prowadziły tam dwa wejścia. Do salonu, garażu, pokoi gospodarczych, piwnic. Także do kuchni, zwłaszcza że ta miała półotwarty charakter.

W domach imprezowych kuchnia to najważniejsze miejsce.

Minęła schody i przyłgnąwszy do ściany, obeszła salon. Drugie drzwi. Przechodząc przez nie, pokazała gestem Gregowi, że idzie od tyłu. Znów ten błysk w jego oczach. Groźba, a może prośba. Nie zabijaj sukinsyna, daj mi szansę, weźmy drania żywcem i wsadźmy do pudła.

A jeśli się wymknie?

Znasz nasze sądy. Znasz więzienia. Zabójca z pieniędzmi sobie poradzi, umknie sprawiedliwości, zaśmieje nam się w twarz, a kiedyś może nas odwiedzi z drwiącym przesłaniem zemsty błyszczącym w kącikach ust.

Tego chcesz?

Chcesz dać mu szansę?

Nie. Nie. Nie.

Więc sobie odpowiedz na te pytania i nie wtrącaj się.

Ty tylko stoisz z boku. To ja chcę wykonać czarną robotę. Nie wtrącaj się, powtarzam.

Myśli atakujące umysł pozwoliły jej się opanować. Wywołane niewypałem zdenerwowanie opadło. Już go nie było. Dłonie nie drżały. Były gotowe do zadania ostatecznego ciosu.

Kolejne drzwi. Zamknięte! Czy to tutaj? Nie. To jakieś małe pomieszczenie na kubły i szczotki. W środku kawałki drewna na rozpałkę, składany grill, inne rzeczy. Gracjarnia.

Kolejna luka w ścianie nie miała drzwi. To tam. Drugie wejście do kuchni. Za nim Szakal mierzący do Grega, który – jakby wyczuł jej myśli – strzelił dwukrotnie dokładnie w tej chwili. Kule przeszły przez cienką ściankę oddzielającą kuchnię od salonu. Szakal odpowiedział. Dwa ogłuszające wybuchy. Co to za armata? Jakieś pieprzone magnum. Tak, przypomniała sobie obrazek z Ujazdowskich. Desert eagle. Pistolet na naboje typu magnum. Duży kaliber, prawdziwa armata. Wystrzał

mógłby urwać zbyt delikatną dłoń. Jeśli dam mu szansę, wywali mi dziurę wielkości pięści albo urwie głowę.

Nie dam ci szansy.

Na ułamek sekundy wychyliła się zza ściany. Jedno spojrzenie. Poprzewracane stołki, potłuczone naczynia. Krew. A więc któraś z kul Grega trafiła. Szakał na klęczkach, nad jego głową trzymany oburącz pistolet. Armata.

Drugie wychylenie, już z bronią gotową do strzału.

Tym razem nie będzie niewypału. Glock nie zacina się dwa razy z rzędu. Prawdopodobieństwo czegoś podobnego jest mniejsze niż wygrana w totka. Grasz w totka, Szakalu? Jeśli tak, więcej już nie zagrasz. Skończysz z kulą we łbie. Już, zaraz.

Krzyk kobiety. Nie była w stanie rozpoznać, czy to głos Anny, czy Suzi. Ostrzegł go w ostatniej chwili. Głowa powędrowała w górę, magnum w dół. Wymierzył do niej.

Jak na kurewskim westernie.

Nacisnęła spust.

Huk. Jeden, potem drugi.

Nienaruszona głowa Szakala tuż przed nią. Za to wystrzelony z glocka pocisk trafił w pieprzoną armatę, wyrwijąc ją z dłoni zabójcy. Zniekształcona kula odbiła się od metalowej lufy i uderzyła w ramię mężczyzny.

Marta wymierzyła wyżej. Jedno pociągnięcie za spust i będzie po wszystkim. Zostanie tylko wspomnienie niewinności i człowiek z dziurą w głowie.

Szakał nie czekał na cios.

Rzucił się do przodu, uderzając roztrzaskanym przez kulę barkiem w pierś Marty. Polecieli oboje na schody, przełamując solidną drewnianą barierkę, w tym miejscu służącą raczej jako ozdoba niż ochrona. Marta, której siła uderzenia wytrąciła z rąk broń, poczuła ból w piersi, pomyślała o złamanych żebrach i innych możliwych obrażeniach, ale nie poddała się. Adrenalina pompowana do krwi uśmierzyła ból i wkradające się powoli zniechęcenie.

Był silniejszy, pewnie lepiej wyszkolony i wciąż sprawny. Jednocześnie jednak ranny i na pewno bardziej obolały. Nie pozwól na przedłużenie walki. To jego każda sekunda przybliża



do zwycięstwa. Trzy szybkie uderzenia i kończąca dźwignia albo duszenie.

Szybko, teraz!

Poczęstowała go front kikiem, dwoma sierpowymi, a gdy chwycił ją za ramię, próbując kontratakować, płynnie obróciła się wokół jego osi i wykręciła mu rękę. Zastosowała dźwignię i wykorzystując klasyczną technikę shiho nage, przerzuciła go na plecy, po czym już na podłodze założyła mu kolejną dźwignię na ramię i uderzyła z góry drugim ramieniem. Mocno, bezlitośnie.

Coś chrupnęło, trzasnęło.

Szakal przegrał, ale wciąż żył. Już miała opleść nogami jego szyję i rozpocząć duszenie, którego by nie przerwała, gdy pojawił się Greg i spojrzał na nią sponad muszki sig-sauera. Nie była pewna, czy mierzy do niej, czy do Szakala. Chyba jednak do niej. Ten błysk. Znów pojawił się w jego oku. A potem Greg bez słowa lekko opuścił broń i nacisnął spust. Głowa Szakala odskoczyła, uderzając w ścianę. Krew bryznęła na wszystkie strony. Zalała całą twarz Marty.

Greg bez słowa opuścił broń.

Jednak to nie był jeszcze koniec walki. Do kuchni weszła Anna, całkiem wprawnie mierząc do nich ze strzelby myśliwskiej.

– Rzuć to – warknęła do Grega. – Strzelałam już z tego, nie żartuję.

Marta grzecznie posłuchała poleceń i usiadła na ziemi obok bladego ze strachu Szarawarskiego. Głupio byłoby teraz zginąć z rąk roztrzęsionej histeryczki, której wina pewnie jest bezsporna, ale z którą jeszcze da się negocjować.

Tyle że histeryczka wcale się nie trzęsła. Nie zdradzała żadnych oznak zdenerwowania.

Czyżby była aż tak twarda?

Czyżby to ona była mózgiem?

Marta patrzyła jej w oczy i zastanawiała się, gdzie zniknęła ta ciepła, miła dziewczyna, którą znała i lubiła. Jakie demony ją pożarły i wciągnęły w grę po stronie zła? Dlaczego zrobiła to wszystko, skumała się z takim draniem jak Szakał? Czy była choć trochę ofiarą, czy też spiritus movens tego wszystkiego?

W powieści lub w filmie pewnie to ostatnie okazałoby się prawdą. Chorzy na wyobraźnię pisarze uwielbiają femmes fatales. Ale to nie jest książka, to prawdziwe życie. Co więc jest prawdą?

Pomyślała o Miliku.

Czy posłuchał ich, uciekł i wezwał pomoc? Jeśli tak, za chwilę zjawią się tu antyterrorysty. Nie trzeba nic robić. Anka i ta druga nie uciekną. Najważniejsze, że załatwili drania.

Greg go załatwił.

Teraz zajął już miejsce obok niej, odprowadzony przez wściekłe ruchy strzelbą. Anka rzuciła spojrzenie to na nich, to na ścierwo Szakała. Miała łzy w oczach.

A więc nie jesteś taką twardzielką?

Może kochała drania? Tym lepiej. Wie, co ja czułam, gdy dowiedziałam się o Zbyszku, a wcześniej o Witoldzie. Czy ty kiedykolwiek kochałaś Witolda, próbowałaś zrozumieć, czy tylko grałaś cyckami i tyłkiem, mając go i zwodząc? Zaufał ci, starał się być fair. Mnie z nim łączył tylko seks. I rozmowy. Tak, one były nie mniej ważne. Ale czy to była miłość? Na czym polega miłość? Ty mi wytłumaczysz? Ze strzelbą wymierzoną w

moje serce?

– Jak nas znaleźliście? – zapytała.

– Metody operacyjne – odparł z chrząknięciem Greg.

– Nie pieprz głupot. Gadajcie jak!

Marta westchnęła. Co to zmieni, jeśli się dowie?

– To i tak koniec, Anula.

– Nie mów tak do mnie.

To prawda, nie zasługujesz na zdrobienia. Powinnam mówić do ciebie: dziro, suko, pieprzona szmato. Tylko na to zasługujesz.

– Okay – odparła spokojnie.

– No więc? Kto wam powiedział?

– Rusek.

– Rusek? – Chyba rzeczywiście nie wiedziała o roli Rosjan.

– Detektyw, który was nakrył, ciebie i Suzi, próbował szantażować Rosjan.

– Jakich Rosjan, do cholery? I co za detektyw? – Anka spojrzała na Suzi, która tylko wzruszyła ramionami.

Minister powoli odzyskiwał kolorki i wyraźnie był zadowolony, że ma towarzystwo innych zakładników. Postanowił zatem wtrącić coś od siebie. Chrząknął i rzekł:

– Wynająłem detektywa.

Jakiego detektywa? – mówiły oczy Anki. Ona naprawdę nie wiedziała. Zatem tu nie było związku z Witoldem. Rosjanin nie kłamał. Mógł też nie wiedzieć, kto zabił prezesa giełdy. Zapewne Szakal także nie pochwalił się swoimi kontaktami.

– Myślałem, że mnie zdradasz – kontynuował Szarawarski, jakby nie rozumiał, co się właśnie wydarzyło. Jakby nie dostrzegał, że w pokoju wciąż pachnie prochem i krwią, obok leży trup, a jego piękna żona nie jest niewinnym kwiatuszkiem.

– Nie mogłem ścierpieć myśli, że ty i Sworowski... Wiem, myliłem się. Bardzo mi przykro, ale nie cofnę czasu.

Suzi poszarzała na twarzy.

– Krótko mówiąc, detektyw nic nie znalazł – zakończył minister. – Przepraszam.

Marta zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je gwałtownie z płuc. Co za dureń? Że też tacy kretyni zostają

ministrami!

– Nie do końca nie znalazł – wyjaśniła. – Nakrył was razem i chciał szantażować, ale na zdjęciach zupełnie przez przypadek, a może wcale nie, pojawił się ktoś podobny do szpiega z rosyjskiej ambasady. No i detektywi postanowili najpierw zasantażować ich, a dopiero potem was.

– Nikt nas nie szantażował – zaprzeczyła Anka.

– Bo nie zdążył. Ruscy załatwili sprawę po swojemu. Jeden chłopak zapomniał, jak się pływa, i utonął, drugi nie dbał o zdrowie, więc zmarł na zawał.

Suzi i Anka wymieniły spojrzenia. Lufa strzelby była już trochę niżej. Anka pokazała prawdziwą twarz demona, ale jej ramiona wciąż były delikatne, nienawykłe do trzymania ciężkiego sztucera.

Szarawarski znów wyglądał nie najlepiej. Kropelki potu wykwitły na jego czole, a policzki zapadły się i poszarzały.

Jeszcze chwila i szlag go trafi – pomyślała Marta. Dlaczego mi go nie żal?

– Jak to szantażować? – bredził pod nosem. – Przecież powiedzieli mi, że nic nie znaleźli. Nie miałaś kochanka.

– Kochanka może i nie, choć kto wie, co robiła z tym tam – wtrącił Greg, wskazując głową w kierunku kuchni. A potem dobił ministra: – Tak, staruszk. Twoja lola lubi lizać cipkę tej drugiej.

– Nie bądź chamski. – Anka wykrzywiła się z odrazą i odnalazła trochę siły, by unieść wyżej broń.

– Lepsze to niż zabijać ludzi – fuknął policjant.

– Jacy z was ludzie...

– A Witold – wtrąciła Marta. – Też nie był człowiekiem? Dlaczego go zabiłaś? Ty czy twoja kumpela?

Anka uśmiechnęła się bezdusznie. Przez jej twarz przemknął promień pogardy. Czyżby aż tak wszystkich oszukiwała?

– Och, to akurat był akt człowieczeństwa i litości – prychnęła. – Ten buc chciał się skompromitować. Wiesz, co zamierzał?

– No?

– Złożyć rezygnację, a potem zorganizować jakiś ruch

społeczny, który walczyłby z... jak to ujął... patologiami.

– I to był powód?

Przez chwilę Marta miała wrażenie, że Anka opuści strzelbę i się złamie, ale albo było to złudne odczucie, albo potwór wrócił. Palce mocniej się zacisnęły na uchwycie pod lufami.

– Nie, Marto, powód był znacznie bardziej banalny. Zawsze tak jest, przez całe życie. Szukamy skomplikowanych wyjaśnień, a odpowiedź leży przed nami i jest zadziwiająco prosta. Mężczyzna zdradza, bo kobieta mu się znudziła. Kobieta potrzebuje kochanka, gdy mąż jej nie zaspokaja. Szałas się wali, bo zżera go próchnica, a nie z powodu klątwy sąsiada. Wszystko ma prosty powód.

– Oświecisz nas?

– Może. – Anka uśmiechnęła się smutno. – W końcu przed śmiercią należy wam się wyjaśnienie.

– Zamierzasz nas zabić?

– Jego muszę – wskazała na Szarawarskiego. – Obiecałam to Suzi. A skoro zabiję jego, to muszę i was. Inaczej będziecie mnie ścigać. Wszystko ma dość prostą przyczynę.

Powtarzała to jak mantrę albo jakieś zaklęcie, które nagle podziałało na Suzi. Dziewczyna wzdrygnęła się i straciła nad sobą kontrolę. Podbiegła do Szarawarskiego i bez uprzedzenia kopnęła go w klatkę piersiową z tak dużą siłą, że przewrócił się razem z fotelem.

– Pierdolona gnida! – warknęła. – Drań. Mogłabym cię zabić gołymi rękami.

– Zu! – Anka próbowała przywołać ją do porządku. – Suzi!

– Nie mów tak do mnie. On mnie tak nazwał. Jak pieska. I tak samo traktował. Ładny domowy piesek do pogłaskania i wydymania. Nienawidzę cię, draniu. Pierdolony zboku! Słyszysz, jak cię nienawidzę?!

– Chodź do mnie. – Anka opuściła wymierzoną w zakładników strzelbę i wyciągnęła lewą rękę do Suzi.

Dziewczyna podbiegła i przytuliła się do niej, łkając.

– Wiesz, jak się czuję, prawda? Wiesz, jakim obrzydzeniem napełniał mnie ten fiut, każda chwila z nim, ssanie jego brudnego kutasa. Ileż to razy marzyłam, żeby poderżnąć mu

gardło, zepchnąć ze schodów, wrzucić do wanny suszarkę! Modliłam się o jego śmierć, a ty kazałaś mi czekać.

– Już dobrze, maleńka. Już zawsze będziemy razem.

Greg powoli, bardzo powoli przygotowywał się do skoku, ale nie uszło to uwagi Anki, która wymierzyła do niego, poprawiając po raz kolejny chwyt.

Niedobrze. Zaraz naprawdę się zmęczy, a jak się zmęczy, strzeli albo się podda. Nie będzie miała innego wyjścia. Milik? Jesteś tam gdzieś? Jeśli tak, to przyjdź tu, do cholery, i odwróć ich uwagę. Przecież nie uciekłeś, tak jak cię prosiłam. Nie uciekłeś?!

– Ani się waż, bo nie usłyszysz historii – warknęła Anka.

Greg uniósł dłoń.

– Na ziemię, pyskiem do dołu – zakomenderowała. – Oboje. Leżeć, bo strzelę. Nie żartuję.

Oboje położyli się na brzuchu, tracąc praktycznie czas, który można by poświęcić na reakcję, kontratak, próbę wyjścia z pułapki. Teraz bronić się będzie znacznie trudniej. Marta posłała Gregowi spojrzenie wyrażające delikatną naganę. Nie wiesz, że w każdym sporcie i w walce trzeba czekać na swój moment, jeśli przeciwnik ma przewagę?

Milik. Tylko on nam pozostał.

Mam nadzieję, że wezwałeś pomoc.

No i jednak mógłbyś tu przyjść i odwrócić ich uwagę.

Przy każdym strzale Milik czuł przejmujący spazm. Raz, dwa, trzy... – liczył. Gdy palba się wydłużała, zrozumiał, że nie udało się zaskoczyć Szakala.

Strzelają do siebie. Fatalnie. Tamten jest byłym żołnierzem. Celował do różnych szumowin w dżungli, na pustyni i Bóg wie gdzie jeszcze. Greg to tylko gliniarz. Trenuje na strzelnicy raz w miesiącu. Wydzielają mu dwa magazynki amunicji, a potem każą wracać do domu. Mówią: strzelaj najpierw w powietrze, daj się zabić, a dopiero potem się broń. Wtedy nie grożą ci sankcje dyscyplinarne. A Marta? Agentka ABW, dobra agentka, ale nie żołnierz. Zaraz jednak przypomniał sobie, jak załatwiła tych trzech gości w Ujazdowskich, i to natchnęło go optymizmem. To też byli żołnierze. Ludzie Szakala. Może nie tak dobrzy jak on, ale jednak żołnierze. A Marta ich załatwiła. Bez trudu i wielkich ceregieli. Wymierzyła i trafiła. Była bohaterką.

Nie mógł się otrząsnąć i wykonać polecenia Marty i Grega.

„Jeśli wybuchnie strzelanina, uciekaj i dzwoń po pomoc”.

Brzmiało rozsądnie.

Ale zaraz sobie wszystko skalkulował.

Zanim dotrze do jakiegoś miejsca, gdzie złapie zasięg, upłynie co najmniej dziesięć minut. Nie wie, gdzie jest, może więc pomylić drogę i zamiast skierować się do cywilizacji, wejść głębiej w las. Zasięgu nie uzyska, za to pewnie się zgubi. Wtedy nim zadzwoni po pomoc, minie godzina, może dwie. A jeśli w ogóle zgubi się w lesie i zamarznie? Albo zeżre go wilk? Są tu wilki? Jeśli nie, to może trafić na wściekłego łosia. Łosie potrafią się bić o ostatnie zielone listki na drzewach.

Ja tu o listkach, a tam jest naprawdę gorąco – pomyślał, gdy wymiana strzałów przybrała na sile. W ogólnym chaosie wyróżniały się dudniące dźwięki broni o większym kalibrze. Jakaś armata, pewnie Szakala.

A co zrobi, jeśli Szakal wyjdzie na niego?

Przecież nie wyskoczy z gazem i nie krzyknie: stój, bo strzelam!

Walka z Szakalem to będzie samobójstwo.

Może jedynie uciec, a wtedy będzie już za późno, żeby pomóc Marcie i Gregowi.

Cholera, nie jest przecież aż takim tchórzem. Zamiast się mazgać, powinien tam pójść i ich wesprzeć. A jeśli im tylko zaszkodzi? Jeśli Szakal wykorzysta go jako zakładnika? Wygłupi się i przez niego wszystko może trafić szlag. Do diabła, nie jestem komandosem.

Palba ucichła nagle.

Nic się nie działo.

Pięć minut. Dziesięć.

Nic.

No dobra, trzeba coś postanowić – westchnął. Skoro nie wychodzą, to Szakal jest górą. Na pewno? Przecież mogli wygrać, ale nie mają jak wyjść i mnie poinformować.

Halo, Milik, tchórze. Już po wszystkim. Idź na gotowe i udawaj bohatera. W gazecie już masz zapewnione honorowe miejsce na czołówce. „Dziennikarz bohater załatwił okrutnego zabójcę i odkrył tajemnicę śmierci prezesa giełdy”. Masz na wyciągnięcie ręki zaszczytny tytuł wiecznego publicysty komentatora wałęsającego się po telewizjach.

Wystarczy tylko ich uratować. A nawet nie. Wystarczy jedynie nie dać się zabić. Bohaterem zostaniesz przez aklamację.

A jeśli na przykład Marta jest ranna? Albo Greg? Jedno drugiemu tamuje krew tryskającą z tętnicy szyjnej. Przecież nie może przerwać i wyjść przed dom.

Milik, baranie, chodź szybko, bo muszę wrócić do tamowania krwi naszemu przyjacielowi. Pośpiesz się, żeby nie było za późno. Co? Już jest za późno?

A jeśli jedno jest ranne, a drugie na muszce Szakala i właśnie czeka na moją pomoc?

Biegnij, Milik, biegnij.

Tyle możliwości, cholera. Tyle cholernych możliwości.

Możesz uratować życie przyjaciela albo kochanki. Kochanka



to przyjaciel. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo ją lubi. Jeszcze bardziej niż Grega.

Może właśnie umiera.

Do diabła, wiem, że miałem czekać, uciekać i dzwonić, ale nie mogę was tak zostawić.

Po chwili przeskakiwał przez siatkę. Lata temu potrafił naprawdę szybko przeskoczyć siatkę. Niemal jak komandos. Od dawna tego nie robił, ale i tak poszło mu całkiem nieźle. Jak – cytując Vonneguta – sto tysięcy kaw i milion papierosów temu.

Dwa oddechy i już kleił się do ściany, naśladowując towarzyszy, którzy dokładnie tak samo zachowywali się kilka minut wcześniej. Skręcił za róg, a potem przebiegł do drzwi. Zacisnął mocno dłoń na pojemniku z gazem i wślizgnął się do środka.

Kobięcy głos właśnie kończył jakiś monotony monolog.

– Wpadliśmy na ten pomysł jeszcze na studiach. Znaleźć bogatego frajera, który będzie nas utrzymywał. Ja i Zu mieszkaliśmy razem w akademiku. Byłaś kiedyś w krakowskim Babilonie? Pewnie nie. Jako grzeczna dziewczynka z ABW kładłaś się wcześniej spać i wstawiałaś skoro świt pobiegać albo popluskać się w basenie. Nic nie wiesz o całonocnych imprezach, podpalaniu krzeseł w windach, wyścigach rydwanów i głośnej miłości uprawianej na piętrowym łóżku. Czujesz się wtedy jak na jachcie podczas sztormu. Dostałyśmy dwójkę dzięki temu, że Zu urobiła kierownika. To już nas trochę nauczyło. Gość najpierw się poślinił, a kiedy go zanęciłyśmy, szybko dał się złapać w sieć. Zu nawet nie dała mu dotknąć cycków, a gościu był spietrany, bo kochał swoją wierną żonę i dzieciaczki. Nie chciał ich stracić, więc przez trzy lata bez mrugnięcia umarzał nam opłaty. Sam pisał wnioski i je zatwierdzał, ha! To tam stałyśmy się dla siebie jak siostry, prawda, Zu?

Zu uśmiechnęła się i pogłaskała ją po włosach, a potem pocałowała w policzek i odsunęła się na bok, pozwalając Ance wygodniej ująć strzelbę.

– Siostry – powtórzyła. – Niegrzeczne z nas były siostrzyczki.

– Potem byli ci nieszczęśni gliniarze, napaleni jak psy czujące cieczkę. Mała orgietka, za którą przyszło im zapłacić znacznie więcej. Po gliniarzach przyszedł czas na biznesmenów z salonów samochodowych i wyludzających VAT badylarzy. Dobrze poznałyśmy polski biznes, bardzo dobrze. Słoma wychodziła im z butów, ale tańczyli, jak im zagrałyśmy, słono płacąc za swoje zachcianki. Jedna noc z piękną studentką, pełen katalog usług, wspaniałe przeżycia, dodatkowo świetnie udokumentowane na taśmie filmowej, nagraniach i zdjęciach. Żona się ucieszy, panie prezesie.

– Żadna się nie ucieszyła – wtrąciła Suzi.

– To prawda, wyjątkowym burakom i tak nie odpuszczaliśmy, wysyłając żonom filmiki. Wszystko to nam

uświadomiło, jaką władzę mamy nad naszymi ofiarami. Nie zawsze oczywiście się udawało, ale generalnie doszliśmy do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent skuteczności. Nieźle.

Marta przyglądała jej się zaskoczona. Anka świetnie oszukiwała i nie wydawała się ani trochę przejęta trupem Szakala czy swoją rolą. Grała, była aktorką. Świetną i nieczułą. Za to Suzi nie mogła opanować emocji. Mimo że starała się przywdziać woskową maskę, pod okiem raz po raz przebiegał jej jakiś nerwowy tik, a mięśnie twarzy napinały się, zdradzając, jak bardzo jest zdenerwowana. To ona odgrywała rolę ofiary. To ona musiała rozkładać nogi, pięści tłuste brzuchy napalonych władców świata, by Anka mogła czerpać z tego korzyści. I nie robiła tego dla pieniędzy. To już Marta zrozumiała. Robiła to z miłości.

– Dość ostro imprezowałyśmy – kontynuowała Anka – i szybko zrobił się problem na uczelni. AGH to wymagająca szkoła. Na uniwerku pewnie byłoby nam łatwiej, choć w typowo męskiej budzie dwie ładne dziewczyny także sobie bez trudu poradzą. A byliśmy ładne, prawda, Zu?

– Wciąż jesteście – potaknęła przyjaciółka.

– No tak, ale jeden drań zawziął się na nas, pamiętasz? Głupi, mały, beznadziejnie skrupulatny i zwyczajnie drętwy. Jakże go nienawidziłam! Był kompletnie nieczuły na nasze wdzięki, ale i na takich mamy sposób. Co zrobiliśmy, Zu?

– Wyrwałyśmy synalka. Potulny chłopaczyna z szybkim spustem. Całkiem miły, ale baaardzo naiwny.

– Baaardzo – powtórzyła Anka.

Marta miała wrażenie, że w jednej chwili te dwie dojrzałe kobiety przebiegły przez boisko i stanęły w grupie rozchichotanych nastolatek, dla których życie to pasmo psikusów, numerów i odbijania sobie nawzajem chłopaków. Wielka strzelba załadowana amunicją na dziki czy sarny zupełnie do tego obrazka nie pasowała. Podobnie jak trup Szakala w kuchni i unosząca się nad nimi tajemnica śmierci Witolda.

– Za to musiał być przekonujący, skoro tatuś wpisał nam czwórki. Jak myślisz, Zu, mogłyśmy powalczyć o piątki?

– Tylko po co? Komu zależało na ocenach?

– Ale pewnie was nudzą takie historie. – Anka nagle spowaźniała. Jej twarz przybrała ostry, nieprzejednany wyraz kobiety zmierzającej po trupach do celu. Nadzwyczaj dosłownie.

– Witold pracował w Krakowie, tam się poznałyście? – zapytała Marta.

– Bingo. Bystra jesteś. Zawsze wiedziałam, że jesteś bystra, może nawet sprytniejsza ode mnie, ale nie potrafisz tego wykorzystać, dziewczyno. Dajesz się robić gogusiom z rządu i tych swoich wspaniałych służb, a to przecież najwięksi złodzieje. Pracujesz dla bandziorów. Jesteś częścią systemu, którego nie pojmujesz, utwierdzając mnie w przekonaniu, że nic nie jest wart. Witold, choć był miły, też stanowił jego część. Niby chciał z tym walczyć, ale oficjalnymi metodami. A tak się nie da. Tylko rewolucja pokonuje system.

– I ty jesteś rewolucjonistką? – prychnęła z pogardą Marta.

– Pierdołę system i wszystkie jego układy. Stworzyliśmy z Zu szajkę, która rozpieprzała to wszystko od środka, ot tak! – Pstryknęła palcami.

Zu uśmiechnęła się smutno. W tej dziewczynie nie było cienia radości. Zapatrzona w kochankę, udawała życie, udawała, że cieszy się tak samo jak Anka, w rzeczywistości niczego nie rozumiejąc. Anka myślała za nią. Pytanie: czy Suzi była tak głupia, zniszczona psychicznie czy tak bardzo zdominowana przez przyjaciółkę?

– Już uwierzę, że miałyście ideologiczne pobudki.

– Jasne, że nie. Nie zamierzam ci wciskać takiego kitu. Nam chodziło tylko o dobre życie, lecz nagle się zorientowałyśmy, że przy okazji walczymy z systemem. Jak miliony tych dzieciaków, które nie chcą teraz przyjąć warunków zaproponowanych im przez bankierów złodziei, urzędników łapówkarzy i rząd zapatrzony w słupki sondaży. My władza, wy plebs. My zarabiamy setki tysięcy, wy najniższą krajową. Dzieciaki polityków rozbijają się mercedesami i kupują mieszkania po milionie za sztukę, a młodzi ludzie po studiach nie są w stanie wziąć kredytu na najmniejszą kawalerkę. Po pewnym czasie

szczeniaki dostrzegły przekręt, tyle że nie wiedziały, co z tym głównym zrobić.

– Wy wiedziałyście?

– Wykorzystałyśmy drani. Nie pozwoliłyśmy się zaprząć do wozu, dałyśmy im złudne poczucie władzy, jednocześnie ją przejmując. Rozpiździliśmy system.

– Patologia też jest częścią systemu – mruknął Greg. – Jest wpisana w koszty.

– Sam jesteś patologią, łajzo – fuknęła na niego Suzi. – Niczym się nie różnisz od tego wieprza. Wyczuwam to tak jak wodę w twoim pocie.

– Ja wypełniam rachunek, a ty płacisz – prychnęła Anka, podejmując poprzedni wątek. – Taki to system. Koszty zostają po jednej stronie. W dupie mam taką sprawiedliwość.

– To, że stoisz teraz z bronią naprzeciwko mnie, świadczy, że koszty są po obu stronach.

– Nie widzę ich.

– Zobaczysz. Już wkrótce. Myślisz, że tak łatwo nacisnąć spust? Strzelić? Myślisz, że nie będziesz widziała w snach naszych twarzy? – Marta powoli się unosiła, próbując zająć wygodniejszą pozycję do ataku.

Anka jednak nie dała się zwieść.

– Leż, nie ruszaj się! – krzyknęła.

Marta z powrotem opadła na podłogę. To jeszcze nie był czas na atak. Popelniła ten sam błąd co Greg. Nie była dość cierpliwa. Jeszcze trzeba ją zmęczyć.

– Nawiedzę cię w pierwszym koszmarze – obiecała.

– Wy nie jesteście ludźmi. Jesteście pionkami systemu.

– Witold też nim był?

– Jedyne porządne wykładowca. Jedyne, który nie dał się złapać. Przynajmniej nie tak łatwo. Zawsze wystawiałyśmy Zu do boju, bo miała wszystkie warunki. Ja wtedy nie wyglądałam tak dobrze, miałam kompleksy i...

– Wolałaś ją wykorzystać – sprowokowała Marta. – Zawsze lepiej schować się za czyimiś plecami, co? W ten sposób koszty ponosiła tylko ona...

– Była z niej naprawdę wystrzałowa laska. – Anka nie

zwróciła uwagi na słowa Marty i odgarnęła włosy z czoła Suzi. – A on nawet na nią nie spojrział. Mnie także nie dostrzegął. Kiedy znacznie później spotkaliśmy się w Warszawie, był szczerze zdziwiony, że u niego studiowałam. Nie pamiętał. Zwyczajnie nie pamiętał. Zu miała do niego lekki uraz, ale przekonałam ją, żeby nie robiła awantury. Miałyśmy już zresztą na oku tego buca – wskazała na leżącego z tyłu Szarawarskiego.

Marta zdała sobie nagle sprawę, że po uderzeniu, które zadała mu żona, minister całkowicie zamilkł. Pomyślała, że może dostał zawału albo zasnął, ale gdy się wsłuchiwała, usłyszała wyraźny oddech. Prawdopodobnie był na granicy, ale się nie dawał. Ciekawe, co kretyn teraz myślał? Przynajmniej jego mi nie żal.

– Wał jebany – warknęła Zu. – Tfu!

– Musicie wybaczyć Zu. To w końcu ona musiała z nim sypiać, a był niezłym perwersem. Długo nas zwodził, dlatego tyle czasu mu poświęciłyśmy. Żyjesz jeszcze? – rzuciła do Szarawarskiego, ale ten się nie odezwał.

– Chodziło o forszę. Powiedz, że chodziło o forszę, i zakończmy tę komedię – rzuciła Marta.

– Taaak. Chodziło o forszę. Ale Szarawarski jej nie miał. Wał udawał takiego nadzianego i ustawionego gościa, a w rzeczywistości był prawie goły. Wszystko, co miał, kupowali mu różni mafiosi i inne gnidy, wystawiając za to polityczny rachunek. Wysługiwał się im i w podzięcie dostawał jałmużnę. Tak naprawdę całe życie był tylko słupem. Wykształconym i profesjonalnym, ale tylko słupem. Dostawał samochód na łapówkę, to pytał, czy aby nie za dużo pali, żeby jeszcze wyżebrać kupony na paliwo. Nawet jak wyjeżdżał na zagraniczne imprezy, to się szczypał, bo mu było szkoda. Biedak, zwykły nieudacznik. Do tego został przyzwyczajony. Łapówkarze nie mają gestu, zawsze się szczypią. Chomikują, zamiast się bawić. Może przeczuwają, że szybko wszystko stracą, bo są tylko frajerami. Albo system ich oskubie, albo takie lole jak my. Przyciągają je zapachem łatwych ofiar.

– Ja jakoś nie przyciągam – mruknął Greg.

– Ty jesteś zbyt goły, nie dbasz nawet o pozory. Ale pewnie

też jesteś zwykłym wałem, który znęca się nad dziewczynami, co? Ten fiut minister brak władzy i kasy odreagowywał właśnie tak, w sypialni. Nie wychodziło mu, więc lubił bić i krzywdzić. Gdy się dowiedziałam, chciałam zabić drania, ale Zu mi nie pozwoliła. Byłyśmy już w trakcie urabiania Witolda i skandal z Szarawarskim, jego śmierć czy inna przygoda mogły wszystko zepsuć. Postanowiłyśmy poczekać.

– A Szakal?

– Kręcił się koło różnych tuzów giełdy i realizował dla nich zlecenia. Lubiał to co ja, więc szybko znaleźliśmy wspólny język.

– Element walki z systemem?

– Nie. To było dla pieniędzy.

– I dla pieniędzy zabiłaś Witolda?

– Nie ja. Zu to zrobiła.

Zu uśmiechnęła się pod nosem. Tym razem rzeczywiście wyglądała na zadowoloną. Jakby poczucie dobrze wypełnionego zadania zbiegło się z czymś o wiele bardziej osobistym. To była prywatna zemsta. Za miłość, którą Anka obdarzyła Witolda. A przynajmniej jej się tak wydawało.

– To był wypadek – powiedziała szeptem.

– Nie kłam. – Anka ponownie na chwilę opuściła broń. – Nieładnie okłamywać idących na śmierć.

– Zabijesz ich? – zapytała Suzi szeptem. Wydawała się zamyślona.

Marta czuła, że nadchodzi moment konfrontacji.

– Nie ma wyjścia – westchnęła Anka i dopowiedziała ostatnią zwrotkę tej pieśni. – Zu poszła wtedy do Witolda, bo bała się, że mnie straci. Że wyjadę z Witoldem, a ją zostawię z draniem ministrem, którego już nie mogła ścierpieć. To działanie w afekcie czy... jak to się mówi... w stanie wyższej konieczności i mocnego wzburzenia. Nie szła go zabić, tylko przekonać, żeby zostawił mnie w spokoju, przestał na mnie działać swoją niszczyielską siłą. Dopiero potem coś ją naszło i stwierdziła, że tylko śmierć jest rozwiązaniem. Nic mi nie powiedziała. Nie ufała mi już. Wyczuła, że jestem zaangażowana, że się od niej oddalam. To właśnie jest prawdziwa miłość. Nie pozwala racjonalnie myśleć,

przewidywać, rozważać. Podpowiada działanie, które ma rozwiązać problem. Suzi... Nie wiedziała biedna, że Witold jest już zapomnianą kartą. Stał się nią na długo przedtem, zanim popadł w konflikt z Szarawarskim i rozpoczął drogę ku swym politycznym ambicjom przeciwstawienia się złu świata. Nie mogła wiedzieć, że znalazłam kogoś innego, kto wypełnia moje serce po brzegi, kto stał się celem mojego istnienia.

Twarz Anki stawała się coraz bardziej zimna i nieprzejednana. Wewnętrzny demon wypełzał z niszy i dobierał się do jej zepsutego mózgu.

– I za którego śmierć ktoś musi teraz zapłacić... – zakończyła.  
– Wy będziecie musieli zapłacić!

Milik odetchnął trzy razy i delikatnie pociągnął za klamkę. Stłumiony kobiecy głos, który docierał z wnętrza, napawał optymizmem. Odległe słowa były niezrozumiałe, ale samo to, że ktoś dyskutował, dawało mu nadzieję. Miał też wrażenie, że słyszy inne głosy. Głos Marty. Mógł się mylić. Nie chciał się mylić.

Drzwi nie skrzypiały. Wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą. Chwila oddechu. Serce łomotało mu w piersi tak, że nie był w stanie złapać wystarczającej ilości powietrza. Dosłyszał jednak ostatnie słowa Anny i natychmiast sobie uświadomił, że musi działać szybko.

Tchórze jednak nie potrafią działać szybko. Zawsze coś im przeszkadza. Każe się zastanowić dwa razy, poprosić o jeszcze jedną sekundę. Tchórze mają miękkie nogi i za mocno się pocą, przez co trzymana w rękach broń, nawet jeśli jest to tylko pojemnik z gazem, parzy im skórę, która staje się mokra i śliska, czyniąc ich niezdolnymi do precyzji i chaotycznymi w działaniu.

Tchórze nie nadają się na wojnę i muszą krzykiem dopingować się do boju.

Tchórze czasem – nawet wbrew sobie – zostają bohaterami.

Wtedy krzyczą bardzo głośno.

I z takim właśnie głośnym krzykiem i wyciągniętą prosto przed siebie ręką uzbrojoną w gaz Milik wparował do salonu.



Pierwsza na jego drodze była Suzi. Psiknął jej w twarz gazem, a gdy się przewróciła, z płaczem zasłaniając oczy, ruszył do Anny.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Anka wystraszyła się już pierwszym krzykiem i w tej samej chwili, gdy Suzi padała na ziemię, na oślep pociągnęła za spust. Dwa następujące po sobie huki w zamkniętym pomieszczeniu wypełniły uszy nieustającym szumem. Nieprzyjemny swąd palonego prochu zmieszał się z coraz intensywniejszym odorem wymęczonych, poranionych ciał, zapachem śmierci i zaschniętej krwi. Marta i Greg poderwali się jak na zawołanie i błyskawicznie obezwładnili Ankę. Milik zaś patrzył oniemiały na swoją uzbrojoną w gaz dłoń, a potem przeniósł wzrok na Szarawarskiego.

Minister skręcał się z bólu, trzymając się za brzuch i jęcząc. Po chwili znieruchomiał, pozostał tak skulony na ziemi, lecz nikt nie rzucił się go ratować.

Zasłużył sobie.

Anka nie okazywała żadnych uczuć. W milczeniu siedziała ze skutymi z tyłu ramionami. Marta miała wrażenie, że w jej twarzy nastąpiła jakaś zmiana. Jakby Anka pozbyła się ciężaru, wręcz ucieszyła z porażki. Suzi wciąż zasłaniała sobie oczy i Marta nie chciała jej zakuwać.

– Pilnuj jej – nakazała Milikowi.

Pochyliła się nad Szarawarskim i sprawdziła mu puls.

– No więc zostałaś morderczynią – rzuciła do Anki. – Obie jesteście morderczyniami. Urządziłyście sobie rewolucję.

Suzi podeszła i objęła przyjaciółkę. Nie wydawała się ani przejęta, ani zła. Dla niej liczyło się tylko to, że wciąż mogą być razem. Ona i Anka. Dwie piękne kobiety z przemaglowanymi przez świat pieniądza mózgami, a może dwie buntowniczkę, które zepsuł konsumpcyjny model żarłocznego kapitalizmu. Dwie morderczynie. To było pewne.

Marta pomyślała o Witoldzie, który padł ich ofiarą, choć na to nie zasługiwał. Gdyby zabiły tylko Szarawarskiego, może nawet by je teraz wypuściła.

Będziecie się smażyć w piekle, ale wcześniej traficie do piekła na ziemi. Jak na to zasłużyłyście.

Dopiero miesiąc później Milik podpisał nową umowę o pracę z tygodnikiem „Ale Świat”. Negocjacje kontraktu nie trwały długo, mimo że miał dość wysokie wymagania.

– Jesteś pierwszym dziennikarzem tego formatu w naszym skromnym zespole – powiedział naczelny, ściskając mu dłoń. – Prawdziwa gwiazda.

Ja i prawdziwa gwiazda to dwie sprzeczności – pomyślał Bartek. Nie jestem nawet publicystą.

W istocie jednak trudno było nie uważać go za gwiazdę. To był jego miesiąc. Milik jako jedyny opisał szczegółowo najbardziej sensacyjne wydarzenia, których nie można było porównać do niczego z przeszłości. Ostatni raz media tak emocjonowały się sprawą kryminalną, gdy zastrzelono komendanta głównego policji oraz byłego ministra sportu. Nawet teksty poświęcone porwaniu syna znanego przedsiębiorcy nie miały takiej temperatury.

Były tego powody. Wszak wokół zabójstwa prezesa giełdy narosło wiele legend i hipotez, a późniejsze strzelaniny, podejrzenia o grę służb specjalnych, a nawet o udział obcych wywiadów, dodawały zdarzeniom kolorytu. Przeróżne spekulacje doprowadziły jednak do takiej gmatwaniny, że nikt już nie wiedział, co jest prawdą, co domniemaniem, a co czystym kłamstwem. Dopiero gdy minął czas spiskowych teorii, Milik wyjawiał wszystkim prawdę i na dzień przed konferencją prasową prokuratury opublikował obszerny reportaż.

Miłość i seks sprzedają się najlepiej, zwłaszcza jeśli można je połączyć z zabójstwem. Gdyby jeszcze do tego dołożyć jakieś dzieci, popularność tematu mogłaby przeskoczyć nawet prostytucję uprawianą przez modelki z miliardami z krajów arabskich i południa Europy oraz wiecznie odgrzewany wątek cellulitisu na pośladkach oszałamiająco seksownej Miss Euro.

Któręś dnia zadzwonił do Milika Stefan z propozycją udziału w spotkaniu elity dziennikarstwa śledczego.

– Będą wszyscy najlepsi – przekonywał.

– I ja?

Stefan musiał przełknąć gorzką pigułkę, ale w końcu wycharczał:

– Należysz do najlepszych.

– Nie, dziękuję. Wciąż jestem leszczem od boczków.

Teksty publikowane w „Ale Świecie” wywindowały stronę internetową tygodnika i przyczyniły się do wzrostu nakładu samego pisma. Nowy pracodawca chciał oddać Bartkowi do dyspozycji gabinet i specjalny fundusz na prowadzenie śledztw, on jednak odmówił i podziękował.

– Źle bym się czuł, nie będąc częścią zespołu.

Zasiadł pomiędzy innymi dziennikarzami w boksie oddzielnym od pozostałych jedynie korkową tablicą do wieszania notatek i cienkimi miniściankami, zza których można było bez trudu się wychylić i zajrzeć w dekolt koleżance. A było co oglądać.

Z Martą spotykali się coraz rzadziej i po nieudanej próbie wykrzesania namiętności w hotelowym pokoju uznali, że nie powinni tego kontynuować.

Możemy pozostać przyjaciółmi, tak to się chyba mówi – pomyślał Milik. Ale Marta nie komentowała sytuacji. Ubrała się z obojętnym wyrazem twarzy, potem jakby nigdy nic rozmawiali o pracy i pierdołach, aż w końcu pogłaskała go po policzku i gorąco pocałowała.

Pocałunek na pożegnanie. Ostatni pocałunek. Pocałunek śmierci.

Nie potrzeba było słów, wystarczył ten prosty gest, który można interpretować na różne sposoby. Hipokryci uznają go za zachętę do dalszych prób zdobywania twierdzy, herosi macho stwierdzają, że widocznie im się wydawało, a seks był całkiem udany. Dla wielu ludzi prawda nie ma znaczenia. Lepsze są pozory.

Patrzył długo przez okno, jak znika za rogiem starej kamienicy. Od tego dnia zaczął szukać znaków. Podejrzał ją o romans z Gregiem, ale oboje zaprzeczyli. Tylko dziwnie się z niego nabijali.

– „Policjant i szpieg” lepiej brzmi niż „agentka i dziennikarz”?

– Zamiast się mazgać, poszukaj jakiejś miłej dziewczyny z biura – doradził mu Greg. – Policjantki i agentki nie są dobrym materiałem na żonę.

– Kto mówi, że szukam żony?

– A nie szukasz?

– Nie.

– No to możesz sypiać z agentkami. Ale to dość wyniszczające. Wierz mi.

Nie musiał mu tego mówić.

Czasem spotykali się z Martą na kolacji i właśnie podczas jednego z takich wieczorów ponownie spróbowali. I ponownie nie była to udana próba. Leżeli potem w łóżku, paląc papierosy, i Bartek opowiedział jej o nowych problemach w pracy.

– Jak to nie pozwalają ci pisać? – zdziwiła się.

– Wcześniej pozwalali, a teraz nie pozwalają – powtórzył.

– Ale dlaczego?

– Chodzi o forszę. Dopóki nie było reklam i pieniędzy, było okay. Ale po moich tekstach wzrósł nakład, pojawiły się reklamy, a reklamy dają przedsiębiorstwa, które należą do bogatych biznesmenów. Bogaci biznesmeni się znają i czasem robią sobie przysługi. Gdy więc próbuję o którymś napisać, ten grozi wydawcy, że wycofa reklamy, a jeśli jest to jeden z największych oligarchów, czasem inni też grożą, że się wycofają. Dostałem listę, o kim nie mogę pisać.

– Listę?

– No. Kartkę z nazwiskami.

– Kto na niej jest?

– Sama śmietanka. – Kąciki ust powędrowały mu do góry w niepewnym uśmiechu. – Paru biznesmenów i inwestorów oraz kilku polityków, z którymi robią interesy.

– Których korumpują.

– Ty to powiedziałaś. Udział w radzie nadzorczej to nie korupcja, tylko „korzystanie z posiadanego doświadczenia nabytego podczas pracy dla dobra społeczeństwa” – ironizował.

– Tak jak rola doradcy strategicznego prezesa. Wspaniała

fucha.

– Potem zakładasz fundację, dzięki której twoja żona oficjalnie nie będzie musiała kraść, by nosić futra z norek i innych biednych zwierząt.

– Albo jedziesz do Kamerunu jako ekspert od walki z korupcją.

– Lepsze to niż wygłaszanie nic nieznaczących wykładów za milion dolarów.

– Świat schodzi na psy.

– Nie obrażaj psów.

Milczeli, pałac i bawiąc się wydmuchiwanym dymem.

– To dobry temat dla innej gazety. Napisz o tym – powiedziała Marta.

– W innych gazetach jest tak samo, nikt mi tego nie opublikuje.

– No tak. Wolne media...

– Nie ma już mediów. Są tylko propagandowe tuby do kupienia za kasę z reklamy. Czuję się trochę jak kurwa.

– Boli cię dupa?

– Nie no...

– Więc nie mów głupot. Poza tym... Zawód jak każdy inny.

– Zmieńmy temat. Doszliście do tego, kto manipulował fixingiem i ukradł dane z monitoringu?

– Nie. Cały czas podejrzewamy Aloszę i jego... kontakty w Rosji. Z tą mafią grającą na kontraktach to nie musi być nieprawda. Duże pieniądze i gra o dużą stawkę.

– Ale po co to robili?

– Jest kilka możliwości. Może potrzebowali innego wyniku na jakimś kontrakcie albo chcieli anulować błędną transakcję? Słyszałeś, że pewien duży inwestor przez pomyłkę wprowadził do systemu zlecenie kupna akcji spółki o wartości przekraczającej budżet Polski? Nie? Nikt o tym specjalnie nie chce pisać, żeby nie pokazać, jaki to syf ta nasza giełda. Teraz nie ma już możliwości wprowadzenia takiego fałszywego zlecenia i było ono nie do realizacji, miało tylko spowodować zwrócenie uwagi spekulantów na tę spółkę. Ale teoretycznie można założyć, że ktoś by coś takiego przeprowadził. Dużo

mieliśmy różnych dziwnych rozliczeń gangsterskich poprzez giełdę i ciężko to ścigać, wykluczyć, udowodnić oszustwo. Więc może to jest odpowiedź?

– A monitoring?

– Pewnie ci sami, którzy zhakowali system, ukradli dane z monitoringu. Może haker musiał fizycznie pojawić się na giełdzie, żeby coś zainstalować, i dlatego trzeba było wykasować nagrania z kamer. Dziewczyny upierają się, że nie mają z tym nic wspólnego. Same są zdziwione. Suzi, zdając sobie sprawę z obecności kamer, ubrała się tak, by nikt jej nie rozpoznał. A żeby tam wejść, użyła jednej z kart Szarawarskiego, o których nikt nie wiedział. Starła się to dobrze przygotować i jak na całkowitą dyletantkę poradziła sobie nieźle, choć gdybyśmy mieli nagrania, pewnie szybko zostałaby złapana. Tak więc zniknięcie nagrań było jej na rękę, ale twierdzi, że to nie ona. Prawdę mówiąc, nie ma potrzeby kłamać.

– Niesamowite, jak proste było wyjaśnienie. Durna, zakochana dziewczyna zdolna jest do podejmowania zadziwiających decyzji.

– Miłość bywa zabójcza.

Milik zagryzł wargę, jakby jeszcze coś go męczyło.

– Poznałaś nowego prezesa giełdy? – zapytał.

– Krygiera?

– Krygiera.

– Sprawdzaliśmy go kontrwywiadowczo i antykorupcyjnie, ale mnie wyłączono ze sprawy. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Po tym, co narozrabiałam, wcale im się nie dziwię. Gdyby nie interwencja premiera, pewnie by mnie wylali. Dzięki.

– Nie ma sprawy – odparł Milik. W końcu przestał zaprzeczać, że to on wstawił się za nią u szefa rządu.

– Załatwiłeś mi opinię lodziarzy – fuknęła żartem. – Wszyscy myślą, że gdy premier podczas konferencji ma taką niewyraźną minę, to ja siedzę pod stołem i go obrabiam. A minę ma coraz częściej niewyraźną. No dobrze, co z tym Krygierem?

– Skoro minister go powołał, to znaczy, że przeszedł pozytywnie te... badania?

– Najwyraźniej. – Chciała dodać jakiś kolejny żart, ale zobaczyła, że jemu wcale nie jest do śmiechu. – Co cię gryzie?

– W mojej nowej gazecie o jednych nie wolno pisać, a o innych należy – powiedział, dobierając uważnie słowa.

– Macie go promować?

Milik oblizał usta i sięgnął po kolejnego papierosa. Odpowiedział dopiero po wydmuchaniu dymu.

– Przeciwnie. Dostałem na niego temat.

– Szybko – roześmiała się Marta. – Już zdążył się komuś narazić?

– Temat wyszedł z ministerstwa. Podobno jest klepnięty przez samego szefa. Po co powoływać gościa na prezesa i zaraz potem go atakować?

– Może okazał się niegrzeczny, choć rzeczywiście to dziwne, że tak szybko następuje atak. Musiał być jakiś ostry konflikt.

– Nieważne.

– Ciebie poprosili o napisanie tekstu?

– Poprosili? To zbyt ładnie powiedziane.

– Przecież jesteś gwiazdą. Gównu mogą ci zrobić.

– W tym zawodzie szybko można przestać być gwiazdą i stać się bezrobotnym.

Mocno zaciągnął się dymem, ułożył usta w dzióbek i wydmuchnął kilka kółek. Błyszczały na niebiesko w świetle ulicznych lamp, wpadającym do pokoju przez niezaciągnięte rolety.

– Wiesz, zwyczajnie mnie to wkurwia, że biznesmeni dogadują się z wydawcami i wspólnie oszukują czytelników, zły jestem na układy i realia, ale żeby gazeta dogadywała się z przedstawicielami rządu w sprawie ataku na prezesa jednej z państwowych spółek, żeby układali wspólnie terminy publikacji i jej formę... To już chyba przesada.

– Są gazety, które od dawna to robią. I to te największe.

– Ciebie to nie szokuje?

– Jeśli czegoś nie możesz zmienić, musisz po prostu przejść obok. Ciągłe zadręczanie się nie ma sensu, prowadzi tylko do frustracji, z której nic dobrego nie wynika.

– Pewnie masz rację. To uważasz, że mam napisać ten tekst?

Wzruszyła ramionami.

– Zrób go uczciwie.

– Uczciwie byłoby napisać, jak bardzo sami jesteście skorumpowani. Jak bardzo wchodzimy w układy z politykami, których powinniśmy kontrolować, i jak ślinimy się na samą myśl o poprawie stosunków, która będzie skutkowałą wpływami z reklam. To byłby uczciwy materiał.

– Więc tak napisz.

Marta klepnęła się po udach i naciągnęła spodnie. Ależ pięknie wyglądała! Była niebywale seksowna i zgrabna.

Szkoda, że nam nie wyszło.

– Muszę lecieć – oznajmiła. – O co masz oskarżyć nowego prezesa?

– Dyżurny zarzut – uśmiechnął się Milik. – Brak etyki. Pomagał zbierać pieniądze na film, w którym miała zagrać jego kochanka.

Marta odniosła wrażenie *déjà vu*. Czy kiedyś, dawno temu, nie było już podobnych zarzutów?

Włożyła prostą koszulkę zapinaną na guziki, w której jej piersi wydawały się wyjątkowo dziewczęce. Dorzuciła apaszkę i swoją starą wojskową kurtkę, tylko bez zimowej podpinkki. Mimo że było już prawie lato, wieczorami wciąż robiło się chłodno.

Patrzył na nią maślanym wzrokiem.

Trochę było w niej wyniosłej damy, trochę wiotkiej dziewczyny, najwięcej seksu.

Ależ ty jesteś do schrupania, kobieto!

Pocałowała go w usta i poradziła:

– Napisz po prostu uczciwy tekst.



## Epilog

Zaginione dane giełdowe wypłynęły dokładnie rok później, a ich publikacja miała potwierdzić profesjonalizm kolejnego, trzeciego już po Sworowskim, prezesa giełdy. Autor materiału śledczego ciągle podkreślał, jak dużym sukcesem było uzyskanie tych informacji i jaki trzeba było mieć upór, by do nich dotrzeć. Milik przeczytał tekst z niewielkim zainteresowaniem i znacznie większym obrzydzeniem. Dawno nie widział podobnych kłamstw. Telefon do autora wyszedł mu impulsywnie sam z siebie, bo choć nie miał ochoty słyszeć jego głosu, to czuł równie dużą potrzebę, żeby mu nawrzucać.

– Halo, to ty, Milik? Miło cię słyszeć. Czytałeś mój tekst?

– Gnida z ciebie.

Stefan się obruszył.

– Przecież wszędzie podkreślałem, że ty najwięcej odkryłeś w sprawie śmierci Sworowskiego. Nie masz wyłączności na teksty o nim. Poza tym minęło już sporo czasu, odkąd nie jesteś dziennikarzem.

– Nie wierzę. I ty możesz spojrzeć w lustro?

– Czytałem twoją książkę. – Stefan zmienił temat, najwyraźniej nie chcąc bronić wymyślnych esbeckich tez, które przemycił do artykułu. Nic dziwnego, Milik też by czegoś takiego nie bronił.

– I co, podobała ci się?

– Za dużo nadinterpretacji, ale ogólnie okay. Masz fajne pióro.

Ble, ble, ble.

– I nic z niej nie rozumiałeś, prawda? – zapytał wojowniczo.

Stefan westchnął i chyba zamierzał nadal grać dobrego kumpla z dobrymi radami, ale nagle zrezygnował.

– Wiesz co, Milik, chciałem być miły, z ciebie jednak jest kutas. Zatem... pierdol się.

– Idź na wódkę ze swoimi esbeckimi kontaktami i ich układami. Pośmiejcie się, jak to razem nakłamaliście w twojej

poczytnej gazecie. Niech żyje wasza prawda i jej nieodkryte tajemnice.

– Pierdol się – powtórzył Stefan i wałnął słuchawką.

Milik wziął do ręki egzemplarz „Expressu Finansowego” i jeszcze raz przeczytał materiał Stefana, bezwstydnie rozciągnięty na cztery kolumny. Dawno już nie publikowano tak obszernych tekstów, naczelny musiał więc być przekonany o jego wyjątkowej wartości lub dostać wziętkę. Bartek stawiał na to drugie. Jaką reklamę dali wam pieprzeni esbecy, żeby to poszło w takim rozmiarze? Na jedyne gazety, a potem w całym materiale Stefan (czy raczej esbek jego palcami) podkreślał, jakim to profesjonalistą jest nowy szef warszawskiej giełdy. Jak wspaniale radzi sobie z problemami, oszustwami i nieprawidłowościami, a jednocześnie jak znakomicie dba o rozwój i strategię rynku kapitałowego w Polsce. Eksperci, maklerzy i przedstawiciele spółek rzekomo nie szczędzą mu pochwał, wylewając je obficie w tym podłym materiale.

Do największych sukcesów nowego prezesa fachowcy będą zaliczać wyjaśnienie najpoważniejszej afery minionych lat, tak zwanego cudofixingu, który miał miejsce w dniu zabójstwa jego poprzednika, Witolda Sworowskiego. Według nieoficjalnych informacji, do których dotarł „Express Finansowy”, sprawa wygląda nie mniej sensacyjnie niż samo zabójstwo. Wbrew wcześniejszym przypuszczeniom, opisanym niegdyś przez „Express”, w naszą aferę nie są raczej zamieszane obce wywiady. Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że za szajką oszustów i manipulacjami stał nie kto inny, tylko sam Sworowski. Podejrzenia co do tego były od początku, jednak nasze służby specjalne skrzętnie je ukrywały. Powraca zarazem hipoteza, że zabójstwo wcale nie było wynikiem niszczycielskiej siły namiętności, tylko porachunków w świecie przestępczym. Minister skarbu odmówił komentarza. Prokurator generalny...

Telefon Marty zadzwonił po południu.

– Ale nakłamali – szepnęła. – Łatwo kogoś atakować, gdy nie może się już bronić.

– Sprawa pożyje tydzień i zniknie – odparł lekceważąco.

– W jedno uwierzyłam. To nasze służby w niej mieszają. Dlatego pasowało im na ówczesnym etapie wplątanie w to Ruskich, a teraz manipulowanie prawdą.

– Więc Ruskich rzeczywiście nie było? Alosza nie kłamał?

– Tego nie wiemy. Może nasi działają wspólnie z nimi albo celowo odsuwają od braci podejrzenia. Oni wszyscy znają się ze szkół w Moskwie.

– Nie możecie ich wyłapać i pozamykać? Nie można raz na zawsze pozbyć się leśnych dziadków z paszportami podstemplowanymi przez esbecję?

– Jednych wyłapiesz, przyjdą inni. A wszyscy z układami w prokuraturach i sądach. Nie do ruszenia.

– Nic nie można zrobić?

– Przeczekać.

– Ech, za to nowy prezes obrośnie w piórka. Widziałas, jaką dumą tryskał w tiwi? „Bez komentarza”. – Milik naśladował ton następcy Sworowskiego. – „Nie można wyciągać zbyt pochopnych wniosków”.

Włączył odtwarzanie z dekodera, na którym nagrał konferencję prezesa, i nagle oniemiał. Zatrzymał obraz i cofnął go.

– Halo, jesteś tam?! – zawołała Marta.

– Tak, poczekaj chwilę.

Ponownie uruchomił odtwarzanie. Kamera pokazała grupkę dziennikarzy przysłuchujących się konferencji. Milik znów zatrzymał obraz i cofnął. Był już pewien, ale musiał zobaczyć to jeszcze raz.

– Co się dzieje? – usłyszał w słuchawce głos Marty.

Nie odpowiedział od razu, przecierając oczy ze zdumienia. W rogu sali konferencyjnej wyróżniała się jedna postać. Stefan. Ale nie stał sam. Na jego ramieniu wisiał znacznie starszy osobnik, wyglądający na mocno zmęczonego. Śmiał się wesoło, szepcząc Stefanowi coś do ucha. Milik nagle zrozumiał. Adam Brycht zawsze udawał, że nie lubi Stefana. Adam Brycht, sławny dziennikarz, w którego tak bardzo był zapatrzony. Niemal jak w ojca, z takim uporem podsuwającego mu jego

teksty pod nos. „Poczytaj, jak wygląda prawdziwe dziennikarstwo”. Cholera, to takie proste. Tak cholernie proste.

– Milik, albo odpowiedz, albo się wyłączam – fuknęła Marta.

– Już jestem. O czym gadaliśmy?

– O aminokwasach i bakteriach w jogurcie, do cholery – odpowiedziała ze złością. – Co tam znalazłeś?

– Nic, nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś nieźle prowadził mnie w tej sprawie po sznurku, a teraz prowadzi kogoś innego.

– Wami, dziennikarzami, łatwo manipulować – potwierdziła.

– Łatwo – przyznał. – Prezesami również.

– Ten nowy dalej będzie mógł lansować te swoje teorie o nadziejach i przyszłych zyskach płynących z inwestycji w łupki. Politycy nie powinni mieszać się do biznesu.

– Myślisz, że te łupki to będzie wtopa?

– Nie wiem, ale nie podoba mi się nachalność, z jaką politycy naciskają duże spółki, żeby w nie inwestowały. To nie powinno być wynikiem decyzji rządowych, tylko chłodnych analiz ekonomicznych.

– Bomba atomowa też nie była wynikiem analiz ekonomicznych?

– Właśnie o tym mówię. No nic, muszę uciekać.

– Nie masz ochoty na kolację?

– Daj spokój, Milik, dobrze jest, jak jest. Nie kombinujemy z kolacjami. Podobno masz dziewczynę?

– Eee, to nic poważnego.

– Trzymaj się dziewczyn z biur i tam szukaj żony.

– A więc to Greg? – Nie dość, że się pieprzą, to jeszcze go obgadują. I to ma być przyjaciel? – Z nim sypiasz?

– Z nikim nie sypiam – odparła rozdrażniona.

– Nie wierzę.

– Twoja sprawa, Milik. Uciekam. Trzymaj się i nie myśl za dużo. Działanie jest lepsze od myślenia.

– Jeszcze dodaj: przynajmniej w twoim przypadku.

– Przynajmniej w twoim przypadku. Pa.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Miała godzinę, żeby dotrzeć na lotnisko. Mało i dużo. W normalnym mieście byłoby aż nadto. Ale w Warszawie nie dało się nic przewidzieć.

Można było przejechać całe miasto w dwa kwadransy i spóźnić się dwie godziny na spotkanie przez korek na odcinku kilku głupich kilometrów w centrum.

Ale muszę zdążyć.

Tym razem nie wydarzyło się nic niespodziewanego i w hali przylotów stanęła dwadzieścia minut przed czasem. Nie była pewna, czy ją pozna. Jednakże przez ostatnie pół roku wpatrywała się w to zdjęcie tyle razy, że o pomyłce nie mogło być mowy. Zdjęcie, z którym Greg nigdy się nie rozstawał i które w kilku formatach stało na jego biurku, w łazience, chowało się w portfelu i każdej szufladzie. „Na zawsze razem” – napisał na jednym z nich.

Milik miał rację. Pieprzyła się z Gregiem od tamtego czasu. Już pierwszej nocy po finale w leśniczówce poszli do łóżka. Obolali i poranieni kochali się, jęcząc z bólu i rozkoszy. Greg prosił, by nie mówiła nic Milikowi. Tylko dwie osoby na świecie kochał bardziej niż tego dziennikarzynę. Wśród nich nie było Marty i przez te pół roku nawet na chwilę nie zdołała wkraść się na to zajęte już chyba na zawsze podium. Mimo to spotykali się tak często, jak to było możliwe.

I czuła się wspaniale.

Seks z Gregiem, oszałamiający i niezwykły, był chyba czymś najlepszym, co ją w życiu spotkało. Mężczyźni, którzy potrafią tak kochać, muszą się z tym urodzić.

Przestał pić i nie korzystał już z usług prostytutek. Wymusiła na nim obietnicę, że nigdy więcej tego nie zrobi i nie będzie traktował kobiet przedmiotowo. W zamian zapewniła, że jest na każdy jego telefon.

Dziewczyna na telefon.

Tak to wyglądało. Greg nigdy nie zaproponował jej, żeby razem zamieszkali. Nie zrobił najmniejszego kroku w kierunku wspólnego życia. Po prostu pieprzył ją, a ona nie pozostawała mu dłużna. Uprawiali dobry seks i na tym koniec.

Seks. Tylko to ich łączyło.

Któregoś dnia nieopatrznie poruszyła temat zdjęcia.

– Aż tak bardzo ją kochałeś?

Spojrzał tylko na nią, błysnął jakimś nieposkromionym,

dzikim gniewem, oczy zasły mu na chwilę mgłą, a potem się rozbeczał. Twardy, męski, silny chłop płaczący jak dziecko nad straconym nieodwołalnie życiem.

– Przepraszam, ja jestem jak zombi. Chodzę, jem i... robię te wszystkie rzeczy, które trzeba, ale tak naprawdę nie żyję. Lepiej, żebyś to wiedziała.

– Wiem.

– I nie przeszkadza ci to?

– Nie. Nie przeszkadza.

Objęła go i scałowała z policzków słone łyzy. A potem zaprowadziła go do łóżka, gdzie oddała mu się całkowicie i bezwarunkowo, przeżywając kolejne fale największej, niewyobrażalnej rozkoszy.

Następnego dnia zadzwoniła do Holandii.

Była nawet lekko zdziwiona, że Agata, zamiast odłożyć słuchawkę, wysłuchała jej, zadała kilka zdawkowych pytań, a dopiero potem powiedziała cicho: – Po co tak naprawdę pani dzwoni?

– Kocham pani męża. Tak myślę.

– To dobrze. Dziwnie to brzmi, ale cieszę się.

– Ja też czuję się dziwnie, mówiąc żonie mężczyzny, że go kocham, ale taka jest prawda.

– To porządny człowiek. Niech pani będzie dla niego dobra.

– Wiem, ale nie mogę.

– Jak to?

Wtedy powiedziała, że Greg nie wie o jej miłości, telefonie i w ogóle nic go na świecie nie obchodzi, bo kocha tylko byłą żonę i syna. Jego przeznaczeniem jest tylko ta jedna miłość albo cierpienie. Woli wybrać cierpienie niż cię zdradzić, rozumiesz, idiotko? Masz tu takiego faceta, jedynego w swoim rodzaju, a ty uciekasz, bo widziałas jakieś głupie zdjęcia zrobione na imprezie. On nigdy tak naprawdę cię nie zdradził. Nawet ze mną. Tam w środku, w jego sercu, są tylko dwa fotele i oba zajęte.

– Tylko Milik go odwiedza.

– Milik? Ach, tak, lubię go.

– Ja też.

– Zadzwoń pani jeszcze?

Dzwoniła raz w tygodniu. Opowiadała jej o życiu Grega, jego bólu, myślach, o tym wszystkim, czego mogła być częścią, aż w końcu wymusiła to na niej, a ona się zgodziła. Na próbę, tylko na jeden dzień. Bez żadnych zobowiązań.

– Dobrze.

Spojrzała na zegarek. Samolot już powinien wylądować. Do hali wylali się pasażerowie jakiegoś innego lotu. Bagaże świadczyły o tym, że byli na wcześniejszych wakacjach. Pewnie Egipt albo Cypr. Na Cyprze podobno można już płacić tylko gotówką. W Egipcie szykuje się kolejna wojna. Czego wy tam szukacie?

Wreszcie zaczęli pojawiać się pasażerowie z Amsterdamu. Dostrzegła ją bez najmniejszych trudności. Pociągająca, ale dość pospolita uroda. Owalna twarz, czarne oczy, duże usta, pulchne policzki. Uśmiech pielęgniarki. Ciepły i taki ożywczy. Stawiał trupa na nogi. Postawi i Grega.

– Cześć.

– Cześć.

Padły sobie w ramiona i długo się ścisnęły.

– Jesteś pewna? – zapytała Agata.

– Pewna – przytaknęła Marta. – Kocham twojego męża, ale nie mogę z nim być. Nie wygram z tobą. On w sekundę o mnie zapomni, kiedy cię zobaczy.

– Chciałabym... to znaczy... głupio to zabrzmiało...

– Do diabła! Chcę, żeby był szczęśliwy. Może być szczęśliwy tylko z tobą.

Długo patrzyła w okna mieszkania Grega, gdy już doprowadziła ją do drzwi i zostawiła ich samych. Rozmawiają czy od razu poszli do łóżka? Nie, nie mogą się sobą nacieszyć, nie mogą się nagadać. Ale kochać się też będą. Zaraz, na podłodze, a potem na stole. Tak jak lubił Greg. Później w łóżku i w wannie. Trzy razy, a może pięć. Do bólu. Aż wszystko będzie ich boleć, aż każde dotknięcie porazi prądem.

Miłość. Tak właśnie wygląda miłość.

Odwróciła się i powolnym krokiem ruszyła przez skwer oddzielający bloki na tym maleńkim skrawku ziemi, gdzie

działo się coś naprawdę wielkiego.

Miłość. Tylko ona się liczy.

I wódka.

Po takim dniu czas na pijaństwo.

Było już dość późno, więc długo się wahała, zanim wybrała numer Milika. Przyłożył słuchawkę do ucha, ciesząc się, że znów może słyszeć jej głos.

Pogłaskała telefon palcem wskazującym, jakby pieściła męskie ucho, a potem szepnęła: – Poważnie mówiłeś o tej kolacji?




Bartek Milik, dziennikarz „Expressu Finansowego”, wraz z niepokorną agentką ABW i porywczym policjantem próbują rozwikłać tajemnicę śmierci skompromitowanego w erotycznej aferze prezesa warszawskiej giełdy. Odkrywając kolejne poziomy skomplikowanej intrygi, wchodzą w drogę niebezpiecznym bandytom powiązanych ze światem wielkiego biznesu i polityki.

*Formacja trójkąta* to skandalizująca powieść sensacyjno-kryminalna z dużą dawką emocji, brutalności i erotyki. Wciągająca, wielowątkowa akcja i obraz współczesnego świata przepełnionego aferami nawiązuje do wcześniejszej książki autora pt. *Wyrok*.

Niebezpieczny i fascynujący świat pieniądza, gra wywiadów, sekrety politycznych rozdań i skandali wplecione w dramatyczną historię miłosegno trójkąta, z pełną fałszywych tropów zagadką, której zaskakujące rozwiązanie trzyma w napięciu do samego finału, nie pozwalając odłożyć książki na półkę.

**Mariusz Zielke** – dziennikarz i publicysta, laureat wielu nagród i wyróżnień (m.in. Grand Press 2005). Kiedy nagle stracił pracę w dużej gazecie, nie poddał się i wiele ryzykując, ujawniał największe afery gospodarcze i korupcyjne na niezależnej stronie internetowej. W 2011 roku opublikował *Wyrok* – książkę, która wywołała skandal na polskim rynku finansowym. Powieść odniosła niebywały sukces.

Dostępna także jako 

Patronat

Cena: 34,90 zł

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Zbrodnia  
w Bibliotece

  
**PORTAL**  
KRYMINALNY

 **lubimyczytac.pl**  
Twoja internetowa biblioteczka



lesiojot